

**James P. Hogan**

**Gwiazda Gigantów**

**Tom III Trylogii Gigantów**

**Przełożyła Anna Reszka**

**Wydanie oryginalne: 1981**

**Wydanie polskie: 1993**

**TMN**

## Prolog

Na początku czwartej dekady dwudziestego pierwszego wieku wydawało się, że ludzka rasa w końcu nauczyła się żyć w pokoju i ruszyła ku gwiazdom. Porzuciwszy wyniszczający wyścig zbrojeń i zlikwidowawszy większość swoich sił strategicznych, supermocarstwa przeznaczyły zaoszczędzone w ten sposób miliardy na wdrożenie zachodnich technologii w Trzecim Świecie. Wraz ze wzrostem dobrobytu, bezpieczeństwa, poziomu i jakości życia, które były wynikiem globalnego uprzemysłowienia, nastąpiło zmniejszenie populacji i wyglądało na to, że bieda, głód oraz większość odwiecznych plag przestaną wreszcie gnębić ludzkość. Podczas gdy rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim zmieniła się w wojnę dyplomatyczną o polityczne i ekonomiczne wpływy w stabilizujących się państwach, ludzka żądza przygody znalazła wyraz we wznowionym międzynarodowym programie kosmicznym, który przybrał formę nowej fali podróży na inne planety i badań Układu Słonecznego, prowadzonych przez specjalne Siły Kosmiczne Organizacji Narodów Zjednoczonych, UNSA. Szybko postępowała eksploatacja księżycowych złóż, pojawiły się stałe bazy na Marsie i na orbicie wokół Wenus, a załogowe wyprawy dotarły do planet zewnętrznych.

Największym jednak wydarzeniem tych czasów był przewrót w nauce, który nastąpił po pewnych odkryciach dokonanych na Księżycu i Jowiszu. W ciągu zaledwie kilku lat seria zdumiewających znalezisk podważyła poglądy nie kwestionowane od początków istnienia nauki, zmusiła do napisania na nowo historii Układu Słonecznego i zakończyła się pierwszym zetknięciem człowieka z wysoko rozwiniętymi cywilizacjami obcych.

Nie znana do tej pory planeta, nazwana Minerwą przez badaczy, którzy odtworzyli jej dzieje, zajmowała niegdyś, w chwili powstania Układu Słonecznego, pozycję między Marsem a Jowiszem i zamieszkała była przez wysoko rozwiniętą rasę mierzących ponad dwa metry wzrostu obcych, znanych jako Ganimedejczycy, ponieważ pierwsze dowody ich istnienia pochodziły z Ganimedesa, największego z księżyców Jowisza. Kwitnąca ganimedejska cywilizacja zniknęła nagle dwadzieścia pięć milionów lat temu. Niektórzy ziemscy naukowcy przypuszczali, że pogarszające się warunki środowiska na Minerwie zmusiły „Gigantów” do

migracji do jakiegoś innego układu gwiazdowego, ale nie rozstrzygnięto do końca tej kwestii. Długo później – jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat przed obecnym okresem historii Ziemi – Minerwa uległa zagładzie. Większa część jej masy, wyrzucona na skraj Układu Słonecznego, utworzyła Pluton z jego ekscentryczną orbitą. Z pozostałości zaś, pod wpływem przyciągania Jowisza, powstał pas asteroidów.

Podczas gdy nadal dopasowywano elementy tej łamigłówki, wrócił statek kosmiczny starożytnej cywilizacji ganimedejskiej. Efekt relatywistycznej dylatacji czasu w połączeniu z technicznymi kłopotami z zakrzywiającym czasoprzestrzeń systemem napędowym statku sprawił, że dwadzieścia parę lat, które upłynęło na jego pokładzie, odpowiadało około miliona razy dłuższemu okresowi na Ziemi. *Shapieron* opuścił Minervę przed nadejściem tego, co przydarzyło się reszcie ganimedejskiej rasy, i dlatego załoga nie była w stanie potwierdzić ani obalić teorii wysuniętych przez ziemskich naukowców. Giganci zostali na Ziemi przez sześć miesięcy, wspólnie z ziemskimi badaczami usiłując znaleźć więcej danych, i harmonijnie wtopili się w miejscową społeczność. Ludzkość znalazła przyjaciół, a ostatni przedstawiciele ganimedejskiej rasy znaleźli – tak przynajmniej sądzono – dom.

Stało się jednak inaczej. W czasie badań odkryto ślad wskazujący na to, że Ganimedejczycy przenieśli się w okolice gwiazdy z konstelacji Byka, którą nazwano „Gwiazdą Gigantów”. Nie było żadnej gwarancji, tylko nadzieja. Wkrótce *Shapieron* wyruszył w drogę, zostawiając za sobą zasmucony, lecz pod pewnymi względami mądrzejszy świat.

Obserwatoria radioastronomiczne po drugiej stronie Księżyca wysłały wiadomość w kierunku Gwiazdy Gigantów, żeby uprzedzić o przybyciu *Shapierona*. Chociaż pokonanie całego dystansu przez sygnały miało zająć lata, i tak powinny dotrzeć na długo przed statkiem. Ku zdumieniu naukowców, którzy ułożyli przekaz, odpowiedź pochodząca z Gwiazdy Gigantów i potwierdzająca, że jest to nowy dom Ganimedejczyków, nadeszła zaledwie w kilka godzin po wysłaniu komunikatu. W tym czasie *Shapieron* już wyruszył i nie można było przekazać mu nowiny z powodu zakrzywienia czasoprzestrzeni wywołanego przez napęd statku i uniemożliwiającego odbiór fal elektromagnetycznych. Naukowcy na Ziemi nie mogli nic zrobić. *Shapieron* zniknął w próżni, z której się wcześniej wyłonił, i miało minąć wiele lat niepewności, zanim Ganimedejczycy na pokładzie dowiedzą się, że ich poszukiwania nie poszły na marne.

Przełączniki na ciemnej stronie Księżyca przez następne trzy miesiące wysyłały z przerwami kolejne sygnały, ale nie otrzymano żadnej odpowiedzi.

## Rozdział pierwszy

Doktor Victor Hunt skończył czesać włosy, zapiął czystą koszulę i przyjrzał się nieco zaspanej, lecz skądinąd przystojnej twarzy, spoglądającej na niego z lustro w łazience. Co prawda wykrył tu i ówdzie kilka siwych włosów w ciemnobrązowej czuprynie, ale ktoś inny musiałby uważnie patrzeć, żeby je zauważyć. Cera miała zdrowy odcień. Policzki i szczęki były mocno zarysowane, a pasek opierał się swobodnie na biodrach i spełniał swój podstawowy cel – podtrzymywał spodnie, a nie brzuch. Razem wzięwszy, zawyrokował Hunt, nie wyglądam źle jak na trzydzieści dziewięć lat. Twarz w lustrze zmarszczyła się nagle, gdyż cały ten rytuał przywiódł jej właścicielowi na myśl typowy okaz męskiego wraku w średnim wieku, znany z komercyjnej telewizji. Brakowało tylko, by w drzwiach pojawiła się, potrząsając buteleczką, umysłowo niedorozwinięta żona śpiesząca przekazać informację o leku na łysinę, dezodorancie, odświeżaczu do ust lub czymś podobnym. Wzdrygnąwszy się na tę myśl, wrzucił grzebień do szafki nad umywalką, zamknął drzwi i przeszedł spokojnym krokiem do kuchni.

– Skończyłeś już, Vic?

Zza otwartych drzwi sypialni dobiegł głos Lyn. Brzmiał pogodnie i wesoło i powinien być zabroniony o tak wczesnej porze.

– Możesz iść.

Wystukał kod na kuchennym terminalu i kiedy na ekranie ukazało się menu, studiował je przez chwilę, a potem zamówił jajecznicę, bekon, grzanki z marmoladą i dwie kawy. W przedpokoju pojawiła się Lyn w płaszczu kąpielowym Hunta niedbale zarzuconym na ramiona. Szlafrok ledwo przykrywał jej długie, szczupłe nogi i opalone na złoty kolor ciało. Obdarzyła Vica przelotnym uśmiechem i zniknęła w łazience, powiewając rudymi włosami, które sięgały jej do połowy pleców.

– Śniadanie już zamówione – zawołał za nią Hunt.

– To, co zwykle? – rozległ się zza drzwi jej głos.

– Jak zgadłaś?

– Anglicy to ludzie z przyzwyczajeniami.

– Po co sobie komplikować życie?

Na ekranie ukazała się lista artykułów spożywczych po niższych cenach i Hunt wystukał zamówienie do Albertsona z prośbą, by dostarczono produkty do domu później tego dnia. Kiedy wyszedł z kuchni i znalazł się w salonie, powitał go dźwięk odkręcanego prysznicza. Zastanawiał się, jak to możliwe, że świat, który ze spokojem przyjmował nocne programy z gośćmi rozmawiającymi przed milionową widownią o obstrukcjach, hemoroidach, łupieżu i niestrawności, może uznawać za obsceniczny widok ładnych dziewczyn zdejmujących ubrania. „Nie ma nic dziwniejszego od ludzi”, jak mawiała jego babka z Yorkshire, pomyślał.

Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby z wyglądu salonu odtworzyć historię poprzedniej nocy. Do połowy napełniona filiżanka kawy, pusta paczka papierosów, resztki pizzy w otoczeniu naukowych czasopism i notatek porzucanych niedbale na biurku przed komputerem świadczyły, że tego wieczora Hunt miał najszczerzy zamiar rozpatrzyć problem Plutona z innej strony. Torebka Lyn na stoliku przy drzwiach, płaszcz przewieszony przez brzeg kanapy, pusta butelka chablis i białe, kartonowe pudełko po wołwinie w curry mówiły o przerwie w pracy, spowodowanej niespodziewaną, choć nie do końca niepożądaną wizytą. Zmięte poduszki i para butów leżących między kanapą a stolikiem do kawy dopowiadały resztę. Cóż, powiedział Hunt do siebie, światu nie sprawiłoby dużej różnicy, gdyby rozwiązanie zagadki, w jaki sposób Pluton znalazł się na swojej obecnej orbicie, musiało poczekać dwadzieścia cztery godziny.

Podszedł do biurka i zapytał komputer o pocztę, która nadeszła w ciągu nocy. Był szkic pracy naukowej napisanej przez zespół Mike'a Barrowa z Laboratorium Lawrence'a Livermore'a, zawierającej tezę, że jeden z aspektów fizyki ganimedejskiej, nad którym pracowali, przemawiał za możliwością syntezy jądrowej w niskich temperaturach. Hunt wolno przejrzał rozprawę i przekazał ją do swojego biura, żeby później przeczytać dokładniej. Było parę rachunków i wyciągów z konta. Odesłał je do kartoteki... do końca miesiąca. Przekaz audiowizualny od wujka Williama z Nigerii. Hunt wprowadził polecenia odtworzenia zapisu i cofnął się o krok, żeby popatrzeć. Za zamkniętymi drzwiami ucichł odgłos prysznicza, a potem Lyn wróciła do sypialni.

William i jego rodzina cieszyli się, gdy Vic spędzał u nich wakacje, szczególnie lubili słuchać jego relacji o kontaktach z Ganimedejczykami na Jowiszu i później na Ziemi... Kuzynka Jenny dostała pracę biurową w nuklearnej stalowni, która właśnie ruszała niedaleko Lagos... Wieści od rodziny w Londynie mówiły, że wszyscy mają się dobrze, oprócz starszego brata Vica, George'a, którego oskarżono o rzucanie pogrózek w czasie politycznej dyskusji w miejscowym pubie... Doktoranci Uniwersytetu w Lagos byli zachwyceni wykładem Hunta o *Shapieronie* i wysyłają listę pytań z nadzieją, że znajdzie czas, by na nie odpowiedzieć.

Akurat kiedy przekaz się kończył, z sypialni wyszła Lyn w ubraniu z poprzedniego wieczoru – czekoladowej bluzce i spódnicy koloru kości słoniowej – a następnie zniknęła w kuchni.

– Kto to? – zawołała stamtąd przy akompaniamencie otwieranych i zamykanych drzwiczek i stawianych na blacie naczyń.

– Wuj Billy.

– Ten z Afryki, u którego byłeś parę tygodni temu?

– Uhm.

– Co u nich słychać?

– Wuj wygląda dobrze. Jenny załapała się do tego nowego kompleksu nuklearnego, o którym ci mówiłem, a brat George znów ma kłopoty.

– Aha. Co tym razem?

– Zdaje się, że urządził w swojej piwiarni rozprawę sądową. Ktoś nie zgadzał się, że rząd powinien gwarantować zapłatę strajkującym.

– Kim on jest... wariatem?

– To dziedziczne.

– Ty to powiedziałeś, nie ja.

Hunt wyszczerzył zęby.

– Więc nigdy nie mów, że cię nie ostrzegano.

– Zapamiętam to... Jedzenie gotowe.

Vic wyłączył terminal i poszedł do kuchni. Lyn, usadowiona na stołku przy barze dzielącym pomieszczenie na pół, już zaczęła jeść. Usiadł naprzeciwko niej, łyknął kawy i podniósł widelec.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał. – Jest jeszcze wcześnie. Nic nas nie goni.

– Nie idę prosto do pracy. Muszę najpierw zajść do domu i się przebrać.

– Według mnie wyglądasz dobrze... naprawdę niezła z ciebie sztuka.

– Pochlebstwami daleko zajedziesz. Nie... Gregg ma dzisiaj specjalnych gości z Waszyngtonu. Nie chcę wyglądać nieświeżo i zepsuć obrazu Navcomms. – Uśmiechnęła się i naśladując angielski akcent, dodała: – Trzeba zachować klasę, rozumiesz.

– To wymaga wprawy. – Hunt parsknął drwiąco. – Kim są ci goście?

– Wiem jedynie, że są z Departamentu Stanu. Jacyś tajemniczy ważniacy, z którymi Gregg ostatnio ma kontakty – mnóstwo rozmów na zastrzeżonych kanałach, kurierzy z zapieczętowanymi paczkami z przeznaczeniem do rąk własnych. Nie pytaj mnie, o co tutaj chodzi.

– Nie wtajemniczył cię? – W głosie Hunta brzmiało zdziwienie.

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Może to dlatego, że zadaję się z postrzelonymi cudzoziemcami, na których trudno polegać.

– Ale jesteś jego osobistą asystentką – stwierdził Hunt. – Myślałem, że wiesz o wszystkim, co dzieje się w Navcomms.

Lyn ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie tym razem... przynajmniej do tej pory nic mi nie powiedziano. Mam jednak przeczucie, że dowiem się dzisiaj. Gregg robił pewne aluzje.

– Hmm... dziwne...

Vic zabrał się do jedzenia, ale nadal rozmyślał nad sytuacją. Gregg Caldwell, dyrektor Wydziału Nawigacji i Telekomunikacji Sił Kosmicznych Organizacji Narodów Zjednoczonych, był bezpośrednim przełożonym Hunta. Tak się złożyło, że Navcomms pod kierownictwem Caldwell'a odgrywał główną rolę w odtwarzaniu historii Minerwy i jej cywilizacji, a Hunt był mocno zaangażowany w sprawę już przed przybyciem Ganimedejczyków na Ziemię. Po ich odlocie podstawowym zadaniem Vica w Navcomms stało się kierowanie zespołem koordynującym badania prowadzone w różnych miejscach i opracowywanie naukowych danych, które obcy pozostawili Ziemianom. Chociaż nie wszystkie odkrycia i spekulacje publikowano, atmosfera pracy w Navcomms była na ogół szczerą i otwartą, tak że nie słyszało się dotąd o skrajnych środkach ostrożności opisanych przez Lyn. Zgoda, działo się coś dziwnego. Odchylił się na oparcie barowego stołka, zapalił papierosa i patrzył, jak Lyn nalewa następane dwie kawy. Było w jej szarozielonych oczach, z których nigdy nie znikał figlarny błysk, oraz w ledwo uchwytnym grymasie wokół ust, coś, co wydawało mu się jednocześnie zabawne i podniecające... wdzięczne, jak by zapewne powiedzieli Amerykanie. Przebiegł myślą trzy miesiące, które upłynęły od odlotu *Shapierona* i próbował dociec, co mogło sprawić, że ze zwykłej, bystrej i przystojnej dziewczyny z biura stała się kimś, z kim dość regularnie jadał śniadania w jednym lub drugim mieszkaniu. Nie dostrzegał jednak żadnych szczególnych okoliczności, które o tym zadecydowały. Po prostu, tak się stało. Nie skarżył się.

Odstawiając dzbanek, zerknęła na niego i zauważyła, że się jej przygląda.

– Wiesz, to naprawdę miło mieć kogoś przy sobie. Czy ranek nie byłby nudny, gdyby jedyne towarzystwo stanowił ekran?

Znowu zaczynała ten temat... ale żartobliwie, na wypadek, gdyby nie chciał brać poważnie jej słów. Lepiej płacić jeden czynsz niż dwa, jeden zestaw rachunków zamiast dwóch, i tak dalej, i tak dalej.

– Zapłacę rachunki – powiedział. Błagalnie rozłożył ręce. – Sama stwierdziłaś wcześniej, że Anglicy to ludzie z przyzwyczajeniami. Tak czy inaczej, zachowuję klasę.

– Mówisz jak ktoś zagrożony – odparła.

– Jestem... męskim szowinistą. Człowiek musi mieć gdzieś stałe schronienie.

– Nie potrzebujesz mnie?

– Oczywiście, że potrzebuję. Dobry Boże, co za pomysł! – Rzucił jej ponad barem chmurne spojrzenie, ona natomiast odpowiedziała szelmowskim uśmiechem. Może świat

poczekalby kolejne czterdzieści osiem godzin, żeby dowiedzieć się czegoś na temat Plutona.

– Co robisz dzisiaj wieczorem... czy coś szczególnego? – zapytał.

– Dostałam zaproszenie na kolację w Hanwell... od tego faceta od marketingu, o którym ci opowiadałam, i jego żony. Ma być tłum ludzi i zapowiada się całkiem wesoło. Mówili, żebym przyprowadziła przyjaciela, ale nie sądziłam, że cię to zainteresuje.

Hunt zmarszczył nos i zrobił niezadowoloną minę.

– Czy to nie jest ta paczka od parapsychologii i piramid?

– Właśnie. Wszyscy są podnieceni, bo czekają ich dzisiaj niezwykle przeżycia. Gospodarz już wiele lat temu przepowiedział wszystko o Minerwie i Ganimedejczykach. To musi być prawda... tak twierdzi czasopismo „Amazing Supernature”.

Hunt wiedział, że Lyn się z nim drażni, ale nie mógł powściągnąć irytacji.

– Och, na litość boską, myślałem, że w tym cholernym kraju istnieje jakiś system edukacyjny! Czy oni nie mają za grosz krytycyzmu? – Wysączył resztkę kawy i z hałasem odstawił filiżankę na bar. – Jeśli przepowiedział to wiele lat temu, dlaczego nikt wtedy o tym nie słyszał? Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz, kiedy nauka powiedziała mu, co powinien przepowiedzieć? Zapytaj go, co zastanie *Shapieron*, kiedy dotrze do Gwiazdy Gigantów, i każ mu to zapisać. Założę się, że jego wersja nigdy nie trafi do „Amazing Supernature”.

– Nie trzeba brać tego tak poważnie – powiedziała Lyn lekko. – Idę tam tylko dla zabawy. Nie ma sensu tłumaczyć zasady brzytwy Ockhama ludziom, którzy wierzą, że UFO to wehikuly czasu z innego stulecia. Poza tym, niezależnie od wszystkiego, to bardzo miłe osoby.

Hunt zastanawiał się, jak to wszystko jest możliwe po tym, jak Ganimedejczycy przylecieli na statku międzygwiazdowym, stworzyli życie w laboratoriach, skonstruowali inteligentne komputery, wielokrotnie potwierdzali, że nie ma żadnych przesłanek, by zakładać istnienie we wszechświecie sił innych oprócz odkrytych przez naukę i racjonalne myślenie. Ale ludzie nadal marnowali życie na mrzonki.

Stając się zbyt poważny, stwierdził i zbył całą sprawę machnięciem ręki i szerokim uśmiechem.

– Dajmy spokój. Lepiej zrobmy coś, żeby wyprawić cię do pracy.

Lyn ruszyła do salonu po buty, torebkę i płaszcz, a potem zatrzymała się obok Vica przy drzwiach wyjściowych. Pocałowali się i uścisnęli.

– Zobaczymy się więc później – szepnęła.

– Do zobaczenia. Uważaj na tych szaleńców.

Zaczekał, dopóki nie zniknęła w windzie, następnie zamknął drzwi i spędził pięć minut na sprzątaniu kuchni i przywracaniu pozorów porządku w pozostałej części mieszkania. W końcu włożył marynarkę, zgarnął do teczki parę rzeczy z biurka i wjechał windą na dach. W parę chwil później jego pojazd znalazł się na wysokości sześciuset metrów we wschodnim



korytarzu powietrznym, prowadzącym w stronę błyszczących na horyzoncie tęczowych wież  
Houston.

## Rozdział drugi

Ginny, pulchna, w średnim wieku, skrupulatna sekretarka Hunta, już pracowała, kiedy wszedł do swojego biura w wieżowcu głównej siedziby Navcomms w centrum Houston. Miała trzech synów, nastolatków, i oddawała się swojej pracy z takim poświęceniem, że Hunt czasami podejrzewał, iż jest to rodzaj pokuty za wydanie ich na świat. Jak przekonał się nieraz, kobiety pokroju Ginny zawsze dobrze pracowały. Długonogie blondynki były bardzo miłe, ale jeśli chciał mieć prawidłowo i na czas wykonaną pracę, wolał zdać się na starsze pracownice o macierzyńskim wyglądzie.

– Dzień dobry, doktorze Hunt – powitała go.

Jednej rzeczy nie był w stanie jej wyperswadować. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że Anglicy wcale nie oczekują ani nie chcą, by zawsze zwracano się do nich oficjalnie.

– Cześć, Ginny. Jak się dzisiaj miewasz?

– O, świetnie.

– Co z psem?

– Dobre wiadomości. Weterynarz telefonował wczoraj i powiedział, że miednica wcale nie jest złamana. Kilka tygodni odpoczynku i wszystko będzie w porządku.

– To dobrze. Co nowego dzisiaj? Coś pilnego?

– Nic szczególnego. Profesor Speehan z MIT telefonował parę minut temu i chciał, żeby pan się z nim skontaktował przed obiadem. Właśnie kończę przeglądać pocztę. Jest kilka rzeczy, które, jak sędzę, mogą pana zainteresować. Szkic rozprawy z Livermore. Przypuszczam, że już ją pan widział.

Następne pół godziny spędzili na sprawdzaniu poczty i układaniu planu dnia. W tym czasie biura wchodzące w skład jego sekcji w Navcomms zappełniły się i Hunt wyszedł, żeby zapoznać się z postępami prowadzonych obecnie badań.

Duncan Watt, zastępca Hunta, fizyk teoretyk, który półtora roku wcześniej przeniósł się z Wydziału Materiałów i Struktur UNSA, zbierał wyniki różnych zespołów badawczych z całego kraju, zajmujących się problemem Plutona. Porównując bieżące dane na temat Układu Słonecznego z relacjami *Shapierona* o tym, jak wyglądał on dwadzieścia pięć milionów lat

temu, ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Pluton powstał z Minerwy. Ziemia początkowo nie miała satelity, a Księżyc pierwotnie okrążał Minerwę. Kiedy Minerwa rozpadła się, jej księżyc zaczął spadać na Słońce i tylko czysty przypadek sprawił, że został przechwycony przez Ziemię, wokół której krąży do tej pory. Problem polegał na tym, że żaden wzór matematyczny nie był w stanie wyjaśnić, w jaki sposób Pluton zyskał niezbędną energię, by przezwyciężyć przyciąganie Słońca i znaleźć się na obecnej orbicie. Specjaliści od mechaniki nieba i astronomowie z całego świata na wszelkie sposoby próbowali podejść do tego zagadnienia, lecz bez sukcesu, co wcale nie było zaskakujące, zważywszy, że Ganimedejczycy również nie potrafili znaleźć zadowalającego rozwiązania.

– Jedynym wyjściem jest postulat oddziaływania trzech ciał – powiedział Duncan, wymachując rękami w rozdrażnieniu. – Być może wojna nie miała z tym nic wspólnego. Może Minerwę rozerwało coś, co przelatywało przez Układ Słoneczny.

Trzydzieści minut później i kilkoro drzwi dalej w tym samym korytarzu Hunt znalazł Marie, Jeffa i dwóch studentów oddelegowanych z Princeton, dyskutujących z zapalem o zbiorze różniczkowo-cząstkowych funkcji tensorowych, wyświetlonych na dużym, ściennym ekranie.

– To ostatnie wyniki zespołu Mike’a Barrowa z Livermore – poinformowała go Marie.

– Już je widziałem – odparł Hunt. – Ale nie miałem czasu ich przestudiować. Coś na temat zimnej syntezy jądrowej, nieprawdaż?

– Wynika z tego, że Ganimedejczycy nie musieli uzyskiwać wysokich temperatur, żeby przezwyciężyć odpychanie między protonami – wtrącił Jeff.

– Jak zatem to zrobili? – zapytał Hunt.

– Chytrze. Zaczęli od neutronów, więc nie było odpychania. Kiedy cząsteczki znalazły się wewnątrz silnego pola, zwiększyli energię oddziałującą na ich powierzchnie, by zapoczątkować tworzenie par. Neutrony pochłonęły pozytony, stając się protonami, a elektrony zostały wyemitowane. I już macie... dwa protony połączone w parę. Bęc! Synteza.

Hunt był pod wrażeniem, mimo że poznał fizykę Ganimedejczyków na tyle, by niczemu się nie dziwić.

– I byli w stanie kontrolować reakcje na tym poziomie? – zapytał.

– Właśnie tak uważają ludzie Mike’a.

Wkrótce rozgorzała dyskusja nad jednym ze szczegółowych zagadnień i Hunt opuścił grupę, która właśnie zamierzała zadzwonić do Livermore po wyjaśnienia.

Wyglądało na to, że informacje zostawione przez Ganimedejczyków zaczynają naraz wydawać owoce. Każdy dzień przynosił nowe odkrycia. Pomysł Caldwell, żeby wykorzystać sekcję Hunta jako międzynarodowe centrum koordynacji badań nad ganimedejską nauką, zaczął dawać rezultaty. Kiedy odkryto pierwsze ślady Minerwy i Ganimedejczyków, Caldwell utworzył grupę do wykonania planowanych prac. Dowiodła ona swojej przydatności i teraz stanowiła sprawny zespół badawczy.

Ostatnią wizytę Hunt złożył Paulowi Shellingowi, którego pracownicy zajmowali kilka biur i salę komputerową piętro niżej. Jednym z największych osiągnięć ganimedejskiej techniki było opanowanie siły grawitacji, pozwalające sztucznie zakrzywiać czasoprzestrzeń bez potrzeby koncentracji ogromnych mas. Wykorzystano tę umiejętność w systemie napędowym *Shapierona*, który wytwarzał przed sobą „dziurę” i stale w nią „wpadał”, pokonując w ten sposób przestrzeń. Siłę ciężenia wewnątrz statku również wytwarzano, a nie symulowano. Shelling, fizyk z Rockwell zajmujący się grawitacją, obecnie na rocznym urlopie, zorganizował zespół matematyków, którzy od sześciu miesięcy wgryzali się w ganimedejskie równania pola i przekształcenia metryki przestrzeni i energii. Hunt zastał go wpatrującego się w zamyśleniu w ekran z izochronami i geodetykami zakrzywionej czasoprzestrzeni.

– Wszystko jest tutaj – powiedział Shelling nieobecny tonem, z oczami utkwionymi w łagodnie świecące kolorowe linie. – Sztuczne czarne dziury... po prostu włączasz je i wyłączasz na rozkaz.

Informacja nie stanowiła dla Hunta wielkiej niespodzianki. Ganimedejczycy potwierdzili, że napęd *Shapierona* rzeczywiście jest tego rodzaju, a Hunt i Shelling przy wielu okazjach prowadzili rozważania teoretyczne na ten temat.

– Wykonałeś obliczenia? – zapytał Vic i wśliznąwszy się na wolny fotel, zaczął studiować wykres.

– Jesteśmy na dobrej drodze.

– Czy zbliży nas to do rozwiązania problemu natychmiastowego przenoszenia się w przestrzeni?

Ganimedejczykom nie udało się tego osiągnąć, chociaż taka możliwość kryła się w ich teoretycznych konstrukcjach. Czarne dziury, bardzo oddalone od siebie w normalnej przestrzeni, wydawały się mieć ze sobą połączenie przez hiperprzestrzeń, w której obowiązywały nieznane prawa fizyki, a zwykłe pojęcia i ograniczenia relatywistycznego wszechświata nie miały w niej zastosowania. Ganimedejczycy zgadzali się, że związane z tym możliwości są oszałamiające, ale nikt nie wiedział, jak je zrealizować.

– To jest tutaj – odparł Shelling. – Możliwość jest zawarta tutaj, ale martwi mnie druga strona medalu, której nie da się oddzielić.

– O czym mówisz? – zapytał Hunt.

– Podróże w czasie – powiedział Shelling. Hunt zmarszczył brwi. Gdyby rozmawiał z kimkolwiek innym, nie pozwoliłby sobie na tak otwarty krytycyzm. Shelling rozłożył ręce i wskazał na ekran. – Nie możesz tego usunąć. Jeśli rozwiązania dopuszczają natychmiastowe przenoszenie się z punktu do punktu w normalnej przestrzeni, to dopuszczają również przenoszenie się w czasie. Gdybyś znalazł sposób na urzeczywistnienie pierwszej możliwości, automatycznie uzyskałbyś sposób urzeczywistnienia drugiej. Te macierze są symetryczne.

Hunt odczekał chwilę, żeby nie wydać się ironicznym.

– To zbyt wiele, Paul – odezwał się. – Co stanie się z przyczynowością? Nigdy nie byłbyś w stanie uporządkować tego bałaganu.

– Wiem... Wiem, że teoria wygląda na zwariowaną, ale taka jest. Albo znaleźliśmy się w ślepej uliczce i nic z tego nie wyjdzie, albo mamy o jedno rozwiązanie za dużo.

Następną godzinę spędzili na sprawdzaniu równań Shellinga, ale kiedy skończyli, nie byli wcale mądrzejsi. Zespoły z Kalifornijskiego Instytutu Technologii, z Cambridge, z Ministerstwa Nauk Kosmicznych w Moskwie i z Uniwersytetu w Sydney odkryły to samo. Oczywiście było, że Hunt i Shelling nie uporają się z tym problemem tu i teraz, więc Victor w końcu wyszedł zamyślony i w bardzo dziwnym nastroju. Po powrocie do swojego biura zadzwonił do Speehana, który, jak się okazało, miał ciekawe wyniki symulacji zaburzeń klimatycznych, spowodowanych pięćdziesiąt tysięcy lat temu wychwyceniem Księżyca. Później Hunt zajął się paroma bieżącymi sprawami i właśnie zabierał się do czytania rozprawy z Livermore, kiedy Lyn zatelefonowała z biura Caldwell, mieszczącego się na szczycie budynku. Miała niezwykle poważną twarz.

– Gregg chce, żebyś się z nim tu spotkał – poinformowała go bez wstępów. – Możesz przyjść zaraz.

Hunt wyczuł, że zależy jej na czasie.

– Daj mi dwie minuty.

Przerwał połączenie bez dalszych ceregieli, przesłał rozprawę w niezbadane głębie banku danych Navcomms, polecił Ginny, żeby przez resztę dnia konsultowała się w pilnych sprawach z Duncanem, i energicznym krokiem wyszedł z gabinetu.

## Rozdział trzeci

Odpowiedzialność za całą skalę działań Navcomms – od sieci połączeń między załogowymi i bezzałogowymi pojazdami kosmicznymi UNSA i stałymi bazami w całym Układzie Słonecznym aż po techniczne i badawcze instytuty w takich miejscach jak Houston – skupiała się na najwyższym piętrze budynku głównej siedziby organizacji, w przestronnym, bogato umeblowanym gabinecie z jedną ścianą całkowicie ze szkła i z widokiem na niższe drapacze chmur oraz kolonię mrówek daleko w dole. Prawie cała ściana naprzeciwko ogromnego biurka, które stało w rogu przy oknie, zajęta była przez ekrany nadające pomieszczeniu raczej wygląd sterowni niż gabinetu. Na pozostałych ścianach wisiały kolorowe zdjęcia najbardziej spektakularnych projektów UNSA z ostatnich lat, łącznie ze skonstruowaną w Kalifornii sondą międzygwiazdową długości dziesięciu kilometrów i napędzie fotonowym oraz elektromagnetyczną katapultą wybudowaną na obszarze trzydziestu kilometrów na Morzu Spokoju w celu wyrzucania na orbitę wyprodukowanych na Księżycu elementów składowych statków kosmicznych.

Kiedy sekretarka wprowadziła Hunta do gabinetu, Caldwell siedział za biurkiem, a dwie inne osoby i Lyn przy stole tworzącym z biurkiem literę T. Jedną z przybyłych była kobieta w wieku czterdziestu paru lat, w wysoko zapiętej pod szyją sukience koloru morskiego, która podkreślała zgrabną figurę, i zakiecie w morsko-białą kratę, z szerokim kołnierzem. Starannie ułożone fale kasztanowatych włosów spływały do ramion, a rysy twarzy, całkiem niebrzydkiej pod dyskretnym makijażem, były wyraziste i stanowcze. Kobieta siedziała wyprostowana i wyglądała na spokojną i opanowaną. Hunt miał wrażenie, że już ją gdzieś widział.

Jej towarzysz był elegancko ubrany w trzyczęściowy garnitur koloru grafitowego, białą koszulę i krawat w dwóch odcieniach szarości. Dokładnie ogolony, miał świeży wygląd, krótko obcięte kruczoczarne włosy, gładko zaczesane w uczniowskim stylu, chociaż Victor ocenił, że mężczyzna musi być mniej więcej w jego wieku. Ciemne, ruchliwe oczy świadczyły o czujnym i bystrym umyśle.

Ze swojego miejsca naprzeciwko dwojga gości Lyn rzuciła Huntowi krótki uśmiech. Przebrała się w kostium z blade-pomarańczowym oblamowaniem i wysoko upięła włosy. Wcale nie wyglądała „nieświeżo”.

– Vic – odezwał się Caldwell chropawym bas-barytonem – chciałbym ci przedstawić Karen Heller z Departamentu Stanu z Waszyngtonu i Normana Pacey, doradcę prezydenta do spraw zagranicznych. – Wykonał zrezygnowany gest w stronę Hunta. – To doktor Vic Hunt. Wysłaliśmy go na Jowisza, żeby obejrzał pozostałości po wymarłej rasie, a on wrócił ze statkiem pełnym żywych obcych.

Wymienili uprzejmości. Goście wiedzieli o wyczynach Hunta, które szeroko opisywano. Vic dobrze pamiętał, rzeczywiście spotkał Karen Heller na przyjęciu w Zurychu, wydanym dla Ganimedejczyków jakieś sześć miesięcy temu. Oczywiście! Czy nie była wtedy ambasadorem USA we... Francji, prawda? Tak. Teraz jednak reprezentuje Stany Zjednoczone w ONZ. Norman Pacey, jak się okazało, również poznał paru Ganimedejczyków... w Waszyngtonie, ale Hunt nie uczestniczył w tym spotkaniu.

Victor zajął wolne miejsce przy końcu stołu, naprzeciwko biurka Caldwell, i patrzył na głowę szefa pokrytą sztywnymi, siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami. W tym czasie przełożony ze zmarszczonym czołem przyglądał się przez parę sekund swoim dłoniom, bębniąc palcami po blacie. Wreszcie podniósł grubo ciosaną, ozdobioną krzaczastymi brwiami twarz i spojrzał prosto na Hunta, który wcale nie oczekiwał wstępów.

– Wydarzyło się coś, o czym chciałem ci wcześniej powiedzieć, ale nie mogłem – odezwał się. – Jakies trzy tygodnie temu znowu zaczęły przychodzić sygnały z Gwiazdy Gigantów.

Hunt powinien być o tym poinformowany w pierwszej kolejności, teraz jednak poczuł zbyt duże zaskoczenie, by to roztrząsać. W miarę jak mijały miesiące od jedynej odpowiedzi na wieść przesłaną z krateru Giordano Brano po odlocie *Shapierona*, Victor coraz śmielej podejrzewał mistyfikację – ktoś z dostępem do sieci telekomunikacyjnej UNSA spreparował wiadomość i jakimś sposobem nadał ją z jednej z baz UNSA znajdującej się w odpowiednim punkcie przestrzeni. Hunt, mając otwarty umysł, przyznawał, iż wszystko jest możliwe, kiedy ma się do czynienia z wysoko rozwiniętą cywilizacją, ale w tej sytuacji sądził, że tylko czyjś figiel mógł sprawić, że odpowiedź na wysłany sygnał przyszła już po dwudziestu czterech godzinach. Obecnie podejrzenie takie stawało się mniej prawdopodobne, jeżeli Caldwell rzeczywiście miał rację.

– Jesteś pewien, że są autentyczne? – zapytał powątpiewająco, kiedy otrząsnął się z pierwszego szoku. – Czy to nie może być czyjś głupi żart?

Caldwell potrząsnął głową.

– Mamy obecnie dość danych, żeby namierzyć źródło metodą interferometryczną. Znajduje się ono daleko za Plutonem, a UNSA nie ma tam żadnych obiektów. Poza tym sprawdziliśmy każdy szczegół. Sygnały są autentyczne.

Hunt uniósł brwi i głęboko odetchnął. W porządku, więc tym razem się mylił. Przeniósł wzrok z Caldwell'a na notatki i papiery leżące na stole i zmarszczył czoło, gdyż przyszła mu do głowy nowa myśl. Podobnie jak wiadomość wysłana z niewidocznej strony Księżyca, odpowiedź z Gwiazdy Gigantów sformułowana była w starożytnym języku ganimedejskim oraz kodzie telekomunikacyjnym z czasów *Shapierona*. Po odlocie statku tekst przetłumaczył Don Maddson, szef sekcji lingwistycznej, mieszczącej się na niższym piętrze budynku. Don nauczył się ganimedejskiego w czasie pobytu obcych. Chociaż odpowiedź była krótka, jej przetłumaczenie wymagało znacznego wysiłku i Hunt nie znał nikogo innego, kto potrafiłby opracować przekazy, o których mówił Caldwell. Victor z reguły nie tracił czasu na protokoły i formalności, ale jeśli Maddson zajmował się tą sprawą, to on, Hunt, z pewnością musiałby o tym wiedzieć.

– Kto więc zrobił tłumaczenie? – zapytał podejrzliwie. – Lingwiści?

– Nie było takiej potrzeby – odparła Lyn. – Sygnały przekazano standardowym kodem telekomunikacyjnym. Są po angielsku.

Hunt przesunął się na krzesło i wytrzeszczył oczy. Jak na ironię, to definitywnie przesądzało, że cała sprawa nie była mistyfikacją. Kto przy zdrowych zmysłach podrabiałby przekazy od obcych, formułując je po angielsku? I wtedy go olśniło.

– Oczywiście! – wykrzyknął. – Musieli przechwycić *Shapierona*. Dobrze... – przerwał zaskoczony, gdy zobaczył, że Caldwell potrząsa głową.

– Z treści rozmów z ostatnich kilku tygodni wynika, że tak nie jest – oznajmił Caldwell. Popatrzył na Hunta poważnie. – Jeśli więc nie rozmawiali z Ganimedejczykami, którzy byli u nas, a znają nasz język i kody, co to oznacza?

Hunt spojrzał na pozostałych i przekonał się, że patrzą na niego wyczekująco. Zaczął więc myśleć intensywniej. Po chwili otworzył usta w nie ukrywany zdumieniu.

– Jezu! – wyszeptał.

– Właśnie – odezwał się Norman Pacey. – Cała ta planeta musi znajdować się pod obserwacją... i to od dłuższego czasu.

Przez moment Hunt był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Nic dziwnego, że zatajono całą sprawę.

– Przypuszczenie to potwierdza pierwszy z nowych komunikatów, które odebrano na Księżycu – podjął Caldwell. – Niedwuznacznie żąda się w nim, żeby żadnych danych dotyczących kontaktu nie przekazywać poprzez satelity telekomunikacyjne, lasery, łącza transmisyjne i inne elektroniczne nośniki informacji. Naukowcy z księżycowej bazy, którzy przejęli wiadomość, zastosowali się do tego zalecenia i przesłali informacje przez kuriera. W ten sam sposób powiadomiłem chłopaków z Bruno, żeby nadal zajmowali się sprawą, dopóki ktoś do nich nie przyleci.



– Co oznacza, że kontrola Ziemi odbywa się również przez podsłuch naszej sieci telekomunikacyjnej – wtrącił Pacey. – Oraz, że ktoś przysyła przekazy, a ktoś inny prowadzi obserwację. Obcy utrzymujący z nami kontakt nie chcą, żeby wiedzieli o tym tamci drudzy.

Hunt skinął głową na znak, że tyle sam zrozumiał.

– Niech dalej mówi Karen – powiedział Caldwell i popatrzył w jej stronę.

Karel Heller pochyliła się do przodu i lekko oparła łokcie na stole.

– Naukowcy z Bruno dość wcześnie ustalili, że istotnie nawiązali kontakt z cywilizacją ganimedejską pochodzącą od mieszkańców Minerwy – zaczęła starannie modulowanym głosem, który w naturalny sposób wznosił się i opadał, tak że przyjemnie się go słuchało. – Zamieszkuje ona planetę zwaną Thuriem w układzie Gwiazdy Gigantów lub inaczej „Gigagwiazdy”, używając przyjętego skrótu. W czasie gdy to wszystko miało miejsce, UNSA przedstawiła sprawę na forum ONZ w Waszyngtonie. – Przerwała i zerknęła na Hunta, ale ten nie miał żadnych pytań, więc mówiła dalej: – Utworzono specjalny zespół roboczy odpowiedzialny przed sekretarzem generalnym i w rezultacie wydano oświadczenie, że tego rodzaju kontakt jest przede wszystkim sprawą polityczną i dyplomatyczną. Podjęto decyzję, że dalsze rozmowy będzie prowadzić mała delegacja składająca się z przedstawicieli stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Dla zachowania tajemnicy postanowiono na razie nikogo innego nie informować ani nie angażować nowych podmiotów.

– Kiedy nadeszła decyzja, musiałem wszystko zachować dla siebie – wtrącił Caldwell, patrząc na Hunta. – To dlatego nie mogłem wcześniej nic ci powiedzieć.

Hunt skinął głową. Teraz, kiedy usłyszał wyjaśnienie, poczuł się nieco lepiej.

Nadal jednak wiele brakowało mu do szczęścia. Wyglądało na to, że cała historia spotkała się z typowo biurokratyczną reakcją. Podjęcie środków ostrożności było uzasadnione, ale na pewno przesadzono z tajnością. Świadomość, że ONZ trzymała wszystkich z dala od sprawy, z wyjątkiem garstki wybrańców, którzy prawdopodobnie mieli niewiele – jeśli w ogóle – do czynienia z Ganimedejczykami, była irytująca.

– Nie chcieli włączyć do tego nikogo? – zapytał z powątpiewaniem. – Nawet jednego naukowca... kogoś, kto zna Ganimedejczyków?

– Zwłaszcza naukowców – powiedział Caldwell, ale nie zamierzał dodać nic więcej. Cała sprawa zaczynała przedstawiać się bezsensownie.

– Jako stały członek Rady, Stany Zjednoczone otrzymały informację od ONZ i wymogły, by wprowadzić swoich przedstawicieli w skład delegacji – kontynuowała Heller. – Wyznaczono Normana oraz mnie i od tego momentu większość czasu spędziliśmy w bazie Giordano Bruno, uczestnicząc w rozmowach z Thuriemami.

– Chce pani powiedzieć, że wszystkim kieruje się stamtąd? – zapytał Hunt.

– Tak. Ściśle przestrzegamy zakazu korzystania z urządzeń elektronicznych. Osoby, które wtajemniczono w sprawę, są sprawdzone przez służbę bezpieczeństwa i godne zaufania.

– Rozumiem. – Hunt oparł się o poręcz krzesła i skrzyżował ręce przed sobą. Tajemniczość całej historii nie dawała mu spokoju, a na dodatek nie dowiedział się jeszcze, co Heller i Pacey robią w Houston. – Co się zatem wydarzyło? O czym rozmawialiście z Thurienami?

Heller gestem wskazała na teczkę z dokumentami, leżącą obok jej łokcia.

– To są kopie wszystkich otrzymanych i wysłanych przekazów – poinformowała. – Gregg ma pełen zestaw odbitek, a ponieważ pan, bez wątpienia, od tej pory zaangażuje się w sprawę, może je pan przeczytać. Podsumowując, w pierwszych przekazach Thurienowie prosili o informacje na temat *Shapierona* – jego stanu, samopoczucia załogi, pobytu na Ziemi. Kimkolwiek są ci, którzy przysłali pytania, wydają się zaniepokojeni... jak gdyby uważali, że stanowimy zagrożenie.

Heller umilkła, zauważywszy wyraz niezrozumienia na twarzy Hunta.

– Czy pani twierdzi, że oni nie wiedzieli o statku, dopóki nie wysłaliśmy pierwszego sygnału z Księżyca? – zapytał.

– Na to wygląda – odparła.

Hunt myślał przez chwilę.

– A zatem ci, którzy prowadzą obserwację, nie porozumiewają się z tymi, którzy z nami rozmawiają – zauważył.

– Właśnie – potwierdził Pacey, kiwając głową. – Ci, którzy prowadzą obserwację, nie mogliby nie wiedzieć o pobycie *Shapierona*, skoro mają dostęp do naszej sieci telekomunikacyjnej. Było dosyć wiadomości na ten temat.

– To nie jest jedyna dziwna rzecz w tym wszystkim – podjęła Heller. – Thurienowie, z którymi nawiązaliśmy łączność, stworzyli sobie zupełnie wypaczony obraz najnowszej historii Ziemi. Oni sądzą, że zmierzamy ku trzeciej wojnie światowej – tym razem międzyplanetarnej z orbitującymi bombami, miotaczami strumieni cząstek i promieniowania, sterowanymi z powierzchni Księżyca... może pan wymieniać dalej.

W głowie Hunta powstawał coraz większy mętlik. Zrozumiał teraz, że nie nawiązano kontaktu z *Shapieronem*... a na pewno nie uczynili tego Ganimedejczycy, którzy przysyłali przekazy. Załoga statku od razu wyjaśniłaby wszelkie nieporozumienia. Ale nawet jeśli Thurienowie nadający meldunki nie rozmawiali z *Shapieronem*, to posiadali pewne wyobrażenie o Ziemi, co znaczyło, że informacje mogli otrzymać jedynie od Thurienów prowadzących obserwację. Wyobrażenie to było mylne. A zatem albo inwigilacja okazała się niezbyt skuteczna, albo zniekształcono przekazywane wiadomości. Ponieważ jednak nadchodzące przekazy formułowano w języku angielskim, musiało to świadczyć o skuteczności metod obserwacyjnych, co z kolei oznaczało, że Thurienowie, którzy przekazywali wyniki swojej pracy, nie robili tego rzetelnie.

Lecz to również nie miało wiele sensu. Ganimedejczycy nie knuli makiawelicznych intryg ani nie potrafili oszukiwać. Byli na to zbyt rozsądni... oczywiście, jeżeli

Ganimedejczycy, którzy teraz żyli na Thurien, nie zmienili się znacząco w czasie dwudziestu pięciu milionów lat, jakie dzieliły ich od przodków z pokładu *Shapierona*. To była myśl. W tym czasie mogło zajść wiele zmian. Hunt stwierdził, że nie dojdzie teraz do żadnych ostatecznych wniosków, więc po prostu odsunął na bok usłyszane informacje z zamiarem przeanalizowania ich później.

– Zgoda, to wydaje się dziwne – przyznał, kiedy już wszystko ułożył sobie w głowie. – Muszą być teraz dość zdezorientowani.

– Byli już wcześniej – powiedział Caldwell. – Wznowili dialog, ponieważ chcą przylecieć na Ziemię... przypuszczam, że w celu wyjaśnienia całego zamieszania. To dlatego starają się, by ludzie z ONZ zorganizowali spotkanie.

– W tajemnicy – wyjaśnił Pacey w odpowiedzi na pytające spojrzenie Hunta. – Żadnych publicznych widowisk ani niczego w tym rodzaju. A ponadto mają, zdaje się, nadzieję na dyskretne sprawdzenie grupy obserwatorów.

Hunt skinął głową. Plan miał sens. W głosie Pacea usłyszał jednak pewną nutę, która zdawała się świadczyć, że nie wszystko idzie tak gładko.

– Na czym polega problem? – zapytał, przesuając spojrzenie z Pacea na Heller.

– Problemem jest polityka przyjęta przez najwyższe czynniki w ONZ – odparła Heller. – Mówiąc krótko, obawiają się kontaktu z rasą wyprzedzającą nas o miliony lat... cała nasza kultura zostanie wydarta z korzeniami, cywilizacja rozejdzie się w szwach, zaleją nas technologie, których nie będziemy w stanie wykorzystać... i tak dalej.

– Ależ to śmieszne! – zaprotestował Hunt. – Oni nie powiedzieli, że chcą zająć tę planetę. Pragną tylko przylecieć i porozmawiać. – Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – W porządku, zgadzam się, że musimy to rozegrać delikatnie, wykazać przezorność i zdrowy rozsądek, ale to, co pani opisuje, zakrawa na psychozę.

– To prawda – przyznała Heller. – ONZ reaguje irracjonalnie... trudno to inaczej określić. A delegacja wysłana na Księżyc realizuje tę politykę dosłownie, działając opieszale i stosując wymijającą taktykę. – Wskazała na teczkę z dokumentami. – Sam pan się przekona. Odpowiedzi są wykrętne, dwuznaczne i nie służą zmianie złego wyobrażenia, jakie mają o nas Thurienowie. Norma i ja próbowaliśmy z tym walczyć, ale nas przegłosowano.

Hunt rozglądając się po pokoju, rzucił spojrzenie Lyn. Odpowiedziała mu słabym uśmiechem i ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion, co miało świadczyć, że rozumie jego stan ducha. Pewna frakcja w ONZ z tego samego co teraz powodu usilnie walczyła o przerwanie dalszych transmisji z Księżyca po nadejściu pierwszej niespodziewanej odpowiedzi – przypomniał sobie – ale przegrała, kiedy środowiska naukowe z całego świata podniosły krzyk. Wyglądało na to, że ta sama frakcja znowu się uaktywniła.

– Najgorsze jest to, co – jak podejrzewamy – za tym się kryje – mówiła dalej Heller. – Departament Stanu zajął stanowisko, że należy w miarę rozwoju sytuacji zmierzać do rozszerzania kontaktów z Thurien, chroniąc jednocześnie interesy naszego kraju. Departament

nie zgadzał się z polityką wykluczania osób postronnych, ale musiał zastosować się do decyzji ONZ. Innymi słowy, USA starały się do tej pory grać uczciwie, choć wyrażały zastrzeżenia.

– Rozumiem – powiedział Hunt. – Z tego jednak wynika, że martwią was zbyt wolne postępy rozmów. Ale chyba coś się jeszcze za tym kryje.

– Istotnie – potwierdziła Heller. – Sowieci również mają swojego przedstawiciela w delegacji, człowieka o nazwisku Sobroskin. Biorąc pod uwagę sytuację na świecie – współzawodnictwo między nami i Sowiecami w takich sprawach, jak Pakt Południowoatlantycki, koncesje w Afryce, programy pomocy naukowej i tak dalej – przewaga zdobyta dzięki dostępowi do ganimedejskich technologii byłaby ogromna. Należałoby więc się spodziewać, że Sowieci będą równie niecierpliwi jak my, by nadać tej przeklętej delegacji trochę rozpędu. Nic podobnego. Sobroskin popiera oficjalną linię ONZ i nie skarży się. W rzeczywistości połowę czasu spędza na stwarzaniu komplikacji, które jeszcze bardziej opóźniają negocjacje. Więc o czym świadczą wszystkie te fakty?

Hunt przez chwilę myślał nad odpowiedzią, a potem rozłożył ręce.

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Nie jestem politykiem. Wy mi powiedzcie.

– To mogłoby znaczyć, że Sowieci planują otworzyć swój własny kanał łączności i zorganizować lądowanie na Syberii lub gdzieś indziej, żeby zdobyć wyłączne prawa – odpowiedział Pacey. – Jeśli tak, to linia ONZ bardzo by im odpowiadała. Skoro oficjalny kanał jest zatkany, a Stany Zjednoczone grają uczciwie i nie próbują go ominąć, to zgadnijcie, kto znajdzie żyłę złota. Pomyślcie, jak naruszyłyby to równowagę sił, gdyby głowy niektórych rządów na świecie dostały poufną informację, że Sowieci mają dostęp do mnóstwa technologii, których my nie mamy. Widzicie więc, że istnieje wytłumaczenie postępowania Sobroskina.

– A jeszcze bardziej zastanawia fakt, że obecne działania ONZ są korzystne właśnie dla nich – dodała Heller. – To mogłoby znaczyć, że Sowieci potrafią pociągać za sznurki na samym szczycie władz ONZ. Jeśli to prawda, globalne implikacje dla USA będą rzeczywiście poważne.

Fakty istotnie zaczynają układać się w pewną całość, przyznał Hunt w myślach. Sowieci mogliby z łatwością skonstruować na Syberii, na orbicie lub w pobliżu Księżyca własne urządzenie telekomunikacyjne długiego zasięgu i połączyć się z przekaźnikiem – czy cokolwiek by to było – który poza Układem Słonecznym przechwytywał sygnały z odwrotnej strony Księżyca. Zanim odpowiedź dotarłaby do Ziemi, miałyby już prawdopodobnie formę dość szerokiej wiązki, co znaczy, że każdy mógłby ją odebrać i zorientować się, iż ktoś prowadzi podwójną grę. Ale jeśli odpowiedzi byłyby zakodowane, nikt nie mógłby stwierdzić, dla kogo są przeznaczone. Można by oskarżyć Sowieców, ale w takim wypadku na pewno gwałtownie by zaprzeczyli... i nic więcej nie daliby się zrobić w tej sprawie.

Hunt pomyślał, że wreszcie zaczyna rozumieć, dlaczego go tu zaproszono. Heller zdradziła się już wcześniej, kiedy powiedziała, że Stany Zjednoczone starały się grać uczciwie „do tej pory”. Departament Stanu postanowił, że dla asekuracji musi mieć swoją własną linię łączności, której nie dałoby się wykryć w promieniu kilkuset tysięcy kilometrów od Ziemi. Do kogo innego więc mogli wysłać Heller i Pacey? Kto jeszcze wiedział tyle o Ganimedejczykach i ich technice, kto przyjmował ich na Ganimedesie?

Istniał jeszcze jeden powód. Hunt spędził wiele czasu na Ganimedesie i nadal miał wielu przyjaciół wśród personelu misji UNSA, Jowisz Cztery i Jowisz Pięć. Jowisz leżał daleko od Ziemi i żaden z odbiorców w jej pobliżu nigdy nie dowiedziałby się o wiązce wycelowanej w kierunku Jowisza z obrzeży Układu Słonecznego, niezależnie od jej odchylenia. I, oczywiście, statki dowodzenia, J4 i 75, miały stałe laserowe połączenie z Ziemią... które przez przypadek kontrolował Caldwell i Navcomms. Hunt doszedł do wniosku, że to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Podniósł wzrok na Caldwella, wytrzymał przez chwilę jego spojrzenie, a potem popatrzył na dwoje ludzi z Waszyngtonu.

– Chcecie otworzyć prywatny kanał łączności z Gwiazdą Gigantów via Jowisz i zorganizować lądowanie, zanim zdążą to zrobić Sowietci – stwierdził. – I chcecie wiedzieć, czy wymyślę jakiś sposób, by przekazać ludziom na Jowiszu, co mają dla nas zrobić, nie narażając się przy tym na zdemaskowanie przez Thuriarów, którzy, być może, mają na podsłuchu laserowe kanały łączności. Mam rację? – Z powrotem skierował wzrok na Caldwella i przechylił głowę. – Co dostanę, Gregg?

Heller i Pacey wymienili spojrzenia, które świadczyły o tym, że słowa Victora zrobiły odpowiednie wrażenie.

– Dziesięć na dziesięć możliwych – rzucił Caldwell.

– Dziewięć – poprawiła Heller. Hunt spojrzał na nią badawczo. Na jej twarzy czaił się cień uśmiechu. – Jeśli ma pan jakiś pomysł, to przyda się nam wkrótce każda pomoc – wyjaśniła. – ONZ mogło sobie postanowić, że zajmie się wszystkim bez ekspertów od spraw ganimedejskich, ale Stany Zjednoczone są innego zdania.

– Innymi słowy, witamy w zespole – zakończył Norman Pacey.

## Rozdział czwarty

Joseph B. Shannon, szef misji *Jowisz Pięc*, orbitującej cztery tysiące kilometrów nad powierzchnią Ganimedesa, stał przed tablicą przyrządów w centrum dowodzenia dwukilometrowego statku. Patrzył na duży ścienny ekran razem z grupą urzeczonych oficerów i naukowców UNSA. Na ekranie widniał krajobraz oranżów, żółci i brązów falujących pod czarnym niebem, przesłoniętym przez silną, rozżarzoną mżawkę, podczas gdy daleko na horyzoncie eksplodował wrzący, kolorowy słup, sięgający aż do górnego brzegu ekranu.

Minęły już pięćdziesiąt dwa lata od chwili – wtedy urodził się Shannon – kiedy inni naukowcy w laboratorium w Pasadenie podziwiali pierwsze zbliżenie Io, przesłane przez sondy *Voyager I* i *II*, i niezwykłą cętkowaną tarczę koloru pomarańczy nazwali „wielką pizzą na niebie”. Ale Shannon nigdy nie słyszał, żeby ktoś piekł pizzę w taki sposób.

Krążąc po orbicie w strumieniu plazmy o średniej energii cząsteczek odpowiadającej temperaturze sto tysięcy stopni Kelvina, podtrzymywanym przez pole magnetyczne Jowisza, satelita działał jak olbrzymi generator wytwarzający prąd o natężeniu pięciu milionów amperów i mocy tysięcy miliardów watów. Dokładnie taka sama ilość energii, uwalniana wewnątrz w postaci ciepła, pochodziła od tarcia pływowego spowodowanego przyciąganiem to na przemian przez Europę i Ganimedesa w polu grawitacyjnym Jowisza.

Ta ogromna ilość ciepła wytwarzanego elektrycznie i grawitacyjnie powodowała powstawanie pod powierzchnią Księżyca wielkich skupisk stopionej siarki i jej związków, które w końcu, przez różne szczeliny znajdowały ujście i eksplodowały w niemal całkowitą próżnię na zewnątrz. Rezultatem były regularne widowiskowe erupcje tężejącej siarki i zamrożonego dwutlenku węgla, wyrzucanych z szybkością tysięcy metrów na sekundę, nieraz na wysokość trzystu kilometrów lub więcej.

Shannon patrzył teraz na jeden z takich wulkanów, którego obraz przesyłała sonda z powierzchni Io. Ponad rok zabrało zespołowi inżynierów i naukowców zaprojektowanie instrumentów i ich osłon, które spełniłyby swoje zadanie w warunkach bezustannego bombardowania powierzchni Księżyca przez promieniowanie oraz strumienie elektronów i

jonów. Shannon czuł się w obowiązku osobiście obserwować ich końcowy sukces. Choć spodziewał się ciężkiej codziennej pracy, pokaz okazał się radosną uroczystością i przypomniał mu, że najwyżsi dowódcy często tracą kontakt z tym, co dzieje się w okopach. W przyszłości, pomyślał, zadba o to, by na bieżąco śledzić postępy prowadzonych prac naukowych.

Kiedy wypełnił już swój urzędowy obowiązek, został jeszcze przez godzinę w centrum dowodzenia, by omówić szczegóły eksperymentu, a później przeprosił obecnych i udał się do prywatnej kwatery. Wziął prysznic, przebrał się, usiadł za biurkiem, włączył terminal i poprosił o ostatnią pocztę. Znalazł wśród niej pisaną otwartym tekstem wiadomość od Vica Hunta z siedziby głównej Navcomms. Shannon był zarazem mile zaskoczony i zaintrygowany. W trakcie pobytu Hunta na Ganimesedzie przeprowadził z nim wiele ciekawych rozmów i nie uważał Victora za kogoś, kto ma dużo czasu na próżne gadanie. Zanosilo się więc na coś interesującego. Zaciekawiony, polecił wyświetlić przekaz od Hunta. Pięć minut później w dalszym ciągu wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w ekran. Wiadomość brzmiała:

*Joe*

*Aby uniknąć w tej kwestii dalszych łamigłówek, zajrzałem do książki, o której wspomniałeś, i przestudiowałem parę haseł ze stron 5, 24 i 10. Kiedy przeczytasz te fragmenty u dołu stron 11 i 20, zrozumiesz więcej.*

*Pozostaje dla mnie zagadką, w jaki sposób uzyskali 786.*

*Pozdrowienia*

*Vic*

Nic z tego nie rozumiał. Znał Hunta na tyle dobrze, by mieć pewność, że za listem kryje się coś ważnego. Doszedł więc do wniosku, że nadawca próbuje przekazać mu jakąś tajną wiadomość. Ale dlaczego Hunt zadawał sobie tyle trudu, skoro UNSA dysponuje doskonałym systemem bezpiecznych kodów? Z całą pewnością nikt nie mógł podłączyć się do sieci UNSA z zamiarem podsłuchu, nawet mając komputer o mocy wystarczającej do przełamania zabezpieczeń. Z drugiej strony, rozmyślał ponuro, dokładnie tak samo sądzili Niemcy w czasie drugiej wojny światowej, a Brytyjczycy ze swoją „maszyną Turinga” w Bletchley potrafili odczytywać wszystkie przekazy radiowe między Hitlerem i jego generałami, często nawet wcześniej niż właściwy adresat. Oczywiście, wiadomość Hunta byłaby niezrozumiała dla niepowołanej osoby, chociaż napisano ją po angielsku, przez co wydawała się jeszcze bardziej niewinna. Problem polegał na tym, że Shannon również nic nie rozumiał.

Dumał nad zagadką znowu następnego ranka, siedząc przy śniadaniu w jadalni dla starszych oficerów. Lubił jadać wcześniej, zanim pojawiali się kapitan, pierwszy oficer nawigacyjny i inni, którzy pełnili poranną służbę. Miał dzięki temu czas, by zebrać myśli

przed czekającym go dniem i zapoznać się z najnowszymi wydarzeniami opisanymi w „Dzienniku Międzyplanetarnym” – gazecie codziennej wysyłanej z Ziemi do statków i baz UNSA w całym Układzie Słonecznym. Lubił wstawać wcześniej również z innego powodu. Mógł wtedy rozwiązać krzyżówkę z „Dziennika”. Odkąd sięgał pamięcią, był krzyżówkowym maniakiem, swój nieuleczalny nałóg tłumaczył twierdzeniem, że poranne rozwiązywanie łamigłówek wyostrza umysł i przygotowuje do codziennych zadań. Nie był pewien, czy to prawda, ale nie przejmował się tym zbytnio... równie dobra wymówka jak inne. Tego ranka wiadomości nie przynosiły żadnej sensacji, ale Shannon z obowiązku przeczytał pobieżnie różne artykuły i z ulgą dotarł do strony z krzyżówką, akurat kiedy steward ponownie napełniał kawą jego filiżankę. Złożył gazetę na pół, potem jeszcze raz, oparł o brzeg stolika i rzucił okiem na hasła, jednocześnie szukając w kieszeni pióra. Nagłówek brzmiał: „Zagadka literowa «Dziennika Międzyplanetarnego» nr 786”.

Shannon zeszywniał z ręką w kieszeni marynarki, kiedy zobaczył numer. *Pozostaje dla mnie zagadką, w jaki sposób uzyskali 786* – stanęło mu przed oczami w jednej chwili. Do tego czasu każde słowo tajemniczego listu Hunta wryło mu się mocno w pamięć. „786” i „zagadka”... oba wyrazy w tym samym zdaniu. To, z pewnością, nie mógł być zbieg okoliczności. I wtedy przypomniał sobie, że w rzadkich momentach wolnego czasu Hunt z zapalem rozwiązywał krzyżówki. Pokazał nawet Shannonowi specjalne łamigłówki zamieszczane w londyńskim „Timesie” i razem spędzili wiele miłych godzin, rozwiązując je wspólnie w barze przy drinkach. Zdusił w sobie chęć zerwania się z krzesła z okrzykiem „Eureka!”, schował pióro do kieszeni i wyjął portfel z wetkniętą weń kopią listu. Wyciągnął świstek papieru, rozwinął go i wygładził na stoliku między gazetą a filiżanką kawy. Przeczytał tekst jeszcze raz i zdania nabrały całkiem nowego znaczenia.

Zaraz na początku widniało słowo „łamigłówek”, a nieco dalej „hasła”. Ich znaczenie stało się teraz oczywiste. Ale co z resztą? Nigdy nie wspominał Huntowi o żadnej książce, więc ten fragment musiał być pozbawiony istotnej treści. Liczby, które potem następowały, przypuszczalnie coś znaczyły. Shannon zmarszczył czoło i zaczął się usilnie wpatrywać w znaki: 5, 24, 10, 11 i 20... Kolejność ta w niczym mu się nie kojarzyła. Spróbował łączyć liczby na różne sposoby i do niczego nie doszedł, ale kiedy ponownie przeczytał list, mając na uwadze nowy kontekst, uderzył go zwrot, na który przedtem ledwo zwrócił uwagę: „... w dole...”, co w połączeniu z liczbami 11 i 20 wyraźnie kojarzyło się z krzyżówkami i oznaczało zapewne hasła pionowe, a zatem pozostałe liczby powinni odnosić się do haseł poziomych. Przypuszczalnie więc to, co Hunt chciał mu przekazać, zawarte było w rozwiązaniach haseł 5, 24 i 10 poziomo oraz 11 i 20 pionowo. To musiało być to.

Z rosnącym podnieceniem wrócił do „Dziennika”. W tym momencie w drzwiach jadalni pojawili się kapitan i pierwszy oficer, którzy rozmawiając śmiali się wesoło. Shannon wstał i jednym ruchem zgarnął gazetę. Kiedy tamci znajdowali się trzy kroki od stolika, minął ich i szybkim krokiem wymaszerował z sali, rzucając w przelocie krótkie „dzień dobry, panowie”.



Mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenie, obejrzeni się w stronę drzwi, za którymi zdążył już zniknąć szef misji, ponownie spojrzeli po sobie i wzruszywszy ramionami, usiedli przy pustym stoliku.

W zaciszu swojej kabiny Shannon zasiadł za biurkiem i znów rozłożył gazetę. Hasło brzmiało: „potrafiła to Enigma”. Wpisał „odszyfrować” i przeszedł do 24 poziomo. Jako odpowiedź na hasło „przewodnik kosmicznych szlaków” podał „radiolatarnia”. Następnie rozwiązał 10 poziomo: „komputerowa kartoteka”, czyli „zbiór danych”. Znalazł dwa ostatnie słowa – „układ” i „kłopoty”, a potem już spokojnie dokończył całą krzyżówkę. Ciekawe, że odpowiedź na pierwsze hasło poziomo – „rzeka w Irlandii” – brzmiała „Shannon”, co przypuszczalnie miało stanowić dodatkowe potwierdzenie, że trop jest trafny. Ułożył słowa w takiej kolejności numerów, jaką podał Hunt i przeczytał: Odszyfrować Radiolatarnia Zbiór danych Układ Kłopoty.

Rozparł się na krześle i przestudiował ostateczny rezultat, choć na razie nie wiedział wiele więcej niż na początku. Było jednak oczywiste, że ma to coś wspólnego z Ganimedejczykami, o czym świadczyło zaangażowanie Hunta.

Jakiś czas przed tym, gdy *Shapieron* wyłonił się z pustki kosmicznej i wylądował na Ganimesie, wyprawy UNSA badające satelity Jowisza odkryły wrak starożytnego ganimedejskiego statku sprzed dwudziestu pięciu milionów lat, zagrzebany pod lodową skorupą Księżyca. W trakcie eksperymentów z niektórymi urządzeniami wydobytymi z pojazdu Hunt i grupa inżynierów z Pithead – jednej z baz na powierzchni Ganimesa – zdolali uruchomić coś w rodzaju awaryjnego nadajnika, który wykorzystywał fale grawitacyjne, gdyż rodzaj napędu stosowany przez Ganimedejczyków wykluczał odbiór sygnałów elektromagnetycznych. Właśnie ten nadajnik po powrocie *Shapierona* do Układu Słonecznego sprowadził go na Ganimesa. Shannon przypomniał sobie, że proponowano wykorzystać to samo urządzenie, by przekazać na *Shapierona* niespodziewaną odpowiedź, która nadeszła z Gwiazdy Gigantów już po jego odlocie, ale Hunt miał podejrzenia, że przekaz jest mistyfikacją, i sprzeciwił się temu pomysłowi.

Właśnie to musiało oznaczać krzyżówkowe „kłopoty” i „radiolatarnia” w liście Vica. Czym więc były „zbiór danych” i „układ”, które miał „odszyfrować” Shannon? Ganimedejską radiolatarnię wysłano na Ziemię razem z wieloma innymi elementami. Najróżniejsze instytuty chciały jako pierwsze przeprowadzić próby zdobytych urządzeń, a prowadzący eksperymenty badacze zwykle nie omieszkali przesyłać swoich rezultatów zainteresowanym stronom na Jowisza. Shannon doszedł do wniosku, że Hunt zaszyfrował jakieś informacje i przesłał je pod postacią zwyczajnie wyglądających danych z przeprowadzonych eksperymentów. Musiały mieć związek z radiolatarnią i prawdopodobnie składały się z długiej listy liczb. Zajął się więc teraz zbiorem danych. Miał nadzieję, że przy bliższym zbadaniu sposób odczytania liczb stanie się jasny.

Jeśli tak, to jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli cokolwiek na temat niezwykłych zbiorów danych przychodzących z Ziemi, byli inżynierowie z Pithead, badający w swoim czasie radiolatarnię wydobytą spod lodu. Włączył terminal i poprosił o dostęp do akt personalnych Jowisza Pięć. Kilka minut później sprawdził, że inżynierem odpowiedzialnym za badania jest Kalifornijczyk o nazwisku Vincent Carizan, który dołączył do J5 z Działu Układów i Materiałów Napędowych UNSA, gdzie pracował przez dziesięć lat po uzyskaniu stopnia magistra elektroniki w Berkley.

W pierwszym momencie Shannon chciał zadzwonić do Pithead, ale po minucie namysłu zrezygnował z tego pomysłu. Jeśli Hunt zadał sobie tyle trudu, żeby nic nie dało się wywnioskować z jego listu nadanego za pośrednictwem sieci telekomunikacyjnej, należało się spodziewać wszystkiego. W dalszym ciągu zastanawiał się, co zrobić, kiedy rozległ się sygnał wywoławczy. Shannon włączył ekran i wcisnął klawisz. Odezwał się adiutant z centrum dowodzenia.

– Proszę wybaczyć, sir, ale ma pan w planie odprawę kontrolerów operacyjnych w G-327 za pięć minut. Ponieważ nikt pana nie widział od rana, pomyślałem, że może powinienem o tym przypomnieć.

– Ach tak... dzięki, Bob – odparł Shannon. – Coś mi wyskoczyło i myślę, że nie dam rady przyjść. Przepraszam ode mnie wszystkich, dobrze?

– Tak jest, sir.

– I jeszcze jedno, Bob... – Shannonowi raptem przyszła do głowy pewna myśl.

Adiutant miał już przerwać połączenie.

– Sir?

– Przyjdź zaraz, jak tylko skończysz. Chcę przesłać pewną wiadomość przez kuriera.

– Przez kuriera? – Bob wydawał się zaskoczony i zaintrygowany.

– Tak. Do jednego z inżynierów z Pithead. Nie mogę tego teraz wyjaśnić, ale sprawa jest pilna. Jeśli nie będziesz tracił czasu, powinieneś zdążyć na wahadłowiec do Main o dziewiątej. Zapieczętuję list i będę tu na ciebie czekał. Potraktuj to jako sprawę najwyższej wagi.

Twarz adiutanta natychmiast spoważniała.

– Zaraz będę – powiedział i ekran zgasł.

Tuż przed obiadem Shannon otrzymał wiadomość z Pithead, że Carizan znajduje się w drodze na Jowisza Pięć przez bazę Main na Ganimesedzie. Carizan przywiózł ze sobą druk danych, które przypuszczalnie odnosiły się do badań nad ganimesedzką radiolatarnią i pojawiły się w komputerach w Pithead po przesłaniu z Ziemi akurat tego rana. Zaintrygowały inżynierów z bazy, ponieważ nie nosiły kolejnego numeru, a zawarte w nich adnotacje nie pasowały do przyjętego systemu indeksacji bazy danych. Poza tym nikt nic nie wiedział na temat badań wymienionych w nagłówkach.

Jak przewidział Shannon, zbiór zawierał tylko liczby – wiele grup, z których każda składała się z długiej listy par liczbowych. Było to typowe sprawozdanie podające odczyty wzajemnie zależnych zmiennych i ktoś, kto nie miał powodu nic podejrzewać, przyjąłby je za dobrą monetę. Shannon wezwał do siebie mały zespół zaufanych specjalistów, którzy w krótkim czasie wydedukowali, że grupy par liczbowych stanowią zbiór punktów o współrzędnych x-y i tworzą macierz o 256 wierszach i 256 kolumnach; właśnie o taki układ chodziło w rozwiązaniu krzyżówki. Gdy punkty naniesiono na ekran komputera, powstały złożone z kropek wzory, które wyglądały jak wykresy funkcji liniowych, przedstawiające statystyczny rozrzut wyników testów. Kiedy jednak wzory nałożono na siebie, utworzyły rzędy słów idących ukośnie przez ekran. Słowa te układały się w napisany po angielsku przekaz. Zawierał on odnośniki do innych zbiorów liczb – również przesłanych z Ziemi – które podawały sposób odczytania wiadomości. Gdy to zrobiono, uzyskane informacje okazały się fantastyczne.

Był to zestaw szczegółowych instrukcji dla Jowisza Pięć, dotyczących przesłania długiej sekwencji ganimadejskich kodów łącznościowych nie do sieci UNSA, lecz do miejsca leżącego poza obrębem Układu Słonecznego. Instrukcje mówiły, żeby otrzymane stamtąd odpowiedzi zamaskować pod postacią wyników eksperymentów w znany już sposób i przekazać do Navcomms przez łącze laserowe.

Shannon był zmęczony i miał oczy zaczerwienione z braku snu, kiedy wreszcie usiadł przed terminalem w swojej kabinie i ułożył wiadomość adresowaną do doktora Victora Hunta w siedzibie głównej Navcomms w Houston. Brzmiała ona:

*Vic,*

*Rozmawiałem z Vincem Carizanem i wszystko stało się jaśniejsze.*

*Przeprowadzamy badania, o które prosiłeś, i jeśli pojawi się coś nowego, od razu prześlę ci wyniki.*

*Wszystkiego najlepszego*

*Joe*

## Rozdział piąty

Hunt rozsiadł się w fotelu pilota i nieobecny wzrokiem patrzył w dół na miniaturowe przedmięcia Houston, podczas gdy pojazd z cichym warkotem sunął w powietrzu, naprowadzany z dołu przerywaną wiązką sygnałów. Interesujące, pomyślał Vic, że ruch samochodów, które zgodnie płynęły, ruszały, zwalniały i przyspieszały na szosach w dole, przypominał wielką, rozpisaną na instrumenty partyturę, jak gdyby wszystkie auta stanowiły fragmenty jakiegoś niewyobrażalnie złożonego utworu skomponowanego przez kosmicznego Bacha. Było to jednak złudzenie. Każdy pojazd miał zaprogramowany jedynie cel podróży oraz kilka stosunkowo prostych instrukcji dotyczących poruszania się po drodze. Złożoność wynikała z dużej ich liczby i wzajemnych oddziaływań w ściśle określonym otoczeniu. Podobnie wygląda życie, skonstatował Victor. Wszystkie magiczne, mistyczne i nadprzyrodzone siły, do których przez wieki odwoływano się dla wyjaśnienia różnych rzeczy, istniały tylko w umysłach zdeorientowanych obserwatorów, a nie w obserwowanym wszechświecie. Zastanawiał się, ile nie wykorzystanych ludzkich talentów zmarnowało się w daremnej pogoni za wytworami wyobraźni. Ganimedejczycy nie oddawali się podobnym złudzeniom, lecz pilnie starali się poznać i opanować wszechświat takim, jaki był, a nie jakim się wydawał lub jakim chcieliby go widzieć. Może właśnie dlatego dotarli do gwiazd.

Na sąsiednim siedzeniu Lyn spojrzała znad rozwiązywanej krzyżówki z „Dziennika Międzyplanetarnego” sprzed kilku dni.

– Co to może być: „dzieło muzycznych glonów”?

– Ile liter? – zapytał Hunt po chwili namysłu.

– Osiem.

Popatrzył ze zmarszczonym czołem na pulpit sterowniczy z wyświetlonymi aktualnymi odczytami stanu urządzeń pokładowych.

– Algorytm – odpowiedział po następnej chwili. Lyn uśmiechnęła się lekko.

– Aha, rozumiem. Sprytne.

– Właśnie.

– Pasuje. – Wpisała słowo do gazety, którą trzymała na kolanach. – Jestem zadowolona, że Joe Shannon nie miał z tym problemów.

– Ja również.

Potwierdzenie od Shannona, że zrozumiał list, przyszło dwa dni temu. Pomysł zaszyfrowania wiadomości wpadł do głowy Huntowi i Lyn pewnego wieczoru, kiedy w jej mieszkaniu rozwiązywali jedną z łamigłówek z londyńskiego „Timesa”. Don Maddson, lingwista z Navcomms, który studiował język ganimedejski, regularnie rozwiązywał krzyżówki z „Dziennika” i był bliskim przyjacielem Victora. Tak więc, z błogosławieństwem Caldwell, Hunt powiedział Maddsonowi o sprawie związanej z Gwiazdą Gigantów tyle, ile było konieczne, i wspólnie ułożyli tekst przesłany później na Jowisza. Teraz pozostawało tylko czekać i liczyć na to, że ich posunięcie przyniesie efekty.

– Miejmy nadzieję, że prawo Murphy’ego nie zadziała tym razem – powiedziała Lyn.

– Nie łudź się. Miejmy natomiast nadzieję, że ktoś pamięta uzupełnienie Hunta do tego prawa.

– A jakie to uzupełnienie?

– Wszystko, co może się nie udać, nie uda się... chyba że ktoś weźmie sprawę w swoje ręce.

Szczątkowe skrzydło za oknem przechyliło się, kiedy pojazd skręcił z korytarza powietrznego i zaczął podchodzić do lądowania. Grupa dużych, białych budynków, stojących na brzegu rzeki jakiś kilometr dalej, zakreśliła koło, znowu pojawiła się przed wiatrochronem i znieruchomiała.

– Musiał być agentem ubezpieczeniowym – mruknął Hunt po krótkim milczeniu.

– Kto?

– Murphy. „Wszystko pójdzie źle... podpisz polisę teraz”. Kto inny, jak nie agent ubezpieczeniowy, wymyśliłby coś takiego?

Budynki przed nimi urosły, przybierając czyste zarysy Instytutu Biologii Wydziału Nauk o Życiu UNSA w Westwood. Pojazd zwolnił i zawisł sto metrów nad dachem budynku Biochemii, który razem z siedzibami Instytutu Neurofizjologii i Psychologii stanowił kompleks ustawiony frontem do podłużnego gmachu administracji po przeciwnej stronie placu wyłożonego kolorową mozaiką i poprzecinanego trawnikami i fontannami tryskającymi w słońcu. Hunt obejrzał teren lądowania, a następnie włączył komputer, by zakończyć manewr. Parę minut później on i Lyn stali w pokoju przyjęć na najwyższym piętrze.

– Profesora Dancheckera nie ma w biurze – poinformowała ich recepcjonistka, spojrzawszy przedtem na ekran. – Kod obiegowy wprowadzony przy jego numerze wskazuje na jedno z podziemnych laboratoriów. Zaraz sprawdzę.

Wcisnęła klawisz i po chwili zamiast napisów pojawiła się na ekranie barwna plama, która zaraz się rozplynęła, ukazując szczupłego, łysiejącego mężczyznę w anachronicznych okularach ze złotymi oprawkami, tkwiących na czubku wąskiego, orlego nosa. Skóra

sprawiała wrażenie, jakby z ogromnym trudem naciągnięto ją na kości, tak że ledwo starczyło jej na pokrycie wyzywająco wysuniętego do przodu podbródka. Mężczyzna nie wyglądał na zbyt zadowolonego, że mu przerwano.

– Tak?

– Profesorze Danchecker, tu recepcja. Mam dwoje gości do pana.

– Jestem bardzo zajęty – odpowiedział szorstko. – Kim są i czego chcą?

Hunt westchnął i odwrócił ekran do siebie.

– To my, Chris – Vic i Lyn. Oczekujesz nas.

Twarz Dancheckera złagodniała, a usta zacisnęły się w wąską kreskę, której końce na moment wygięły się ku górze.

– Ach, oczywiście. Przepraszam. Chodźcie na dół. Jestem w laboratorium sekcyjnym na poziomie E.

– Pracujesz sam? – zapytał Hunt.

– Tak. Możemy porozmawiać tutaj.

Poszli do windy w głębi korytarza.

– Chris pewnie znowu pracuje ze zwierzętami – zauważyła Lyn, kiedy czekali.

– Nie sądzę, żeby wychodził na powietrze, odkąd wróciliśmy z Ganimedesu – powiedział Hunt. – Jestem zaskoczony, że nie upodobił się do żadnego z nich.

Danchecker był z Huntem na Ganimedesie, kiedy *Shapieron* pojawił się w Układzie Słonecznym, i to właśnie on w dużym stopniu przyczynił się do zrekonstruowania chyba najbardziej zdumiewającego fragmentu całej historii, której sensacyjnych szczegółów w większości jeszcze nie przekazano niczego nie podejrzewającemu i psychicznie nie przygotowanemu światu.

Nie było nic dziwnego w tym, że Ganimedejczycy składali na Ziemi wizyty w czasie, gdy ich cywilizacja kwitła na Minerwie, czyli dwadzieścia pięć milionów lat temu. Ich naukowcy przewidzieli, że nadejdzie epoka, kiedy pogorszą się warunki życia na planecie, że nastąpi w atmosferze wzrost stężenia dwutlenku węgla, na który mieli wrodzoną niską tolerancję, toteż jednym z powodów ich zainteresowania Ziemią była możliwość jej zasiedlenia. Szybko jednak porzucili ten pomysł. Ganimedejczycy pochodzili od przodków, których metabolizm wykluczał mięsożerność, a co za tym idzie, również agresywność, bezwzględność i większość cech niezbędnych do walki o przetrwanie. Barbarzyństwo, które zapanowało na Ziemi w okresie późnego oligocenu i wczesnego miocenu, uczyniło ją zbyt niegościnną dla łagodnych Ganimedejczyków i uniemożliwiło im osiedlenie się na niej.

Wizyty na Ziemi miały jednak, oprócz zaspokojenia naukowej ciekawości Ganimedejczyków, jeden praktyczny skutek. W trakcie badań nad zastanymi formami życia zwierzęcego odkryli oni zupełnie nowy mechanizm absorbowania CO<sub>2</sub>, dający ziemskiej faunie znacznie większą, genetycznie warunkowaną tolerancję. Podsuwał on alternatywny sposób rozwiązania problemu Minerwy. Ganimedejczycy sprowadzili na swoją planetę wiele

różnych gatunków ziemskich zwierząt, żeby przeprowadzić genetyczne eksperymenty mające na celu przeszczepienie własnym gatunkom genów kodujących określone funkcje, które miały zostać przekazane potomkom. Parę dobrze zachowanych okazów tych ziemskich zwierząt znaleziono we wraku z Ganimedesa, a Danchecker przywiózł część z nich do Westwood, żeby przeprowadzić szczegółowe badania.

Eksperymenty nie udały się i wkrótce Ganimedejczycy zniknęli. Ziemskie gatunki pozostawione na Minerwie szybko wyparły niemal bezbronną miejscową faunę, przystosowały się do nowych warunków, rozeszły po całej planecie i ewoluowały...

Prawie dwadzieścia pięć milionów lat później – około pięćdziesięciu tysięcy lat przed obecnym okresem na Ziemi – Minerwę zasiedlał inteligentny, w pełni ludzki gatunek. Istoty te nazwano Lunarianami, gdyż pierwsze ślady ich istnienia odkryto w trakcie wypraw księżycowych, podejmowanych w dwutysięcznym dwudziestym ósmym roku, w tym samym czasie, kiedy Hunt przeniósł się z Anglii, żeby podjąć pracę w UNSA. Lunarianie byli gwałtowną i wojowniczą rasą. Szybko rozwinęli technikę i w końcu podzielili się na dwa mocarstwa, Cerios i Lambię, które zaczęły toczyć ze sobą zaciętą, totalną wojnę na całej planecie i poza nią. Gwałtowność tego konfliktu doprowadziła do zniszczenia Minerwy, narodzin Plutona i asteroidów oraz osierocenia Księżyca.

Na Księżycu znalazła się garstka tych, którzy przeżyli. Kiedy wreszcie satelita przechwycony przez Ziemię ustabilizował się na orbicie wokół niej, uratowanym udało się jakoś dotrzeć do jedyne go schronienia w całym Układzie Słonecznym – na powierzchnię Ziemi. Przez tysiąclecia groziło im wymarcie. Na pewien czas wrócili do barbarzyństwa, zapominając o swoich korzeniach. W porę jednak umocnili się i rozpoczęli ekspansję. Wyparli neandertalczyków, pochodzących od naczelných, które spokojnie ewoluowały na Ziemi. W końcu opanowali całą planetę jako ludzie współcześni. Dopiero znacznie później, kiedy na nowo odkryli naukę i ruszyli w kosmos, znaleźli ślady pozwalające im zrekonstruować historię własnego pochodzenia.

Vic i Lyn zastali Dancheckera w poplamionym białym fartuchu laboratoryjnym. Mierzył i badał duże, brązowe, pokryte futrem zwierzęce ciało leżące na stole sekcyjnym. Było potężnie umięśnione, a w miejscu, skąd usunięto żuchwę, widniały mocne, przerażające zęby istoty mięsożernej. Danchecker poinformował przybyłych, że jest to ciekawy okaz pokrewny *Daphoenodonowi* z dolnego miocenu. Pomimo wyraźnie palchochodnego sposobu poruszania się, stosunkowo długich nóg i ciężkiego ogona, na podstawie trzech górnych trzonowców można było zaklasyfikować zwierzę jako przodka *Amphicyona*, a zatem wszystkich współczesnych niedźwiedzi... w przeciwieństwie do *Cynodesmusa*, którego okaz Danchecker także miał i który z powodu dwóch górnych zębów trzonowych stanowił ogniwo pośrednie między *Cynodictisem* a współczesnymi *Canidae*. Goście uwierzyli mu na słowo.

Hunt wymusił na Caldwellu obietnicę, że jeśli uda się doprowadzić do lądowania thurieńskiego statku, Danchecker znajdzie się w komitecie powitalnym; prawdopodobnie wiedział o ganimedejskiej biologii i psychologii więcej niż ktokolwiek inny ze światowej społeczności naukowców. Caldwell poruszył ten temat w poufnej rozmowie z dyrektorem Instytutu Westwood, a tamten zgodził się i powiadomił Dancheckera, którego nie trzeba było długo namawiać. Niezbyt mu się jednak podobał sposób, w jaki ważne osobistości odpowiedzialne za kierowanie sprawami Ziemi, brały się do tego zadania.

– Cała ta sytuacja jest niedorzeczna – oświadczył zirytowany Danchecker, wkładając używane instrumenty do sterylizatora. – Polityka, wyreżyserowane przedstawienia... Pojawiła się niesłychana okazja, by dokonać postępu w nauce i prawdopodobnie uczynić ogromny krok naprzód w rozwoju całej ludzkiej rasy, a tymczasem mamy tu jakieś intrygi i spiski, jakby chodziło o zakazane narkotyki czy coś w tym rodzaju. Dobry Boże, nie możemy nawet porozmawiać o tym przez telefon! Sytuacja jest nie do zniesienia.

Lyn wyprostowała się znad stołu sekcyjnego, gdzie z ciekawością przyglądała się wnętrznościom *Daphoenodona*.

– Sądzę, że ONZ uważa na swój obowiązek chronienie ludzkości – stwierdziła. – To jest kontakt z zupełnie nową cywilizacją i ludzie z organizacji są przekonani, że powinni się tym zająć profesjonaliści.

Danchecker z trzaskiem zamknął sterylizator i podszedł do umywalki, żeby opłukać ręce.

– Kiedy *Shapieron* przybył na Ganimedesa, jedynymi przedstawicielami Homo sapiens byli, o ile pamiętam, naukowcy i inżynierowie z misji Jowisz – zauważył zimno. – Zachowywali się wzorowo i nawiązali cywilizowane stosunki z Ganimedejczykami, zanim statek dotarł na Ziemię. Obyło się bez „profesjonalistów”. Z Ziemi nadeszła jedynie idiotyczna rada co do dalszego postępowania, którą wszyscy tam wyśmiali i zignorowali.

Hunt poruszył się na krześle przy biurku, które stało w rogu laboratorium, niemal całe otoczone sprzętem komputerowym i ekranami.

– Pewna rzecz przemawia jednak za polityką ONZ – powiedział. – Chyba nie zastanawiałeś się jeszcze, jak wielkie ryzyko podejmujemy.

Danchecker prychnął, obchodząc stół.

– Co masz na myśli?

– Gdyby Departament Stanu nie uważał, że jeśli sami nie poprowadzimy tego i nie zorganizujemy lądowania, zrobią to Sowieci, my również bylibyśmy ostrożniejsi – oświadczył Hunt.

– Nie rozumiem – odparł Danchecker. – Dlaczego mamy być ostrożni? Ganimedejski umysł nie jest w stanie uknuć niczego, co by zagrażało nam lub komukolwiek innemu, i dobrze o tym wiesz. Po prostu ukształtowały go inne czynniki; nie te, które sprawiły, że Homo sapiens jest taki, jaki jest. – Machnął ręką, zanim Hunt zdołał odpowiedzieć. – A jeśli chodzi o twoje obawy, że Thurienowie mogli zmienić się w istotny sposób, to zapomnij o



nich. Podstawowe cechy determinujące ludzkie zachowanie wykształciły się nie dziesiątki, lecz setki milionów lat temu. Na tyle dokładnie przestudiowałem minerwejską ewolucję, by z całym przekonaniem stwierdzić, że to samo dotyczy Ganimedejczyków. W takiej skali czasowej dwadzieścia pięć milionów lat jest bez znaczenia i nie wystarczy do powstania zmian, które sugerujesz.

– Wiem – powiedział Hunt, gdy udało mu się dojść do słowa. – Ale zmieniłeś temat. Nie na tym polega problem. Chodzi o to, że nie mamy pewności, czy rozmawiamy z Ganimedejczykami.

Danchecker przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, a potem zmarszczył czoło, jakby Hunt powiedział jakieś głupstwo.

– To absurd – oświadczył. – A z kim mielibyśmy rozmawiać? Pierwszy przekaz z Księżyca nadano ganimedejskim kodem telekomunikacyjnym i został zrozumiany, nieprawdaż? Z jakiego powodu mielibyśmy przypuszczać, że odebrał go ktoś inny?

– Bo ten ktoś mówi teraz po angielsku i nie jest to transmisja z Londynu – odparł Hunt.

– Ale sygnały przychodzą z Gigagwiazdy – upierał się Danchecker. – Czyż nie udało nam się wydedukować na podstawie niezależnie uzyskanych dowodów, że właśnie tam przenieśli się Ganimedejczycy?

– Nie wiemy, czy sygnały pochodzą z Gwiazdy Gigantów – zauważył Hunt. – Wysyłający je twierdzą, że tak, ale mówili też wiele dziwnych rzeczy. Nadajemy nasze wiązki w kierunku Gigagwiazdy, ale nie mamy pojęcia, co je przechwytuje poza obrębem Układu Słonecznego. Może się tam znajdować jakiś ganimedejski przekaźnik, który przekształca nieznane naszej fizyce sygnały w fale elektromagnetyczne, ale wcale tak nie musi być.

– To przecież oczywiste – stwierdził Danchecker lekko protekcyjnym tonem. – Kiedy Ganimedejczycy przynosili się do układu Gigagwiazdy, zostawili coś w rodzaju urządzenia monitorującego, które prawdopodobnie miało wykrywać oznaki obcej inteligentnej działalności i ich ostrzegać.

Hunt potrząsnął głową.

– Gdyby o to chodziło, urządzenie uaktywniłoby się ponad sto lat temu, kiedy wysłano pierwsze sygnały radiowe. Do tej pory już byśmy o nim wiedzieli.

Danchecker zastanawiał się przez chwilę, a potem wyszczerzył zęby.

– To tylko potwierdza mój pogląd. Urządzenie odpowiedziało dopiero na ganimedejskie kody. Nigdy przedtem nie wysyłaliśmy zaszyfrowanych po ganimedejsku wiadomości, nieprawdaż? I dlatego urządzenie musi być ganimedejskiego pochodzenia.

– A teraz przemawia po angielsku. Czy to znaczy, że skonstruował je Boeing?

– Języka nauczyli się prowadząc obserwacje.

– Może w taki sam sposób nauczyli się ganimedejskiego.

– Absurd.

Hunt rozłożył ręce w błagalnym geście.

– Na litość boską, Chris, pragnę tylko zachować bezstronność i nie zapominać, że możemy wpakować się w coś, czego się nie spodziewamy. Twierdzisz, że to muszą być Ganimedejczycy i prawdopodobnie masz rację. Ja natomiast biorę pod uwagę możliwość, że nimi nie są. Tylko o to mi chodziło.

– Sam powiedziałeś, że Ganimedejczycy nie bawią się w podchody i nie przekręcają faktów, profesorze – wtrąciła Lyn tonem, który miał załagodzić sytuację. – Ale kimkolwiek są tamci, mają zabawne sposoby nawiązywania stosunków międzyplanetarnych... Mają również dość dziwaczne poglądy na temat obecnej sytuacji na Ziemi. Wniosek z tego, że ktoś komuś nie mówi prawdy. Nie pasuje to do Ganimedejczyków, prawda?

Danchecker prychnął, ale poczuł się zmuszony do odpowiedzi. Wybawił go sygnał z terminala.

– Przepraszam – mruknął i sięgnął nad Huntem do klawisza. – Tak? – zapytał.

Telefonowała Ginny z siedziby Navcomms.

– Zdaje się, że jest u pana doktor Hunt. Mam dla niego pilną wiadomość. Gregg Caldwell kazał go odszukać i natychmiast zawiadomić.

Danchecker cofnął się o krok i Hunt przysunął się z fotelem do ekranu.

– Cześć, Ginny – odezwał się. – Co nowego?

– Przyszła do pana wiadomość z Jowisza Pięc. – Spojrzała w dół na kartkę poza ekranem. – To od szefa misji, Josepha B. Shannona. Brzmi ona: „Przeprowadzono testy laboratoryjne, tak jak chciałeś. Kompletny zestaw wyników prześlemy wkrótce. Powodzenia”. – Ginny podniosła wzrok. – Czy to właśnie chciał pan wiedzieć?

Twarz Hunta jaśniała triumfem.

– Dokładnie, Ginny! – zawołał. – Dzięki, stokrotne.

Ginny kiwnęła głową i przesłała uśmiech. Ekran ściemniał.

Hunt obrócił się z fotelem i zobaczył przed sobą dwie zaciekawione twarze.

– Chyba możemy zaprzestać kłótni – oznajmił. – Wygląda na to, że wszystko wyjaśni się niedługo.

## Rozdział szósty

Czasza radioteleskopu w kraterze Giordano Bruno wyglądała jak gigantyczne oko Cyklopa – paraboliczna stalowa kratownica o średnicy stu dwudziestu metrów, wznosząca się ku wygwieżdżonej czerni nad pozbawionym życia pustkowiem odwrotnej strony Księżyca. Podtrzymywały ją bliźniacze kratowe wieże, poruszające się naprzeciwko siebie po kołowym torze, który stanowił najbardziej charakterystyczną cechę obserwatorium i bazy. Kiedy tak stała nieruchomo, wsłuchując się w szepty z odległych galaktyk, jej długi cień kładł się jak wykrzywiona sieć na kopułach i mniejszych budowlach stłoczonych wokół niej, opadał na drugą stronę, gdzie stawał się niewyraźny i w końcu ginał wśród głązów i kraterów.

Karen Heller patrzyła na ten widok zza przezroczystej ściany wieży obserwatorium, wyrastającej z dachu dwupiętrowego głównego bloku. Przyszła tutaj, żeby pobyć trochę w samotności i dojsć do siebie po kolejnej zażartej dyskusji jedenastoosobowej delegacji ONZ. Spotkanie znowu do niczego nie doprowadziło. Ostatnio członkowie grupy zaczęli się obawiać, że sygnały wcale nie pochodzą od Ganimedejczyków. Była to wina Heller, gdyż źle przedstawiła myśl, którą tydzień temu w Houston wyraził Hunt. Do tej pory zastanawiała się, po co w ogóle wspominała o takiej możliwości, która niestety stała się kolejnym pretekstem do odwlekania sprawy. Jak później Karen skomentowała sytuację zaskoczonemu Normanowi Paceyowi, była to nieudana próba zastosowania taktyki wstrząsowej i wymuszenia pozytywnej reakcji. Niestety, nie powiodła się. Może z powodu zawiedzionych nadziei Heller nie myślała w tym momencie zbyt jasno. Tak czy inaczej, stało się i ostatnia transmisja w kierunku Gwiazdy Gigantów nie przewidywała możliwości lądowania obcych w najbliższej przyszłości, zawierała natomiast mało istotne szczegóły związane z protokołem. Jak na ironię, już samo to powinno pokazać, że odbiorcy przekazów – Ganimedejczycy czy też nie – nie żywią wrogich zamiarów; gdyby było inaczej, z pewnością dawno by już przybyli – jeśli tego rzeczywiście chcieli – nie czekając na serdeczne zaproszenie. Polityka ONZ stawała się przez to jeszcze bardziej zagadkowa i umacniała Heller oraz Departament Stanu w podejrzeniach, że Sowieci szykują się do przejęcia sprawy w swoje ręce i manipulują organizacją. Mimo to Stany Zjednoczone zamierzały stosować się do ustalonych reguł, dopóki ludziom z Houston

nie uda się otworzyć własnego kanału łączności za pośrednictwem Jowisza... ale zakładali, że im się uda. Gdyby tak się stało, a wysiłki zmierzające do przyspieszenia biegu rzeczy nie przyniosły do tego czasu owoców, Stany Zjednoczone czułyby się uprawnione do twierdzenia, że zmuszono je do działania na własną rękę.

Kiedy Karen tak patrzyła na linie wyryte na czarnym niebie przez promienie zachodzącego słońca, podziwiała wiedzę oraz pomysłowość, które stworzyły oazę życia na sterylnej pustyni, czterysta tysięcy kilometrów od Ziemi, i pozwoliły zbudować urządzenie nieustannie przeczesujące w ciszy otchłanie kosmosu. Jeden z naukowych doradców z NSF powiedział jej kiedyś, że cała energia zbierana przez wszystkie radioteleskopy świata od początku istnienia tej dziedziny nauki, czyli od prawie stulecia, odpowiadała energii popiołu z papierosa, spadającego z wysokości paru metrów. A cały fantastyczny obraz nakreślony przez współczesną kosmologię – kolapsujących gwiazd, czarnych dziur, kwazarów, wszechświata składającego się z „gazu” galaktycznych „molekuł” – został stworzony na podstawie zawartych w tej energii informacji.

Heller miała ambiwalentny stosunek do naukowców. Z jednej strony, ich intelektualne dokonania zaskakiwały, a czasami wzbudzały strach; z drugiej jednak, często wyczuwała, że usuwanie się do świata rzeczy nieożywionych stanowi rezygnację... ucieczkę od trudności świata ludzkich spraw, w którym wiedza nabiera znaczenia. Nawet biologowie zdawali się redukować życie do molekuł i statystyki. Nauka już sto lat temu stworzyła narzędzia do rozwiązywania ludzkich problemów, ale pozostała bezradna, gdy inni zagarnęli te narzędzia i wykorzystali do swoich celów. Dopiero w dwutysięcznym dziesiątym roku, kiedy ONZ stała się światową siłą, z którą należało się liczyć, nastąpiło rozbicie strategiczne, a zasoby mocarstw przeznaczono wreszcie na zbudowanie bezpieczniejszego i lepszego świata.

Tym bardziej tragiczne i niewytłumaczalne było to, że ONZ – do niedawna synonim postępu i zaangażowania w pełne wykorzystanie potencjału ludzkiej rasy – miała stać się przeszkodą na drodze prowadzącej do postępu. Czyżby miało się potwierdzić prawo historii, że ruchy społeczne i imperia przestają poszukiwać nowych rozwiązań w momencie, gdy zrealizują pragnienia, które wywołały potrzebę dokonania zmian? Może, zastanawiała się, ONZ już zaczynała, zgodnie z coraz szybszym tempem czasów, wykazywać starczy symptom wszystkich imperiów – stagnację.

Planety nadal poruszały się po swoich stałych orbitach, nie zmieniały się modele tworzone przez komputery podłączone do urządzeń w kraterze Giordano Bruno. Czy zatem jej „rzeczywistość” była iluzją, konstrukcją zbudowaną na ruchomych piaskach, a naukowcy wyrzekli się tej iluzji dla innej, niezmiennej rzeczywistości, będącej jedyną trwałą rzeczą, która się liczyła? Jakoś nie mogła wyobrazić sobie Anglika Hunta albo Amerykanina poznanego w Houston jako uciekinierów, marnujących życie na stawianiu wież z kości słoniowej.

Ruchomy świetlny punkt oderwał się od gwiazdnego firmamentu i stopniowo się powiększając, przybrał kształt transportowca UNSA, który przybywał z krateru Tycho.

Podchodził do lądowania po drugiej stronie bazy, a po paru sekundach powoli zniknął między kopułą obserwacyjną, a grupą zbiorników i laserowych aparatów nadawczo-odbiorczych. Na pokładzie znajdował się kurier z najnowszymi informacjami z Houston. Eksperci twierdzili, że jeśli za podsłuchem ziemskiej sieci telekomunikacyjnej kryje się ganimedejska technika, to wszystko jest możliwe. Nadal ściśle przestrzegano zakazu korzystania nawet z rzekomo bezpiecznych kanałów. Heller odwróciła się i przeszła do tylnej części kopuły, aby przywołać windę. W minutę później znalazła się trzy poziomy pod powierzchnią w jasno oświetlonym korytarzu o białych ścianach i zaczęła iść w kierunku środka podziemnego labiryntu bazy.

Kiedy przechodziła obok jednego z pokoi, wyszedł z niego Mikołaj Sobroskin, radziecki przedstawiciel na Księżycu, i ruszył w tę samą co ona stronę. Był niski, ale barczysty, całkiem łysy, o różowej twarzy. Mimo księżycowej grawitacji szedł szybkim, żwawym krokiem, choć Karen czuła się jak yeti. Z dossier zdobytego przez Normana Pacea wiedziała, że Rosjanin jest generałem porucznikiem Armii Czerwonej, że specjalizował się kiedyś w wojnie elektronicznej, a następnie przez wiele lat pracował jako ekspert kontrwywiadu. Pochodził ze świata tak odległego od krainy Walta Disneya, jak tylko możliwe.

– Wiele lat temu spędziłem trzy miesiące na Pacyfiku, przeprowadzając próby urządzeń na pokładzie okrętu atomowego – odezwał się Sobroskin. – Wydawało się, że trzeba przejść przez nie kończące się korytarze, żeby gdziekolwiek dotrzeć. Nigdy nie poznałem nawet połowy okrętu. Ta baza mi go przypomina.

– Mnie przypomina nowojorskie metro – odparła Heller.

– Tak, ale tutaj ściany są częściej myte. Jeden z problemów kapitalizmu polega na tym, że robi się tylko te rzeczy, które się opłacają. Dlatego nosi się czysty garnitur, a pod spodem brudną bieliznę.

Heller uśmiechnęła się lekko. Dobrze, że dzielące ich różnice można było zostawić w sali konferencyjnej. Inaczej atmosfera życia w tłocznej bazie stałaby się nie do zniesienia.

– Właśnie wylądował wahadłowiec z Tycho – powiedziała. – Ciekawe, co nowego.

– Tak, wiem. Pewnie poczta z Moskwy i Waszyngtonu. Będzie jutro okazja do sprzeczki.

Karta ONZ zabraniała przedstawicielom organizacji przyjmowania instrukcji od własnych rządów, ale nikt na Księżycu tego nie przestrzegał.

– Mam nadzieję, że niezbyt zażartej – westchnęła Heller. – Powinniśmy myśleć o przyszłości całej planety. Nie należy do tego mieszać polityki wewnętrznej.

Zerknęła w bok, by sprawdzić reakcję na jego twarzy. Nikt w Waszyngtonie nie był w stanie z całą pewnością stwierdzić, czy na stanowisko ONZ mają wpływ dyrektywy z Kremla,

czy też Sowieci po prostu robią to, co uważają za korzystne dla swoich celów. Twarz Rosjanina pozostała nieprzenikniona.

Z korytarza weszli do „sali klubowej” – normalnie mesy dla personelu UNSA – tymczasowo oddanej do użytku delegacji ONZ. Powietrze w niej było ciepłe i duszne. Mieszana grupa około dziesięciu delegatów oraz starych mieszkańców bazy czytała, grała w szachy lub rozmawiała przy stolikach i małym barze. Sobroskin przeszedł przez całą salę, zniknął za drzwiami w drugim jej końcu i udał się do pokoi, które specjalnie dla delegacji przerobiono na pomieszczenia biurowe. Heller zamierzała pójść w jego ślady, ale przeszkodził jej Szwed, Niels Sverenssen, przewodniczący delegacji, który odłączył się od małej grupki stojącej niedaleko wejścia.

– O, Karen – zawołał, chwytając ją lekko za łokieć i odciągając na bok. – Szukałem pani. Jest parę spraw z dzisiejszego posiedzenia, które powinniśmy omówić przed ustaleniem jutrzejszego porządku obrad. Miałem nadzieję przedyskutować to z panią, zanim dam tekst do przepisania.

Był bardzo wysoki i szczupły, a elegancką koronę srebrnych włosów nosił z taką sztywną wyniosłością, że Heller myślała o nim jako o ostatnim prawdziwym europejskim arystokracie błękitnej krwi. Zawsze ubrany nieskazitelnie i oficjalnie, nawet w Bruno gdzie prawie każdy szybko przebierał się w robocze ubrania, sprawiał wrażenie, jakby patrzył na resztę ludzkości niemal z pogardą i łaskawie obcował z nią wyłącznie z poczucia obowiązku. Karen nigdy nie potrafiła czuć się swobodnie w jego obecności, a spędziła zbyt wiele czasu w Paryżu i innych europejskich placówkach, by przypisywać to jedynie różnicom kulturowym.

– Cóż, właśnie wybierałam się przejrzeć pocztę – powiedziała. – jeśli rozmowa może poczekać, wrócę tu za godzinę. Wtedy omówimy sprawy nad szklaneczką lub skorzystamy z jednego z gabinetów. Czy to coś ważnego?

– Parę kwestii proceduralnych i określeń, które wymagają uściślenia. – Oficjalny przed chwilą ton się zmienił, a Sverenssen przesunął się trochę, jakby chciał odgrodzić ich od reszty obecnych. Patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy... z zaciekawieniem i serdecznością, a zarazem obojętnie i z rezerwą. Czowała się jak kuchta obserwowana przez średniowiecznego feudała. – Myślałem o czymś wygodniejszym – rzekł teraz już niebezpiecznie poufałym tonem. – Może kolacja, o ile mogę liczyć na taki zaszczyt.

– Nie jestem pewna, kiedy będę jadła dzisiaj kolację – odparła, zdając sobie sprawę, że pogarsza sytuację. – Może być już za późno.

– To bardzo odpowiednia pora na towarzyskie spotkanie, zgodzi się pani ze mną – szepnął Sverenssen znacząco.

Zacząła docierać do niej prawda. Słowa sugerowały, że będzie to zaszczyt dla niego, ale zachowanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości, iż to ona powinna czuć się wyróżniona.

– Wydawało mi się, że chciał pan porozmawiać przed ustaleniem porządku obrad – powiedziała.

– Moglibyśmy wyjaśnić tę sprawę za godzinę, jak pani proponowała. Kolacja byłaby potem miłsza i bardziej relaksująca...

Heller musiała przełknąć ślinę, żeby zachować zimną krew. Składał jej propozycję. Takie jest życie i podobne rzeczy zdarzają się czasem, ale obecna sytuacja wydawała się jej nierealna.

– Myślę, że się pan pomylił – odparowała sucho. – Jeśli są do omówienia jakieś sprawy służbowe, porozmawiamy za godzinę. A teraz proszę mi wybaczyć.

Gdyby poprzestał na tym, wkrótce wszystko poszłoby w niepamięć.

Ale nie poprzestał. Przybliżył się o krok, sprawiając, że odruchowo się cofnęła.

– Jest pani wyjątkowo inteligentną, ambitną i do tego atrakcyjną kobietą, Karen – powiedział spokojnie, porzucając dotychczasową pozę. – Świat ma obecnie do zaoferowania tyle możliwości... szczególnie tym, którzy potrafią zdobywać sobie przyjaciół we wpływowych kręgach. Mógłbym dla pani wiele zrobić.

Jego pewność siebie była nieznośna.

– Popelnia pan błąd. – Heller wzięła głęboki oddech, starając się zapanować nad głosem. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. – Proszę przestać.

Sverenssen nie zmieształ się wcale, jak gdyby był dobrze obeznany z takim obrotem spraw i lekko nim znudzony.

– Proszę to przemyśleć – rzucił i odwróciwszy się niedbale, dołączył do swojej grupki.

Dał pieniądze i kupił bilet – tak to właśnie wyglądało. Wychodząc z sali, Heller starała się zachować normalny krok i powstrzymać gotującą się w niej wściekłość.

Norman Pacey już na nią czekał, kiedy parę minut później dotarła do biur delegacji amerykańskiej. Mężczyzna z trudnością opanowywał podniecenie.

– Wieści! – wykrzyknął zamiast powitania. Potem wyraz jego twarzy zmienił się nagle. – Hej, wyglądasz na wściekłą. O co chodzi?

– O nic. Co się stało?

– Przed chwilą wyszedł stąd Malliusk. – Gregor Malliusk był Rosjaninem i dyrektorem obserwatorium w Bruno oraz jednym z garstki uprzywilejowanych pracowników bazy, którzy wiedzieli o dialogu z Gwiazdą Gigantów. – Godzinę temu przyszedł przekaz, nie przeznaczony jednak dla nas. Nadano go jakimś kodem dwójkowym. Malliusk nie potrafił tego rozszyfrować.

Heller spojrzała na niego w odrętwieniu. To mogło oznaczać, że ktoś inny – na Ziemi lub w jej pobliżu – nawiązał kontakt z Gwiazdą Gigantów i chciał zachować odpowiedź dla siebie.

– Sowieni? – zapytała zachrypłym głosem.

Pacey wzruszył ramionami.

– Kto wie? Sverenssen prawdopodobnie zwoła specjalną sesję, a Sobroskin wszystkiemu zaprzeczy, ale postawiłbym swoją miesięczną pensję, że maczali w tym palce.

W jego głosie, o dziwo, nie pobrzmiwała nuta porażki, a to, co mówił, nie zgadzało się z radosnym wyrazem twarzy, który Heller zauważyła wchodząc.

– Coś jeszcze? – zapytała, modląc się w duchu, żeby potwierdziło się to, o czym myślała.

Na twarzy Pacey pojawił się szeroki uśmiech, którego nie mógł już dłużej powstrzymać. Porwał jakieś papiery z pliku leżącego na stole przed otwartą torbą kurierską i pomachał nimi triumfalnie.

– Huntowi się udało! – wykrzyknął. – Połączyli się przez Jowisza! Lądowanie nastąpi za tydzień. Thurienowie to potwierdzili. Wybrano nie używaną bazę lotniczą na Alasce. Wszystko już przygotowane.

Heller wzięła od niego papiery, szybko przebiegła wzrokiem pierwszą stronę i uśmiechnęła się z radosną ulgą.

– Dokonamy tego Normanie – szepnęła. – Jeszcze pobijemy tych drani!

– Dostałaś z Departamentu wezwanie na Ziemię, więc będziesz mogła przy tym być, jak planowałaś. Masz kosmiczne szczęście do tych wszystkich księżycowych podróży – westchnął Pacey. – Będę myślał o tobie, trwając tu na posterunku. Chociaż też chciałbym polecieć.

– Wkrótce ty także dostaniesz swoją szansę – pocieszyła go Heller. Wszystko znowu wyglądało wspaniale. Podniosła nagle wzrok znad trzymany w ręce papierów. – Coś ci powiem... dzisiaj wieczorem uczymy to oboje specjalną kolacją... czymś w rodzaju pożegnalnego przyjęcia. Szampan, dobre wino i najlepsza potrawa z drobiu, jaką tutejszy kucharz ma w zamrażarce. Co ty na to?

– Wspaniale – odrzekł Pacey, a potem zmarszczył brwi i z niepewną miną potarł podbródek. – Chociaż... czy to rzeczywiście dobry pomysł? Mam na myśli, że dopiero godzinę temu przysły te nie zidentyfikowane sygnały i ludzie mogą zastanawiać się co, u licha, świętujemy. Sverenssen jeszcze pomyśli, że to my działamy podstępnie, a nie Sowieci.

– Przecież tak właśnie działamy, nieprawdaż?

– No, chyba tak... ale w dobrej wierze. To różnica.

– I dobrze. Niech Sowieci nabiorą fałszywego poczucia bezpieczeństwa i przestaną się śpieszyć. – W jej oczach pojawił się błysk zawziętości, kiedy pomyślała o czymś jeszcze. – I niech Sverenssen sądzi sobie, co tylko chce – dodała.



## Rozdział siódmy

Ubrany w przydziałową arktyczną kurtkę UNSA, ocieplane spodnie i śniegowce, Hunt stał w środku małej grupy zakutanych postaci, wydychających kłębki pary i przestępujących z nogi na nogę na betonowej płycie bazy lotniczej McClusky, położonej u stóp Gór Bairda, sto pięćdziesiąt kilometrów za północnym kołem podbiegunowym. Od poprzedniego dnia mgła rozproszyła się na tyle, że wyblakła tarcza słoneczna zdołała nadać okolicy jednolitą barwę, będącą mieszaniną brudnych bieli i szarości. Większość oznak życia pośród kompleksu opuszczonych budynków skupiała się wokół dawnego kasyna, które w pośpiechu odremontowano i osłonięto od wiatru, aby wygospodarować prowizoryczne pomieszczenia na potrzeby przeprowadzanej operacji. Sceny dopełniały samoloty UNSA i inne pojazdy, które parkowały między stosami sprzętu i zapasów ułożonych wzdłuż bliższego skraju płyty, oraz starannie dobrany personel UNSA stojący z tyłu z kamerami i mikrofonami, gotowy do zarejestrowania zbliżającego się wydarzenia. Stanowisko dowodzenia miało naziemne połączenie z siecią radiolokacyjną. Specjalnie dla ganimedejskiego statku zainstalowano również radiolatarnię naprowadzającą. Panowała dziwna, pełna napięcia cisza, tylko sporadycznie zakłócana krzykami mew, które krążyły nad zamrożonymi bagnami rozciągającymi się za ogrodzeniem, oraz mruczeniem prądnicy na jednej z zaparkowanych przyczep.

Baza McClusky znajdowała się daleko od skupisk ludzkich i głównych szlaków powietrznych, ale mimo to – podobnie jak wiele innych punktów na kuli ziemskiej – była obiektem rozpoznania satelitarnego. Chcąc zamaskować lądowanie, UNSA zapowiedziała, że w tym tygodniu przeprowadzi w tej okolicy próby nowego typu pojazdu kosmicznego, i poprosiła linie lotnicze oraz inne organizacje, żeby zmieniły trasy lotów aż do czasu następnego komunikatu. Aby przyzwycząić operatorów radarowych z tego rejonu do odbiegającego od normy ruchu powietrznego, UNSA inscenizowała również przez kilka dni nieregularne loty nad Alaską i w ostatniej chwili zmieniała ich rozkład. Oprócz tego niewiele więcej mogła zrobić. Nikt nie był pewien, czy uda się takie wydarzenie, jak przylot statku kosmicznego, utrzymać w sekrecie przed ziemskimi obserwatorami, nie mówiąc o technicznie

bardziej zaawansowanym systemie kontrolnym obcych. Ktokolwiek przysyłał sygnały za pośrednictwem Jowisza, wydawał się zadowolony z przygotowań i oświadczył, że zajmie się resztą.

Ostatni wysłany z Jowisza przekaz zawierał nazwiska osób, które miały wejść w skład komitetu powitalnego, ich stanowiska, krótkie podsumowanie dotychczasowych dokonań i uzasadnienie wyboru. Obcy odwzajemnili się nazwiskami trzech swoich przedstawicieli, wytypowanych do rozmów z Ziemianami. Pierwszy z nich, Calazar, miał reprezentować rząd Thurien oraz zaprzyjaźnionych światów i pełnił funkcję zbliżoną do urzędu „prezydenta”. Towarzyszyć mu miała Frenua Showm, pani „ambasador”, której obowiązki polegały na kontaktach z różnymi grupami thurieńskiego społeczeństwa, oraz Porthik Eesyhan, zajmujący się polityką ekonomiczną, przemysłową i naukową. Obcy nie poinformowali, czy rozmowy będzie prowadziła tylko ta trójka czy ktoś jeszcze.

– Uderzająco się to różni od przylotu *Shapierona* na tę planetę – mruknął Danchecker, rozglądając się wokół. Tamto wydarzenie nad Jeziorem Genewskim obserwowały dziesiątki tysięcy ludzi i transmitowano je na żywo.

– Przypomina mi to Main na Ganimesie – odparł Hunt. – Potrzebne nam tylko hełmy i parę Weg w pobliżu. Co za sposób rozpoczęcia nowej ery!

Lyn, której twarz ginęła w zbyt dużym obszytym futrem kapturze wepchnęła głębiej ręce w kieszenie kurtki i zaczęła udeptywać topniejący śnieg.

– Już pora – odezwała się. – Mam nadzieję, że mają dobre hamulce.

Zakładając, że wszystko poszło zgodnie z planem, statek opuścił odległą o dwadzieścia lat świetlnych Thurien zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli mieć jakieś zastrzeżenia co do kompetencji Ganimedeczyków – stwierdził Danchecker z pewnością siebie.

– Jeżeli okażą się Ganimedeczykami – zauważył Hunt, chociaż do tej pory zdążył już pozbyć się wątpliwości w tej kwestii.

– Oczywiście, że są Ganimedeczykami – prychnął Danchecker niecierpliwie.

Za nimi, nieruchomo i w milczeniu, stali Karen Heller i Jerol Packard, sekretarz stanu. Do przeprowadzenia tej operacji skłonili prezydenta argumentem, że obcy – Ganimedeczyki czy też nie – są nastawieni przyjaźnie, ale jeśli się mylili, mogli narazić kraj na największe nieszczęście w historii. Prezydent miał nadzieję uczestniczyć w powitaniu obcych, ale w końcu niechętnie przyznał rację swoim doradcom, że jednoczesna nieobecność zbyt wielu ważnych osobistości wzbudziłaby niepotrzebne podejrzenia.

Nagle z głośnika umieszczonego na maszcie z tyłu kantyny rozległ się głos kierującego operacją.

– Kontakt radarowy!

Postacie wokół Hunta wyraźnie zeszywniały. Za nimi zespół techników UNSA maskował zdenerwowanie dzikim wybuchem ostatnich gorączkowych przygotowań i poprawek. Znowu odezwał się głos:

– Zbliża się od zachodu, odległość trzydzieści pięć kilometrów, wysokość trzy i pół tysiąca metrów, szybkość dziewięćset kilometrów na godzinę, hamuje.

Hunt odruchowo podniósł głowę i jak inni spojrział w niebo, ale nie dało się niczego dostrzec przez warstwę chmur.

Powoli minęła jedna minuta.

– Osiem kilometrów – ogłosił kontroler. – Schodzi na wysokość półtora tysiąca metrów. Kontakt wizualny w każdej chwili.

Hunt czuł pulsowanie krwi w skroniach. Pomimo zimna zaczął się nagle pocić pod ciężkim strojem. Lyn przysunęła się bliżej i wsunęła mu rękę pod ramię.

I wtedy wiatr wiejący od gór na zachód przyniósł niski, zawodzący dźwięk. Trwał przez sekundę lub dwie, umilkł i wrócił znowu, tym razem dłuższy. Powoli przeszedł w jednostajne buczenie. Hunt zmarszczył brwi, nasłuchując. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że kilku pracowników UNSA wymienia zdziwione spojrzenia. Coś było nie tak. Dźwięk wydawał się zbyt znajomy, żeby mógł pochodzić od jakiegokolwiek statku kosmicznego. Wokół rozległy się szepty i ucichły nagle, gdyż u podstawy chmur wyłonił się czarny kształt i zaczął podchodzić do lądowania. Był to boeing 1227, półtransportowy, przydźwiękowy VTOL – powszechnie używany przez krajowych przewoźników i preferowany przez UNSA typ samolotu ogólnego zastosowania. Wyczuwalne wcześniej wokół całego lądowiska napięcie opadło, rozległ się natomiast chór pomruków niezadowolenia i przekleństw.

Stojący za Heller i Packardem Caldwell obrócił się z pociemniałą z wściekłości twarzą do zdeorientowanego oficera UNSA.

– Sądziłem, że oczyszczono teren – warknął. Oficer bezradnie potrząsnął głową.

– Oczyszczono. Nie rozumiem... Ktoś...

– Zabierzcie stąd tego idiotę!

Wzburzony oficer pobiegł w stronę kasyna i zniknął za drzwiami. W tym samym czasie z głośnika, którego najwyraźniej nie wyłączono w całym zamieszaniu, zaczęły dobiegać głosy z pokoju kontrolnego.

– Nie mogę się z nim połączyć. Nie odpowiada.

– Użyj częstotliwości awaryjnej.

– Już próbowaliśmy. I nic.

– Na litość boską, co się tu dzieje? Caldwell właśnie dobrał mi się do skóry. Dowiedz się od Szóstki, kto to jest.

– Mam ich właśnie na linii. Też nie wiedzą. Myśleli, że to nasz.

– Daj mi ten cholerny telefon!

Samolot wyrównał lot nad skrajem bagien około półtora kilometra dalej i kontynuował podchodzenie, nie zważając na serię świecących czerwonych rakiet ostrzegawczych, wystrzelonych z wieży kontrolnej bazy McClusky. Zwolnił nad betonową płytą przed komitetem powitalnym, na moment zawisł bez ruchu, a potem zaczął nurkować w kierunku ziemi. Grupa oficerów i techników UNSA, dających sygnały gwałtownym wymachiwaniem rąk nad głową, rzuciła się do biegu, ale zaraz cofnęła w bezładzie, kiedy samolot usiadł na pasie. Caldwell dużymi krokami wysunął się przed grupę, gestykulując ze złością i wykrzykując polecenia do pracowników UNSA, którzy skupili się wokół dziobu i dawali znaki w stronę kabiny pilotów.

– Imbecyle! – mruknął Danchecker. – Taka rzecz nie powinna się była wydarzyć.

– Wygląda na to, że Murphy wrócił z urlopu – szepnęła Lyn Huntowi do ucha zrezygnowanym tonem.

Hunt jednak nie dosłyszał. Wpatrywał się w boeinga z dziwnym wyrazem twarzy. Było coś osobliwego w tym samolocie. Wylądował w gęstej masie na pół stopionego śniegu, powstałej w ciągu ostatnich kilku dni przygotowań, a mimo to jego dysze nie wzbily w powietrze chmury pyłu wodnego i pary, choć powinny. Może więc nie były to żadne dysze. Samolot mógł wyglądać jak boeing 1227, ale z pewnością nie miał jego napędu. Poza tym ludzie dający znaki nie doczekali się żadnej reakcji ze strony pilotów. W kabinie bowiem, jeżeli Hunt wzrok nie mylił, nie było nikogo. Nagle na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Vic, o co chodzi? – zapytała Lyn. – Co w tym śmiesznego?

– W jaki oczywisty sposób można ukryć coś przed systemem kontrolnym w samym środku lotniska? – zadał pytanie.

Skinął w stronę samolotu, ale zanim zdołał powiedzieć coś więcej, dobiegł stamtąd głos, który mógłby należeć do rodowitego Amerykanina.

– Pozdrowienia dla Ziemi od Thurien, i tak dalej. No cóż, udało nam się. Szkoda, że taka wstrętna pogoda.

Wszelki ruch wokół samolotu ustał w jednej chwili. Zapadła całkowita cisza. Kiedy przebrzmiało powitanie, jeden po drugim wszyscy odwrócili głowy i w milczeniu popatrzyli po sobie.

To był statek kosmiczny? *Shapieron* miał prawie osiemset metrów wysokości. To jakby mała staruszka pojawiła się w Tycho na rowerze.

Przedni luk pasażerski otworzył się i na ziemię opuściły się schodki. Wszyscy utkwili oczy w drzwiach wyjściowych. Ludzie z UNSA cofnęli się powoli, podczas gdy Hunt, jego towarzysze oraz Heller i Packard zbliżyli się do Caldwellella i stanęli za nim niepewnie. Z tyłu obiektywy kamer przesunęły się na szczyt schodów.

– Wejdźcie lepiej – zaproponował głos. – Nie ma sensu marznąć.

Heller i Packard wymienili zdumione spojrzenia. Żadna z rozmów i narad w Waszyngtonie nie przygotowała ich do czegoś takiego.

– Sądzę, że będziemy musieli improwizować – powiedział Packard cicho. Próbował zdobyć się na uspokajający uśmiech, ale ten zamarł mu na ustach.

– Dobrze przynajmniej, że to nie dzieje się na Syberii – mruknęła Heller.

Danchecker wpatrywał się w Hunta zadowolonym wzrokiem.

– Jeśli te wypowiedzi nie są przejawem ganimedejskiego poczucia humoru, zaakceptuję kreacjonizm – powiedział triumfująco.

Obcy mogli ich uprzedzić, że zamaskowali statek, przyznał Hunt w duchu, ale najwyraźniej nie zdołali powstrzymać się przed zrobieniem dowcipu. Poza tym w oczywisty sposób żalowali czasu na formalności i uroczyste powitania. Zgoda, pasowało to do Ganimedejczyków.

Gdy ruszyli w kierunku schodków z Caldwellem na czele, pracownicy UNSA rozsunęli się, żeby ich przepuścić. Hunt znajdował się kilka kroków za Caldwellem, kiedy tamten stawiał stopę na pierwszym stopniu. Caldwell wydał zdziwiony okrzyk i oderwał się od ziemi. Błyskawicznie przesunął się w górę tuż nad schodami, nawet ich nie dotykając i wylądował w drzwiach – na pierwszy rzut oka bez najmniejszego szwanku – a pozostali zamarli bez ruchu. Kiedy spojrzął w dół, wydawał się odrobinę wytrącony z równowagi, ale natychmiast się opanował.

– I na co czekacie? – ryknął.

Hunt był następny w kolejce. Wziął głęboki oddech, wzruszył ramionami i zrobił krok do przodu.

Ogarnęło go miłe uczucie ciepła i jakaś siła pociągnęła go w górę. Niewyraźnie mignęły mu przesuwane się pod stopami schodki, a w następnej chwili stał już obok swojego przełożonego, który przyglądał mu się uważnie i nie bez pewnego rozbawienia. Hunt przekonał się teraz na własne oczy... to nie był 1227.

Znajdowali się w dość małym, pustym pomieszczeniu o łagodnie świecących ścianach z półprzeźroczystego, bursztynowego materiału; przypominało korytarzyk prowadzący do drzwi, zza których wydobywało się silniejsze światło. Zanim Hunt zdążył zauważyć więcej szczegółów, pojawiła się Lyn i lekko wylądowała w miejscu, które Vic dopiero co zwolnił.

– Dla palących czy niepalących? – zapytał.

– Gdzie jest stewardesa? Mam ochotę na brandy.

Z zewnątrz dobiegł nagle alarmujący okrzyk Dancheckera.

– Co się, na Boga, dzieje? Zróbcie coś z tym piekielnym wynalazkiem! – Wyjrżeli na dół. Wisiał jakieś pół metra nad schodami, z irytacją wymachując rękami. Najwidoczniej zatrzymał się w połowie drogi. – To śmieszne! Ściągnijcie mnie stąd!

– Tarasujecie wejście – dobiegł skądś znajomy już głos. Może byście się przesunęli i zrobili trochę miejsca?

Cofnęli się do środka i parę sekund później pojawił się nieco obrażony Danchecker. Zanim dołączyli do nich Heller i Packard, Hunt i Lyn podążyli za Caldwellem w głąb samolotu.

Znaleźli się w krótkim przejściu, które ciągnęło się jakieś sześć metrów w stronę ogona do kolejnych drzwi. Po prawej i lewej stronie kilka ścianek sięgających od podłogi do sufitu dzieliło przestrzeń na wąskie pomieszczenia. Idąc korytarzem, przekonali się, że wszystkie kabinki są identyczne. W każdej znajdowało się coś w rodzaju fotela z pochylanym oparciem, pokrytego luksusowym czerwonym obiciem, zwróconego w stronę korytarza i otoczonego metalowym szkieletem, który wypełniały płytki inkrustowane różnokolorowym krystalicznym materiałem, oraz urządzenie o zadziwiająco delikatnej konstrukcji i niejasnym przeznaczeniu. Nadal nie było oznak życia.

Witajcie na pokładzie – powiedział głos. – Jeśli znajmiecie miejsca, możemy zaczynać.

– Kto to mówi? – zapytał Caldwell, rozglądając się. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan raczył się przedstawić.

– Nazywam się VISAR – odparł głos. – Ale jestem tylko pilotem i obsługą kabin. Osoby, których oczekujecie, zjawią się za kilka minut.

Prawdopodobnie znajdują się za drzwiami na końcu korytarza, pomyślał Hunt. Wydawało się to dziwne. Głos przypominał mu pierwsze spotkanie z Ganimedejczykami na pokładzie *Shapierona* wkrótce po jego przybyciu na orbitę Ganimedesu. Wtedy również rozmowa z obcymi odbywała się za pośrednictwem głosu, który spełniał rolę tłumacza i, jak się później okazało, należał do ZORACA – superkomputera odpowiedzialnego za funkcjonowanie większości systemów.

– VISAR – zawołał. – Czy jesteś systemem komputerowym wbudowanym w ten pojazd?

– Można tak powiedzieć – odpowiedział VISAR. – Tu jest tylko przedłużenie. Reszta znajduje się na Thurien oraz wielu innych planetach. Macie połączenie z siecią.

– Twierdzisz więc, że nie działasz samodzielnie? – zapytał Hunt. – Czy porozumiewasz się z Thurien w czasie rzeczywistym?

– Oczywiście. Jak inaczej moglibyśmy odpowiadać na przekazy z Jowisza?

Hunt był zdumiony. Stwierdzenie VISARA oznaczało, że sieć telekomunikacyjna obejmowała całe systemy gwiazdne i reagowała niemal bez zwłoki. Oznaczało również, że natychmiastowe przemieszczanie się w przestrzeni, a przynajmniej przesyłanie energii, o którym często rozmawiali z Paulem Shellिंगiem, zostało nie tylko udowodnione, lecz zastosowane w praktyce. Nic dziwnego, że Caldwell wyglądał na osłupiałego. Navcomms cofała się do epoki kamiennej.

Hunt zdał sobie sprawę, że Danchecker stoi tuż za nim i z ciekawością rozgląda się wokół, a Heller i Packard właśnie pojawili się w drzwiach. A gdzie Lyn? Jakby w odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie z jednej z kabinek dobiegł jej głos.

– Hej, tu jest świetnie. Mogłabym tak siedzieć przez tydzień albo dłużej.

Obejrzał się i zobaczył, że Lyn prawie leży w jednym z foteli i najwyraźniej jest zadowolona. Zerknął na Caldwell, zawahał się przez moment, a potem wszedł do sąsiedniego pomieszczenia i usiadł, zapadając się w dostosowanym do kształtu ciała fotelu, który, jak Vic zauważył z zainteresowaniem, odpowiadał raczej ludzkim niż ganimedejskim proporcjom. Czy zbudowali ten statek w tydzień specjalnie na tę okazję? To również byłoby typowe dla Ganimedejczyków.

Ogarnęło go ponownie miłe uczucie ciepła i senność. Głowa opadła mu do tyłu na wklęsłą podpórkę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem czuł się tak rozluźniony. Nagle zapragnął pozostać tu na zawsze. Niewyraźnie zobaczył sylwetki kobiety – nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska – i sekretarza czegoś tam z Waszyngtonu, którzy przesunęli się przed nim jak we śnie, przypatrując mu się ze zdumieniem.

– Spróbujcie. Spodoba się wam – jakby z oddali usłyszał swoje mruczenie.

Jakaś resztką świadomości mówiła mu, że jeszcze minutę temu myślał jasno, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć o czym, zresztą wcale o to nie dbał. Jego mózg przestał pracować jako całość i wydawał się rozpadać na poszczególne fragmenty, spełniające osobno swoje własne funkcje – co mógł obserwować w jakiś obojętny sposób. Powinno go to martwić – powiedziała niedbale jedna jego część, a druga zgodziła się – ale wcale nie był zmartwiony.

Coś działo się z jego wzrokiem. Górna część kabinki nagle rozpadła się na bezsensowne plamy i pasma, a potem niemal równie szybko obraz rozszerzył się, skurczył, następnie zniknął i znowu się pojawił. Kiedy się wreszcie ustalił, wszystkie kolory były niewłaściwe, jak w wykreowanej przez komputer wizji. Na kilka szalonych sekund kolory zmieniły się w dopełniające je barwy, wróciły do poprzedniego stanu i w końcu się dostroili.

– Proszę wybaczyć te przygotowania – odezwał się skądś głos VISARA.

Przynajmniej Hunt sądził, że to głos VISARA. Był ledwo zrozumiały; przeszedł przez kilka oktaw od wysokiego, przenikliwego pisku do prawie niesłyszalnego buczenia.

– Ten proces... – teraz nastąpiło coś zupełnie niezrozumiałego – ... za pierwszym razem, a potem już będzie... – kilka zbitych razem sylab – ... wyjaśnimy później. – Ostatnia część wypowiedzi dotarła bez zniekształceń.

Niespodziewanie Hunt wyraźnie poczuł pod sobą kształt fotela, dotyk ubrania na skórze, a nawet powietrze przepływające przez nozdrza. Dostał konwulsji i wstrząsnął nim nagły skurcz niepokoju. I wtedy zdał sobie sprawę, że wcale się nie poruszył. Wrażenie zawdzięczał szybkim zmianom wrażliwości wszystkich receptorów. Oblało go gorąco, potem zimno, przez moment czuł swędzenie, następnie mrowienie, cały ścierpł... i nagle wszystko wróciło do normy.

Mózg połączył się w całość i umysł Hunta znów funkcjonował sprawnie. Poruszył palcami i przekonał się, że zniknął niewidzialny żel, w którym był wcześniej zanurzony. Spróbował poruszyć ramieniem, potem drugim. Wszystko w porządku.

– Możesz wstać – powiedział VISAR.

Hunt podniósł się wolno i wyszedł na korytarz, gdzie zobaczył pozostałych, równie oszołomionych jak on. Spojrzał ponad nimi na drzwi znajdujące się na końcu korytarza, ale nadal były zamknięte.

– Jak sądzicie, jaki mógł być cel tego ćwiczenia? – zapytał Danchecker, po raz pierwszy wyglądający na zagubionego.

Victor bez słowa pokręcił głową.

I wtedy rozległ się za nimi głos Lyn.

– Vic.

Tylko jedno słowo, ale wypowiedziane tak alarmującym tonem, że Hunt odwrócił się natychmiast. Dziewczyna szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w drzwi, przez które weszli. Podążył za jej spojrzeniem.

Całe wejście wypełniała ogromna sylwetka Ganimedejczyka ubranego w srebrzysty strój, który był czymś pośrednim między krótką peleryną a luźną kurtką, narzuconą na ciemnozieloną tunikę. Głęboko osadzone, przejrzyste fioletowe oczy w długiej twarzy obcego przyglądały im się uważnie przez kilka sekund, podczas gdy oni w milczeniu czekali na jego pierwszy ruch. Potem odezwał się:

– Jestem Bryom Calazar. Widzę, że jesteście ludźmi, na których czekaliśmy. Chodźcie tędy, proszę. Tu jest zbyt ciasno na powitania.

Odwrócił się w stronę zewnętrznych drzwi. Danchecker wysunął szczękę do przodu, wyprostował się i ruszył za nim do przedsionka. Po chwili wahania Lyn poszła w jego ślady.

– To absurd.

Głos Dancheckera dotarł do Hunta akurat w momencie, kiedy Vic zrobił pierwszy krok. Stwierdzenie zostało wypowiedziane tonem kogoś usilnie starającego się pozostać przy zdrowych zmysłach i kategorycznie zaprzeczającego realności tego, co ukazywały zmysły. Ułamek sekundy później Lyn głośno zaczerpnęła tchu i zaraz Hunt przekonał się dlaczego. Sądził, że Calazar przyszedł z innego przedziału, ale się mylił. Nie było żadnego przedziału. Byli natomiast inni Ganimedejczycy.

Baza lotnicza McClusky, Alaska i Arktyka zniknęły. Hunt znalazł się w zupełnie innym świecie.



## Rozdział ósmy

Samolot, statek kosmiczny – czy czymkolwiek był ten pojazd – wcale nie stał już pod gołym niebem. Hunt patrzył na wnętrze ogromnej, zamkniętej przestrzeni utworzonej z niepojętych, przenikających się pod różnymi kątami lub unoszących się w powietrzu płaszczyzn o wszelkich odcieniach zieleni i świecącego bursztynu. Wyglądało to na centrum zawiłych trójwymiarowych, zazębiających się arterii komunikacyjnych, galerii i szybów biegnących w górę, w dół i pod wszelkimi kątami do skrzyżowania rozmaicie zorientowanych powierzchni, które oszukiwały zmysły. Vic czuł się tak, jakby znalazł się na rysunku Eschera. Usiłował odnaleźć choć odrobinę sensu pośród płaszczyzn służących w jednym miejscu jako podłogi, w drugim jako ściany, a w jeszcze innym jako sufity, ale się poddał. W całej tej scenerii dziesiątki Ganimedejczyków beztrąsko chodziło wokół swoich spraw po odwróconych kopiach konstrukcji, prostopadle i we wszystkich kierunkach, których nie dało się określić, gdyż przenikały się wzajemnie. Hunt nie był już w stanie na to patrzeć. Jego mózg się zbuntował.

Niedaleko drzwi stała grupa około dziesięciu Ganimedejczyków wraz z tym, który przedstawił się jako Calazar. Wydawali się czekać. Po kilku sekundach Calazar skinął głową. Hunt w zupełnym oszołomieniu, niemal zahipnotyzowany, poczuł, że coś przenosi go przez drzwi i niejasno uświadomił sobie, że stoi na zewnątrz.

Wszystko wokół niego eksplodowało. Cała scena zmieniła się w wir kolorów, które atakując go zewsząd, zniszczyły nawet to nikłe poczucie orientacji w bezpośrednim otoczeniu, jakie udało mu się zdobyć. Przytłaczał go hałas tysięcy zjaw. Zalała lawina światła.

Wir zmienił się w tunel, który wciągał go bezradnego ze wzrastającą szybkością. Świetlne kształty pędziły prosto na niego i rozpadały się na drobne fragmenty zaledwie centymetry od jego twarzy. Nigdy w życiu nie odczuł prawdziwej paniki. Poznał ją dopiero teraz. Chwytała go w szpony i rozszarpywała, paraliżując wszelką zdolność myślenia. To był nocny koszmar, z którego nie mógł się obudzić.

Na końcu tunelu ukazała się czarna pustka. Mknęła ku niemu. Nagle poczuł spokój. Ta czerń była... przestrzenią kosmiczną. Nieskończonym, usianym gwiazdami kosmosem. Znajdował się w przestrzeni i patrzył na gwiazdy.

Nie. Był w jakimś wnętrzu i spoglądał na gwiazdy na dużym ekranie. Otoczenie stało się ciemne i niewyraźne... coś w rodzaju pokoju kontrolnego z zamazanymi zarysami otaczających go postaci... ludzkich postaci. Czuł własne drżenie i pot przesiąkający ubranie, ale opuściła go panika, pozwalając znów funkcjonować umysłowi.

Na ekranie pojawił się jakiś jasny obiekt, stawał się coraz większy na tle gwiazd. Było w nim coś znajomego. Victor poczuł się tak, jakby na nowo przeżywał wydarzenie z przeszłości. Z boku na pierwszym planie ukazał się fragment dużej metalowej konstrukcji, oświetlonej przez niesamowitą czerwonawą łunę bijącą spoza ekranu. Huntowi przypomniało się miejsce, z którego kiedyś oglądał taki widok... statek kosmiczny. Znajdował się na pokładzie statku kosmicznego, obserwował na ekranie zbliżający się obiekt... i był tu już kiedyś.

Obiekt nadal się powiększał, ale zanim stał się rozpoznawalny, Hunt wiedział już, co to jest: *Shapieron*. Cofnął się w czasie o rok i znowu znajdował się w centrum dowodzenia Jowisza Pięć, obserwując przybycie *Shapierona*, kiedy ten po raz pierwszy pojawił się nad Ganimesem. Od tego czasu wiele razy oglądał tę sekwencję, nagraną i przechowywaną w archiwach UNSA, i znał każdy szczegół tego, co potem nastąpiło. Statek stopniowo zwalniał i manewrował, by znaleźć się na równoległej orbicie odległej o osiem kilometrów od powierzchni Księżyca, potem obracał się, prezentując z boku pełne gracji linie mierzącego osiemset metrów długości dzieła inżynierii astronautycznej.

I nagle wydarzyło się coś, do czego Hunt był zupełnie nie przygotowany. Z boku ekranu pojawił się kolejny obiekt – lecący szybko i buchający z tyłu płomieniem – przemknął przed dziobem *Shapierona* i eksplodował w olbrzymim rozbłysku. Victor osłupiały wpatrywał się w ten widok rozszerzonymi oczami. To było inaczej.

I wtedy z ekranu odezwał się głos... mówiący z amerykańskim akcentem i po wojskowemu ucinający końcówki:

– Odpalono pocisk ostrzegawczy. Następna seria wymierzona w cel. Niszczyciele ustawiają się w szyku konwojowym. Rozkazy brzmią: strzelać do skutku, jeśli obcy spróbują uciekać.

Hunt potrząsnął głową i rozejrzał się błędnie na boki, ale ciemne postacie nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi.

– Nie! – krzyknął. – To nie było tak! To wszystko nieprawda!

Cienie pozostały nieporuszone.

Na ekranie flotylla czarnych, groźnie wyglądających pojazdów kosmicznych nadleciała ze wszystkich kierunków i zajęła pozycje wokół ganimedejskiego statku.

– Obcy reaguje – zameldował obojętnie głos. – Zaczyna schodzić na orbitę parkingową.

Hunt jeszcze raz zaprotestował i wyskoczył na środek, by zmusić do reakcji ciemne postacie. Ale one zniknęły. Zniknęło centrum dowodzenia. I Jowisz Pięć.

Spoglądał w dół na skupisko metalowych kopuł i budynków oraz na stojący obok rząd promów typu *Wega*, pośrodku lodowej pustyni, która leżała naga pod gwiazdami. To była baza *Main* na *Ganimedesie*. A na otwartej przestrzeni obok kompleksu, pomniejszając *Wegi*, stała budząca grozę wieża *Shapierona*. Hunt przeskoczył kilka dni do przodu i znowu był świadkiem momentu lądowania statku.

Ale zamiast skromnej, lecz wzruszającej sceny powitania, którą zapamiętał, zobaczył kolumnę osamotnionych *Ganimedejczyków*, stłoczonych na lodzie obok statku pomiędzy szeregami beznamiętnych, uzbrojonych po zęby oddziałów bojowych. Nieco dalej stały opancerzone pojazdy z wycelowanymi działami. Sama baza zyskała umocnienia, stanowiska armatnie, baterie raketowe i wiele innych rzeczy, których nigdy tam nie było. To zakrawało na szaleństwo.

Nie potrafił powiedzieć, czy znajduje się w jednej z kopuł i przygląda się scenie – jak to robił w rzeczywistości – czy też dryfuje bezcielesnie w jakimś innym punkcie obserwacyjnym. I znowu bezpośrednio otoczenie stało się niewyraźne. Zerknął za siebie, poruszając się jak we śnie, i stwierdził, że jest sam. Mimo że otaczały go lód i bezkresna pustka, poczuł klaustrofobię i zaczął się pocić. Prerażenie, które go ogarnęło, kiedy wyszedł z obcego statku, znów powróciło, dręcząc i odbierając zdolność rozumowania.

– Co to jest? – zapytał głosem, który wiązał mu w gardle. – Nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– Nie pamiętasz? – ogłuszająco zagrzmiął głos, który dobiegł nie wiadomo skąd.

Hunt rozejrzał się błędnie, ale nie zobaczył nikogo.

– Co mam pamiętać? – szepnął. – Niczego takiego sobie nie przypominam.

– Nie pamiętasz tych wydarzeń? – nalegał głos. – Byłeś tam.

Nagle poczuł gniew – opóźnioną reakcję obronną na bezlitosny atak na jego rozum i zmysły.

– Nie! – krzyknął. – To nie było tak! To się wcale tak nie odbyło. Co to za obłąd?

– Więc jak to się odbyło?

– Byli naszymi przyjaciółmi. Przywitaliśmy ich serdecznie. Daliśmy podarunki. – Jego gniew przemienił się we wściekłość. – Kim jesteście? Szaleńcami? Pokażcie się.

*Ganimedes* zniknął i przed oczami Hunta przesunął się ciąg przemieszanych wrażeń, które jego umysł w niewytłumaczalny sposób zebrał w spójną całość. Była to wizja *Ganimedejczyków* wziętych do niewoli przez surowego i bezkompromisowego oficera – Amerykanina... zgoda na naprawienie statku pod warunkiem wyjawienia szczegółów technicznych... zabranie na Ziemię w charakterze zakładników... haniebne odesłanie w otchłań kosmosu.

– Czy nie było tak? – zapytał głos.

- Na litość boską, NIE! Kimkolwiek jesteś, jesteś szalony!
- Co z tego nie jest prawdą?
- Wszystko. Co to...

Radziecki komentator mówił coś histerycznie. Chociaż mówił po rosyjsku, Hunt rozumiał. Wojna musi zacząć się teraz, zanim Zachód zdąży wykorzystać swoją przewagę... przemowy z balkonu, śpiewające i wiwatujące tłumy... wystrzelenie amerykańskich satelitów MIRY... propaganda z Waszyngtonu... czołgi, transportery, maszerujące szeregi chińskiej piechoty... broń masowego rażenia ukryta w dalekich zakątkach Układu Słonecznego. Obląkana rasa maszerowała ku zagładzie przy wtórze orkiestr i powiewających flag.

– NIE-E-E! – usłyszał własny głos przechodzący we wrzask, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, a potem zamarł gdzieś w oddali. Nagle opuściły go siły i poczuł, że upada.

- Mówi prawdę – powiedział jakiś głos.

Był spokojny, stanowczy i brzmiał jak ostoja rozsądku pośród chaosu, który wymiółł Hunta z wszechświata. Zapadanie się... lot... ciemność... nicość.

## Rozdział dziewiąty

Hunt drzemał w miękkim i bardzo wygodnym fotelu. Czuł się rozluźniony i wypoczęty, jak gdyby spędził tu dłuższy czas. Pamięć o wcześniejszych przeżyciach była nadal żywa, ale stały się one czymś, czemu przyglądał się obojętnie, z niemal akademicką ciekawością. Strach minął. Powietrze w pomieszczeniu było świeże i lekko pachniało, a w tle grała przyciszona muzyka. Po chwili rozpoznał ją jako kwartet smyczkowy Mozarta. W jakim obłędzie tym razem uczestniczył?

Otworzył oczy, wyprostował się i rozejrzał. Siedział w fotelu w zwyczajnie wyglądającym pokoju wyposażonym w jeszcze jeden podobny fotel, pulpit do czytania, duży, drewniany stół pośrodku i stolik obok drzwi, ozdobiony wazonem z różami. Na podłodze leżał dywan z ciemnobrązowej strzyżonej wełny, który pasował do dominujących w pokoju kolorów pomarańczowego i brązowego. Z tyłu znajdowało się pojedyncze okno z ciężkimi zasłonami, które były zasunięte i lekko powiewały na wpadającym z zewnątrz wietrzyku. Victor spojrzął na siebie i przekonał się, że jest ubrany w ciemnoniebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i jasnospodnie. W pokoju nie było nikogo więcej.

Po paru sekundach wstał, stwierdził, że czuje się świetnie, przeszedł przez pokój i z ciekawością rozsunął zasłony. Za oknem roztaczał się miły, letni widok, jaki można by zobaczyć w dowolnym dużym mieście na Ziemi. Wysokie budowle – czyste i białe – lśniły w słońcu, znajome drzewa i trawniki zapraszały. Hunt dostrzegł w dole zakręt szerokiej rzeki, stary most z balustradą i łukami, znajome modele samochodów poruszających się po drogach oraz całe procesje latających pojazdów. Puścił zasłony i zerknął na zegarek, który wydawał się działać normalnie. Minęło niecałe dwadzieścia minut, odkąd „boeing” wylądował w McClusky. To wszystko nie miało sensu.

Odwrócił się plecami do okna i wepchnął ręce w kieszenie, próbując sobie przypomnieć, co takiego go zastanowiło, zanim jeszcze wysiadł ze statku. Była to banalna rzecz; coś, co mgliście zarejestrował w ciągu kilku minut między pojawieniem się Calazara a zapierającą dech w piersiach sceną, kiedy wszystko oszalało. Ten drobiazg miał związek z Calazarem.

I wtedy mu się przypomniało. Na *Shapieronie* ZORAC tłumaczył za pośrednictwem słuchawek i mikrofonów, z których wydobywały się normalnie brzmiące głosy, nie zsynchronizowane jednak z ruchami warg mówiących. Calazar natomiast nie korzystał z urządzeń pomocniczych i najwyraźniej rozmawiał bez wysiłku. Było to o tyle dziwne, że z powodu budowy krtani Ganimedejczycy wydawali niskie, gardłowe dźwięki i nie potrafili naśladować ludzkiego głosu. Jak więc robił to Calazar?

Cóż, stojąc tutaj, nie uzyskam odpowiedzi, pomyślał. Drzwi wyglądały na normalne i był tylko jeden sposób, by dowiedzieć się, czy są zamknięte czy nie. Hunt znajdował się już w połowie drogi do nich, kiedy otworzyły się i weszła Lyn, spokojna i w dobrym nastroju, ubrana w bluzkę z krótkimi rękawami i spodnie. Zamarł bez ruchu i zagapił się na dziewczynę, podświadomie zbierając siły w oczekiwaniu, że podbiegnie do niego, zarzuci mu ręce na szyję i zacznie szlochać, jak przystało na heroinę. Zamiast tego Lyn zatrzymała się w drzwiach i niedbale rozejrzała po pokoju.

– Nieźle – skomentowała. – Dywan jest zbyt ciemny.

– Powinien być rdzawy.

Dywan natychmiast zmienił się na rdzawy.

Hunt wpatrywał się w niego przez parę sekund, zamrugał i spojrzał na Lyn tępo.

– Jak, do diabła, to zrobiłaś? – zapytał, spoglądając jeszcze raz w dół, aby upewnić się, że sobie tego nie wymyślił. I rzeczywiście, nie wymyślił.

Wyglądała na zaskoczoną.

– To VISAR. Wszystko może zrobić. Nie rozmawiałeś z nim? – Hunt potrząsnął głową. Na twarzy Lyn pojawiło się zdumienie. – Jeśli nic nie wiedziałeś, to skąd masz to dziwne ubranie? Co się stało z twoim eskimoskim strojem?

Hunt mógł tylko jeszcze raz potrząsnąć głową.

– Nie wiem. Nie wiem też, jak się tu dostałem. – Znowu zerknął na rdzawy dywan. – Zdziwiałe... Chybabym się napił.

– VISAR – powiedziała Lyn lekko podniesionym głosem. – Może szkocką, czystą i bez lodu?

Na stoliku obok Hunta zmaterializowała się szklaneczka do połowy napełniona bursztynowym płynem. Lyn podniosła ją i podała niedbale Victorowi. Wyciągnął rękę i z wahaniem dotknął szklaneczki czubkiem palca, mając nadzieję, że jej tam nie będzie. Była. Wziął ją niepewnie, pociągnął łyżeczkę, a potem jednym haustem wychylił jedną trzecią zawartości. Ciepło spłynęło w dół do żołądka i po kilku sekundach dokonało swojego małego cudu. Hunt wziął głęboki oddech, zatrzymał powietrze w płucach, a potem wypuścił je wolno. Nadal czuł się nieswojo.

– Papierosa? – spytała Lyn.

Bezmyślnie potaknął. Między jego palcami pojawił się zapalony papieros. Nawet o to nie pytał, powiedział do siebie.

To musiała być halucynacja. Nie wiedział, jak, gdzie, kiedy i dlaczego to się dzieje, ale chyba nie miał w tym momencie innego wyboru, jak się poddać. Może te wszystkie wstępne przygotowania, stopniowane przez Thurienów, miały dać Ziemianom czas na poznanie nowego otoczenia i adaptację. W takim wypadku potrafił zrozumieć ich punkt widzenia. Było to jak wrzucenie średniowiecznego alchemika do skomputeryzowanego zakładu chemicznego. Zdał sobie sprawę, że do Thurien – czy cokolwiek to było – trzeba się przyzwyczaić. Doszedłszy do takiego wniosku, poczuł, że chyba pokonał najwyższy płotek. Ale w jaki sposób Lyn udało się zaadaptować tak szybko? Może jego umysł naukowca miał pewne braki, o których wcześniej nie pomyślał?

Kiedy podniósł wzrok i badawczo przyjrzał się twarzy dziewczyny, dostrzegł, że wymuszony spokój maskuje zagubienie, niewiele mniejsze od jego własnego. Jej umysł chwilowo bronił się przed przyjęciem tego wszystkiego do wiadomości, podobnie jak przy opóźnionym szoku, który jest powszechną reakcją na tragiczne wiadomości, takie jak śmierć bliskiego krewnego. Nie zauważył jednak żadnych śladów nieprzyjemnych przeżyć, jakie były jego udziałem. Przynajmniej miał być za co wdzięczny.

Podszedł do jednego z foteli i przysiadł na poręczu.

– Więc... jak się tu dostałaś? – zapytał.

– Cóż, kiedy wysiedliśmy ze statku w tym zwariowanym miejscu, znalazłam się za tobą na przenośniku grawitacyjnym, czy jak to nazwać, a potem... – Urwała, widząc wyraz zakłopotania pojawiający się na twarzy Hunta. – Nie wiesz o czym mówię, prawda?

Potrząsnął głową.

– Jaki przenośnik grawitacyjny?

Lyn spojrzała na niego niepewnie ze zmarszczonym czołem.

– Wysiedliśmy ze statku?... Zobaczyliśmy to dziwne miejsce, gdzie wszystko było odwrócone do góry nogami?... Coś nas uniosło w górę, a potem przez jeden z tuneli... takich dużych, żółtobiałych?...

Mówiła powoli, z pytającą intonacją, przez cały czas patrząc na niego uważnie, jak gdyby starała się pomóc mu w odtworzeniu momentu, kiedy stracił orientację. Było jednak oczywiste, że od samego początku doświadczyła czegoś zupełnie innego.

Machnął ręką.

– W porządku, pomiń szczegóły. Jak odłączyłaś się od pozostałych?

Lyn zamierzała odpowiedzieć, ale zawahała się nagle i zmarszczyła brwi, jak gdyby zdając sobie po raz pierwszy sprawę, że jej wspomnienia wcale nie są tak pełne, jak sądziła.

– Nie jestem pewna... – Zawahała się. – Jakoś znalazłam się... nie wiem, gdzie... Znajdował się tam duży schemat organizacyjny – kolorowe przegródki z nazwiskami i strzałki, kto jest odpowiedzialny przed kim – musiało to mieć coś wspólnego z odpowiednikami Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych. – Jeszcze bardziej się zmieszała, kiedy zaczęła sobie wszystko przypominać. – Było tak wiele nazwisk z UNSA, które znam,

ale zupełnie nie zgadzały się rangi i inne rzeczy. Przy nazwisku Gregga był stopień generała, a bezpośrednio pod nim moje razem ze stopniem majora.

Potrząsnęła głową w taki sposób, że nie śmiała prosić, by mu to wyjaśniła.

Hunt przypomniał sobie kopie przekazów z Thurien, odebranych na Księżycu. Zawierały zaskakujące aluzje na temat zmilitaryzowanej Ziemi i jej podziału na Wschód i Zachód, co dziwnie przypominało losy Minerwy przed ostateczną, katastrofalną wojną między Cerios i Lambią. A w trakcie niedawnego przesłuchania – jeśli tak można to nazwać – przewijał się ten sam temat. Musiał istnieć jakiś związek.

– Co się później wydarzyło? – zapytał.

– VISAR zapytał mnie, czy to jest dokładny schemat zespołu, w którym pracuję – odparła Lyn. – Powiedziałam, że większość nazwisk się zgadza, ale reszta to bzdury. Zadał parę pytań na temat jakichś programów militarnych, z którymi Gregg miał mieć coś wspólnego. Potem pokazał mi zdjęcia uzbrojonego satelity, którego Związek Radziecki podobno umieścił na orbicie, oraz wielkiego miotacza promieniowania, rzekomo zainstalowanego na Księżycu. Powiedziałam VISAROWI, że to są tylko wymysły. Rozmawialiśmy o tym trochę i na koniec nawet się zaprzyjaźniliśmy.

Wszystko to nie mogło się wydarzyć w ciągu dziesięciu minut, pomyślał Hunt. Zapewne zachodził tu proces kompresji czasu.

– Nie poddano cię żadnym... naciskom? – zapytał.

Lyn spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nic podobnego. Wszystko odbyło się w bardzo cywilizowany i miły sposób. Właśnie wtedy napomknęłam, że czuję się dziwnie, mając na sobie tamto ubranie i nagle... pstryk! – Wskazała na siebie. – W jednej chwili zmiana stroju. Jak sądzisz, ile czasu upłynie, zanim IBM wprowadzi coś takiego na rynek?

Hunt wstał i zaczął dużymi krokami przemierzać pokój, rejestrując z roztargnieniem, że papieros nie spala się na popiół. To było jednak coś w rodzaju przesłuchania, doszedł do wniosku. Thurienowie najwyraźniej stracili orientację w obecnej sytuacji na Ziemi i z jakiegoś powodu chcieli wyrobić sobie prawdziwy obraz. Jeśli tak, to z pewnością nie marnowali czasu. Zastosowali taktykę wstrząsową, żeby wydobyć z niego prawdziwe odpowiedzi, kiedy był zupełnie nie przygotowany i zbyt zdezorientowany, by wymyślić coś na poczekaniu. I rzeczywiście, metoda zdała egzamin, pomyślał ponuro.

– Potem zapytałam o ciebie. VISAR skierował mnie tutaj, więc jestem – dokończyła Lyn.

Hunt miał właśnie coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Rozejrzał się i dopiero teraz go zauważył. Był to zwyczajny domowy terminal i tak wtapiał się w otoczenie, że wcześniej Victor go nie dostrzegł. Znowu rozległ się brzęczyk.

– Lepiej odbierz – powiedziała Lyn.

Hunt przeszedł w róg pokoju, odsunął fotel, usiadł i nacisnął klawisz. Otworzył usta z niedowierzania, kiedy ujrzał twarz kontrolera z McClusky.



– Doktor Hunt – zawołał kontroler z ulgą. – Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku. Siedzicie tam już trochę. Jakież problemy?

Przez dłuższy czas Hunt mógł tylko bezmyślnie wpatrywać się w ekran. Nigdy nie słyszał, żeby telefony z rzeczywistego świata wdierały się w halucynacje. To również musiała być halucynacja. Co należało odpowiedzieć urojonemu kontrolerowi?

– Jak się z nami połączyłeś? – wydusił w końcu, z wysiłkiem nadając głosowi prawie normalne brzmienie.

– Niedawno dostaliśmy wiadomość, że powinniśmy użyć wąskiej wiązki o niskiej mocy i wycelować w samolot – odparł kontroler. – Zrobiliśmy tak i czekaliśmy, ale kiedy nie nadszedł żaden sygnał, postanowiliśmy, że spróbujemy połączyć się z wami.

Hunt przymknął na chwilę oczy, potem je otworzył i spojrzał na Lyn. Ona również nic nie rozumiała.

– Twierdzisz, że samolot nadal tam jest? – zapytał, wracając spojrzeniem na ekran.

Kontroler wyglądał na zdziwionego.

– Dlaczego... oczywiście... właśnie patrzę na niego przez okno. – Przerwa. – Na pewno wszystko w porządku?

Vic, odrętwiała, siedział sztywno w fotelu, Lyn stanęła za nim i pochyliła się do ekranu.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Jesteśmy teraz trochę zajęci. Proszę zadzwonić za parę minut, dobrze?

– Oczywiście. Porozmawiamy później.

Kontroler zniknął z ekranu.

W tym samym momencie Lyn opuściło całe opanowanie. Spojrzała na Hunta, wyraźnie zmartwiona i przestraszona po raz pierwszy od wejścia do pokoju.

– On nadal tam jest... – rzekła, starając się zapanować nad drżącym głosem. – Vic... co się dzieje?

Hunt z groźną miną rozejrzał się po pokoju, kiedy wreszcie doszło do głosu powstrzymywane przez cały czas oburzenie.

– VISAR – zawołał pod wpływem impulsu. – Słyszysz mnie?

– Jestem tu – odpowiedział znajomy głos.

– Samolot, który wylądował w McClusky... nadal tam jest. Rozmawialiśmy właśnie z bazą przez telefon.

– Wiem – stwierdził VISAR. – Połączyłem rozmowę.

– Czy to nie najwyższy czas, żebyś powiedział nam, co się tu, do diabła, dzieje?

– Thurienowie zamierzają wyjaśnić to wkrótce, kiedy się z nimi spotkacie – odparł VISAR. – Należą się wam przeprosiny i chcą to zrobić osobiście, a nie przeze mnie.

– Może więc nam chociaż powiesz, gdzie, do licha, jesteście?

– Oczywiście. Jesteście w perceptronie, który, jak przed chwilą sami powiedzieliście, znajduje się na lądowisku w McClusky. – Hunt i Lyn wymienili skonfundowane spojrzenia.

Dziewczyna potrząsnęła lekko głową i opadła na jeden z foteli. – Nie wyglądacie na przekonanych – skomentował VISAR. – Może mały pokaz?

Hunt czuł, że jego usta otwierają się i zamykają, słyszał wydobywające się z nich dźwięki, ale odbywało się to bez udziału jego woli. Jak marionetka reagował jedynie na pociągnięcia niewidocznych sznurków.

– Przepraszam – wypowiedziały jego usta, a głowa sama odwróciła się w stronę Lyn. – Nie martw się... VISAR to wyjaśni. Wrócę za parę minut.

A potem leżał znowu na czymś miękkim.

– Voila! – gdzieś znad głowy dobiegł głos VISARA. Victor otworzył oczy i rozejrzał się wokół, ale minęła chwila, zanim zorientował się, gdzie jest.

Był z powrotem w fotelu w jednej z kabinek statku, który wylądował w McClusky.

Wszędzie panował spokój i cisza. Hunt wstał, wyszedł na korytarz i zajrzał do sąsiedniej kabinki. W fotelu leżała Lyn, rozluźniona, z zamkniętymi oczami i pogodną twarzą. Spojrzał po sobie i dopiero teraz zauważył, że znów jest ubrany w arktyczny strój. Ruszył dalej i zaglądając do innych kabinek, przekonał się, że pozostali również są na swoich miejscach i wyglądają tak samo, jak Lyn.

– Wyjdź na zewnątrz i sam sprawdź wszystko – zaproponował głos VISARA. – Nadal tu będziemy, kiedy wrócisz.

Z nieprzytomną miną ruszył w stronę drzwi na końcu korytarzem, zatrzymał się, żeby zebrać siły, i wszedł do przedsionka. McClusky i Alaska były na swoim miejscu. Przez otwarte drzwi wejściowe zobaczył postacie, które na jego widok ruszyły w stronę samolotu. Podszedł bliżej i sekundę później znalazł się u stóp schodków. Postacie otoczyły go ze wszystkich stron i kiedy szedł w stronę kasyna, obsypały gradem pytań.

– Co się tam dzieje?

– Czy są tam Ganimedejczycy?

– Wyjdą?

– Ilu ich jest?

– Na razie... rozmawiamy. Słucham? Tak... coś w tym rodzaju. Nie jestem pewien. Dajcie mi parę minut. Muszę coś sprawdzić.

Po wejściu do kasyna udał się prosto do pokoju kontrolnego, urządzonego w jednym z frontowych pomieszczeń. Kontroler i dwaj operatorzy zobaczyli Hunta przez okno, które wychodziło na płytę lotniska, i czekali z niecierpliwością.

– Vic, jak leci? – powitał go kontroler.

– Świetnie – odburknął z roztargnieniem. Popatrzył uważnie na konsole i ekrany zajmujące prawie całe pomieszczenie i powrócił pamięcią do chwili wejścia na statek. To, co widział teraz, było realne. Wszystko wokół niego było realne. Telefon należał do innej rzeczywistości. Nie mogło być inaczej; świat realny nie mógł komunikować się z urojonym

przez radio. Czy rzeczywiście? – Mielście jakąkolwiek łączność z samolotem od chwili, kiedy znaleźliśmy się w środku? – zapytał, patrząc na obsługę pokoju kontrolnego.

– Jak to?... Tak. – Kontroler nagle się zaniepokoił. – Sam z nami rozmawiałeś parę minut temu. Jesteś pewien, że wszystko... w porządku?

Hunt podniósł dłoń i potarł czoło, żeby uspokoić zamęt w głowie.

– W jaki sposób się połączyliście? – zapytał.

– Dostaliśmy wcześniej wiadomość, że możemy się połączyć za pośrednictwem wiązki o niskiej mocy, jak już ci mówiłem. Po prostu poprosiłem cię po nazwisku.

– Zrób to jeszcze raz – polecił Hunt.

Kontroler podszedł do głównej konsoli, wystukał polecenie na klawiaturze i powiedział do mikrofonu nad głównym ekranem:

– Kontrola McClusky do obcych. Obcy statek, proszę się zgłosić.

– Przyjęte – usłyszeli w odpowiedzi.

– VISAR? – zapytał Hunt, rozpoznając głos.

– Jeszcze raz cześć. Nareszcie przekonany?

Patrząc na pusty ekran, Hunt zmrużył oczy w zamyśleniu. Poczul, że wreszcie zaskakują trybiki w jego mózgu. Musiał sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

– Połącz mnie z Lyn Garland – rzucił.

– Chwileczkę.

Ekran ożył i sekundę później Victor ujrzał Lyn na tle pokoju, w którym przebywał ostatnio. Musiało być oczywiste, że Hunt dzwoni z McClusky, ale jej twarz nie wyrażała zbytniego zdziwienia. VISAR zapewne udzielił jej paru wyjaśnień.

– A ty oczywiście się włóczysz – stwierdziła sucho. Na twarzy Hunta pojawił się cień uśmiechu, gdyż w tym wszystkim zabłysnął pierwszy promyk światła.

– Cześć – powiedział. – Jedno pytanie: co się wydarzyło od momentu, kiedy ostatnio rozmawialiśmy?

– Zniknęłaś jak kamfora... właśnie tak. Przestraszyłam się trochę, ale VISAR wyjaśnił mi wiele rzeczy. – Podniosła rękę na wysokość twarzy i poruszyła palcami, jednocześnie potrząsając głową ze zdumieniem. – Nie mogę uwierzyć, że nie robię tego naprawdę. To wszystko dzieje się w mojej głowie? Nie do wiary!

W tym momencie prawdopodobnie wie więcej niż ja, doszedł do wniosku Hunt. On miał jedynie ogólne pojęcie. Natychmiastowe połączenie z Thuriem... cuda dziejące się na rozkaz... Ganimedejczycy mówiący po angielsku... A jak VISAR nazwał ten statek... perceptron? Fragmenty zaczęły układać się w całość.

– Rozmawiaj dalej z VISAREM – powiedział. – Wrócę za parę minut.

Lyn uśmiechnęła się w sposób, który mówił, że wszystko się dobrze skończy. Vic mrugnął okiem i wyłączył ekran.

– Czy mógłbyś nam powiedzieć, o co tu chodzi? – dopytywał kontroler. – Przecież... jesteśmy odpowiedzialni za kierowanie tą operacją.

– Dajcie mi sekundę – poprosił Hunt, znów wprowadzając kod w celu nawiązania łączności. Przyniósł twarz do mikrofonu.

– VISAR?

– To ty?

– Czy to miejsce, w którym się znaleźliśmy po wyjściu z perceptronu... istnieje, czy też je wymyśliłeś?

– Istnieje. To fragment Vranix, starego miasta na Thurien.

– Czy widzieliśmy je takim, jakie jest teraz?

– Tak.

– Więc macie natychmiastowa łączność między Ziemią a Thurien?

– Właśnie.

Hunt myślał przez chwilę.

– A pokój z dywanem?

– Wymyśliłem go. Efekt specjalny... ale zawiódł. Sądziliśmy, że może znajome otoczenie pomoże wam przyzwyczaić się do naszego sposobu działania. Domyśliłeś się już reszty?

– Spróbuję – odparł Hunt. – Co powiesz na to? Totalna stymulacja sensoryczna i monitoring plus natychmiastowa łączność. Wcale nie poleciliśmy na Thurien. Ty sprowadziłeś Thurien tutaj. Lyn nie odebrała żadnego telefonu. Przekazałeś go bezpośrednio do jej systemu nerwowego, podobnie jak wszystko, co – według niej – robi. Sfabrykowałeś odpowiednie dane audiowizualne i przesłałeś za pośrednictwem lokalnej wiązki. Co ty na to?

– Całkiem dobrze – odparł VISAR, starając się nadać swojemu głosowi ton pochwały. – Jesteś więc gotów, by dołączyć do towarzystwa? Masz spotkać się z Thurienami za parę minut.

– Porozmawiam z tobą później – oznajmił Hunt i przerwał połączenie.

– Czy mógłbyś nam teraz powiedzieć, o co tu, do diabła, chodzi? – zapytał kontroler.

Twarz Hunta miała nieobecny wyraz, a słowa wypowiadał wolno i z namysłem.

– Na pasie stoi latająca budka telefoniczna. Ma w środku urządzenie, które podłączone do układu nerwowego przekazuje wrażenia z odległych miejsc. To, co widzieliście na ekranie minutę temu, pochodziło wprost z umysłu Lyn. Komputer przełożył to na sygnały audiowizualne i wysłał wiązkę do naszej anteny. Przeprowadził transmisję stąd w przeciwnym kierunku.

Dziesięć minut później Hunt wrócił do perceptronu i usiadł w tym samym fotelu, który zajmował wcześniej.

– Co mam powiedzieć... „jestem w domu, James”? – zapytał głośno.

Tym razem nie było wstępnych zakłóceń. W ułamku sekundy znalazł się z powrotem w pokoju, gdzie czekała na niego Lyn. VISAR najwidoczniej ją uprzedził. Hunt rozejrzał się po

pokoju z ciekawością. Chciał przekonać się, czy wykryje jakieś ślady, że jest to kreacja komputerowa, ale nic nie znalazł. Każdy szczegół był zgodny z rzeczywistością. Niesamowite. Podobnie jak angielski VISARA i dane potrzebne do zamaskowania perceptronu jako boeinga, wszystkie informacje musiały pochodzić z ziemskiej sieci telekomunikacyjnej; za jej pośrednictwem kiedyś przekazano je z jednego miejsca w drugie. Nic dziwnego, że Thurienowie dbali o to, by nie dostało się do niej nic, co wiązało się z ich przedsięwzięciem!

Wyciągnął rękę i przesunął palcem po ramieniu Lyn. Było ciepłe i jędrne. Miał rację: totalna stymulacja sensoryczna, oddziaływanie bezpośrednio na ośrodki w mózgu z pominięciem nerwów. Zdumiewające.

Lyn spojrzała na jego rękę, potem podniosła wzrok i popatrzyła na Victora podejrzliwie.

– Ja również nie wiem, czy to prawdziwe – powiedziała. – I na razie wcale nie jestem ciekawa. Zapomnij o tym.

Zanim Hunt zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. To był Danchecker, który wyglądał, jakby zamierzał dokonać morderstwa.

– To potworne! Oburzające! – Żyły na skroniach wyraźnie mu pulsowały. – masz pojęcie, jakiej prowokacji mnie poddano? Gdzie jesteś w tym skomputeryzowanym zakładzie dla obłąkanych? Jaki...

– Przestań, Chris. Opanuj się. – Hunt uniósł dłoń. – Nie jest tak źle, jak myślisz. Wszystko...

– Nie jest tak źle? Gdzie, na Boga, jesteśmy? Jak się stąd wydostaniemy? Rozmawiałeś z innymi? Jakim prawem te obce kreatury...

– Nigdzie cię nie wywieźli, Chris. Nadal przebywasz na terenie McClusky. Ja również. I wszyscy pozostali. To, co się wydarzyło...

– Nie opowiadaj bzdur! To oczywiste, że...

– Rozmawiałeś z VISAREM? Wyjaśni ci wszystko lepiej niż ja. Lyn jest ze mną i...

– Nie, nie rozmawiałem i co więcej, nie mam najmniejszego zamiaru. Jeśli ci Thurienowie nie potrafią okazać zwykłej uprzejmości i...

Hunt westchnął.

– VISAR, czy mógłbyś zająć się profesorem i wyjaśnić nieporozumienie. Nie sądzę, żebym mógł sobie teraz z nim poradzić.

– Zajmę się tym – odpowiedział VISAR i Danchecker zniknął z ekranu, pozostawiając w tle pusty pokój.

– Zdumiewające – mruknął Hunt. Były czasy, pomyślał, kiedy wolałbym sam załatwić tę sprawę z Dancheckerem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Hunt i Lyn zerknęli na nie, wymienili pytające spojrzenia, a potem znowu popatrzyli na drzwi. Lyn wzruszyła ramionami i podeszła do wejścia. Hunt wyłączył terminal i kiedy się obejrzał, zobaczył dwuipółmetrową postać

Ganimedejczyka, który wszedł do pokoju, pochylając się w progu. Lyn zaniemówiła z wrażenia.

– Doktor Hunt i panna Garland – powiedział Ganimedejczyk. – Najpierw, w imieniu nas wszystkich, przepraszam za nieco dziwaczne powitanie. Było konieczne z wielu ważnych powodów, które wkrótce wyjaśnimy, kiedy się spotkamy. Mam nadzieję, że pozostawienie was samych nie uznaliście za złe maniery. Sądziliśmy, że korzystny będzie krótki okres przystosowania. Jestem Porthik Eesyhan, jeden z tych, na których czekacie.

## Rozdział dziesiąty

Kiedy szli obok siebie, Hunt zauważył, że Eesyń różnił się nieznacznie od Ganimedejczyków z *Shapierona*. Miał taki sam masywny tors pod luźną, żółtą kurtką i koszulą utkaną z czerwonych i bursztynowych metalizowanych nici, takie same dłonie o sześciu palcach – każdą o dwóch kciukach – ale skórę o ciemniejszym odcieniu szarości niż ten, który zapamiętał Hunt, prawie czarną i na pierwszy rzut oka gładszą. Miał także lżejszą i smuklejszą budowę ciała, a wzrost nieco niższy od przeciętnego. Twarz i czaszka, choć nadal mocno wydłużone, poszerzyły się i zaokrągliły, bardziej przypominając ludzkie.

– Potrafimy w jednej chwili przenosić obiekty z jednego miejsca w drugie za pomocą sztucznie wytwarzanych, wirujących czarnych dziur – mówił Eesyń. – Wasze teorie są słuszne, szybko wirująca czarna dziura ulega spłaszczeniu, przybierając kształt torusa z masą skupioną na obwodzie. Pośrodku powstaje osobliwość, do której można się zbliżyć wzdłuż osi, nie narażając się na zmiżdżenie. Otwór ten stanowi „bramę” do hiperprzestrzeni, w której obowiązują inne prawa fizyki, nie podlegające ograniczeniom zwykłej czasoprzestrzeni. Utworzenie takiego przejścia wywołuje hipersymetryczny efekt w normalnej przestrzeni, gdzie z kolei powstaje „wyjście”. Kontrolując wymiary, kierunek i prędkość obrotu oraz inne parametry pierwotnej czarnej dziury, możemy z dużą dokładnością wyznaczyć punkt wyjścia nawet w odległościach rzędu kilkudziesięciu lat świetlnych.

Szli szerokim, jasno oświetlonym arkadowym przejściem z wysokimi łukami, lśniącymi rzeźbami i ogromnymi prześwitami prowadzącymi do innych przestrzeni. Tu również było wiele skrzywionych i odwróconych płaszczyzn, jak u Eschera, ale nie robiły tak przytłaczającego wrażenia jak widok, który po raz pierwszy ujrzeli z perceptronu. Widocznie sztuczki ganimedejskiej inżynierii grawitacyjnej znalazły zastosowanie w architekturze Thurien. Bo to była Thurien. Kiedy opuścili pokój, przeszli przez wiele galerii i ogromnych, przykrytych kopułami przestrzeni, rojących się od Ganimedejczyków, aż dotarli do tego miejsca – iluzji tak przemieszanej z rzeczywistością, że Hunt przegapił punkt, w którym nastąpiło przejście od jednej do drugiej. Jak poinformował ich Eesyń, zbliżał się moment spotkania między dwoma światami. Jego wyznaczono, żeby osobiście im towarzyszył. Bez

wątpienia, VISAR mógłby nas tutaj przenieść w jednej chwili, pomyślał Hunt, ale ponieważ nadal się „aklimatyzujemy”, ten sposób jest bardziej naturalny. Poza tym możliwość wcześniejszego poznania jednego z obcych wspomagała proces przystosowania. Prawdopodobnie o to właśnie chodziło.

– Zapewne w taki sposób przetrzuciliście perceptron na Ziemię – stwierdził Hunt.

– Prawie na Ziemię – poprawił Eesyana. – Czarna dziura wystarczająco duża, by zmieścić się w niej sporych rozmiarów obiekt, powoduje duże zaburzenia grawitacyjne na znacznym obszarze. Dlatego nie przetrzucamy niczego do wnętrza układów planetarnych. Powstałyby zbyt duże zakłócenia czasowe. Umieściliśmy perceptron poza Układem Słonecznym i ostatni etap musiał pokonać w bardziej konwencjonalny sposób.

– Tak więc jedna podróż w tę i z powrotem wymaga czterech konwencjonalnych etapów – skomentowała Lyn. – Dwóch w jedną stronę i dwóch w drugą.

– Zgadza się.

– To wyjaśnia, dlaczego podróż z Thurien na Ziemię zabiera około jednego dnia – stwierdził Hunt.

– Tak. Natychmiastowy skok z planety na planetę nie wchodzi w rachubę. Łączność jednak to zupełnie inna sprawa. Możemy przesłać wiadomość, nakierowując wiązkę promieniowania gamma z mikrolasera na mikroskopijną toroidalną czarną dziurę, wytwarzaną w urządzeniach, które mogą działać na powierzchniach planet bez niepożądanych skutków ubocznych. Dlatego praktykuje się natychmiastową łączność międzyplanetarną. Co więcej, tworzenie mikroskopijnych czarnych dziur nie wymaga ogromnych ilości energii potrzebnych do utworzenia dziur na tyle dużych, by można przesłać statek kosmiczny. Nie wysyłamy w ten sposób ludzi, jeśli nie musimy. Wolimy przysyłać informacje.

Hunt domyślił się tego już wcześniej. On i Lyn rzeczywiście znajdowali się w McClusky, a wszystkie informacje, jakie odbierali, przekazywał im VISAR.

– To wyjaśnia sposób przesyłania informacji – stwierdził. – Ale w jaki sposób wprowadza się je do systemu?

– Cała Thurien jest opleciona siecią telekomunikacyjną – wyjaśnił Eesyana. – Podobnie jak większość planet w tych częściach Galaktyki, do których dotarliśmy. VISAR istnieje na wszystkich tych światach i rozciągającej się między nimi przestrzeni. Tworzy gęstą sieć sensorów rozmieszczonych w budynkach, niewidzialnie rozpiętą nad górami, lasami, polami, a także na orbitach wokół planet. Jest w stanie dotrzeć do każdego człowieka w każdym miejscu.

VISAR omija normalne drogi przewodzące sygnały do mózgu i bezpośrednio oddziałuje na określone jego ośrodki. W ten sposób może przekazywać od razu do mózgu wszelkie informacje, które są odbierane przez kogoś, kto fizycznie jest obecny w danym miejscu. Śledzi również aktywność dowolnego systemu motorycznego i wiernie odtwarza wszelkie sprzężone z nim odczucia, które towarzyszą ruchom mięśni i tak dalej. Ogólny rezultat polega



na tworzeniu iluzji przebywania w odległym miejscu, iluzji nieodróżnialnej od rzeczywistości. Fizyczne przeniesienie ciała nic by tu nie zmieniło.

– Łatwy sposób podróżowania w kosmosie – mruknęła Lyn. Rozejrzała się wokół, kiedy dotarli do końca galerii, i ruszyła przez zakrzywioną, rozległą płaszczyznę, która minutę temu wyglądała jak ściana, ale kiedy na nią weszli, zaczęła się obracać, unosząc całą galerię i połączone z nią budowle pod coraz większym kątem. – To wszystko jest prawdziwe i odległe o dwadzieścia lat świetlnych? – zapytała z niedowierzaniem. – Naprawdę tutaj nie przyleciałam?

– Co to za różnica? – zapytał Eesyhan.

– A co z tobą, Porthiku? – Hunta poraziła nowa myśl. – Jesteś teraz tutaj... tam... we Vranix... czy gdzie?

– Jestem na sztucznej planecie odległej o trzydzieści pięć milionów kilometrów od Thurien – odparł Eesyhan.

– Calazar przebywa na Thurien, w miejscu zwanym Thurios, głównym mieście planety, dziesięć tysięcy kilometrów od Vranix. Vranix to stare miasto, które zachowujemy ze względu na tradycję i sentyment. Frenua Showm, z którą także wkrótce się spotkasz, znajduje się na planecie o nazwie Crayses w układzie odległym od Gwiazdy Gigantów o dziewięć lat świetlnych.

Lyn wyglądała na zakłopotaną.

– Nie jestem pewna, czy to pojmuję – powiedziała. – W jaki sposób możemy odbierać podobne wrażenia, będąc w różnych miejscach? Jak to się dzieje, że widzę ciebie obok Vica, choć znajdujecie się w różnych częściach Galaktyki, nie mówiąc o tym wszystkim dookoła?

Po tym, co powiedział Eesyhan, Hunt był zbyt oszołomiony, by zadawać pytania.

– VISAR tworzy złożone wrażenia z danych pochodzących z różnych miejsc i przekazuje je jako całość – odparł Eesyhan. – Łączy wizualne, dotykowe, słuchowe i wszelkie inne bodźce z otoczenia z danymi uzyskanymi w trakcie monitorowania aktywności układu nerwowego osób podłączonych do systemu i przekazuje każdej z osobna kompletne wrażenie przebywania w określonym miejscu oraz kontaktu fizycznego i słownego z pozostałymi osobami. Dzięki temu możemy odwiedzać inne światy, poznawać inne kultury, umawiać się na spotkania w innych układach planetarnych, składać wizyty na sztucznych światach... i w ułamku sekundy wrócić do domu. Oczywiście podróżujemy również tradycyjnie, na przykład w celach rekreacyjnych lub wtedy, gdy potrzebna jest fizyczna obecność, ale większość podróży odbywamy za pośrednictwem elektroniki i grawitacji.

Powierzchnia nadal się zakrzywiała, przenosząc ich do szerokiej okrężnej galerii otoczonej balustradą i wychodzącej na dość ruchliwy plac znajdujący się na niższym poziomie. Między łukami a powierzchniami zamykającymi plac od góry widzieli część galerii, którą szli parę minut wcześniej. Wyglądała tym razem jak strop. Do tej pory zdążyli już przyzwyczać się do takich rzeczy.

– Kiedy usiadłam w tym samolocie w McClusky, wszystkie moje zmysły dostały bzika – powiedziała Lyn. – Dlaczego tak się stało?

– VISAR dostrajał się do wzorca i poziomu aktywności waszych układów nerwowych i mózgow – wytłumaczył Eesyana. – Dokonywał poprawek, dopóki nie uzyskał właściwych reakcji. Są one nieco odmienne u każdej jednostki. Jest to jednorazowy proces. Można go porównać do pobierania odcisków palców.

– Porthik – odezwał się Hunt po chwili milczenia. – Ten nacisk, który wywarliście na mnie zaraz na początku... dowiedzieliście się różnych niesamowitych rzeczy na temat Ziemi i musieliście to sprawdzić. Zgadza, się?

– To było niezwykle ważne. Calazar wam wszystko wyjaśni – odpowiedział Eesyana.

– Ale czy było konieczne? – spytał Hunt. – Jeśli VISAR ma bezpośredni dostęp do mózgu, dlaczego po prostu nie wydobyl wszystkiego, co chciał, z mojej pamięci? W ten sposób uniknąłby ryzyka otrzymania fałszywych odpowiedzi.

– Technicznie to byłoby możliwe – przyznał Eesyana. – jednakże przez wzgląd na uszanowanie prywatności, nie zezwala na to nasze prawo, a VISAR jest zaprogramowany w taki sposób, żeby jedynie wprowadzać impulsy do mózgu i śledzić wszelkie reakcje. Przekazuje tylko to, co można zobaczyć, usłyszeć, poczuć i tak dalej. Nie może czytać w umysłach.

– A co z innymi? – spytał Hunt. – Czy macie choć pojęcie, jak sobie z tym radzą? Nie polecałbym waszych ceremonii powitalnych jako najlepszego sposobu na nawiązywanie przyjaźni.

Usta Eesyana ściągnęły się w sposób, który Hunt już dawno temu poznał jako ganimedejski odpowiednik uśmiechu.

– Nie musisz się martwić. Nie wszyscy poznali VISARA tak szybko i dogłębnie jak wy, więc są nadal trochę zdezorientowani, ale poza tym czują się świetnie.

Hunt nagle zdał sobie sprawę z tego, że ta dezorientacja jest zamierzona. Był to celowy krok obliczony na usunięcie resztek wrogości, jakie mogły się w nich tlić po zastosowaniu przez Thurienów taktyki wstrząsowej. Pojawienie się Eesyana bez wątplenia również stanowiło część planu.

– Nie wyglądało na to, kiedy rozmawiałem z Chrisem Dancheckerem parę minut przed twoim przybyciem – powiedział i uśmiechnął się do siebie, kiedy ujrzał wyraz twarzy Lyn.

– W rzeczy samej, ty i profesor Danchecker mieliście dosyć ciężkie przeżycia – przyznał Eesyana. – Jest nam przykro z tego powodu, ale jedynie wy dwaj mieliście wiadomości z pierwszej ręki o pewnych wydarzeniach związanych z *Shapieronem*, a na tych informacjach szczególnie nam zależało. Doświadczenia waszych towarzyszy wiązały się raczej z ich specjalnościami. Wszystkie relacje doskonale się potwierdzały. To było bardzo pouczające.

– Co przydarzyło się tobie i Chrisowi? – zapytała Lyn, spoglądając na Hunta.

– Opowiem ci później – odparł.

To, co zrobili, było może niekonwencjonalne, ale na pewno skuteczne, pomyślał z niechętnym podziwem. W ciągu tych pierwszych minut Ganimedejczycy zdobyli i sprawdzili więcej informacji, niż zdołaliby uzyskać przez wiele dni rozmów. Jeśli to było takie ważne, nie mógł ich za nic winić po tym, jak ONZ stosowała taktykę uników podczas negocjacji. Zastanawiał się, czy Caldwell i pozostali podobnie oceniają sytuację. Niedługo się o tym dowiem, stwierdził, spojrzawszy przed siebie. Wyglądało na to, że dotarli do celu.

Szli płytką pochylnią w kształcie wachlarza, która przez ostatni łuk wyprowadziła ich na otwartą przestrzeń. Znaleźli się na opadającym w dół terenie, zajęтым przez przecinające się geometryczne formy, tarasy i esplanady, tworzące fragment większej struktury architektonicznej, zbudowanej na planie koła. Najniższa, centralna część składała się z rzędów siedzeń ustawionych wzdłuż czterech boków prostokąta. Obrazu, będącego kompozycją kolorów i form, dopełniały sadzawki płynnej fluorescencji, zasilane przez leniwie płynące rzeki oraz fontanny migoczącego światła. Trzy boki prostokąta zajmowały stojące postacie – Ganimedejczycy. Wydawali się na coś czekać. Pośrodku rzędów siedzeń wznoszących się wzdłuż czwartego boku stał Calazar, rozpoznawalny po ciemnozielonej tunice i srebrzystej pelerynie.

I wtedy Hunt zobaczył kręłą sylwetkę Caldwellę wylaniającą się w towarzystwie jakiegoś Ganimedejczyka z innego wyjścia po przeciwnej stronie placu... a za Caldwellem pojawili się Heller i Packard. Heller szła spokojnym i pewnym krokiem, a Packard, oszołomiony, rozglądał się na boki. Victor w samą porę odwrócił głowę w inną stronę, by zobaczyć idącego przez sklepienie przejście Danchekkera, który wymachiwał rękami i mówił coś do towarzyszących mu Ganimedejczyków. Najwyraźniej potrzeba było ich dwóch, żeby sobie z nim poradzić. Przybycia idealnie zsynchronizowano. To nie mogło być przypadkowe.

Nagle Lyn zaczerpnęła głośno powietrza i zatrzymała się, spoglądając w górę. Hunt poszedł za jej spojrzeniem... zatrzymał się... a potem również zaczerpnął tchu.

Poza obrębem podwyższenia, na którym się znajdowali, z trzech boków wyrastały w górę trzy smukłe iglice z różowej kości słoniowej, zbiegające się nad ich głowami na niebotycznej wysokości i łączące się z odwróconą kaskadą tarasów, które rozszerzały się na wiele kilometrów. Powyżej – nie miało to sensu, ale powyżej – gdzie powinno być niebo, przechodziły w skupisko ogromnych budowli, które z jednej strony ciągnęły się jak okiem sięgnąć, a z drugiej graniczyły z odległym oceanem. To musiało być Vranix. Wisiało całe kilometry nad ich głowami i to odwrócone do góry nogami.

I wtedy Victor zrozumiał. Wyszli w niebo. Trzy różowe iglice, wznoszące się obok nich, w rzeczywistości wieńczyły ogromną wieżę, która górowała nad miastem, podtrzymując okrągłą platformę z miejscem, gdzie się znajdowali. Ale wyszli na jej spodnią stronę! Byli na tyle zdezorientowani spacerem po ganimedejskim labiryncie, że tego nie zauważyli. Dzięki lokalnie wytworzonej grawitacji, znaleźli się w tym miejscu i spoglądali na powierzchnię Thurien, która rozciągała się nad ich głowami.

Caldwell i pozostali również to zauważyli i stanęli jak wryci, podziwiając widok. Nawet Danhekker przestał mówić i spoglądał w górę z otwartymi ustami. Była to ostatnia karta atutowa Ganimedejczyków i mistrzowskie posunięcie. Jeśli nawet niektórzy z towarzyszy Vica żywili jeszcze jakieś urazy, byli teraz pod zbyt wielkim wrażeniem – precyzyjnie zaplanowanym na parę minut przed czekającym ich spotkaniem – by protestować. Lubię tych obcych, stwierdził w duchu Hunt, choć podobna myśl była w tym momencie dość dziwna. Zawsze podobały mu się profesjonalne działania.

Jeden po drugim, oszołomieni Ziemiańskie otrząsali się z osłupienia i ruszali w dół, w stronę forum, gdzie czekali na nich Ganimedejczycy.

## Rozdział jedenasty

– Jesteśmy wam winni przeprosiny – rzekł Calazar bez ogródek, kiedy zakończono powitalne formalności. – Wiem, że nie jest to, według ziemskich zwyczajów, najlepszy sposób na rozpoczynanie spotkania, ale nigdy nie rozumiałem dlaczego. Trzeba powiedzieć od razu wszystko, co się ma do powiedzenia, i mieć to za sobą. Niewątpliwie zorientowaliście się już do tej pory, że musieliśmy sprawdzić pewne fakty ważne dla nas i – jak sądzę – również dla was. I dobrze, że to zrobiliśmy.

Hunt zauważył z ulgą, że rozmowa ma mniej oficjalny charakter, niż się spodziewał. Zastanawiał się, czy to, co usłyszał, było dokładnym tłumaczeniem słów Calazara czy też swobodną interpretacją dokonywaną przez VISARA. Przypuszczał, że powitanie w takim tonie będzie nieuniknione, i był przygotowany na piękne słówka. Kiedy się jednak rozejrzył, stwierdził, że taktyka Ganimedejczyków przynosi pożądaną skutek. Caldwell i Heller, choć wydawali się opanowani i zdecydowani nie puścić całej sprawy w niepamięć, byli na tyle pod wrażeniem przemowy gospodarza, że postanowili czekać i patrzeć na rozwój wydarzeń, i na razie nie podejmować żadnych kroków. Danchekker przyszedł oczywiście w bojowym nastroju, ale psychologiczny lewy sierpowy, który Genimedejczycy zadali w ostatniej chwili, na razie go znokautował. Packard wyglądał, jakby był w transie; w jego wypadku środek uspokajający podziałał za mocno.

– W imieniu całej naszej rasy witamy was w naszym świecie i naszym społeczeństwie – kontynuował Calazar po krótkiej przerwie. Drogi, którymi podążała ewolucja obu naszych gatunków i które do tej pory biegły osobno, w końcu się skrzyżowały. Mamy nadzieję, że od tego punktu będą się spletały dla naszego wspólnego dobra i pożytku.

Skończył i usiadł. To było proste, pomyślał Hunt, i wydawało się dobrym wstępem do dalszych działań.

Twarze Ziemian zwróciły się ku Packardowi, który był najstarszy rangą, i dlatego wyznaczono go na mówcę. Minęło parę sekund, zanim zdał sobie sprawę, że inni patrzą na niego. Rozejrzył się ukradkiem na boki, chwycił za poręcz krzesła, zwilżył wargi i wstał powoli i niepewnie. – W imieniu... rządu...

Zabrakło mu słów. Stał chwiejąc się lekko i oniemiały patrzył na rzędy obcych twarzy przed sobą, potem podniósł głowę i potrząsnął nią z niedowierzaniem na widok wieży podtrzymującej Vranix i na panoramę Thurien roztaczającą się dalej. Przez chwilę wydawało się, że upadnie. I wtedy zniknął.

– Żałuję, ale sekretarz stanu jest chwilowo niedysponowany – poinformował VISAR zebranych.

To wystarczyło, by przerwać czar. Caldwell zerwał się z zaciśniętymi ustami i stalowym spojrzeniem. Heller również zaczęła się podnosić, ale opadła z powrotem na miejsce, gdyż Caldwell ubiegł ją o ułamek sekundy.

– Tego już za wiele – zazgrzytał, wbijając wzrok w Calazara. – Oszczędźcie sobie miłych słówek. Przybyliśmy tutaj w dobrej wierze. Jesteście nam winni wyjaśnienie.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Forum, wieża, Vranix i kopuła Thurien nad głowami zniknęły. Wszyscy znaleźli się nagle w sporym pomieszczeniu ze sklepionym sufitem. Siedzieli wokół dużego okrągłego stołu z opalizującego kryształu, tylko Caldwell w dalszym ciągu stał. Ganimedejczycy spoglądali na niego ze znajdującego się dalej podwyższenia. W porównaniu z poprzednim miejscem to wydawało się bezpieczne i przytulne.

– Nie przewidzieliśmy takiego wstrząsu – powiedział pospiesznie Calazar. – Może poczujecie się lepiej w otoczeniu, do jakiego jesteście przyzwyczajeni.

– Mniejsza o efekty z Alicji w Krainie Czarów – odparł Caldwell. – W porządku, osiągnęliście swoje – jesteśmy pod wrażeniem. Ale przybyliśmy tu na waszą prośbę, a w rezultacie jeden z nas właśnie doznał szoku. Nie uważamy tego za zabawne.

– To nie było zamierzone – oświadczył Calazar. – Już wyraziliśmy żal. Wasz kolega wkrótce wróci do normy.

Hunt wiedział, że ta wymiana zdań nie zawiera żadnych podtekstów, które byłyby w niej obecne, gdyby miała miejsce na Ziemi. Ganimedejczycy nie próbowali nikogo zastraszyć ani sami nie reagowali na pogrożki. Nie myśleli w ten sposób. Calazar jedynie stwierdzał fakty, nic ponadto. Ludzkie normy postępowania nie miały zastosowania w takiej sytuacji. Caldwell również o tym wiedział, ale należało wprowadzić pewne ograniczenia.

– Odpowiemy więc sobie na parę prostych pytań – powiedział. – Stwierdziłeś, że nasze rasy do tej pory ewoluowały osobno. To nie jest zupełna prawda. Nasze drogi zeszły się ze sobą dawno temu. Ponieważ macie trochę wypaczony obraz historii Ziemi, należałoby wyjaśnić pewne nieporozumienia i oszczędzić wiele czasu. Podsumuję więc to, co już wiemy.

– Nie czekał na odpowiedź, tylko ciągnął: – Wiemy, że wasza cywilizacja istniała na Minerwie do około dwudziestu pięciu milionów lat temu, że przywieźliście na planetę wiele ziemskich form życia, prawdopodobnie by dzięki inżynierii genetycznej znaleźć rozwiązanie problemów ze środowiskiem, oraz że po waszym odlocie następnym etapem ewolucji byli Lunarianie. Wiemy także o lunariańskich wojnach sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat, o

przechwyceniu Księżyca przez Ziemię i o tym, że sami wywodzimy się od Lunarian, którym udało się przeżyć. Czy mówimy na razie tym samym językiem?

Od strony Ganimedejczyków dobiegły pomruki. Wydawali się zaskoczeni. Najwyraźniej Ziemianie wiedzieli więcej, niż sądzono. Hunt pomyślał, że rysuje się nowa, interesująca perspektywa.

Frenua Showm, ambasador Thurien, którą przedstawiono na początku spotkania, odpowiedziała:

– Jeśli już wiecie o Lunarianach, nie powinniście mieć trudności ze znalezieniem odpowiedzi na jedno z pytań, które sobie z pewnością zadawaliście. Obserwowaliśmy Ziemię, gdyż obawialiśmy się, że może ona pójść w ślady swoich lunariańskich przodków i stać się zaawansowaną w technicznym rozwoju wojowniczą planetą. Lunarianie zniszczyli sami siebie, zanim zdążyli przekroczyć granice Układu Słonecznego. Ziemia mogła dotrzeć dalej. Innymi słowy, uważaliśmy Ziemię za potencjalne zagrożenie dla innych części Galaktyki, a może i dla całej.

Showm sprawiała wrażenie przekonanej, że tak by się stało. Wyraźnie nie lubi Ziemi, doszedł do wniosku Hunt. Powód nie był niespodzianką, gdy się porównało naturę Ganimedejczyków i Lunarian.

– Po co więc ta cała tajemniczość? – zapytała Heller.

Caldwell usiadł, pozwalając, by mówiła dalej.

– Twierdzicie, że reprezentujecie thurieńską rasę, ale jest oczywiste, że nie mówicie za wszystkich. Nie chcecie, by o naszym spotkaniu dowiedzieli się ci, którzy prowadzą obserwacje. Czy zatem jesteście tymi, za których się podajecie? Jeśli tak, to dlaczego musicie ukrywać swoje działania przed własnymi obywatelami?

– Obserwacje prowadzi autonomiczna... „organizacja” w ramach naszego systemu – odparł Calazar. – Mamy powody, by podejrzewać, że niektóre przekazywane przez nią informacje nie są ścisłe. Dlatego powstała konieczność ich zweryfikowania... ale w dyskretny sposób, na wypadek, gdybyśmy się mylili.

– Informacje nie są ścisłe! – zawołała Heller, rozkładając ręce w błagalnym geście. – Mówicie o tym jak o drobnych potknięciach. Chryste... oni nawet nie powiedzieli wam, że *Shapieron* wrócił i był na Ziemi... wasz własny statek z ludźmi na pokładzie! A obraz Ziemi, jaki otrzymaliście, nie jest nieścisły, lecz całkowicie wypaczony. Co się tu, do licha, dzieje?

– To wewnętrzna sprawa Thurien, którą teraz postaramy się załatwić – zapewnił Calazar.

Wydawał się trochę wytrącony z równowagi, być może z powodu zaskoczenia, że Ziemianie tyle wiedzą.

– To nie jest wasza sprawa wewnętrzna – upierała się Heller. – Dotyczy całej naszej planety. Chcemy wiedzieć, kto przedstawił nas w złym świetle i dlaczego.

– Nie wiemy dlaczego – oznajmił Calazar. – Właśnie staramy się to ustalić. Pierwszym naszym krokiem było sprawdzenie faktów. Jeszcze raz przepraszam. Myślę jednak, że już osiągnęliśmy swoje.

– Może powinniście pozwolić nam porozmawiać bezpośrednio z tą „organizacją” – huknął Caldwell z nachmurzoną miną. – Sami dowiemy się dlaczego.

– To niemożliwe – oświadczył Calazar.

– Dlaczego? – zapytała Heller. – Z pewnością mamy do tego prawo. Dyskretnie sprawdziliście fakty i znacie odpowiedzi. Jeśli rzeczywiście reprezentujecie tę planetę, co was powstrzymuje?

– Czy jesteście upoważnieni do stawiania takich żądań? – odparowała Showm. – Jeśli nasza ocena sytuacji jest właściwa, wy również nie stanowicie oficjalnej grupy reprezentującej całe społeczeństwo Ziemi. Tę funkcję spełnia Organizacja Narodów Zjednoczonych, nieprawdaż?

– Rozmawialiśmy z jej przedstawicielami przez całe tygodnie – powiedział Calazar, wspierając Showm. – Nie zrobili nic, by zmienić naszą złą opinię na temat Ziemi, i wydawało się, że nie mają ochoty na spotkanie. Wasze transmisje pochodziły jednak z zupełnie innego rejonu Układu Słonecznego, co sugerowało, że nie chcecie, by dotarły do ogólnej wiadomości, i że jesteście również zainteresowani zachowaniem tajemnicy.

– Jaka jest przyczyna dziwnej postawy ONZ? – spytała Showm, spoglądając kolejno na Ziemi. W końcu zatrzymała wzrok na Heller.

Heller westchnęła ze znużeniem.

– Nie wiem – przyznała. – Może obawiają się konsekwencji zetknięcia z obcą, rozwiniętą cywilizacją.

– Podobnie może być z niektórymi przedstawicielami naszej rasy – stwierdził Calazar.

Huntowi wydawało się to nieprawdopodobne ze względu na niższy według thurieńskich standardów szczebel rozwoju Ziemi, ale pomyślał, że wszystko jest możliwe.

– Może więc powinniśmy nalegać na bezpośrednie rozmowy z organizacją – rzuciła Showm uszczypliwie.

Nikt nie zareagował.

Hunt nadal czegoś nie rozumiał, choć starał się odtworzyć bieg wydarzeń, widziany oczami Thurienów. Przez pewien czas na podstawie relacji przekazywanych przez tajemniczą „organizację”, o której nawet nie wspomniała załoga *Shapierona*, Ganimedejczycy budowali sobie obraz wojującej i zmilitaryzowanej Ziemi. Potem bezpośrednio do grupy Calazara dotarł nagle przekaz w języku ganimedejskim, zawiadamiający, że *Shapieron* znajduje się w drodze do domu. Kolejne transmisje z odwrotnej strony Księżyca przedstawiały inny obraz Ziemi niż raporty obserwatorów. Dlaczego jednak ustalenie, która wersja jest prawdziwa, było dla Thurienów tak ważne? Środki, jakie w tym celu przedsięwzięli, wskazywały



wyraźnie, że potraktowali sprawę zbyt poważnie, by dało się to wyjaśnić zwykłą akademicką ciekawością lub potrzebą rozwiązania wewnętrznych problemów.

– Zaczniemy od początku. Co z tym przekaźnikiem, czy jak go nazwać, który umieściliście na obrzeżach Układu Słonecznego? – zapytał Victor, kiedy rozjaśniło mu się w głowie.

– On nie jest nasz – sprostował Eesyan siedzący obok Calazara. – Sami nie wiemy, co to jest. My go tam nie umieściliśmy.

– Ależ musieliście – zaprotestował Hunt. – Wykorzystuje waszą technikę natychmiastowej łączności i ganimedejskie kody.

– Niemniej jest dla nas zagadką – odparł Eesyan. – Domyślamy się, że musi to być urządzenie obserwacyjne, obsługiwane nie przez nas, lecz przez wspomnianą organizację. Uległo uszkodzeniu i zaczęło wysyłać sygnały do naszych urządzeń odbiorczych.

– Ale odpowiedzieliście na nie – zauważył Hunt.

– Sądziliśmy wtedy, że pochodzą z *Shapierona* – odpowiedział Calazar. – Chodziło nam tylko o to, by zawiadomić załogę, że otrzymaliśmy wiadomość, że prawidłowo zidentyfikowali Gwiazdę Gigantów i że lecą we właściwym kierunku.

Hunt skinął głową. Zrobiłby to samo. Caldwell zmarszczył czoło, co świadczyło, że jeszcze czegoś nie rozumie.

– Dobrze, ale wracając do przekaźnika. Dlaczego nie dowiedzieliście się, co to jest? Potrafiliście w ciągu jednego dnia przesłać statek z Thurien na Ziemię. Dlaczego więc nie mogliście wysłać czegoś, żeby to sprawdzić?

– Jeśli to urządzenie rzeczywiście się popsuło i dlatego my odbieramy sygnały, to nie chcieliśmy się zdradzić – odparł Eesyan. – Zdobyliśmy za jego pośrednictwem parę interesujących informacji.

– Nie chcieliście, żeby dowiedziała się o tym... „organizacja”? – zapytała Heller zaintrygowana.

– Właśnie.

– Przecież oni już wiedzieli. Odpowiedź z Gwiazdy Gigantów podały wszystkie dzienniki na Ziemi. Musieli o tym wiedzieć, jeśli prowadzili obserwacje.

– Ale nie przechwytywali waszych przekazów – powiedział Eesyan. – Wiedzielibyśmy o tym.

Nagle Hunt zrozumiał, dlaczego Gwiazda Gigantów nie odpowiadała na transmisje z odwrotnej strony Księżyca, które nadawano przez miesiąc po odlocie *Shapierona*. Thurienowie nie chcieli ujawniać swojej bezpośredniej linii. To wyjaśniało, dlaczego po wznowieniu dialogu nalegali, by nic nie przekazywać za pośrednictwem ziemskiej sieci telekomunikacyjnej.

Heller zamilkła na moment i podniosła rękę do czoła, zbierając myśli.

– Ale oni nie mogli na tym poprzestać – powiedziała, podnosząc wzrok. – Z tego, co przechwycili z naszej sieci, zorientowali się, że wiecie o *Shapieronie*... a przecież nie powiedzieli wam o tym. Nie mogli nic nie zrobić w tej sprawie... nie wzbudzając podejrzeń. Musieli poinformować was w tym momencie, ponieważ wiedzieli, że jeśli tego nie zrobią, zaczniecie zadawać niewygodne pytania.

– Dokładnie tak zrobili – potwierdził Calazar.

– Więc nie zapytaliście ich, dlaczego nie powiedzieli o tym wcześniej? – zapytał Caldwell. – Przecież, do licha, statek był u nas przez sześć miesięcy.

– Zapytaliśmy – odparł Calazar. – Wytłumaczyli, że chodziło im o bezpieczeństwo *Shapierona*, i bali się, że próby ingerencji mogłyby narazić go na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Podjęli decyzję, że będzie lepiej, jeśli dowiemy się o wszystkim, kiedy statek znajdzie się poza Układem Słonecznym.

Caldwell prychnął, najwyraźniej nie usatysfakcjonowany wymówką „organizacji”.

– Nie poprosiliście ich o zapisy prowadzonych obserwacji?

– Poprosiliśmy – odpowiedział Calazar. – I pokazali je nam. Całkowicie usprawiedliwiały ich obawy o *Shapierona*.

Teraz Hunt wiedział, skąd pochodziły nieprawdziwe obrazy przybycia *Shapierona* na Ganimesa: od „organizacji”, która je sfabrykowała, podobnie jak przez cały czas fabrykowała raporty na temat Ziemi. Taką właśnie wersję pokazano ludziom Calazara. Jeśli wszystkie były tak doskonałym przemieszaniem rzeczywistości i fantazji, nic dziwnego, że przez całe lata nie podejrzewano oszustwa.

– Widziałem niektóre z tych zapisów – powiedział Hunt. W jego głosie brzmiało niedowierzanie. – W jaki sposób zaczęliście w ogóle podejrzewać, że nie są prawdziwe? Wydają się przecież niesamowicie autentyczne.

– To nie my – odparł Eesyhan. – To VISAR. Zapewne wiecie, że napęd *Shapierona* powoduje deformację czasoprzestrzeni wokół statku. Szczególnie wtedy, gdy działa główny napęd, ale do pewnego stopnia ma to również miejsce przy napędzie pomocniczym. Zjawisko to wystarcza, by w wymierny sposób zmienić pozorne położenie gwiazd wokół konturu statku. VISAR zauważył, że przewidywane przesunięcia na niektórych ujęciach są widoczne, a na innych wcale ich nie ma. I stąd zapisy i raporty na temat *Shapierona* stały się podejrzane.

– Ale nie tylko one – dodał Calazar. – Zaczęliśmy również wątpić we wszelkie inne informacje o Ziemi, jakie kiedykolwiek otrzymaliśmy, ale nie mogliśmy sprawdzić ich w podobny sposób. – Z powagą przesunął spojrzeniem po twarzach Ziemian. – Może teraz zrozumiecie, dlaczego tak nas to obchodziło. Mieliśmy dwa sprzeczne ze sobą obrazy Ziemi i żadnej możliwości sprawdzenia, który jest prawdziwy. Ale przypuśćmy, że Ziemianie są tak agresywni i irracjonalni, jak przez całe lata skłonni byliśmy sądzić, i że załogę *Shapierona* rzeczywiście przyjęto i potraktowano w przedstawiony nam sposób... – Nie dokończył zdania. – Co myślelibyście na naszym miejscu?

Wokół stołu zapanowała cisza. Thurienowie mieli prawo nie wiedzieć, w którą wersję wierzyć, przyznał w duchu Hunt. Jedyńm sposobem sprawdzenia faktów było wznowienie w sekrecie rozmów z Ziemią oraz doprowadzenie do bezpośredniego kontaktu. I dokładnie tak zrobili. Ale dlaczego było to takie ważne?

Nagle Lyn otworzyła usta i rozszerzonymi oczami popatrzyła na Calazara.

– Baliście się, że możemy zbombardować *Shapierona* czy coś w tym rodzaju! – powiedziała wstrząśnięta. – Gdybyśmy byli tacy, jak nas opisywano, nigdy nie puścilibyśmy statku na Thuriem.

Zaszokowane spojrzenia wokół mówiły, że nagle wszystko nabrało sensu również dla pozostałych. Nawet Caldwell wyglądał w tym momencie, jakby spuszczone z niego powietrze. Skandalem było to, co się stało z Jerolem Packardem, ale nikt nie mógł obwiniać Thuriemów za ich działania.

– Nie musieliście wcale czekać, żeby się tego dowiedzieć – stwierdził Hunt po paru sekundach. – Potraficie tworzyć czarne dziury, żeby przenosić się o całe lata świetlne. Dlaczego po prostu nie przechwyciliście statku i nie sprowadziliście go tutaj w jednej chwili? Z całą pewnością załoga najlepiej potrafiłaby zweryfikować raporty. Przebywała na Ziemi przez sześć miesięcy.

– Powody techniczne – odpowiedział Eesyam. – Thuriemski statek może w ciągu jednego dnia przeskoczyć układ planetarny, ale tylko dlatego, że ma na pokładzie urządzenie, które ogranicza zaburzenia grawitacyjne do minimum. Naturalnie *Shapieron* nie ma takiego urządzenia. Musieliśmy dać mu czas na pokonanie Układu Słonecznego, żeby nie dopuścić do zakłócenia orbit waszych planet. Gdyby nasze obawy okazały się bezpodstawne, byłoby to dla nas przykre. Ale podjęliśmy ryzyko. Musieliśmy w końcu wiedzieć, czy statek jest bezpieczny... nie mogliśmy dłużej zwlekać.

– Kiedy stało się jasne, że nie ma żadnych postępów w rozmowach z ONZ, postanowiliśmy działać – podjął Calazar. – Dopiero kiedy zaczęły nadchodzić wasze przekazy z Jowisza, zdecydowaliśmy, że jeszcze trochę poczekamy. Nasze statki i generatory od tej chwili stały przez cały czas w pogotowiu. Potrzebny był jedynie sygnał do rozpoczęcia operacji.

Hunt odchylił się na krześle i wypuścił powietrze. Niewiele brakowało. Gdyby Joe Shannon z Jowisza Pięć akurat w tych dniach czuł się niedysponowany, wszystkie ziemskie tabele astronomiczne wymagałyby opracowania od nowa.

– Lepiej by było, gdybyście dali ten sygnał.

Głos dobiegł od grupy Ziemian. Wszyscy obejrzeni się zaskoczeni na Danchekkera, który wyzywającym spojrzeniem mierzył obecnych, jak gdyby zachęcał ich do wyciągnięcia oczywistego wniosku. Ziemianie i Ganimedejczycy odpowiedzieli mu pustym wzrokiem.

Danchecker zdjął okulary, przetarł je chusteczką i z powrotem osadził na nosie, jak nauczyciel, który daje mało lotnym studentom czas na zastanowienie się nad rzuconym

pytaniem. Po co VISAR miałby powodować zaparowanie okularów istniejących tylko w czyjejś głowie? – zastanowił się Hunt. Cały ten rytuał był jedynie nawykiem profesora. W końcu Danchecker podniósł wzrok.

– Wydaje się oczywiste, że dotarcie *Shapierona* na Thurien nie leżałoby w interesie tej, hm, „organizacji”, odpowiedzialnej za prowadzenie obserwacji – jakkolwiek jest jej charakter. – Przerwał, żeby dotarło do nich pełne znaczenie jego słów. – A teraz pozwólcie mi postawić się na miejscu przywódców tej organizacji – podjął. Załóżmy, że nie wiem nic o tym spotkaniu ani o rozmowach między Ziemią a Thurien, gdyż moim źródłem informacji jest ziemski sieć telekomunikacyjna, a przecież nie dopuszczono do ujawnienia żadnych faktów. A zatem nie miałbym powodu sądzić, że moje fałszywe sprawozdania na temat Ziemi wzbudziły wątpliwości. Gdyby więc *Shapierona* spotkał, powiedzmy, jakiś nieszczęśliwy wypadek w pustce kosmicznej, miałbym pewność, że w razie podejrzeń o nieczystą grę Thurienowie na pierwsze miejsce listy winnych wpiszą Ziemian. – Skinął głową i na moment wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy przekonał się, jakie wrażenie wywierają jego słowa na obecnych przy stole. – Właśnie! – wykrzyknął i spojrział na Calazara. – Jeśli macie środki pozwalające na wyciągnięcie statku z obecnego kłopotliwego położenia, usilnie doradzałbym, żebyście bez dalszej zwłoki przeprowadzili taką akcję!

## Rozdział dwunasty

Niels Sverenssen leżał oparty o poduszki w swojej kwaterze w Giordano Bruno i patrzył na dziewczynę ubierającą się w drugim końcu pokoju. Była młoda i całkiem ładna, z czystą cerą i wyrazistymi rysami, typowymi dla wielu Amerykanek, a rozpuszczone czarne włosy tworzyły ciekawy kontrast z białą skórą. Powinna częściej korzystać z łóżek opalających, pomyślał. Jak w wypadku większości przedstawicielek płci pięknej, powierzchowne wykształcenie zdobyte w college'u nie sięgało głębiej niż warstewka pigmentu w jej skórze. W środku była równie nieskomplikowana, jak one wszystkie – niestety konieczna, choć całkiem przyjemna odmiana i sposób na oderwanie się od poważniejszych spraw. „Chcesz tylko mojego ciała”, oburzone wykrzykiwały przez całe lata. „A co innego możesz mi zaoferować?” brzmiała jego odpowiedź.

Skończyła zapinać bluzkę i odwróciła się do lustra, żeby przeczesać włosy.

– Wiem, że to dziwna pora na wychodzenie – powiedziała. – Ale naprawdę muszę być dzisiaj na pierwszej zmianie. I tak znowu się spóźnię.

– Nie przejmuj się – odparł Sverenssen, starając się nadać głosowi troskliwe brzmienie. – Pierwszeństwo dla rzeczy najważniejszych.

Dziewczyna zdjęła marynarkę z poręczy fotela i narzuciła na ramiona.

– Masz kasetę? – zapytała, odwracając się do Szweda.

Otworzył szufladę w szafce nocnej, sięgnął do środka i wyjął kasetę wielkości pudełka zapalek.

– Proszę. Pamiętaj, bądź ostrożna.

Dziewczyna podeszła do Sverenssena, wzięła kasetę, zawinęła ją w chusteczkę i wsunęła do kieszeni marynarki.

– Będę. Kiedy się znowu zobaczymy?

– Dzisiaj będę bardzo zajęty. Zawiadomię cię.

– Niech to nie potrwa zbyt długo.

Uśmiechnęła się, pocałowała go w czoło i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Profesor Gregor Malliusk, dyrektor obserwatorium astronomicznego w Giordano Bruno, nie wyglądał na zadowolonego, kiedy dziesięć minut później Janet zjawiała się w pokoju kontrolnym głównej czaszy radioteleskopu.

– Spóźniłaś się – przywitał ją gderliwie, kiedy wieszala marynarkę w jednej z szafek przy drzwiach i wkładała biały kitel. – John wyszedł dzisiaj wcześniej, ponieważ jedzie do Ptolemeusza, a ja musiałem go zastąpić. Mam zebranie za pół godziny i jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Sytuacja staje się nie do zniesienia.

– Przepraszam, profesorze – powiedziała. – Zaspałam. To się więcej nie powtórzy.

Podeszła szybko do tablicy kontrolnej i wprawnymi ruchami palców zaczęła kolejno wywoływać zarejestrowane w ciągu nocy zmiany stanu systemu.

Stojąc przy półkach ze sprzętem, Malliusk patrzył na nią nieszczęśliwym wzrokiem i starał się nie zwracać uwagi na smukłe zarysy jędrnego ciała, podkreślone przez biały materiał kitla, i kruczoczarne loki, beładnie rozsypane na ramionach.

– To znowu ten Szwed, nieprawdaż? – burknął, nie mogąc się powstrzymać.

– To moja sprawa – powiedziała Janet, nie podnosząc wzroku i odważnie nadając głosowi dość ostry ton. – Już obiecałam, że to się więcej nie powtórzy. – Zaciśnęła usta i energicznie uderzyła w klawisze, zmieniając zestaw danych na ekranie.

– Nie dokończono wczoraj sprawdzania 557 B – rzucił Malliusk lodowato. – Miało zostać wykonane zgodnie z planem.

Janet zawahała się, zamknęła na moment oczy i przygryzła wargi.

– Cholera! – mruknęła pod nosem, a potem dodała głośniejszym głosem: – Zrezygnuję z przerwy i dokończę je. Nie zostało już dużo.

– John już to zrobił.

– Ja... przepraszam. Zostanę o godzinę dłużej w czasie jego zmiany.

Malliusk patrzył na nią przez chwilę z nachmurzoną miną, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, nic więcej nie mówiąc.

Kiedy skończyła sprawdzać stan systemu, wyłączyła ekran i przeszła do pokoiku z pomocniczym procesorem telekomunikacyjnym, otworzyła pokrywę i do pustej szczeliny włożyła kasetę, którą dał jej Sverenssen. Później podeszła do konsoli i wprowadziła zawartość kasety do bufora zawierającego przygotowane tego dnia do wysłania komunikaty. Nie wiedziała, dokąd zostaną wysłane, ale miały związek z goszczącą w Bruno delegacją. Malliusk zawsze osobiście zajmował się techniczną stroną tej operacji i nigdy nie rozmawiał o tym z resztą personelu.

Sverenssen powiedział jej, że kaseeta zawiera pewne dane, które nadeszły zbyt późno, by je włączyć do już ułożonego komunikatu. Wszystko, co wychodziło na zewnątrz, musiało być zatwierdzone przez delegatów, ale głupotą byłoby zwoływanie ich tylko dla podpisania takiego drobiazgu. Niektórzy z nich mogą poczuć się urażeni i dlatego powinna zachować dyskrecję. Podobało się jej, że obdarzono ją zaufaniem w sprawie międzynarodowej wagi,

zwłaszcza że zaufała jej ktoś tak wyrafinowany i światowy. Nawet jeśli to był tylko drobiazg. To takie romantyczne! I kto wie? Z tego, co mówił Sverenssen, wynikało, że na dłuższą metę może sobie zaskarbić u niego sporą przychylność.

– Jest tutaj gościem, podobnie jak reszta was, i zrobiliśmy wszystko, by pójść mu na rękę – później tego ranka mówił Malliusk do Sobroskina w biurach delegacji radzieckiej. – Ale to koliduje z pracą naszego obserwatorium. Nie muszę chyba iść mu na rękę do tego stopnia, by dezorganizować własną pracę. A poza tym protestuję przeciwko podobnemu zachowaniu na moim własnym terenie, szczególnie jeśli chodzi o człowieka o takiej pozycji. To niestosowne.

– Nie mogę mieszać się w sprawy osobiste, które nie mają związku z negocjacjami – oświadczył Sobroskin, starając się postępować dyplomatycznie, gdyż wyczuł, że pod oburzeniem naukowca kryje się coś więcej niż pogwałcenie zasad przyzwoitości. – Może byłoby właściwiej, gdybyś sam spróbował porozmawiać ze Sverenssenem. Ostatecznie ona jest twoją asystentką i cierpi na tym wszystkim praca twojego działu.

– Już to zrobiłem i reakcja nie była należyta – odparł Malliusk chłodno. – Jako Rosjanin, domagam się, żeby moją skargę przekazano do właściwego ministerstwa w rządzie radzieckim, zajmującego się sprawą tej delegacji, wraz z prośbą o wywarcie nacisku za pośrednictwem ONZ. Dlatego rozmawiam z tobą jako przedstawicielem tego rządu.

Sobroskina nie interesowała zazdrość Malliuska i nie chciał wywoływać w Moskwie zamieszania z jej powodu. Przede wszystkim zbyt wielu ludzi zapragnęłoby dowiedzieć się, co robi delegacja na Księżycu, zaczęto by zadawać najróżniejsze pytania i węszyć. Z drugiej strony jednak, Malliusk najwyraźniej chciał, żeby coś zrobiono w tej sprawie, i gdyby Sobroskin odmówił, nie wiadomo, do kogo profesor zadzwoniłby w następnej kolejności. Naprawdę nie miał wielkiego wyboru.

– Dobrze – zgodził się w końcu z westchnieniem. – Zostaw mi to. Zobaczę, czy będę mógł porozmawiać ze Sverenssenem dziś lub jutro.

– Dziękuję – oficjalnie odpowiedział Malliusk i wymaszerował z gabinetu.

Sobroskin rozmyślał przez chwilę, potem otworzył sejf i wyjął z niego akta, które na jego prośbę przysłał mu nieoficjalnie stary przyjaciel z radzieckiego wywiadu wojskowego. Spędził trochę czasu, przeglądając ich zawartość, żeby odświeżyć pamięć, a potem zmienił pierwotny zamiar.

Wiele dziwnych rzeczy odnotowano w aktach Nielsa Sverenssena, Szweda, urodzonego rzekomo w Malmö w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, kiedy zatrudnił się w Afryce jako najemnik i pojawił się dziesięć lat później w Europie ze sprzecznymi relacjami na temat tego, gdzie był i co robił. W jaki sposób nagle wyłonił się z nicości jako człowiek ze sporym majątkiem i wysoką pozycją społeczną, ale nie mogący udokumentować swojej dotychczasowej działalności? W jaki sposób nawiązał w tajemnicy międzynarodowe stosunki?

Lista jego podbojów przedstawiała się imponująco. Ciekawa była historia z żoną niemieckiego finansisty... i rywala, który publicznie poprzysiągł zemstę, a niecały miesiąc później w podejrzanych okolicznościach uległ wypadkowi na nartach. Wiele wskazywało na to, że przekupiono pewne osoby, by zamknąć śledztwo. Tak, Sverenssen miał kontakty, których wolałby nie ujawniać, i potrafił je bezwzględnie wykorzystać w razie potrzeby, pomyślał Sobroskin.

A dlaczego ostatnio – konkretnie w ciągu zeszłego miesiąca – Szwed regularnie i w tajemnicy kontaktował się z Verikoffem, specjalistą od telekomunikacji kosmicznej z Akademii Nauk w Moskwie? Verikoff był ściśle związany ze sprawą tajnego kanału łączności z Gwiazdą Gigantów. Rząd radziecki nie rozumiał polityki ONZ, choć mu odpowiadała, a to oznaczało konieczność ukrywania niezależnego kanału. Amerykanie bez wątpienia domyślili się wszystkiego, ale nie byli w stanie niczego dowieść. Ich strata. Jeśli upierali się przy swoich wyobrażeniach o czystej grze, to już ich zmartwienie. Ale dlaczego Verikoff rozmawiał ze Sverenssenem?

I wreszcie, w minionych latach Sverenssen zawsze energicznie popierał dążenia do strategicznego rozbrowienia, a także ogólnoswiatową współpracę i zwiększenie potencjału gospodarczego. Dlaczego więc teraz zgadzał się z polityką ONZ, która zdawała się nie sprzyjać wykorzystaniu największej okazji, jaka kiedykolwiek nadarzyła się ludzkiej rasie? Wydawało się to dziwne. Wszystko, co miało związek ze Sverenssenem, wydawało się dziwne.

Co jednak miał zrobić z asystentką Malliuska? Malliusk powiedział, że to Amerykanka. Może istniał sposób, by załatwić tę irytującą sprawę, nie zwracając uwagi Sverenssena; akurat teraz Sobroskinowi szczególnie na tym zależało. Odkładając na bok lojalność, podziwiał sposób, w jaki Pacey bronił stanowiska swojego kraju po wyjeździe Heller, i dosyć dobrze poznał Amerykanina na gruncie towarzyskim. Prawdę mówiąc, to wstyd, że w tej szczególnej sprawie ZSRR i USA nie znajdowały się po tej samej stronie stołu. Ich przedstawiciele wydawali się mieć więcej wspólnego ze sobą niż z resztą delegacji. Tak czy inaczej, przyznał sam przed sobą, na dłuższą metę nie będzie to miało większego znaczenia. Jak przy pewnej okazji powiedziała Karen Heller, powinni myśleć o przyszłości ludzkiej rasy. Trudno było się z nim nie zgodzić. Jeśli właściwie oceniał kontakt z Gwiazdą Gigantów, za pięćdziesiąt lat nie będzie problemu różnic narodowych, może nawet nie będzie narodów. Ale tak uważał jako człowiek. Tymczasem, jako Rosjanin, miał zadanie do wykonania.

Pokiwał głową, zamknął akta i schował je do sejf. Spotka się z Normanem Paceyem i zapyta go, czy nie mógłby dyskretnie porozmawiać z dziewczyną. Przy odrobinie szczęście sprawa sama się rozwiąże, pozostawiając po sobie zaledwie parę zmarszczek, które wkrótce się wygładzą.



## Rozdział trzynasty

Na ekranie zajmującym prawie całą ścianę widniał obraz planety widzianej z odległości kilku tysięcy kilometrów. Większość jej powierzchni zajmował ocean, niebieski lub przesłonięty spiralami chmur, z których wyłaniały się kontynenty o różnych barwach – od żółtobrązowych i zielonych na równiku aż po śnieżnobiałe na biegunach. Był to ciepły, słoneczny i wesoły świat, ale ekran nie oddawał kipiącej energii życiowej, którą Garuth czuł, kiedy parę miesięcy temu robił to zdjęcie.

Garuth, dowódca naukowej wyprawy na statku o dalekim zasięgu, *Shapieronie*, siedział w swojej prywatnej kabinie, wpatrując się w ostatni obraz Ziemi i rozmyślając o nieprawdopodobnej rasie istot, które powitały powrót jego statku z długiej tułaczki po tajemniczej rzeczywistości o spowolnionym upływie czasu. Dwadzieścia pięć milionów lat wcześniej, choć niewiele ponad dwadzieścia według zegarów *Shapierona*, Garuth i jego towarzysze opuścili kwitnącą cywilizację Minerwy, żeby przeprowadzić naukowy eksperyment na gwiazdzie zwanej Ischaris. Gdyby eksperyment przebiegał zgodnie z planem, wróciliby do domu po dwudziestu trzech latach, tracąc z własnego życia niecałe pięć. Ale eksperyment nie przebiegał tak, jak zaplanowano, i zanim *Shapieron* wrócił, Ganimedejczycy zniknęli z Minerwy. Pojawili się Lunarianie, zbudowali własną cywilizację, rozbili się na dwa wrogie obozy i w rezultacie zniszczyli siebie i planetę. Ziemię opanował *Homo sapiens* i zapisał kilkadziesiąt tysięcy lat swojej historii.

W ten sposób *Shapieron* zetknął się z ludźmi. Tragicznie zdeformowane mutanty, pozostawione przez Ganimedejczyków i toczące nierówną walkę z surowym i nieprzyjaznym środowiskiem, przekształciły się w dumne i buntownicze istoty, które nie tylko przetrwały, ale z pogardą śmiały się z wszelkich przeszkód, jakie świat próbował cisnąć im pod nogi. Układ Słoneczny, niegdyś wyłączne terytorium cywilizacji ganimedejskiej, stał się prawowitą własnością ludzkiej rasy. Tak więc *Shapieron* jeszcze raz wyruszył w otchłań kosmosu w samotnym poszukiwaniu Gwiazdy Gigantów, przypuszczalnym nowym domu Ganimedejczyków.

Garuth westchnął. Skąd te przypuszczenia? Spekulacje nie poparte żadnym dowodem, który uznałby początkujący student logiki. Chwycili się mglistej możliwości, by zracjonalizować decyzję podjętą z powodów znanych tylko Garuthowi i paru oficerom. Wytwór wyobraźni Ziemian, których optymizm i entuzjazm nie znały granic.

Niewiarygodni Ziemianie...

Wmówili sobie, że mit o Gwieździe Gigantów jest prawdziwy, i zebrali się, by życzyć Ganimedejczykom szczęścia przed odlotem, wierząc, podobnie jak większość załogi, w podany przez Garutha powód – że krucha ziemską cywilizacja jest jeszcze zbyt młoda, by wytrzymać koegzystencję z obcą populacją, której wielkość i wpływy wkrótce by wzrosły. Było jednak paru Ziemian, jak amerykański biolog Danchecker i Anglik Hunt, którzy domyślali się prawdziwego powodu – a mianowicie, że dawno temu Ganimedejczycy stworzyli przodków Homo sapiens. Ludzka rasa przetrwała i rozkwitła pomimo wszelkich przeciwności losu, jaki zgotowali jej Ganimedejczycy. Ziemia zdobyła sobie prawo do wolności od ganimedejskiej ingerencji; ta ingerencja była już i tak zbyt duża.

Tak więc Garuth pozwolił swoim ludziom uwierzyć w mit i podążyć za nim w nicość. Decyzja była trudna, ale zasługiwali na nadzieję, przynajmniej do czasu, powiedział sobie. Nadzieja podtrzymywała ich w trakcie długiej podróży z Iscaris. Teraz znowu mu zaufali, tak jak wtedy. Z pewnością nie było złem pozwolić im na to, dopóki nie dowiedzą się tego, co wiedzieli już teraz Garuth i garstka wybranych, a prawdopodobnie i niektórzy Ziemianie, jak Danchecker i Hunt. Ale nigdy się nie przekona, ile naprawdę odkryli ci dwaj przyjaciele ze zdumiewającej rasy porywczych, a czasami agresywnych karłów. Nigdy nie miał ich już zobaczyć.

Od chwili odlotu z Ziemi Garuth mnóstwo razy w ciszy i samotności wpatrywał się w ten obraz oraz w mapy gwiazdne, przedstawiające odległy ceł podróży, leżący o wiele lat przed nimi i świecący jak jeszcze jeden nic nie znaczący punkcik pośród milionów innych. Istniała, oczywiście szansa, że ziemscy naukowcy mają rację. Zawsze był cień nadziei, że... musi się opanować! Puszczą wodze fantazji, a to tylko mrzonki.

Wyrwał się z zamyślenia i wyprostował w fotelu. Miał pracę do wykonania.

– ZORAC – powiedział na głos. – Skasuj obraz. Zawiadom Shilohin i Monchara, że chciałbym się z nimi później zobaczyć. Najlepiej zaraz po wieczornym koncercie. – Obraz Ziemi zniknął. – Chciałbym też ponownie przejrzeć propozycję zmiany programu dla trzeciego poziomu nauczania.

Ekran ożył w jednej chwili, ukazując tablicę statystyczną i parę testów. Garuth studiował je przez jakiś czas, kazał ZORACOWI wpisać parę uwag i poprawek, a potem poprosił o kolejne strony. Dlaczego w ogóle przejmował się jakimś programem edukacyjnym, który służy jedynie zachowaniu pozorów normalności? Swoją decyzją skazał dzieci, podobnie jak resztę załogi, na to, że nie oplakiwane przez nikogo znikną w międzygwiazdnej otchłani, nie

znając innego domu oprócz *Shapierona*. Dlaczego troszczył się o szczegóły programu edukacyjnego, który nikomu nie był potrzebny?

Odepchnął od siebie tę myśl i skupił się na pracy.

## Rozdział czternasty

– Wiem, że nie mam prawa wtrącać się w twoje prywatne życie i nie próbuję tego robić. – Norman Pacey mówił te słowa, siedząc w fotelu w swoim prywatnym pokoju w Bruno kilka godzin po rozmowie z Sobroskinem. Starał się, by jego głos brzmiał rozsądnie i łagodnie, ale jednocześnie zdecydowanie. – Ale kiedy wciąga się mnie w sprawę, która w dodatku może wpłynąć na pracę całej delegacji, muszę zareagować.

Siedząca naprzeciwko Janet słuchała jego słów, nie zmieniając wyrazu twarzy. Jedyne jej oczy lekko zwilgotniały, ale Pacey nie potrafił powiedzieć, czy to z powodu żalu, gniewu czy też kataru.

– Myślę, że to było trochę głupie – odezwała się w końcu cicho.

Pacey westchnął w duchu i zrobił wszystko, żeby tego nie okazać.

– Tak czy owak Sverenssen powinien być mądrzejszy – stwierdził, mając nadzieję, że ją pocieszy. – Do licha... nie mogę ci powiedzieć, co masz robić, ale przynajmniej bądź rozsądna. Jeśli chcesz skorzystać z mojej rady, to zapomnij o całej sprawie i skoncentruj się na pracy. Ale wszystko zależy od ciebie. Jeśli postanowisz inaczej, uważaj, żeby nie dać Malliuskowi powodów do skarg. Widzisz... jestem całkiem szczery.

Potarła dłonią wargi i uśmiechnęła się słabo.

– Nie jestem pewna, czy to będzie możliwe – wyznała.

– Jeśli pan chce znać prawdziwy powód, dla którego tak go irytuje cała sprawa, to podkochuje się we mnie od mojego przyjazdu.

Pacey jęknął cicho. Czuł, że przyjął rolę ojca, a ona to zaakceptowała. Teraz wysłucha zapewne historii jej życia. Nie miał czasu.

– O, Boże... – Rozłożył błagalnie ręce. – Naprawdę nie chcę mieszać się do twojego osobistego życia. Uważałem jedynie, że muszę coś w tej sprawie powiedzieć jako członek delegacji i przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Poprzestańmy może na tym i zostanmy przyjaciółmi, co? – Rozciągnął usta w uśmiechu i spojrzał na nią wyczekująco.

Ale ona chciała mówić dalej.

– To chyba dlatego, że wszystko tutaj na Księżycu wydawało się takie nowe i dziwne... – Wyglądała na trochę zakłopotaną. – Nie wiem... sądzę, że miło było poznać kogoś przyjaznego.

– Rozumiem. – Pacey uniósł rękę. – Nie wyobrażaj sobie, że jesteś pierwsza...

– Ale z nim rozmawiało się inaczej... Wszystko rozumiał, tak jak pan. – Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, spojrzała na Pacea w dziwny sposób, jak gdyby niepewna, czy powiedzieć coś, co jej właśnie przyszło do głowy. Pacey już miał wstać i zakończyć rozmowę, zanim dziewczyna zamieni pokój w prywatny konfesjonał, ale nie zdążył. – Jest jeszcze coś. Zastanawiałam się, czy mam o tym komuś napomknąć. Wtedy wszystko wydawało się w porządku, ale... och, nie wiem... to krępujące. – Zerknęła na niego, jakby czekając na zachętę. Pacey odpowiedział spojrzeniem nie wyrażającym najmniejszego zainteresowania. Ale i tak zaczęła mówić. – Dał mi parę mikropamięci z uzupełniającymi danymi, które miałam dołączyć do komunikatów nadawanych przez Malliuska. Podobno zwykle drobiazgi, ale... nie wiem... powiedział to jakoś dziwnie. – Odetchnęła z ulgą. – Tak czy inaczej, już pan teraz wie.

Postawa i zachowania Pacea zmieniły się nagle. Pochylił się do przodu i wstrząśnięty, wbił wzrok w dziewczynę. Oczy rozszerzyły się jej z przestachu, kiedy zdała sobie sprawę, że to poważniejsze, niż sądziła.

– Ile? – zapytał krótko.

– Trzy... Ostatnia dzisiaj rano.

– Kiedy dał ci pierwszą?

– Parę dni temu... może więcej. Zanim wyjechała Karen Heller.

– Co w nich było?

– Nie wiem. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Skąd miałabym wiedzieć?

– Och, przestań. – Pacey niecierpliwie machnął ręką. – Nie mów mi, że nie byłaś ciekawa. Mogłaś je odczytać na ekranie.

– Próbowałam – przyznała po paru sekundach. – Ale miały blokadę, która nie pozwalała na odczytanie ich w zwykły sposób. Musiały mieć wbudowaną sekwencję, aktywującą je jednorazowo na sygnał wywoławczy transmisji. Później samoczynnie się kasowały.

– I nie nasunęło ci to żadnych podejrzeń?

– Najpierw pomyślałam, że to jakaś wasza procedura zabezpieczająca... Potem nie byłam już taka pewna. Zaczęłam się niepokoić. – Przez chwilę spoglądała nerwowo na Pacea, a potem dodała nieśmiało: – On powiedział, że to tylko drobne uzupełnienia. – Jej ton świadczył jednak, że już w to nie wierzy.

Popadła w milczenie, podczas gdy Pacey siedział z nieobecny wyrazem twarzy, odruchowo wykręcając palce. Rozważał różne możliwości.

– Co jeszcze ci powiedział? – zapytał w końcu.

– Co jeszcze?

– Cokolwiek. Spróbuj przypomnieć sobie wszystkie dziwne lub niezwykle rzeczy, które powiedział lub zrobił... nawet głupstwa. To ważne.

– Cóż... – Janet zmarszczyła brwi i zapatrzyła się na ścianę za Paceyem. – Opowiedział mi o całej pracy na rzecz rozbrojenia, jaką wykonał, o swoim udziale w budowaniu autorytetu i potęgi ONZ... o ludziach na wysokich stanowiskach, których zna na całym świecie.

– Yhm. Wiemy o tym. Coś jeszcze? Po twarzy Janet przemknął uśmiech.

– Wścieka się, ponieważ daje mu pan wycisk na spotkaniach. Mam wrażenie, że on uważa pana za nędznego drania. Chociaż nie wiem, dlaczego.

– Tak.

Nagle wyraz jej twarzy się zmienił.

– Było coś jeszcze... niedawno... wczoraj. – Pacey czekał, nic nie mówiąc. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. – W jego kwaterze... byłam akurat w łazience. Ktoś z delegacji wszedł nagle do pokoju, bardzo podniecony. Nie jestem pewna, kto. Nie pan ani nie ten mały, łysy Rosjanin, ale jakiś cudzoziemiec. Tak czy inaczej, nie wiedział, że tam jestem, i od razu zaczął mówić. Niels uciszył go i słyszałam, że jest wściekły, ale tamten zdążył przekazać nowe wieści o czymś, co znajduje się daleko w kosmosie i wkrótce ma zostać zniszczone. – Zmarszczyła na moment czoło i potrząsnęła głową. – I to wszystko... przynajmniej tyle udało mi się usłyszeć.

Pacey wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Jesteś pewna, że to powiedział?

Janet potrząsnęła głową.

– Coś w tym rodzaju... nie jestem pewna. Woda leciała i... – Umilkła.

– Nie przypominasz sobie czegoś jeszcze.

– Nie... przykro mi.

Pacey wstał i wolno podszedł do drzwi. Przystanął na chwilę, zawrócił i zatrzymał się przed Janet.

– Posłuchaj, nie sądzę, byś zdawała sobie sprawę, w co się wpakowałaś – powiedział ze złowieszczą nutą w głosie.

Spojrzała na niego z przestraszeniem.

– Posłuchaj uważnie. Jest absolutnie konieczne, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Zrozumiałaś? Nikomu! Jeśli zamierzasz być rozsądna, zacznij od teraz. Nie powinno stąd wyjść żadne słowo, które mi powiedziałaś. – Pokiwała głową w milczeniu. – Chcę, żebyś mi to obiecała – zażądał.

Skinęła głową, a potem zapytała:

– Czy to znaczy, że nie mogę spotykać się z Nielsem? Pacey przygryzł wargi. Szansa zdobycia większej porcji informacji była kusząca, ale czy mógł ufać dziewczynie? Zastanawiał się przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Jeśli potrafisz trzymać buzię na kłódkę. Gdy zdarzy się coś niezwykłego, zawiadom mnie. Nie baw się w szpiega i nie szukaj kłopotów. Po prostu miej uszy i oczy otwarte, a kiedy zauważysz coś dziwnego, przekaż mi. Nikomu innemu. I niczego nie zapisuj. Dobrze?

Ponownie skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało.

– Dobrze – powiedziała.

Pacey przyglądał się jej przez chwilę, a potem rozłożył ręce na znak, że to już wszystko.

– Myślę, że to na razie wystarczy. Wybacz mi, ale czekają na mnie inne sprawy.

Janet wstała i szybko podeszła do drzwi. Już miała je zamknąć za sobą, kiedy Pacey zawołał.

– Janet... – Przystanęła i obejrzała się. – Na litość boską, postaraj się przychodzić punktualnie do pracy i trzymaj się z dala od tego twojego rosyjskiego profesora.

– Dobrze. – Zmusiła się do uśmiechu i wyszła.

Pacey zauważył, że od jakiego czasu Sobroskin, podobnie jak on sam, jest wykluczony ze skupiającej się wokół Sverenssena kliki. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że korzystając z polityki ONZ, Rosjanin prowadzi w imieniu Moskwy jakąś indywidualną grę. Jeśli tak, to Sobroskin nie mógł przynieść wiadomości, której fragment podsłuchiwała Janet. Nie chcąc przerywać ciszy radiowej w sprawie kontaktów Thurien i Ziemi, postanowił zaryzykować i sprawdzić swój domysł, umawiając się z Rosjaninem na spotkanie wieczorem w magazynie, który był rzadko odwiedzaną częścią bazy.

– Oczywiście nie mogę mieć pewności, ale może tu chodzić o *Shapierona* – powiedział Pacey. – Zdaje się, że istnieją dwie grupy Thurienów, które nie są ze sobą zupełnie szczerze. Rozmawialiśmy z grupą, której interes statku leży na sercu, ale skąd możemy wiedzieć, że nasi znajomi nie rozmawiali z tą drugą grupą? I skąd mamy wiedzieć, co zamierza ta grupa?

Sobroskin słuchał uważnie.

– Mówi pan o zakodowanych przekazach – stwierdził. Jak się należało spodziewać, wszyscy zaprzeczyli, że mają z nimi cokolwiek wspólnego.

– Tak – potwierdził Pacey. – Sądziliśmy, że to wy, ponieważ doskonale wiemy, że to nie my. Ale chętnie przyznam, że się myliliśmy. Przypuśćmy, że ONZ dla pozorów zorganizowała te rozmowy w Bruno, podczas gdy za kulisami prowadzi inną grę. Mogli zwodzić i was, i nas, jednocześnie pertraktując za naszymi plecami... Nie wiem, może z jedną grupą Thurienów, może z drugą albo z obiema.

– O jakiej grze pan mówi? – zapytał Sobroskin. Najwyraźniej próbował wyciągnąć jakieś informacje, trzymając swoje w zanadru.

– Kto wie? Ale martwię się o statek. Jeśli się mylę, to w porządku, ale nie możemy na to liczyć i nic nie robić. Jeżeli istnieją powody, by przypuszczać, że grozi mu niebezpieczeństwo, powinniśmy zawiadomić Thurienów. Może oni będą mogli coś zrobić.

Przez dłuższy czas myślał o zaryzykowaniu telefonu na Alaskę, ale w końcu z tego zrezygnował.

Sobroskin przez chwilę myślał intensywnie. Wiedział, że zakodowane przekazy przychodziły w odpowiedzi na radzieckie transmisje, ale nie było powodu, by o tym mówić. Lecz wyszła na jaw jeszcze jedna ciekawostka w związku ze Szwedem i Sobroskin pragnął wyjaśnić to do końca. Moskwie zależało na dobrych stosunkach z Thurienami, więc ostrzeżenie ich w sposób wymyślony przez Pacey'a nie mogło zaszkodzić. Gdyby obawy Amerykanina okazały się bezpodstawne, nie było nic do stracenia. Tak czy inaczej, nie miał już czasu na konsultację z Kremlem.

– Doceniam pańskie zaufanie – odezwał się w końcu i rzeczywiście mówił szczerze, co Pacey zauważył. – Co mam zrobić?

– Chcę użyć nadajnika w Bruno, żeby przesłać wiadomość – odparł Pacey. – Oczywiście, nie możemy puścić tego oficjalnym kanałem delegacji, a zatem musimy udać się bezpośrednio do Malliuska, żeby zajął się stroną techniczną. Ma kłopoty osobiste, ale myślę, że możemy mu zaufać. Nie zareagowałby na moją prośbę, ale może wysłucha pańskiej.

Sobroskin uniósł brwi w zdziwieniu.

– Dlaczego nie zwrócił się pan do tej amerykańskiej dziewczyny?

– Myślałem o tym, ale nie jestem do końca przekonany, czy można na niej polegać. Jest za blisko ze Sverenssenem.

Sobroskin zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

– Proszę mi dać godzinę. Zadzwonię do pańskiego pokoju i przekażę wieści. – Cmoknął w zamyśleniu, jak gdyby coś rozważał, i dodał: – Radziłbym być ostrożnym w tej sprawie z dziewczyną. Mamy raporty na temat Sverenssena. On może być niebezpieczny.

Spotkali się z Malliuskiem w pokoju kontrolnym głównej czaszy po wyjściu wieczornej zmiany, w czasie gdy astronomowie, którzy mieli objąć nocny dyżur, poszli na kawę. Malliusk zgodził się na ich prośbę dopiero wtedy, gdy Sobroskin podpisał oświadczenie, że sam domagał się podjęcia akcji jako oficjalny przedstawiciel rządu radzieckiego. Malliusk schował to oświadczenie do prywatnych papierów. Potem zamknął drzwi i użył głównej konsoli, by ułożyć i przekazać wiadomość, którą podyktował Pacey. Żaden z Rosjan nie rozumiał, dlaczego Pacey upierał się przy podpisaniu przekazu własnym nazwiskiem; nie był jeszcze przygotowany do wyjawienia niektórych rzeczy.



## Rozdział piętnasty

Monchar, zastępca Garutha, był wyraźnie spięty, kiedy Garuth przybył na alarmujące wezwanie na pokład nawigacyjny *Shapierona*.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Coś zakłóca pole naprężeń wokół statku – oznajmił w odpowiedzi na pytanie Garutha. – Jakaś zewnętrzna siła niszczy naszą strukturę geodetyczną. Następuje dezintegracja siatki. ZORAC nie może sobie dać z tym rady. Teraz próbuje wykonać nowe obliczenia.

Garuth odwrócił się do Shilohin, głównego naukowca wyprawy, która stała pośrodku małej grupki członków załogi, obserwując ekrany.

– Co się dzieje? – zapytał.

Bezradnie potrząsnęła głową.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Mamy tu do czynienia z asymetrią czasoprzestrzeni o współrzędnych wykładniczo przekształcających się we własną odwrotność. Załamuje się cała struktura obszaru przestrzeni, w którym się znajdujemy.

– Czy mamy zdolność manewrowania?

– Zdaje się, że nic nie działa. Dywertery są nieskuteczne, a korektory wzdłużne nie dają sobie rady nawet na pełnej mocy.

– ZORAC, raport! – zawołał Garuth.

– Nie da się skonstruować siatki sprzężonej z normalną przestrzenią – odpowiedział komputer. – Innymi słowy, zgubiłem się. Nie wiem, gdzie jesteśmy, dokąd lecimy, a nawet, czy w ogóle lecimy, a zresztą i tak nie mam żadnej kontroli. Poza tym wszystko w porządku.

– Stan systemu? – spytał Garuth.

– Wszystkie czujniki, kanały i podsystemy sprawdzone. Działają normalnie. Nie, nie jestem chory i nie wymyślam sobie tego.

Garuth stał zakłopotany. Twarze wszystkich obecnych na pokładzie nawigacyjnym zwrócone były w jego stronę. Czekali na rozkazy, ale jakie rozkazy mógł wydać, jeśli nie miał pojęcia, co się dzieje i co można na to poradzić.

– Wezwij wszystkie stanowiska, aby przygotowały się do postępowania awaryjnego i czekały na dalsze instrukcje – powiedział, żeby sprostać oczekiwaniom.

Jeden z członków załogi odwrócił się do pulpitu sterowniczego i przekazał rozkazy.

– Całkowita dyslokacja pola naprężeń – mruknęła Shilohin, odczytując z ekranów ostatnie dane. – Zostaliśmy pozbawieni jakiegokolwiek punktu odniesienia.

Naukowcy skupieni wokół niej patrzyli ponuro. Monchar nerwowo chwycił za brzeg najbliższej konsoli.

Wtedy rozległ się ponownie głos ZORACA.

– Zaobserwowane zmiany cofają się szybko. Funkcje sprzęgające i translacyjne wznowione. Odtworzenie siatki i synchronizacja punktów odniesienia.

– Może z tego wyjdziemy – powiedziała Shilohin spokojnie.

Wokół dały się słyszeć pełne nadziei szepty. Ponownie przestudiowała wskazania na monitorach i nieco się odprężyła.

– Pole naprężeń nie wraca do normy – zakomunikował ZORAC. – Coś z zewnątrz je tłumi, wymuszając powrót do prędkości subgrawitacyjnej. Pełna integracja przestrzenna nieunikniona i bliska. – Coś spowalniało statek i zmuszało do wznowienia kontaktu z resztą wszechświata. – Całkowita integracja. Znowu mamy kontakt z wszechświatem... – Nastąpiła niezwykle długa przerwa. – Ale nie wiem, z jaką częścią. Zdaje się, że zmieniliśmy nasze położenie w przestrzeni.

Pośrodku podłogi rozjaśnił się sferyczny ekran, ukazując gwiazdy otaczające statek. W niczym nie przypominało to widoku z okolic Układu Słonecznego, który nie powinien był zmienić się nie do poznania od czasu odlotu *Shapierona* z Ziemi.

– Zbliży się do nas kilka dużych, sztucznych obiektów – zameldował ZORAC po krótkiej przerwie. – Konstrukcja nieznana, ale najwyraźniej są to produkty techniki. Wnioski: zostaliśmy przechwyceni w nieznanym sposób, w nieznanym celu, i przeniesieni w nieznanym miejsce przez nieznaną formę inteligencji. Oprócz tych niewiadomych, wszystko jest jasne.

– Pokaż nam te obiekty – rozkazał Garuth.

Trzy ekrany wokół stanowiska dowodzenia ukazały pochwycony z różnych kierunków widok zbliżających się na tle gwiazd ogromnych statków, jakich Garuth nigdy nie widział. On i jego oficerowie mogli tylko stać i wpatrywać się w nie w grobowym milczeniu. Zanim ktokolwiek zdołał wydobyć z siebie głos, ZORAC poinformował:

– Mamy łączność z nie zidentyfikowanym statkiem. Używają naszego standardowego kodu. Daję ich na główny monitor.

Parę sekund później na dużym ekranie ukazał się obraz. Wszyscy Ganimedejczycy znajdujący się na pokładzie nawigacyjnym zamarli, oszołomieni tym, co ujrzeli.

– Nazywam się Calazar – powiedziała istota z ekranu. – Pozdrowienia dla wędrowców, którzy dawno temu wyruszyli na Ischaris. Wkrótce przybędziecie do nowego domu. Bądźcie cierpliwi, wszystko wam wyjaśnimy.

To był Ganimedejczyk... nieco zmieniony, ale na pewno Ganimedejczyk. W głowie Garutha eksplodowały pomieszane uczucia radości, podniecenia i niedowierzania. To mogło oznaczać tylko jedno – że wiadomość wysłana przez Ziemian z Księżyca dotarła do celu. W jednej chwili znalazł się sercem przy porywczym, niepohamowanym, nienasyconym Ziemianach. Mimo wszystko mieli rację. Kochał ich, każdego z osobna.

Zewsząd dobiegały okrzyki zdumienia, kiedy wszyscy jeden po drugim, zdali sobie sprawę, co się wydarzyło. Monchar kręcił się w kółko, wymachując rękami w nie kontrolowanym wybuchu emocji, a Shilohin opadła na wolny fotel i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w milczeniu w ekran.

Wtedy ZORAC potwierdził to, co już wiedzieli.

– Na podstawie zapisów przez ekstrapolację zidentyfikowałem okoliczne gwiazdy i ustaliłem nasze położenie. Nie pytajcie mnie, jak to się stało, ale wydaje się, że nasza podróż dobiegła końca. Jesteśmy w układzie Gwiazdy Gigantów.

Niecałą godzinę później Garuth wprowadził pierwszą grupę Ganimedejczyków przez luk jednej z podjednostek *Shapierona* do jasno oświetlonej grodzi thurieńskiego statku. Zbliżyli się do czekających w milczeniu postaci i odprawili krótki rytuał powitalny, w czasie którego tama w końcu pękła i cała nagromadzona w wędrowcach udręka i nadzieja wylały się w powodzi śmiechów i łez. Było już po wszystkim. Skończyła się długa tułaczka, a tułacze znaleźli się w domu.

Potem zaprowadzono nowo przybyłych do bocznej sali i poproszono, żeby położyli się na parę minut na kojach. Celu nie wyjaśniono. Ganimedejczycy doświadczyli dziwnej serii zakłóceń zmysłów, po której wszystko wróciło do normy. Powiedziano im wtedy, że proces jest zakończony. Następnie Garuth wraz ze swoimi towarzyszami opuścił boczną salę i udał się z powrotem do miejsca, w którym zgromadzili się Thurienowie... i nagle stanął jak wryty, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Wysunięta nieco przed Thurienów, bezwstydnie śmiejąc się z całkowitego osłupienia Ganimedejczyków, stała niewielka grupka znajomych, różowych karłów. Garuth otworzył usta i po chwili je zamknął, nie wydając żadnego dźwięku. Ponieważ dwie postacie, zbliżające się ku niemu na czele pozostałych, to byli...

– Co cię zatrzymało Garuth? – zapytał Hunt wesoło. – Przegapiłeś po drodze jakiś znak?

– Wybacz, że bawię się twoim kosztem – powiedział Danchecker, nie mogąc powstrzymać chichotu. – Ale obawiam się, że wyraz twojej twarzy nieodparcie do tego prowokuje.

Za nimi Garuth dostrzegł inną znajomą postać – krępą, przysadzistą, ze szpakowatymi, sztywnymi włosami i ostrymi rysami. To był przełożony Hunta z Houston, a obok niego stała rudowłosa dziewczyna, która tam również pracowała. Oprócz nich zauważył nieznanego mężczyznę i drugą kobietę. Garuth zmusił się do zrobienia kroku i mimo oszołomienia

zobaczył, że Hunt wyciąga rękę w ziemskim geście pozdrowienia. Garuth wymienił z nim serdeczny uścisk dłoni, a potem z pozostałymi. Nie byli tylko złudzeniem optycznym; byli prawdziwi. Thurienowie musieli ich na tę okazję sprowadzić z Ziemi w sposób nie znany w czasach Minerwy.

Potem odsunął się, żeby jego towarzysze mogli przywitać się z Ziemianami, i powiedział spokojnie do laryngofonu, który łączył go z *Shapieronem*, lecącym niedaleko thurieńskiego statku.

– ZORAC, czy ja nie śnię? Czy to się dzieje naprawdę?

ZORAC mógł śledzić wydarzenia za pośrednictwem zminiaturyzowanych kamer telewizyjnych, które Ganimedejczycy ze statku mieli zamontowane w noszonych na głowie słuchawkach.

– Nie wiem, co masz na myśli – odpowiedział w słuchawkach ZORAC. – Widzę jedynie sufit. Wszyscy leżycie w czymś w rodzaju foteli i nie poruszyliście się od dziesięciu minut.

Garuth nic nie rozumiał. Rozejrzał się i zobaczył, że Hunt i Calazar zbliżają się do niego przez tłum Ganimedejczyków i Ziemian.

– Widzisz ich? – zapytał dyskretnie.

– Kogo?

Zanim zdołał odpowiedzieć, odezwał się inny głos:

– To nie był ZORAC. To ja naśladowałem jego głos. Pozwól, że się przedstawię – jestem VISAR. Chyba już czas, żeby wyjaśnić parę rzeczy.

– Ale nie tutaj – powiedział Hunt. – Przejdźmy się po statku. Trzeba wyjaśnić wiele rzeczy.

Garuth popadł w jeszcze większe zdumienie. Hunt słyszał i rozumiał wymianę zdań, chociaż nie nosił żadnych urządzeń audiowizualnych, a rozmowę prowadzono po ganimedejsku.

Calazar czekał, aż zakończą się powitania. Potem skinął ręką i poprowadził mieszaną grupę Ziemian i Ganimedejczyków w głąb ogromnego statku kosmicznego z Thuriem, odległej teraz zaledwie o parę godzin lotu.

## Rozdział szesnasty

Hunt i Danchecker znajdowali się gdzieś w bezmiarze przestrzeni kosmicznej. Ogromne, mroczne pomieszczenie wypełniały kabiny, które wyglądały jak budki telefoniczne, a między nimi na podłodze jaśniały sadzawki przytłumionego światła, poza tym wszystko ginęło w ciemnościach. Dominowało słabe, trupio białe światło gwiazd, jasnych i nie mrugających.

Po powitaniu *Shapierona* w okolicach układu Gwiazdy Gigantów Jerol Packard, który do tej pory już doszedł do siebie, uznał, że należy zostawić obie grupy Ganimedejczyków we własnym towarzystwie. Pozostali Ziemianie przyznali mu rację. Skorzystali z uprzejmości VISARA, żeby złożyć parę „wizyt” i poznać osiągnięcia thurieńskiej cywilizacji. Packard i Heller udali się do Thurios, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o systemie społecznym, podczas gdy Caldwell i Lyn wybrali się na dłuższą wycieczkę z przystankami co parę lat świetlnych, by poobserwować w działaniu thurieńską technikę kosmiczną. Hunt i Danchecker, zaciekawieni operacją przechwycenia *Shapierona*, chcieli się dowiedzieć, jak generowano energię potrzebną do wytworzenia ogromnej czarnej dziury i jak przesyłano ją na tak niezmierną odległość. VISAR zaoferował się pokazać im thurieńską siłownię i natychmiast znaleźli się w jednej z nich.

Stali pod wielką, przezroczystą kopułą, stanowiącą część zawieszoną w przestrzeni konstrukcji. Ale cóż to była za konstrukcja! Na prawo, na lewo, z przodu i z tyłu kopuły ciągnęły się, zaginając łagodnie ku górze, metalowe ramiona o zawilej architekturze i zbiegały się w oddali, sprawiając swym ogromem niemal przerażające wrażenie. Ziemianie stali w punkcie przecięcia dwóch płtykich półksiężyców, jakby odcinków równika i jednego z południków na globusie. Końce czterech półokrągłych ramion podtrzymywały długie, wąskie, cylindryczne kształty, których osie zdawały się zbiegać w odległym miejscu – jak cztery gigantyczne lufy wymierzone w cel. Trudno było ocenić, jak daleko sięgają, ponieważ brakowało znajomych punktów odniesienia.

Z jednego boku, nieco dalej, znajdowała się identyczna konstrukcja, składająca się z dwóch przecinających się półksiężyców, zakończonych czterema cylindrami, a dalsze szczegóły gubiły się z powodu odległości i skrótu perspektywicznego. Z drugiej strony

widniała kolejna konstrukcja, a następne u góry oraz u dołu. Hunt stwierdził, że wszystkie rozmieszczone są symetrycznie w przestrzeni wokół wspólnego środka i stanowią wycinki wymyślonej sfery – jak fragmenty podartego i rozrzuconego rysunku technicznego – a lufy są gwiazdziste wycelowane w środek. W oddali, w centrum tej konfiguracji, wisiała w próżni niesamowita aureola z zamglonego, rozproszonego światła gwiazd, zabarwiona domieszką fioleto.

VISAR dał im trochę czasu, by się napatrzyli, a potem ich poinformował:

– Znajdujecie się teraz jakieś osiemdziesiąt milionów kilometrów od układu Gwiazdy Gigantów, w czymś, co nazywa się streserem. Jest ich sześć i razem wytyczają granicę wokół sferycznego wycinka przestrzeni. Każde z ramion ma długość rzędu ośmiu tysięcy kilometrów. W takiej właśnie odległości znajdują się cylindry, co powinno dać wam wyobrażenie o ich rozmiarach.

Danchecker spojrział na Hunta w osłupieniu, uniósł głowę, żeby ponownie ogarnąć wzrokiem widok, a następnie znowu popatrzył na Hunta. Hunt odpowiedział mu szklanym wzrokiem.

VISAR kontynuował:

– Stresery indukują zakrzywienie czasoprzestrzeni, które zwiększa się w kierunku środka, powodując kolaps w samym centrum i powstanie czarnej dziury. – Z nicości wyłonił się jasnoczerwony krąg, którym VISAR zaznaczył zamglony obszar. – Dziura znajduje się w środku okręgu – powiedział. – Halo to zakrzywione światło gwiazd. Ten obszar działa jak grawitacyjna soczewka. Sama dziura znajduje się w odległości szesnastu tysięcy kilometrów od was, a przestrzeń, w której teraz przebywacie, jest silnie zniekształcona. Potrafię jednak korygować docierające do was bałamutne informacje i dlatego czujecie się i zachowujecie normalnie. Poza granicą obszaru wytyczonego przez stresery znajdują się baterie projektorów, które dzięki anihilacji materii wytwarzają silne wiązki energii i kierują je między streserami do czarnej dziury. Stamtąd energię przesyła się do przestrzeni o większej liczbie wymiarów, a następnie odzyskuje w razie potrzeby i wykorzystuje w normalnej przestrzeni. Innymi słowy, cały ten układ stanowi wejście do hiperprzestrzennej sieci rozdzielczej, która w jednej chwili dostarcza energię w dowolne miejsce, nawet na odległości międzygwiazdne. Podoba wam się to?

Minęła chwila, zanim Hunt wydobył z siebie głos.

– Co znajduje się na drugim końcu? – zapytał. – Chodzi mi o to, czy można zasilać... na przykład całą planetę?

– Sieć rozdzielcza jest bardzo skomplikowana – odpowiedział VISAR. – Garfalang, bo tak nazywa się to miejsce, zasila kilka planet. Podobnie jak wiele siłowni, które Thurienowie mają w różnych punktach przestrzeni kosmicznej. Do sieci można też podłączyć mniejsze jednostki, takie jak statki kosmiczne, inne pojazdy, maszyny, budynki... wszystko, co zużywa energię. Lokalne urządzenia, które podłącza się do sieci, nie mają dużych rozmiarów. Na

przykład perceptron znajdujący się teraz na Alasce zasilany był z sieci na konwencjonalnym etapie podróży od bramy na Ziemię. Musiałby być dużo większy, gdyby miał na pokładzie własne źródło energii. Niewiele naszych maszyn jest samowystarczalnych pod tym względem. Nie ma takiej potrzeby. Sieć zasila wszystko z wielkich, scentralizowanych, umieszczonych daleko w przestrzeni generatorów – jak ten, w którym się znajdujecie.

– To niewiarygodne – wyszeptał Danchecker. – I pomyśleć, że pięćdziesiąt lat temu ludzie obawiali się wyczerpania źródeł energii. To zdumiewające... całkowicie zdumiewające.

– Co jest głównym źródłem? – zapytał Hunt. – Powiedziałeś, że wiązki energii wytwarzane są przez anihilację materii. Co ulega anihilacji?

– Przeważnie jądra wypalonych gwiazd – odpowiedział VISAR. – Część wytworzonej energii zużywa się do zasilania bram, przez które transportuje się materię z odległych miejsc, żeby poddać ją anihilacji. Ilość energii wytwarzanej dziennie w Garfalang odpowiada mniej więcej masie Księżyca. Ale wokół jest mnóstwo paliwa. Nie grozi nam kryzys. Nie martwcie się.

– I potraficie poprzez inny wymiar przesyłać energię na odległość całych lat świetlnych, żeby zdalnie wytworzyć czarną dziurę – stwierdził Hunt. – Czy zawsze jest to tak misterne, jak operacja, którą oglądaliśmy?

– Nie. To był szczególny przypadek, który wymagał wyjątkowej precyzji i synchronizacji. Zwykły transfer jest stosunkowo prosty i zrutynizowany.

Hunt popadł w milczenie, obserwując rozgrywający się wokół spektakl, i wrócił myślami do szczegółów operacji, której był świadkiem.

Kiedy z Bruno nadeszła wiadomość o grożącym statkowi niebezpieczeństwie, podpisana osobiście przez Normana Pacea, Calazar postanowił bez dalszej zwłoki przystąpić do przechwycenia *Shapierona*. Było tajemnicą, skąd Pacey dowiedział się o zagrożeniu, które na Thurien zidentyfikowano tylko dzięki informacjom, jakich on nie mógł posiadać.

Najwyraźniej organizacja dysponowała urządzeniami zdolnymi wysledzić *Shapierona*, tak jak to zrobili ludzie Calazara. Nie chcąc ujawniać swoich działań, Calazar nie mógł dopuścić, by statek nagle zniknął ze swojego kursu.

Dlatego też wezwał inżynierów Eesyana i kazał im tak zmodyfikować całą operację, żeby ukryć wyłowienie statku z odległej o dwadzieścia lat świetlnych otchłani kosmosu, pozostawiając tam jego atrapę, która miała dawać identyczne odczyty na instrumentach „organizacji”. Istniało ryzyko, że zostaną wykryte powstałe w tym procesie zaburzenia grawitacyjne, ale ponieważ z powodów technicznych nie prowadzono stałego monitoringu, istniała szansa, że zamiana pozostanie nie zauważona, jeśli cała operacja potrwa odpowiednio krótko. Zgodnie z planem zamiany dokonano szybko i gładko. Jeśli wszystko poszło dobrze, „organizacja” otrzymywała teraz dane o imitacji statku, podczas gdy *Shapieron* był w rzeczywistości oddalony o całe lata świetlne i zbliżał się do Thurien. Czas miał pokazać, czy podmiana istotnie przebiegła wystarczająco szybko i gładko.

Hunt nie wiedział, co sądzić o oszukańczej grze prowadzonej przez dwie rywalizujące grupy Ganimedejczyków. Jak od samego początku twierdził Danchecker, nie pasowało to do ich mentalności. Victor kilkakrotnie próbował wydobyć z VISARA jakieś informacje, ale maszyna, najwidoczniej mająca zakaz omawiania tej sprawy, powtarzała jedynie, że Calazar sam poruszy temat we właściwym czasie.

Mimo obaw Pacey *Shapierona* nie zaatakowano ani mu nie przeszkodzono i znajdował się teraz w bezpiecznych rękach. Hunt wyciągnął tylko jeden wniosek, że Pacey musiał źle zinterpretować pewne fakty i zadziałał pochopnie, co nie pasowało do człowieka, za jakiego go uważał. Aby być zupełnie szczerym, przyznał Hunt, kiedy ponownie to przemyślał, Pacey wcale nie powiedział, że niebezpieczeństwo grozi właśnie *Shapieronowi*. Miał jedynie powody przypuszczać, że w niebezpieczeństwie znajduje się jakiś obiekt w przestrzeni kosmicznej, i wyrażał obawę, że może nim być *Shapieron*. Calazar postanowił nie ryzykować i Hunt nie mógł go za to obwiniać. Wszystko wskazywało na to, że Pacey beznadziejnie się pomylił. Ale czy istotnie? Hunt był tego ciekaw.

Nagle zdał sobie sprawę, że odczuwa fizyczną dolegliwość. To niemożliwe, pomyślał. Z pewnością pakiet doznań symulowanych przez komputer nie mógł być tak kompletny. O co więc chodziło?

Instynktownie rozejrzał się i stwierdził, że znowu jest w swoim ciele i leży w fotelu wewnątrz perceptronu.

– Na wprost ciebie na końcu korytarza – poinformował go głos VISARA.

Hunt usiadł i potrzęsął głową w zdumieniu. Jak zwykle Ganimedejczycy pomyśleli o wszystkich. To po to były tajemnicze drzwi.

Kilka minut później znalazł się z powrotem w układzie Gwiazdy Gigantów i zobaczył, że Danchecker czeka na niego z poważną miną.

– Kiedy ciebie nie było, nadeszły alarmujące wieści – oznajmił profesor. – Wygląda na to, że nasz przyjaciel z Giordano Bruno nie mylił się tak bardzo, jak przypuszczaliśmy.

– Co się stało? – zapytał Hunt.

– Urządzenie, które przekazywało sygnały między odwrotną stroną Księżyca a Thurien, zamilkło. Według VISARA wszystko wskazuje na to, że zostało zniszczone.



## Rozdział siedemnasty

Skąd Norman Pacey, odizolowany na ciemnej stronie Księżyca i pozbawiony łączności, mógł wiedzieć, że przekaznik zostanie zniszczony? Jego jedynym źródłem informacji spoza Układu Słonecznego były przekazy przychodzące od Thurienów z Gwiazdy Gigantów, a przecież Thurienowie sami nic nie wiedzieli, i dlaczego Pacey działał bez wiedzy oficjalnej delegacji ONZ, kiedy wysyłał ostrzeżenie? Co więcej, skąd miał dostęp do nadajnika i skąd wiedział, jak się go obsługuje? Krótko mówiąc, co działo się na Księżycu?

Jerol Packard poprosił Thurienów o kompletny zestaw kopii wszystkich przekazów, które wymienili z Ziemią, odkąd zaczęła się cała sprawa. Calazar zgodził się je dostarczyć i VISAR przekazał je do McClusky za pośrednictwem perceptronu. Kiedy porównano thurieńskie kopie z oryginalnymi, wyszły na jaw dziwne rozbieżności.

Pierwsze przekazy pochodziły z Ziemi z okresu bezpośrednio po odlocie *Shapierona*, kiedy to naukowcy z Bruno oparli się naciskom ONZ i kontynuowali transmisje w nadziei wznowienia dialogu, który zapoczątkowała pierwsza, krótka i nieoczekiwana wiadomość z Gwiazdy Gigantów. Przekazy te zawierały informacje na temat ziemskiej cywilizacji i nauki, z których w ciągu miesięcy powstał obraz odmienny od przekazywanego latami przez tajemniczą „organizację”. Może te właśnie niezgodności wzbudziły w Thurienach podejrzenia co do otrzymywanych raportów. W każdym wypadku oba zestawy kopii doskonale się zgadzały. Następne przekazy pochodziły z okresu, kiedy Thurien znowu się odezwała, a ONZ przystąpiła do rozmów w imieniu Ziemi. W tym momencie ton transmisji z odwrotnej strony Księżyca zmienił się wyraźnie. Jak powiedziała Karen Heller Huntowi w czasie ich pierwszego spotkania w Houston, a później on sam to sprawdził, przekazy stały się dwuznaczne i negatywne w wymowie; nie przyczyniały się do zmiany poglądów Thurienów na temat zmilitaryzowanej Ziemi i odrzucały ich zabiegi o lądowanie i bezpośrednie rozmowy. Pośród tych transmisji pojawiły się pierwsze niezgodności.

Wszystkie przekazy wysłane w czasie pobytu Heller na Księżycu znajdowały wierne odbicie w thurieńskich archiwach. Były jednak dwa dodatkowe – sądząc po formacie i nagłówkach, z całą pewnością pochodziły z Bruno – których Heller nigdy przedtem nie

widziała. Co dziwniejsze, ich treść była otwarcie wojownicza i wroga do tego stopnia, że delegacja ONZ nigdy by ich nie zatwierdziła, nawet przy swojej polityce. Zawierały wiele nieprawdziwych rzeczy, a ich sens był taki, że Ziemia sama poradzi sobie ze swoimi sprawami, nie chce i nie będzie tolerowała żadnej obcej ingerencji i odpowie siłą na próbę lądowania. Ponadto niektóre szczegóły zgadzały się z fałszywym obrazem Ziemi, o którym Hunt i pozostali dowiedzieli się dopiero po spotkaniu z Thuriemami, a nawet go wzmacniały. Skąd mogła o tym wiedzieć jakaś osoba w Bruno?

Później zaczęły nadchodzić przekazy Hunta z Jowisza, zakodowane po ganimedejsku, przyjmujące propozycję lądowania, podsuwające odpowiednie miejsce i ukazujące całkowicie inny obraz Ziemi. Nic dziwnego, że Thuriemowie się pogubili!

Potem nadeszły przekazy sowieckie, zawierające kod bezpieczeństwa, którego należało używać w odpowiedziach. Sowietci również wyrażali zainteresowanie lądowaniem, choć sformułowane ostrożniej niż w przekazach Hunta z Jowisza. Sprawa ta konsekwentnie przewijała się przez wszystkie komunikaty Sowietów, ale wyróżniały się spośród nich trzy, które zawierały opinie podobne do tych z „nieoficjalnych” transmisji z Bruno. Jeszcze bardziej zdumiewał fakt, że w paru ważnych szczegółach zgadzały się z przekazami z Bruno w nieprzypadkowy sposób.

Skąd Sowietci mogli wiedzieć o nieoficjalnych transmisjach z Bruno, skoro wtedy nie wiedziała o nich nawet Karen Heller? Jedynym wytłumaczeniem było to, że sami je przekazywali. Czy to oznaczało, że Kreml miał w ONZ takie wpływy, iż cała operacja prowadzona w Bruno stanowiła jedynie przykrywkę dla zmylenia USA i innych krajów, które wiedziały o Gwieździe Gigantów, i że pozornie umiarkowane, niemniej przynoszące odwrotny skutek działania delegacji dezorganizował w sekrecie ktoś przypuszczalnie wyznaczony do tego celu... może Sobroskin? Dyrektor obserwatorium w Bruno również był Rosjaninem, co uwiarygodniało ten domysł, ale z kolei przeczył mu oczywisty fakt, że wysiłki Sowietów sabotowano w taki sam sposób. To wszystko nie miało sensu.

Później, już po wyjeździe Karen Heller, nadszedł z Bruno trzeci nieoficjalny przekaz, zdecydowanie agresywny w tonie, oświadczający, że Ziemia zrywa kontakty i podejmuje odpowiednie kroki, by nie dopuścić do wznowienia dialogu. Na koniec pojawiło się ostrzeżenie Normana Pacea o groźbie zniszczenia jakiegoś obiektu w przestrzeni kosmicznej, a wkrótce potem przekaźnik przestał działać.

Wyjaśnienia tych zagadek nie znaleziono na Alasce. Packard czekał, aż do McClusky przybył kurier z Departamentu Stanu z oficjalną wiadomością o przerwaniu łączności z Gwiazdą Gigantów i powrocie delegacji ONZ na Ziemię, a potem udał się z Caldwellem do Waszyngtonu. Lyn pojechała z nimi po nowe wiadomości od Pacea.

Hunt i Danchecker stali na płycie w McClusky, patrząc, jak odrzutowiec UNSA z Packardem, Caldwellem i Lyn na pokładzie startuje, nabiera wysokości i kieruje się na

południe. Niedaleko nich obsługa lotniska zgarniała śnieg na dziury w betonie, pozostawione przez perceptron, który ustawiono w rzędzie z innymi samolotami UNSA, zaparkowanymi na płycie, żeby instrumenty „organizacji” rejestrowały bardziej naturalny obraz. Chociaż czarna dziura w systemie telekomunikacyjnym statku była mikroskopijna, odpowiadała masie małej góry. Płyta lotniska McClusky nie była do tego przystosowana.

– To zabawne, gdy się nad tym zastanowić – zauważył Hunt, kiedy samolot zmienił się w punkcik nad odległym pasmem górskim. – Z Vranix do Waszyngtonu jest dwadzieścia lat świetlnych, ale cały czas podróży zabiera pokonanie ostatnich sześciu tysięcy kilometrów. Może kiedy ta sprawa się zakończy, pomyślimy o podłączeniu paru miejsc tej planety do VISARA.

– Może – odparł Danchecker wymijająco. Od śniadania był dziwnie milczący.

– Oszczędziłoby to Greggowi wielu rachunków od służby transportowej.

– Przypuszczam, że tak.

– A co z podłączeniem Navcomms i Westwood? Moglibyśmy polecieć na Thurien prosto z biura i wrócić na obiad.

– Uhm.

Odwrócili się i ruszyli w stronę kasyna. Hunt obrzucił profesora zaciekawionym spojrzeniem, ale Danchecker tego nie zauważył i szedł dalej.

W środku zastali Karen Heller ślęczącą nad całym plikiem kopii przekazów oraz notatek, które zrobiła w Bruno. Kiedy weszli, odsunęła papiery na bok i odchyliła się na krzesło. Danchecker podszedł do okna i w milczeniu popatrzył na perceptron. Hunt przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, twarzą do pokoju.

– Nie wiem, co o tym sądzić – powiedziała Heller z westchnieniem. – Niektórych z tych informacji z pewnością nie mógł znać nikt tutaj ani na Księżycu, oprócz nas... chyba że miał kontakt z „organizacją”. Czy to możliwe?

– Też się nad tym zastanawiałem – odparł Hunt. – A co z zakodowanymi przekazami? Może Moskwa nie wysłała ich do grupy Calazara.

– Nie, sprawdziłam. – Heller pokazała na papiery. – Wszystkie są przez nich odnotowane.

Hunt potrząsnął głową i skrzyżował ramiona na oparciu krzesła.

– To przekracza moją zdolność pojmowania. Poczekajmy i zobaczymy, czego dowiedzą się od Normana.

Zapadła cisza. Zatopiony w myślach Danchecker nadal wyglądał przez okno. Po chwili Hunt się odezwał:

– Wiesz, to zabawne... czasami, kiedy wszystko staje się zagmatwane i myślisz, że nigdy się w tym nie połapiesz, wystarcza jedna prosta i oczywista rzecz, którą się przegapiło, żeby poskładać to razem. Pamiętam, jak parę lat temu próbowaliśmy odkryć, skąd się wzięli Lunarianie. Nic nie pasowało, dopóki nie zdaliśmy sobie sprawy, że Księżyc musiał zmienić

orbitę. Kiedy patrzy się wstecz, wydaje się, że to powinno być oczywiste od samego początku.

– Chciałabym, żebyś miał rację – powiedziała Heller, zgarnęła papiery i włożyła do teczek. – Jeszcze czegoś nie rozumiem w tej całej tajemniczej sprawie. Sądziłam, że Ganimedejczycy są inni. A tymczasem jedna grupa robi swoje, druga swoje i żadna nie chce, by ta druga o tym się dowiedziała. Znasz ich lepiej niż ja. Co o tym sądzisz?

– Nie wiem – przyznał się Hunt. – A kto zbombardował przekaźnik? Nie zrobiła tego grupa Calazara, więc musiała to zrobić tamta druga. Jeśli tak, to znaczy, że dowiedziała się o nim pomimo wszelkich środków ostrożności. Dlaczego jednak miałyby go niszczyć? To rzeczywiście dziwny sposób postępowania jak na Ganimedejczyków... przynajmniej takich Ganimedejczyków, jacy żyli dwadzieścia pięć milionów lat temu.

Nieświadomie odwrócił głowę i ostatnie słowa skierował do Dancheckera, który nadal stał tyłem do nich. Hunt nie był do końca przekonany, że taki okres nie wystarczy, by spowodować jakieś fundamentalne zmiany w ganimedejskim charakterze, ale Danchecker pozostawał nieugięty. Hunt pomyślał, że Danchecker go nie dosłyszał, ale po chwili profesor odpowiedział, nie odwracając głowy.

– Może twoja pierwotna hipoteza zasługuje na większą uwagę, niż początkowo skłonny byłem przyznać.

Hunt odczekał parę sekund, ale na próżno.

– Jaka hipoteza?

– Że może wcale nie mamy do czynienia z Ganimedejczykami. – Danchecker powiedział to chłodnym tonem. Zapadła krótka cisza. Hunt i Heller spojrzeli po sobie. Heller zmarszczyła brwi, a Hunt wrzucił ramionami, oczywiście, że mieli do czynienia z Ganimedejczykami. Popatrzyli na Dancheckera wyczekująco. Odwrócił się do nich nagle i zacisnął dłonie na kłapach marynarki. – Rozważmy fakty – zaczął. – Mamy tu do czynienia z zachowaniem sprzecznym ze znaną nam ganimedejską naturą. Zachowanie to ma związek ze stosunkami między dwiema grupami istot. Jedną z tych grup poznaliśmy i wiemy, że są to Ganimedejczycy. Drugiej nie pozwolono nam poznać, a podane powody bez wahania odrzucam jako preteksty. Nasuwa się zatem logiczny wniosek, że ta druga grupa to nie Ganimedejczycy, nieprawdaż?

Hunt odpowiedział mu pustym spojrzeniem. Wniosek był tak oczywisty, że nic nie dało się więcej dodać. Wszyscy założyli, że „organizacja” to Ganimedejczycy, a Thurienowie nie powiedzieli nic, by wyprowadzić ich z błędu. Ale Thurienowie nie powiedzieli również nic, co by to potwierdzało.

– I zastanówcie się – kontynuował Danchecker. – Struktura i wzorce aktywności układu nerwowego na poziomie symbolicznym są całkowicie różne w mózgach ludzkim i ganimedejskim. W żadnym razie nie można założyć, że urządzenie przystosowane do sprzężonego działania z jednym gatunkiem będzie w ogóle zdolne do funkcjonowania z

drugim. Innymi słowy, urządzenia na statku stojącym na płycie nie mogą być standardowymi modelami używanymi przez Ganimedejczyków, które, przez czysty przypadek, skutecznie oddziałują także na ludzki mózg. Taka sytuacja jest niemożliwa. Urządzenia te mogą działać wyłącznie dzięki temu, że skonstruowano je tak, by współdziałały z ludzkim centralnym układem nerwowym! Stąd też konstruktorzy musieli doskonale znać szczegóły funkcjonowania tego układu. Co więcej, tak gruntownej wiedzy medycznej nie mogli zdobyć przez obserwację. Mogli ją zdobyć jedynie na Thurien.

Hunt spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Co masz na myśli, Chris? – zapytał w napięciu, chociaż było to oczywiste. – Że na Thurien są oprócz Ganimedejczyków także ludzie?

Danchecker zdecydowanie kiwnął głową.

– Właśnie. Kiedy pierwszy raz weszliśmy do perceptronu, VISAR w ciągu zaledwie kilku sekund dostosował swoje parametry do normalnego poziomu stymulacji sensorycznej oraz rozszyfrował zwrotne rozkazy z obszarów motorycznych naszego układu nerwowego. A skąd mógł wiedzieć, jakie poziomy stymulacji są normalne u ludzi? Skąd znał prawidłowy wzorzec sprzężeń zwrotnych? Jedyne możliwe wyjaśnienie jest to, że VISAR miał już wcześniejsze doświadczenia z ludzkim organizmem. – Spojrział na nich, czekając na reakcję.

– To możliwe – szepnęła Karen Heller, wolno kiwając głową. – Chyba dlatego Ganimedejczycy nie spieszyli się, by nam o tym powiedzieć, dopóki nie potrafili przewidzieć naszej reakcji... szczególnie w sprawie raportów na nasz temat. Jeśli ci drudzy są ludźmi, nic dziwnego, że prowadzą obserwację Ziemi. – Przemysłała to ponownie i skinęła głową. Ale jeszcze coś przyszło jej na myśl, gdyż zmarszczyła czoło i spojrzała na Dancheckera. – Ale skąd by się tam wzięli? Czy mogli być jakimś niezależnym ogniwem ewolucji na Thurien, zanim pojawili się Ganimedejczycy?

– Och, to zupełnie niemożliwe – odparł Danchecker niecierpliwie.

Heller spojrzała nań z lekkim zaskoczeniem i już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale Hunt rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie i ledwo zauważalnie potrząsnął głową. Gdyby sprowokowała Dancheckera do wykładu z ewolucji, musieliby go słuchać cały dzień. Na znak zgody lekko uniosła brwi i nie odezwała się.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli daleko szukać odpowiedzi na to pytanie – poinformował ich Danchecker beztrąsco, prostując się i mocniej zaciskając dłonie na klapach. – Wiemy, że Ganimedejczycy wyemigrowali z Minerwy na Thurien około dwudziestu pięciu milionów lat temu. Wiemy również, że do tego czasu zdobyli wiele okazów ziemskiej fauny, łącznie z naczelnymi na ówczesnym etapie ewolucji. Sami odkryliśmy niektóre z nich na odkopanym na Ganimesesie statku, który – jak mamy podstawy sądzić – brał udział w tej właśnie migracji. – Umilkł na chwilę, jak gdyby wątpił, czy potrzebne są dalsze wyjaśnienia, a potem kontynuował. – Najwidoczniej zabrali ze sobą przedstawicieli wczesnych hominidów, których potomkowie od tamtego czasu rozmnożyli się i wyewoluowali w ludzką populację cieszącą

się pełnymi prawami w społeczeństwie Thurien, o czym świadczy fakt, że VISAR obsługuje zarówno ich, jak i Ganimedejczyków. – Danhekker opuścił ręce, splótł je za plecami i z wyraźnym zadowoleniem wysunął podbródek. – I to, doktorze Hunt, okaże się tym prostym i oczywistym czynnikiem, który przeoczyłeś – zakończył.

## Rozdział osiemnasty

Norman Pacey uniósł rękę w ostrzegawczym geście i zamknął drzwi prowadzące do sekretariatu, gdzie dwaj pracownicy UNSA ładowali pudła na wózek. Janet siedziała na krześle, które wcześniej oczyściła ze sterty papierów i teczek z dokumentami, gotowymi do zapakowania przed odlotem delegacji z Bruno.

– Zaczynj jeszcze raz – powiedział, wracając od drzwi.

– To było zeszłej nocy, a może wcześniej rano... nie jestem pewna. – Janet nerwowo bawiła się guzikiem od laboratoryjnego kitla. – Niels odebrał telefon – chyba od tego Europejczyka, Daldaniera – że muszą natychmiast coś omówić. Zaczął opowiadać o kimś, kto nazywa się Verikoff, czy jakoś podobnie, ale Niels mu przerwał i powiedział, że zaraz przyjdzie do jego pokoju. Udawałam, że śpię. Niels ubrał się i wyszedł... a raczej wymknął się, bo bardzo starał się mnie nie obudzić.

– W porządku. – Pacey skinął głową. – I co potem?

– Cóż... pamiętałam, że wcześniej przeglądał jakieś papiery, kiedy weszłam. Odłożył je do szafki, ale jej nie zamknął. Więc postanowiłam zaryzykować i do nich zajrzeć.

Pacey zacisnął zęby, żeby nie okazać swoich uczuć. Właśnie takich rzeczy jej zabronił. Ale jednocześnie ciekawił go rezultat.

– I... – ponaglił ją.

Na twarzy Janet pojawił się tajemniczy wyraz.

– W środku znajdowała sięteczka, różowa z jasnoczerwonym brzegiem. Zwróciłam na nią uwagę, ponieważ było na niej pańskie nazwisko.

Słyszac to, Pacey uniósł brwi. Z opisu Janet wynikało, że chodzi o teczkę na ściśle tajne dokumenty standardowego, ONZ-owskiego formatu.

– Zajrzałaś do niej?

Janet potwierdziła.

– Był tam dziwny... raport krytykujący sposób, w jaki pan tamował prace delegacji, zakończony wnioskiem, że delegacja zrobiłaby większe postępy, gdyby Stany Zjednoczone okazały większą chęć współpracy. To wcale do pana niepodobne i dlatego pomyślałam, że

dokument jest podejrzany. – Pacey wpatrywał się w Janet bez słowa. Zanim zdobył się na odpowiedź, dziewczyna potrząsnęła głową, jak gdyby czuła potrzebę zrzucenia z siebie odpowiedzialności za to, co zamierzała powiedzieć. – I był też fragment o panu i... Karen Heller. Mówił, że wy oboje... – Janet zawahała się, a potem uniosła rękę ze splecionymi palcami wskazującym i serdecznym – ... właśnie tak i że podobne – jak to brzmiało?: „rażące i nierozważne prowadzenie się było niestosowne dla tego rodzaju misji i być może miało związek z mało konstruktywnym wkładem Stanów Zjednoczonych w obrady”. – Wyprostowała się na krześle i ponownie potrząsnęła głową. – Wiem, że raport nie mówi prawdy... Więc przysłałam... – nie dokończyła zdania.

Pacey przysiadł na brzegu do połowy zapakowanego pudła i popatrzył na Janet niedowierzająco. Minęło kilka sekund, zanim odzyskał głos.

– Naprawdę to wszystko widziałaś? – zapytał w końcu.

– Tak... Nie mogę panu przytoczyć każdego słowa, ale właśnie tak było napisane. – Zawahała się. – Wiem, że to bzdury, jeśli to pana pocieszy...

– Czy Sverenssen wie, że widziałaś raport?

– Nie wiem, jak miałby się dowiedzieć? Odłożyłam teczkę dokładnie w to samo miejsce. Sądzę, że mogłabym przeczytać więcej, ale nie wiedziałam, ile Nielsa nie będzie. Jak się okazało, wrócił wkrótce.

– W porządku. Dobrze zrobiłaś, nie ryzykując. – Pacey przez chwilę wpatrywał się w podłogę, czując zamęt w głowie. Potem podniósł wzrok i zapytał: – A co z tobą? Nie zachowywał się dziwnie z powodu wyjazdu? Żadnych... pogrózek?

– Ma pan na myśli groźne ostrzeżenie, że bym trzymała język za zębami?

– Hmm... tak, może. – Pacey spojrział na nią z ciekawością.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słabo.

– Wprost przeciwnie. Był bardzo dżentelmeński. Napomknął nawet, że moglibyśmy się spotykać od czasu do czasu na Ziemi... że mógłby mi załatwić jakąś lepiej płatną pracę, kontakty z ciekawymi ludźmi... i takie rzeczy.

Sprytne posunięcie, pomyślał Pacey. Rozbudzone nadzieje i zdrada nigdy nie idą w parze.

– Wierzysz mu? – zapytał.

– Nie.

Pacey skinął z aprobatą.

– Szybko dojrzewasz. Rozejrzał się po biurze i znużonym gestem pomasaował czoło. – Muszę teraz przemyśleć parę spraw. Jestem zadowolony, że mi o tym powiedziałaś. Masz na sobie kitel, co zapewne oznacza, że musisz wrócić do pracy. Nie zaczynaj znowu drażnić Malliuska.

– Nie ma go dzisiaj – odparła Janet. – Ale ma pan rację... muszę wracać. – Wstała i ruszyła w stronę drzwi, lecz odwróciła się jeszcze. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku.



Wiem, że nie powinnam przychodzić do biur delegacji, ale wydało mi się to ważne. A ponieważ wszyscy wyjeżdżają...

– Nie martw się. Wszystko w porządku. Zobaczymy się później.

Janet wyszła, zostawiając drzwi otwarte na prośbę Pacey'a. Pacey siedział przez chwilę, jeszcze raz rozmyślając o tym, co mu powiedziała, ale przeszkodzili mu pracownicy UNSA, którzy weszli, żeby zabrać przygotowane pudła. Postanowił pójść do sali klubowej i przemyśleć wszystko nad kawą.

Kiedy wszedł parę minut później do sali klubowej, zastał tam jedynie Sverenssena, Daldaniera i dwóch innych delegatów, stojących przy barze. Przywitali go paroma niezbyt przyjaznymi skinieniami i kontynuowali rozmowę. Pacey wziął kawę i usiadł przy stoliku w rogu, żalując w duchu, że nie poszedł gdzieś indziej. Obserwując ich ukradkiem znad filiżanki, układał w myślach listę retorycznych pytań, dotyczących wysokiego, nieskazitelnie ubranego Szweda, który stał przy barze pośród zebranych wokół niego wasali. Może obawy Pacey'a co do losów *Shapierona* były bezpodstawne? Czy to, co podsłuchała Janet, mogło mieć związek z nagłym przerwaniem łączności z Gwiazdą Gigantów? Nastąpiło podejrzenie szybko po tym wydarzeniu? Jeśli tak, to skąd Sverenssen i przynajmniej jeszcze jeden członek delegacji mogli o tym wiedzieć? I w jaki sposób Szwed i Daldanier byli powiązani z Verikoffem, o którym Pacey wiedział z raportów CIA, że jest sowieckim ekspertem od telekomunikacji kosmicznej? Jeśli istniał spisek między Moskwą a jakąś kliką w ONZ, dlaczego Sobroskin współpracował z Paceyem? Może stanowiło to fragment bardziej skomplikowanej intrygi? Źle zrobił, ufając Rosjaninowi, stwierdził gorzko. Powinien był wykorzystać Janet i nie wtajemniczać Sobroskina i Malliuska.

I wreszcie, jaki motyw krył się za próbą skompromitowania jego oraz Karen Heller i fałszywego przedstawienia roli, jaką odegrali w Bruno? Wydawało się dziwne, że Sverenssen oczekiwał powodzenia swojego planu, zważywszy, iż dokumentu, który opisała Janet, nie potwierdzą oficjalne protokoły z posiedzeń delegacji, przekazane do siedziby głównej ONZ w Nowym Jorku. Co więcej, Sverenssen doskonale o tym wiedział, a pomimo swoich wad nie był naiwny. I wtedy Pacey poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zaświtała mu prawda... w żadnym razie nie mógł być pewien, że protokoły, które czytał i zatwierdził, będące stenogramami z posiedzeń, dotrą do Nowego Jorku w oryginalnej wersji.

Sądząc po tym, czego się dowiedział o dziwnych zakulisowych machinacjach, wszystko było możliwe.

– Według mnie byłoby dobrze, gdyby Amerykanie znaleźli się w Pakcie Południowoatlantyckim – mówił Sverenssen przy barze. – Po tym, jak Stany Zjednoczone doprowadziły przez końcem wieku niemal do ruiny swój przemysł nuklearny, nie dziwi fakt, że Sowieci zyskali monopol w większości centralnej Afryki. Wyrównanie wpływów w głównych regionach, a co za tym idzie, wzmoczenie konkurencji służyłoby długofalowym

interesom wszystkich zainteresowanych. – Trzy głowy skinęły posłusznie. Sverenssen niedbale machnął ręką. – Ostatecznie na moim stanowisku nie mogę sobie pozwolić na kierowanie się interesem narodowym. Najważniejszy jest rozwój całej ludzkiej rasy. Zawsze o to walczyłem i zawsze będę walczył.

Tego było już za wiele. Pacey przełknął kawę i ze stukiem odstawił filiżankę. Głowy przy barze odwróciły się ku niemu ze zdziwieniem.

– Bzdury! – krzyknął przez całą salę. – Nigdy nie słyszałem podobnych głupot.

Sverenssen zmarszczył czoło, wyrażając swój niesmak z powodu tego wybuchu.

– Co pan ma na myśli? – zapytał zimno. – Może pan łaskawie wyjaśni.

– Miał pan największą okazję, by przyczynić się do postępu całej rasy, i odrzucił ją pan. Właśnie to miałem na myśli. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką hipokryzją.

– Obawiam się, że nie rozumiem. Pacey nie mógł w to uwierzyć.

– Do diabła, mówię o tej całej farsie, która się tutaj odbywała! – Usłyszał, że głos wznosi mu się do krzyku; wiedział, że to źle, ale nie mógł opanować irytacji. – Przez całe tygodnie rozmawialiśmy z Gwiazdą Gigantów. Nic nie powiedzieliśmy i nic nie osiągnęliśmy. To ma być „walka” o postęp?

– Zgadzam się – powiedział Sverenssen, zachowując spokój. – Ale uważam za dziwne i niestosowne, że właśnie pan protestuje w ten niezwykle sposób. Radziłbym panu raczej poruszyć tę sprawę z własnym rządem.

To nie miało sensu. Pacey, zdezorientowany, potrząsnął głową.

– O czym pan mówi? Polityka Stanów Zjednoczonych zawsze zmierzała do jednego celu. Od początku chcieliśmy lądowania.

– Więc mogę jedynie stwierdzić, że pańskie wysiłki, by realizować tę politykę, były wyjątkowo nieudolne – odparł Sverenssen.

Pacey zamrugał, jak gdyby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Spojrzał na pozostałych, ale na żadnej twarzy nie znalazł współczucia dla jego kłopotliwego położenia. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, kiedy zaczął sobie zdawać sprawę, co tu się dzieje. Przesunął szybko wzrokiem po twarzach pozostałych mężczyzn w niemej prośbie o odpowiedź i podchwycił spojrzenie Daldaniera.

– Było dla mnie oczywiste, że prawdopodobieństwo owocnego dialogu zwiększyłoby się znacznie, gdyby nie konsekwentnie negatywne nastawienie przedstawiciela Stanów Zjednoczonych – oświadczył Daldanier, nie wymieniając Pacey'a z nazwiska. Mówił niechętnym głosem, jak ktoś zmuszony do odpowiedzi, której wolałby nie udzielać.

– To bardzo przykre – skomentował Brazylijczyk Saraquez. – Spodziewałem się czegoś lepszego po narodzie, który wysłał pierwszego człowieka na Księżyc. Mam nadzieję, że któregoś dnia podejmiemy dialog i nadrobimy stracony czas.

Cała sytuacja była szalona. Pacey wpatrywał się w nich osłupiały. Wszyscy oni należeli do spisku. Jeśli po powrocie na Ziemię będą podtrzymywali swoją wersję, popartą

dokumentami, nikt nie uwierzy w jego relację o tym, co się naprawdę wydarzyło. Już nie był pewien, czy sam w nią wierzy, a jeszcze nie opuścił Bruno. Zatrząsał się z niepohamowanego gniewu. Wstał i okrążywszy stół podszedł wprost do Sverenssena.

– Co to ma znaczyć? – zapytał groźnie. – Nie wiem, za kogo się pan uważa z tą swoją pychą, zadzieraniem nosa i zmanierowaniem, ale budził pan we mnie wstręt, odkąd tu przyjechałem. Ale teraz zapomnijmy o tym. Chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje.

– Usilnie radziłbym panu powstrzymać się od mieszania do tego osobistych spraw – powiedział Sverenssen, a potem dodał uszczypliwie: – Szczególnie z pańskimi skłonnościami do... nierozwagi.

Pacey poczuł, że się czerwieni.

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

– Och, niech pan przestanie... – Sverenssen zmarszczył brwi i na chwilę odwrócił wzrok, jak ktoś starający się uniknąć delikatnego tematu. – Z pewnością nie mógł pan oczekiwać, że romans z pańską koleżanką przejdzie zupełnie nie zauważony. Naprawdę... to kłopotliwa i niestosowna sprawa. Wolałbym zostawić ten temat.

Pacey wpatrywał się w niego przez chwilę ze szczerym niedowierzaniem, a potem skierował spojrzenie na Daldaniera. Francuz podniósł swoją szklaneczkę. Pacey popatrzył na Saraqueza, który opuścił wzrok i nic nie powiedział. W końcu zwrócił się do Van Geelinka z Południowej Afryki, który do tej pory tylko się przysłuchiwał.

– To było bardzo niemądre – powiedział Van Geelink, nadając swojemu głosowi niemal przeproszający ton.

– To on! – Pacey pokazał na Sverenssena i przesunął spojrzeniem po obecnych, tym razem z wyzwaniem. – Pozwalacie mu stać tutaj i wygadywać takie rzeczy? Właśnie jemu? Chyba nie robicie tego na poważnie.

– Nie jestem pewien, czy podoba mi się pański ton, Pacey – oznajmił Sverenssen. – Co pan próbuje insynuować?

Ta sytuacja była prawdziwa. Sverenssen nadrabiał bezczelnością. Pacey poczuł, że zaciskają mu się pięści, ale zwalczył pokusę, by uderzyć na oślep.

– Czy zamierza pan twierdzić, że to również mi się przyśniło – szepnął. – Asystentka Malliuska... czy to nigdy nie miało miejsca? Czy pańskie marionetki również w tej sprawie pana poprą?

Sverenssen z powodzeniem odegrał wstrząśniętego.

– Jeśli sugeruje pan to, co podejrzewam, radziłbym natychmiast odwołać tę uwagę i przeprosić. Uważam to nie tylko za obraźliwe, ale także za poniżające dla kogoś na pańskim stanowisku. Patetyczne zmyślenia na nikim tutaj nie zrobią wrażenia i zapewne nie poprawią pańskiej niewątpliwie nieco zaszarganej reputacji na Ziemi. Przypisywałem panu więcej inteligencji.

– Nieładnie, bardzo nieładnie. – Daldanier potrząsnął głową i pociągnął łyk ze szklaneczki.

– Niesłychane – mruknął Saraquez.

Van Geelink, skrępowany, wpatrywał się w podłogę, ale nic nie powiedział. W tym momencie odezwał się głośnik ukryty w suficie.

– Telefon do pana Sverenssena z delegacji ONZ. Pilny telefon do pana Sverenssena.

– Proszę mi wybaczyć, panowie. – Sverenssen westchnął. Spojrzał surowo na Pacey. – Jestem gotów przypisać ten smutny popis zaburzeniom spowodowanym koniecznością aklimatyzacji do pozaziemskich warunków i więcej o tym nie wspomnę. – W jego głosie pojawił się ton groźby. – Ale muszę pana ostrzec, że gdyby pan upierał się przy swoich oszczerstwach również poza obrębem tego pomieszczenia, będę zmuszony potraktować je poważnie. W takim wypadku konsekwencje nie będą korzystne zarówno dla pana osobiście, jak i dla pańskiej kariery zawodowej. Sądzę, że wyrażam się jasno.

Odwrócił się i królewskim krokiem opuścił salę. Pozostali trzej wychylili szybko zawartość szklaneczek do końca i skwapliwie poszli w jego ślady.

Tej nocy, ostatniej w Bruno, Pacey był zbyt zaszokowany, sfrustrowany i zły, żeby zasnąć. Przemierzał pokój w tę i z powrotem, przypominając sobie każdy szczegół tego, co się wydarzyło, i drążąc sprawę ze wszystkich stron, ale nie mógł złożyć jej w logiczną całość. Znowu poczuł pokusę, żeby połączyć się z Alaską, ale i tym razem ją zwalczył.

Dochodziła druga w nocy miejscowego czasu, kiedy rozległo się ciche pukanie. Zdziwiony, wstał z krzesła, na którym rozmyślał, i podszedł do drzwi. To był Sobroskin. Rosjanin wśliznął się szybko, zaczekał, aż Pacey zamknie drzwi, potem sięgnął pod marynarkę i wyjął dużą kopertę, którą podał Paceyowi bez słowa. W środku znajdowała się różowa teczka z jasnoczerwonym brzegiem i napisem na nalepce: Poufne. Raport 238/2G/NTS/FM. Norman H. Pacey – Opinia i uwagi.

Pacey popatrzył na teczkę z niedowierzaniem, otworzył ją, przebiegł wzrokiem treść i zerknął na Sobroskina.

– Jak pan to zdobył? – zapytał ochrypłym głosem?

– Są sposoby – odparł wymijająco Sobroskin. – Wiedział pan o tym?

– Ja... miałem powody przypuszczać, że istnieje coś takiego – powiedział Pacey ostrożnie.

Sobroskin skinął głową.

– Pomyślałem, że może będzie pan chciał ukryć to w bezpiecznym miejscu albo spalić. Była jeszcze jedna kopia, ale już ją zniszczyłem, więc może pan być spokojny; nie dotrze tam, dokąd miała dotrzeć. – Pacey znowu popatrzył na teczkę, zbyt oszołomiony, by coś odpowiedzieć. – Przejrzałem również bardzo dziwny zbiór protokołów z posiedzeń delegacji... zupełnie innych niż te, które pamiętałem. Zastąpiłem je egzemplarzami, które obaj

widzieliśmy i podpisaliśmy. Ma pan moje słowo, że właśnie one dotrą do Nowego Jorku. Sam włożyłem je do torby kuriera i opieczętowałem, zanim zabrano ją do Tycho.

– Ale... jak? – tylko tyle wydusił z siebie Pacey.

– Nie mam najmniejszego zamiaru panu o tym mówić. – Głos Rosjanina był szorstki, ale oczy mu błyszczały. Nagle Pacey wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy w końcu dotarło do niego, że nie wszyscy na świecie są jego wrogami.

– Chyba najwyższy czas, żeby usiąść i porównać notatki – oświadczył. – Obawiam się, że nie mam u siebie ani odrobiny wódki. Może dżinu?

– Doszedłem do takiego samego wniosku – stwierdził Sobroskin, wyciągając z kieszeni plik notatek. – Może być dżin... mam do niego słabość.

Powiesił marynarkę przy drzwiach i rozsiadł się w jednym z foteli, podczas gdy Pacey poszedł do drugiego pokoju po szklaneczki i jednocześnie upewnił się, czy pojemnik na lód jest pełny. Czuł, że zapowiada się długa noc.

## Rozdział dziewiętnasty

Garuth spędził na *Shapieronie* dwadzieścia osiem lat swojego życia.

Grupa naukowców starożytnej Minerwy przeforsowała zakrojony na szeroką skalę program zmian klimatycznych i geologicznych. Projekt był wyjątkowo skomplikowany, a stymulacje wykazały, że wiąże się z nim ryzyko zniszczenia efektu szklarniowego, dzięki któremu na Minerwie istniało życie. By wykluczyć to ryzyko, inna grupa zaproponowała metodę zwiększenia otrzymywanej ze Słońca energii poprzez zmodyfikowanie jego siły grawitacji. Można by wtedy realizować program inżynierii klimatycznej, a w razie potrzeby ogrzać Słońce, by zrównoważyć wahania zagrażające efektowi cieplarnianemu. Dzięki temu warunki na Minerwie nie uległyby pogorszeniu.

Na wszelki wypadek rząd Minerwy postanowił najpierw przetestować ten ostatni pomysł, wysyłając misję naukową na pokładzie *Shapierona* z zadaniem przeprowadzenia prób na podobnej do Słońca gwiazdzie Iscaris; na jej planetach nie istniało życie. Zadanie wykonano. Nie wszystko jednak poszło dobrze. Iscaris przekształciła się w nową i misja musiała natychmiast odlecieć, nie czekając na ukończenie naprawy układu napędowego statku. Z maksymalną szybkością i nie działającym układem hamulcowym *Shapieron* wrócił w pobliże Układu Słonecznego i dotarł na Ziemię po ponad dwudziestu latach czasu pokładowego, podczas gdy – z powodu dylatacji czasu – na zewnątrz minęło milion razy więcej lat.

Stojąc w drzwiach jednej z sal wykładowych statku i patrząc ponad rzędami pustych siedzeń oraz porysowanych pulpity na podwyższenie i szereg ekranów w przeciwległym końcu, Garuth wrócił pamięcią do tamtych lat. Wiele osób, które razem z nim opuściło Minerwę, nie dożyło obecnego dnia. Czasami sądził, że nikt go nie dożyje. Ale – ponieważ takie jest życie – nowe pokolenie zastąpiło tych, którzy odeszli. W pustce przestrzeni kosmicznej narodziła się i wychowała nowa generacja, która poza krótkim pobytem na Ziemi nie znała innego domu jak wewnątrz statku. Pod wieloma względami Garuth czuł się jak ich ojciec. Chociaż jego wiara czasami ulegała zachwianiu, oni nigdy nie wątpili, że dotrą do domu. Co się z nimi stanie, pomyślał.

Teraz kiedy nadszedł ten dzień, stwierdził, że ma mieszane uczucia. Rozum nakazywał mu się cieszyć, że długa tułaczka dobiegła końca i że wreszcie połączyli się ze swoimi współplemieńcami, ale gdzieś w głębi duszy tęsknił za miniaturowym, samowystarczalnym światem, który przez tyle lat był jedynym, jaki znał. Statek, jego mała i zżyta społeczność, tryb życia, stanowiły część jego samego. A teraz wszystko się skończyło. Czy kiedykolwiek w taki sam sposób poczuje przynależność do przytłaczającej, nieprawdopodobnej cywilizacji Thurien, z jej technologiami, które graniczyły z magią, oraz populacją liczącą setki miliardów istot rozrzuconych pośród gwiazd na obszarze wielu lat świetlnych? Czy ktokolwiek z przybyłych będzie w stanie? A jeśli nie, to czy będą potrafili przywiązać się do jakiegokolwiek innego miejsca?

Po chwili odwrócił się i wolno ruszył przez opustoszałe korytarze i pokłady w kierunku szybu, żeby dostać się z powrotem do sterowni statku. Podłogi były zniszczone po latach wydeptywania przez setki stóp, a narożniki ścian wytarte i wygładzone przez niezliczone ciała. Każdy ślad i zadrapanie miały swoją własną historię, przypominały różne wydarzenia, które się rozegrały w ciągu tych lat. Czy wszystko pójdzie teraz w zapomnienie?

Garuth czuł, że pod pewnymi względami już tak się stało. *Shapieron* znajdował się na orbicie nad Thurien i większość wędrowców przeniesiono do mieszkań przygotowanych na powierzchni planety. Nie było żadnych uroczystości ani ceremonii powitalnych. O istnieniu Garutha i jego ludzi wiedziała tylko garstka Thurienów.

Shilohin czekała na niego na pokładzie nawigacyjnym, studiując dane wyświetlone na jednym z ekranów. Obejrzała się, kiedy wszedł.

– Nie miałam pojęcia, jak skomplikowana była operacja przechwycenia statku – powiedziała... – Niektóre pomysły są nadzwyczajne.

– Jakże? – zaciekawił się Garuth.

– Inżynierowie Eesyana stworzyli podwójną bramę – torus, który w jednym kierunku funkcjonował jako wejście, a w odwrotnym jako wyjście. To dlatego udało im się tak szybko dokonać zamiany: my weszliśmy z jednej strony, a makieta statku wyskoczyła z drugiej. Ale żeby nad tym zapanować, musieli zgrać wszystko co do pikosekund. – Przerwała i spojrzała na niego badawczo. – Wydajesz się smutny. Coś nie w porządku?

Wykonał nieokreślony gest w kierunku, z którego przyszedł.

– Tylko... przeszedłem przez statek... wszędzie pusto, nikogo nie ma. Potrzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

– Tak, wiem. – W jej głosie brzmiało zrozumienie. – Nie powinieneś jednak być smutny. Zrobiłeś to, co obiecałeś. Wkrótce wszyscy będą mieli swoje własne życie. Tak będzie lepiej.

– Mam nadzieję – rzekł Garuth.

W tym momencie odezwał się ZORAC.

– Właśnie otrzymałem wiadomość od VISARA: Calazar jest teraz wolny i mówi, że chciałby się z wami zobaczyć, kiedy tylko będziecie gotowi. Proponuje spotkanie na planecie zwanej Queeth, około dwudziestu lat świetlnych stąd.

– Wyruszamy – odparł Garuth. Potrząsnął głową i ze zdumieniem popatrzył na Shilohin, kiedy wychodzili ze sterowni. – Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczaję.

– Wydaje się, że Ziemianie szybko się przystosowali – odparła. – Kiedy ostatnim razem rozmawiałam z Vickiem Hunterem, próbował znaleźć sposób na zainstalowanie w swoim biurze małego perceptronu.

– Ziemianie potrafią się przystosować do wszystkiego – stwierdził Garuth z westchnieniem.

Weszli do pomieszczenia w którym Thurienowie zainstalowali cztery przenośne kabinki perceptronowe jako jedyny sposób na korzystanie z thurieńskiego systemu, jako że *Shapieron* nie był podłączony do VISARA. Dlatego też Calazar nie mógł „odwiedzić” statku. Gdyby statek nie znajdował się na orbicie, a zatem w swobodnym spadaniu, ciężar mikrotorusa w module telekomunikacyjnym urządzenia w najlepszym wypadku wypaczyłby podłogę. Garuth wszedł do jednej z kabin i ułożył się w fotelu, żeby podłączyć się do VISARA. Chwilę później stał obok Calazara w dużym pokoju na sztucznej wyspie unoszącej się osiemdziesiąt kilometrów nad powierzchnią Queeth. Kilka sekund po nim zjawiała się Shilohin.

– Ziemianie są bystrzejsi, niż sądzicie – oświadczył Garuth w trakcie rozmowy. – Żyliśmy wśród nich przez sześć miesięcy, więc wiemy. Ganimedejskiemu umysłowi trudno jest pojąć, że oszustwo i wykrywanie go należą do ich stylu życia. Mają wrodzony instynkt i prędzej czy później odkryją prawdę. A kiedy się wszystkiego dowiedzą, sytuacja będzie dla nas jeszcze bardziej kłopotliwa. Powiniście być z nimi szczerzy.

– A poza tym to nie po ganimedejsku – dorzuciła Shilohin. – Powiedzieliśmy wam, jak naprawdę jest na Ziemi, jak nas przyjęli i pomogli we wszelki możliwy sposób. Wasze wcześniejsze wątpliwości były usprawiedliwione ze względu na kłamstwa Jewlenów, ale to już nieaktualne. Musicie teraz powiedzieć Ziemianom całą prawdę. Jesteście to winni im i nam.

Calazar odszedł na bok, założył ręce za plecami i zaczął zastanawiać się nad tym, co usłyszał. Pokój, w którym się znajdowali, stanowił owalny występ, zwieszający się nad skrajem wyspy. Wnętrze składało się z obniżonej podłogi, otoczonej przez pochyłą, przezroczystą ścianę z widokiem na purpurową, nakrapianą chmurami powierzchnię Queeth. U góry ukazywała się wyspa jako szereg metalowych konstrukcji, kopuł i występów, które zbiegały się gdzieś wysoko poza zasięgiem wzroku.

– A zatem... nie będziemy mogli ukryć przed nimi prawdy – odezwał się w końcu Calazar, nie odwracając głowy.



– Pamiętaj, że to Ziemianie pierwsi dostrzegli ryzyko zniszczenia *Shapierona* przez Jewlenów i zrzucenia winy na Ziemię – przypomniał mu Garuth. – Thurienowie nigdy by o tym nie pomyśleli. Bądźmy uczciwi; Ziemianie i Jewlenowie rozumują w podobny sposób, w przeciwieństwie do Ganimedejczyków. Nie jesteśmy drapieżcami i nie wykształciliśmy w sobie umiejętności wyczuwania innych drapieżców.

– I z tego samego powodu Ziemianie mogą okazać się potrzebni, żeby zgłębić do końca zamiary Jewlenów – dodała Shilohin. – Czy jesteś choć trochę bliższy odkrycia, dlaczego przez całe lata systematycznie fałszowali raporty na temat Ziemi?

Calazar odwrócił się od ściany widokowej i spojrzał na nich.

– Nie – przyznał.

– Całe lata – powtórzył Garuth zgryźliwie. – A ty niczego nie podejrzewałeś, dopóki nie nadeszły przekazy z Księżyca.

Calazar myślał przez chwilę, potem westchnął i przytaknął z rezygnacją.

– Macie rację, niczego nie podejrzewaliśmy. Aż do niedawna wierzyliśmy, że Jewlenowie zintegrowali się z naszym społeczeństwem jako uczniowie i entuzjaści naszej nauki i kultury. Widzieliśmy w nich współobywateli, którzy razem z nami zagospodarowywali inne światy... – Wskazał ręką za siebie. – Na przykład ten. Pomogliśmy im nawet ustanowić autonomię na jednej z planet i samodzielnie nią rządzić jako kolebką nowej cywilizacji, która razem z naszą miała rozprzestrzenić się po całej Galaktyce.

– Najwyraźniej coś poszło nie tak – skomentowała Shilohin. – Może do rozwikłania tej zagadki potrzebny jest ziemski umysł.

Calazar dłużej zatrzymał na nich wzrok i znowu skinął głową.

– Oficjalnie Frenua Showm jest odpowiedzialna za nasze stosunki z Ziemią – oznajmił. – Powinniśmy z nią porozmawiać. Zaraz ją tu sprowadzę. – Lekko podniósł głos: – VISAR, odszukaj Frenuę Showm. Jeśli jest wolna, pokaż jej nagranie naszej rozmowy i zapytaj, czy nie dołączyłaby do nas.

– Dopilnuję tego – oświadczył VISAR.

– Kiedy oglądałam zapis spotkania we Vranix – zauważyła Shilohin po chwili ciszy – odniosłam wrażenie, że nie przepada za Ziemianami.

– Nigdy nie ufała Jewlenom – odparł Calazar. – Najwyraźniej przeniosła to uczucie na Ziemian. To chyba nic dziwnego. – I zaraz dodał: – Queeth to ciekawy świat, prawie cały zamieszkały przez rozwijającą się inteligentną rasę. Jewlenowie w przeszłości współdziałali z nami przy włączaniu wielu podobnych planet do naszego systemu. Zdają się posiadać wrodzoną umiejętność obchodzenia się z prymitywnymi rasami, z czym Ganimedejczycy nie radzą sobie tak łatwo. Dam wam przykład, który zilustruje, co mam na myśli. VISAR, pokaż nam miejsce, któremu wcześniej się przyglądałem.

Pośrodku pokoju nad pustym fragmentem podłogi pojawił się stereometryczny obraz. Był to widok z góry na miasto z surowymi budowlami o dziwacznej architekturze, wzniesionymi

z ciosanych bloków skalnych lub wypalanej gliny. Stłoczone były wokół większego i bardziej okazałego budynku z kolumnami na szczycie szerokich, płaskich schodów prowadzących do niego z sześciu stron. Kiedy Garuth zobaczył tę budowlę, przypomniały mu się starożytne świątynie, które widział na Ziemi. Z jednej strony u stóp schodów kłębił się tłum postaci.

– Queeth jeszcze nie jest podłączona do VISARA – poinformował Calazar. – Dlatego nie możemy tam zejść. Dzięki systemowi wysokiej rozdzielczości, mamy tu widok z orbity przekazywany bezpośrednio do ośrodków w naszej korze mózgowej.

Powiększenie wzrosło i obraz się zawężił. Tłum składał się z istot o dwóch nogach, dwóch rękach i jednej głowie, ale fragmenty ciała nie zakryte przez ubrania o niewyszukanym kroju wyglądały jak obciągnięte nie skórą, lecz różowym, błyszczącym kryształem. Głowy były wydłużone i pokryte na czubku oraz z tyłu czerwonymi zmierzwionymi włosami, kończyny długie i smukłe. Istoty poruszały się z płynną gracją, która wydała się Garuthowi dziwnie urzekająca.

Oczy mu się jednak rozszerzyły ze zdumienia, kiedy na szczycie schodów ponad tłumem ujrzał grupę pięciu postaci, stojących bez ruchu, wyprostowanych, w fałdzistych szatach i wysokich kunsztownych nakryciach głowy. Zachowywały się wyniośle i pogardliwie. I wtedy Garuth nagle zdał sobie sprawę, co oznaczają ruchy smukłych różowych istot. Te ruchy wyrażały uległość i szacunek... niemal uwielbienie. Dowódca statku gwałtownie odwrócił głowę i skierował na Calazara pytające spojrzenie.

– Queethowie uważają Jewlenów za bogów – wyjaśnił Calazar. – Zstępują z nieba w magicznych pojazdach i dokonują cudów. Jewlenowie przez jakiś czas eksperymentowali z techniką jako sposobem na spacyfikowanie prymitywnych ras, wzbudzenie szacunku i zaufania przed przystąpieniem do akcji cywilizacyjnej. Najwyraźniej przejęli ten pomysł z Ziemi... dzięki długoletnim obserwacjom.

Shilohin okazała zainteresowanie.

– Czy to mądre? – zapytała. – Jak dana rasa może mieć nadzieję na wypracowanie racjonalnych i skutecznych metod opanowania środowiska, jeśli jej fundamenty zbudowane są na czymś tak nieracjonalnym? Wiemy co wydarzyło się na Ziemi.

– Zastanawiałem się, czy powiesz coś takiego – odezwał się Calazar. – Sam się temu dziwiłem. Może, przed ostatnimi wydarzeniami, zbyt ufaliśmy Jewlenom. – Pokiwał głową poważnie. – Myślę, że w niezbyt odległej przyszłości czekają nas duże zmiany.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, VISAR przekazał informację.

– Frenua Showm zaraz się tu zjawi.

– Nie potrzebujemy już tego widoku – powiedział Calazar.

Obraz Queeth zniknął, a sekundę później obok Calazara stanęła Showm.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła wprost. – Ziemianie będą chcieli konfrontacji z Jewlenami, a to oznacza wiele problemów, i tak sytuacja jest wystarczająco skomplikowana.

– Ale to my zaproponowaliśmy Jewlenom prowadzenie obserwacji Ziemi – zauważył Calazar. – Dlaczego nie mielibyśmy stawić czoła konsekwencjom?

– Nie proponowaliśmy im – zaprotestowała Showm. – Oni sami nalegali i w końcu ówczesny rząd Thurien wyraził zgodę. W rzeczywistości wymusili to. – Potrząsnęła głową. – I niepokoi mnie pomysł zaangażowania Ziemian w nasze dochodzenie. Nie podoba mi się myśl, że zyskają dostęp do thurieńskiej techniki. Pamiętacie co przydarzyło się Lunarianom? I zobaczcie, co robią Jewlenowie, odkąd dostali własną wersję VISARA. Tak jest z całym ich gatunkiem – kiedy dostają do rąk zaawansowaną technikę, robią z niej niewłaściwy użytek. – Spojrzała na Garutha i Shilohin, a potem znów na Calazara. – Martwiliśmy się o *Shapierona*. Teraz jest bezpieczny na Thurien. Gdyby reszta zależała tylko ode mnie, od razu zerwałabym wszelkie kontakty z Ziemią, wyłączyłabym ją całkowicie z tej sprawy i sama uporządkowała sytuację z Jewlenami. Nie potrzebujemy Ziemian. Spełnili swoje zadanie.

– Muszę zaprotestować! – krzyknął Garuth. – Uważamy ich za przyjaciół. Gdyby nie ich pomoc, nigdy nie dotarlibyśmy do Thurien. Nie możemy ich tak po prostu zlekceważyć. Byłaby to obraza dla wszystkich Ganimedejczyków z *Shapierona*.

Zanim Calazar zdążył odpowiedzieć, włączył się VISAR z kolejną wiadomością.

– Proszę mi wybaczyć, ale Porthik Eesyana chce się do was przyłączyć. Mówi, że to pilne.

– Dobrze, i tak nie rozwiążemy tego w ciągu paru minut – powiedział Calazar. – W porządku, VISAR. Przyjmujemy go.

Eesyana zmaterializował się w ułamku sekundy.

– Właśnie rozstałem się na Thurien z Huntem i Dancheckerem – oznajmił. Thurienowie traktowali VISARA jako rzecz tak naturalną, że nigdy nie bawili się we wstępy.

– Spodziewałem się tego... odkryli prawdę o Jewlenach. Domagają się rozmowy z nami.

Calazar popatrzył na niego ze zdumieniem. Pozostali wyglądali na równie zaskoczonych.

– Jak? – zapytał Calazar. – Jak to zrobili? VISAR dbał o to, by do informacji przesyłanych na Ziemię nie przedostały się żadne wzmianki o nich. Nie mogli być świadkami żadnej sceny z udziałem choćby jednego Jewlena.

– Wydedukowali, że są tutaj ludzie – odparł Eesyana, poprawiając swoje poprzednie oświadczenie. – Domyślili się, że obserwacje prowadzą istoty ludzkie. Musimy coś zrobić. Nie sądzę, żebym mógł ich dłużej zwodzić, szczególnie Dancheckera.

Garuth zwrócił się do Calazara i Showm, rozkładając szeroko ręce.

– Nie znoszę powtarzać: „a nie mówiłem”, ale jest tak, jak mówiłem. Nie można niczego ukryć przed Ziemianami. Teraz musicie z nimi porozmawiać.

Calazar spojrzał pytająco na Showm.

Showm szukała w myślach innego rozwiązania, ale bezskutecznie.

– Dobrze – zgodziła się znużona. – Jeśli tak musi być. Sprowadźmy ich tutaj i przedstawmy fakty.

– A co z Karen Heller, VISAR? – zapytał Calazar. – Czy jest w tej chwili podłączona do systemu?

– Przegląda na Thurien wcześniejsze raporty z obserwacji – odpowiedział VISAR.

– W takim razie zaproś ją do nas – zdecydował Calazar. – A potem sprowadź pozostałych, jak tylko będą gotowi.

– Jedną chwileczkę. Nastąpiła krótka przerwa. A potem: – Właśnie kończy przesyłać jakieś uwagi do McClusky. Będzie tutaj za pół minuty.

W tym momencie pośrodku pokoju zmaterializowali się Hunt i Danchecker.

– Nadal twierdzą, że nigdy się do tego nie przyzwyczaję – ryknął Garuth do Shilohin.

## Rozdział dwudziesty

– Prowadziliśmy obserwacje Ziemi od początku istnienia jej cywilizacji – oświadczył Calazar. – Przez większość czasu operację tę prowadziła wchodząca w skład naszego społeczeństwa rasa Jewlenów, o których do tej pory wam nie mówiliśmy. Jak już, zdaje się, sami wydedukowaliście, Jewlenowie to w pełni ludzkie istoty.

– Homo sapiens są trochę... zmienni – dodała Frenua Showm, wyczuwając, że potrzebne są dodatkowe wyjaśnienia. – Mają silny instynkt rywalizacji. Czuliśmy, że jest to potencjalnie drażliwa sprawa. Zawsze można ją było ujawnić później; gdybyśmy zrobili to za wcześnie, jeszcze wiele razy trzeba by do niej wracać.

– Cóż – odezwał się Danchecker, patrząc na Hunta z wyraźnym zadowoleniem. – Tak jak powiedziałem – niezależna linia hominidów pochodzących od naczelnych, zebranych na Thurien w czasie migracji z Minerwy.

– Hm... nie – powiedział Calazar przeproszającym tonem.

Danchecker zamrugnął oczami i popatrzył na obcego, jakby miał ochotę zakląć.

– Słucham?

– Jewlenowie są znacznie bliżej spokrewnieni z Homo sapiens. W rzeczywistości pochodzą od tych samych, co wy, lunariańskich przodków... sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat.

Calazar popatrzył z niepokojem na Showm, a potem z powrotem na Ziemian, czekając na ich reakcję. Garuth i Shilohin stali w milczeniu. Znali już całą historię.

Hunt i Danchecker, zdezorientowani, spojrzeli na siebie, a potem na Ganimedejczyków. Lunarianie, którzy przeżyli, dotarli na Ziemię z Księżyca. W jaki sposób niektórzy z nich znaleźli się na Thurien? Mogli ich tam zabrać jedynie Thurienowie. Ale skąd ich zabrali? Na Minerwie nikt nie ocalał. Nagle Huntowi zakotłowało się w głowie tyle pytań, że nie wiedział, od którego zacząć. Wyglądało na to, że Danchecker ma ten sam problem.

– Wróćmy do początku całej historii – odezwała się w końcu Karen Heller – i sprawdźmy pewne podstawowe rzeczy. – Patrzyła na Calazara i do niego kierowała te słowa. – Zakładaliśmy, że Lunarianie wyewoluowali na Minerwie z ziemskich przodków, których zostawiliście, wyruszając na Thurien. Zgadza się, czy coś pominęłam?

– Nie, wszystko się zgadza – odparł Calazar. – I pięćdziesiąt tysięcy lat temu mieli już dość zaawansowaną technicznie cywilizację. Aż do tego momentu wszystko przebiegało tak, jak to zrekonstruowaliście.

– Tak czy inaczej, dobrze wiedzieć. – Heller skinęła głową i uspokojona kontynuowała. – Może więc podejmiecie historię od tego momentu i opowiecie, co się wydarzyło później – zaproponowała. – To oszczędzi wielu pytań.

– Dobry pomysł – przyznał Calazar. Przez chwilę zbierał myśli, a potem przesunął spojrzeniem po całej trójce i zaczął: – Kiedy Ganimedejczycy przenosili się na Thurien, zostawili system obserwacyjny, który miał śledzić rozwój wydarzeń na Minerwie. W tamtym czasie nie posiadali jeszcze wymyślnego systemu telekomunikacyjnego, jaki mamy teraz, więc otrzymywane informacje były sporadyczne i niekompletne. Wystarczyły jednak do uzyskiwania w miarę pełnego i sensownego obrazu tego, co się działo na planecie. Może chcielibyście zobaczyć Minerwę z tamtego okresu?

Wydał polecenie VISAROWI, cofnął się kilka kroków i spojrzał z wyczekiwaniem na środek podłogi. Pojawił się duży, trójwymiarowy obraz, tak rzeczywisty, że wydawało się, iż można go dotknąć. Był to obraz planety.

Hunt znał na pamięć wszystkie zarysy linii brzegowych i charakterystyczne punkty powierzchni Minerwy. Jednym z najbardziej pamiętnych odkryć ostatnich lat – od którego właśnie rozpoczęły się badania uwieńczone zdobyciem dowodów na istnienie Minerwy i Ganimedejczyków, jeszcze przed przybyciem *Shapierona* – był „Charlie”, ubrane w skafander kosmiczny ciało Lunarianina, wykopane w trakcie prac prowadzonych na Księżycu. Na podstawie map znalezionych przy Charliem, naukowcy z Navcomms zdołali skonstruować dwumetrowy model planety. Ale obraz, który teraz Hunt miał przed sobą, nie ukazywał ogromnych czap lodowych i wąskiego pasa równikowego, jakie zapamiętał z modelu. Ukazywał natomiast dwa lądy, lecz o znacznie zmienionych zarysach; tym razem wchodziły w skład kontynentów ciągnących się na północ i na południe aż do wyraźnie mniejszych czap lodowych – niewiele większych niż na współczesnej Ziemi. Gdyż nie była to Minerwa z czasów Lunarian sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat. Była to Minerwa sprzed dwudziestu pięciu milionów lat, kiedy Lunarianie jeszcze nie istnieli. I nie był to model stworzony na podstawie map, lecz rzeczywista planeta. Hunt spojrzał na Danchekkera, który, zupełnie oczarowany widokiem, nie zareagował.

Przez następne dziesięć minut patrzyli i słuchali, a Calazar prezentował serię zbliżeń wykonanych z orbity, pokazujących w tempie dwóch milionów lat na minutę, jak przywiezione gatunki ziemskich zwierząt adaptują się, ewoluują, rozmnażają się, wypierają miejscowe formy życia, a w końcu, jak pojawiają się pierwsze społeczne istoty ludzkie, wywodzące się od sztucznie zmodyfikowanego gatunku przywiezionych na Minerwę naczelnych.

Prawie wszystko zgadzało się z wysuniętymi przez ziemskich naukowców teoriami, z pewnymi wyjątkami: aż do dwutysięcznego dwudziestego ósmego roku zajmowano się niewłaściwą planetą, a przynajmniej odkryte skamieniałości pochodzące z okresu wcześniejszego niż pięćdziesiąt tysięcy lat temu przypisywano niewłaściwej rodzinie hominidów. Był jeszcze jeden zupełnie nieoczekiwany etap, pominięty w historii odtworzonej przez ziemskich antropologów: na samym początku ery ludzi-małp gatunek na pewien czas wrócił do środowiska półwodnego, głównie z powodu fizycznego nieprzystosowania do obrony przed drapieżcami na lądzie. Zapoczątkował w ten sposób drogę ewolucji, którą podążyły wieloryby i inne ssaki wodne, ale sam zawrócił z niej i ponownie wyszedł z wody, kiedy rosnąca inteligencja wyposażyła go w inne środki obrony; dopiero potem nastąpiła fizyczna adaptacja. Z tego okresu pochodziła wyprostowana postawa, utrata owłosienia, szczątkowa płetwa między kciukiem a palcem wskazującym, funkcja wydalania soli przez kanaliki łzowe i kilka innych cech, na temat których naukowcy na Ziemi przez całe lata wiedli spory. Danchecker mógłby rozprawić o tym przez resztę tygodnia, ale Hunt przekonał go, że porozmawiają sobie o tym kiedyś z Eesyaniem.

Potem miało miejsce odkrycie narzędzi i ognia, rozbieżność na plemiona oraz stopniowy rozwój organizacji społecznej od prymitywnych gospodarek myśliwsko-zbierackich przez rolnictwo i budowę miast aż po odkrycia naukowe i początki industrializacji. I było w tej części historii również coś, co odróżniało Lunarian od ziemskich krewniaków: ich praktyczne i realistyczne podejście do wszystkiego, co robili. Skutecznie wykorzystywali swoją pomysłowość i talenty, nie próbując bezowocnie rozwiązywać problemów za pomocą przesądów i magii, co przez całe tysiąclecia czynili ludzie na Ziemi. O powodzeniu pierwszych myśliwych decydowała lepsza broń i większe umiejętności, a nie kaprysy wymyślonych bóstw, które należało ułagodzić. Tylko wiedza rolników na temat roślin, ziemi i żywności przyczyniała się do zwiększenia plonów; nie potrafiły tego dokonać rytuały i magiczne zaklęcia, więc je zarzucono. A wkrótce pomiary, obserwacje i potęga rozumu doprowadziły do odkrycia praw rządzących wszechświatem, pozwoliły na ujarzmienie energii, stworzenie dobrobytu i poszerzenie horyzontów. W rezultacie lunariańskie nauki i przemysł rozwinęły się niemal w ciągu jednej nocy jak grzyby w porównaniu z mozolnym, chwiejnym marszem ku oświeceniu, które w podobnych warunkach nastąpiło na Ziemi znacznie później.

Naukowcy ziemscy, badający historię Lunarian, przedstawiali ich jako nieuleczalnie agresywne i wojownicze istoty o zaawansowanej technice, która w nieunikniony sposób doprowadziła ich do samozagłady. Hunt i pozostali dowiedzieli się teraz, że ten obraz nie jest zgodny z rzeczywistością. W początkowym okresie lunariańskiej historii dochodziło do wojen i nienawiści – to prawda – ale podobne rzeczy stały się już rzadkością na wczesnym etapie uprzemysłowienia. Istniała głębsza przyczyna zjednoczenia się narodów Minerwy. Ich naukowcy przewidzieli pogarszanie się warunków życia w związku ze zbliżającą się epoką

lodowcową i cała rasa gorączkowo przystąpiła do rozwijania nauki, która pozwoliłaby im w nadchodzących wiekach przenieść się na cieplejszą planetę. Ówcześni astronomowie wytypowali Marsa i Ziemię jako najlepsze miejsca. Stawką było przetrwanie, więc nie trwoniono zasobów na wewnętrzne konflikty. Aż do czasu...

Około dwustu lat przed ostateczną, katastrofalną wojną wydarzyło się coś, co zmieniło wszystko.

– Mógł to być rezultat pewnych mutacji genetycznych – wyjaśnił Calazar. – Mniej więcej w tym czasie, kiedy wynaleziono maszynę parową i właśnie rozpoczynano eksperymenty z elektrycznością, pojawiła się nagle nowa rasa Lunarian i wykonała ogromny skok naprzód, wyprzedzając wszystkich na planecie. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i gdzie się pojawił. Początkowo byli nieliczni, ale szybko rozmnożyli się i umocnili.

– Czy to właśnie wtedy planeta się podzieliła? – zapytała Heller.

– Tak – odparł Calazar. – Z nowej rasy wywodzili się Lambianie. Byli bezwzględni. Zmilitaryzowali się i stworzyli totalitarny reżim, który siłą narzucili znacznej części planety, zanim inne narody zdołały zebrać siły, by stawić opór. Celem Lambian było zawładnięcie potencjałem przemysłowym i technicznym Minerwy, a następnie przeniesienie się na Ziemię. Musieli więc najpierw zapanować nad narodami, które wspólnie dążyły do tego celu. Dla tych narodów poddanie się oznaczało zagładę; nie miały innego wyjścia, jak zjednoczyć się, uzbroić i bronić swojego bezpieczeństwa. To właśnie byli Cerianie. Wszystko w nieunikniony sposób zmierzało ku wojnie na śmierć i życie między dwoma odłamami.

Hunt patrzył na kolejne sceny, pokazujące stopniowe przekształcanie się Minerwy w ogromną maszynę wojenną. Przeraził go rozmiar tragedii. To wszystko było niepotrzebne. W uzbrojenie włożono więcej wysiłku, niż wymagałoby przeniesienie całej lunariańskiej rasy na Ziemię i z powrotem. Gdyby Lambianie nie pojawili się właśnie wtedy na scenie, mieszkańcy Minerwy dopięliby swego. Po tylu tysiącletniach tak niewiele brakowało do osiągnięcia celu, który mógł ocalić ich cywilizację, i wtedy odrzucili wszystko.

VISAR zaczął pokazywać sceny z wojny. Świat zatrzęsł się od wybuchów ognistych kul wysokich na wiele kilometrów, wybuchów, które zamieniły miasta w parę. Oceany zawrzały, a lasy spłonęły na popiół, unoszący się spiralnie w atmosferę. Całą powierzchnię spowiły chmury dymu i pyłu, przekształcając planetę w mroczną, czarnobrazową kulę. Tu i ówdzie pojawiły się plamy czerwieni i wolno pulsującej żółci – początkowo odosobnione i blade, a potem coraz jaśniejsze i rozleglejsze. Na koniec się zlały. I wtedy rozpadły się kontynenty, wewnątrz planety eksplodowało, wyrzucając w przestrzeń fragmenty skorupy. Narodziły się asteroidy, a powstały z reszty globu Pluton, skazany na wieczne dryfowanie z dala od Słońca, miał stać się grobowcem całej rasy. Choć Garuth i Shilohin widzieli już przedtem te sceny, popadli w milczenie; oni jedyni spośród obecnych znali kiedyś Minerwę, która była ich domem.

Calazar odczekał trochę, aż nastrój się poprawi, a potem powiedział:



– Ganimedejczyków długo dręczyło sumienie z powodu genetycznej ingerencji dokonanej na przodkach Lunarian. Dlatego też przyjęli w stosunku do Minerwy politykę nieinterwencji. Właśnie widzieliście jej rezultaty. Z tego nieszczęścia uratowała się garstka osób, pozostawionych na Księżycu bez nadziei na przeżycie. Do tego czasu Thurien udoskonaliła technikę czarnych dziur, która umożliwiała natychmiastową łączność oraz przenoszenie obiektów, toteż Ganimedejczycy od razu wiedzieli, co się stało, i mogli interweniować. Widząc skutki swojej dotychczasowej polityki, nie mogli stać z boku i pozwolić zginąć tym, którzy przeżyli. Zorganizowali więc misję ratunkową i wysłali w pobliże Księżyca i Minerwy kilka dużych statków.

Minęło parę sekund, zanim do Hunta dotarło znaczenie tego, co powiedział Calazar. Popatrzył na Ganimedejczyka zaskoczony.

– Nie na skraj Układu Słonecznego? – zapytał. – Mówiliście, zdaje się, że nie tworzyście dużych torusów wewnątrz układów planetarnych.

– To była krytyczna sytuacja – odparł Calazar. – Ganimedejczycy postanowili zapomnieć tym razem o zasadach. Nie mieli czasu do stracenia.

Hunt otworzył szeroko oczy, kiedy wreszcie zrozumiał: to w ten sposób Pluton znalazł się na swojej orbicie! Z tego samego powodu osłabło przyciąganie grawitacyjne między Minerwą i jej księżycem. To jedno proste oświadczenie pozbawiało pracy połowę pracowników Navcomms.

– Więc lunariańscy przodkowie ludzkiej rasy wcale nie dotarli na Ziemię wraz z Księżycem – stwierdziła Karen Heller. – Przenieśli ich tam Ganimedejczycy. Księżyc pojawił się później.

– Tak – odpowiedział Calazar po prostu.

To wyjaśniało kolejną tajemnicę. Wszystkie modele matematyczne wymagały, by droga Księżyca od Minerwy na orbitę wokół Ziemi trwała długo. Wyrażano wątpliwości, czy garstka ocalałych Lunarian mogła przetrwać choćby bardzo krótki okres, nie mówiąc o dotarciu w pobliże Ziemi. Wszystko ulegało zmianie, gdy do równania włączyło się interwencję Ganimedejczyków. Przy ich pomocy Lunarianie mogli urządzić sobie bezpieczne schronienie i rozpocząć odbudowywanie swojej cywilizacji. Dlaczego więc cofnęli się do barbarzyństwa, tracąc w ten sposób dziesiątki tysięcy lat? Jedyne wytłumaczeniem mogły być wstrząsy spowodowane przechwyceniem Księżyca. Prawda jest ironiczna, pomyślał Hunt. Gdyby nie otrzymali ciosu w plecy od własnego Księżyca, na powrót opanowaliby przestrzeń kosmiczną już czterdzieści pięć tysięcy lat przed naszą erą, jeśli nie wcześniej.

– Nie wszystkich jednak przeniesiono na Ziemię – wywnioskował Danchecker. – Pewną grupę zabrano na Thurien i od niej pochodzą Jewlenowie.

– Tak było – potwierdził Calazar.

– Nawet po tym, co się wydarzyło – wyjaśniła Showm – Cerianie i Lambianie nie mogli ze sobą przebywać. Ponieważ Lambianie byli przyczyną całego nieszczęścia, ówcześni

Ganimedejczycy uważali, że lepiej będzie zabrać ich na Thuriem, gdzie mieli – przynajmniej wyrażano taką nadzieję – zintegrować się ze społeczeństwem ganimedejskim. Cerian na ich własną prośbę przeniesiono na Ziemię. Zaoferowano im pomoc w budowaniu nowej społeczności, ale odmówili. Zainstalowano więc system obserwacyjny, żeby nie spuszczać ich z oka... także dla ich własnego dobra.

Hunt był zdumiony. Jeśli obserwacje prowadzono od samego początku, Ganimedejczycy musieli wiedzieć o upadku kolonii, którą sami pomogli założyć. Dlaczego do tego dopuścili?

– Jak to zrobili ci drudzy...Lambianie? – zapytała Heller. – Wtedy jeszcze nie mogli prowadzić obserwacji. W jaki sposób przejęli nad nimi kontrolę?

Calazar ciężko westchnął.

– Sprawiali Thuriemom wiele kłopotów. Dlatego też, kiedy Księżyc został przechwycony przez Ziemię, powodując liczne katastrofy, które zniszczyły kruchą społeczność ceriańską, postanowiono zostawić rzeczy ich własnemu biegowi. Mając własne kłopoty, Thuriemowie nie chcieli znowu być świadkami, jak kolejna ludzka cywilizacja pędzi na oślep ku postępowi i jak powtarza się – być może – historia zagłady Minerwy. – Wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że właśnie tak to było. – W miarę upływu czasu i przemijania kolejnych pokoleń Lambian, sytuacja zdawała się poprawiać. Pewne oznaki wskazywały na ich integrację z ganimedejskim społeczeństwem, tak więc jego przywódcy przyjęli politykę ustępstw w celu przyspieszenia tego procesu. W rezultacie Jewlenowie, jak nazwano potomków Lambian, zdobyli kontrolę nad systemem obserwacyjnym.

– Błąd – skomentowała Showm. – Należało ich wypędzić.

– Zgadzam się, poniewczasie – powiedział Calazar. – To było jednak na długo przed nami.

– Może powiecie nam coś o tym systemie – zaproponował Hunt. – Jak działa?

– Głównie z przestrzeni kosmicznej – odpowiedział Eesyhan. – Jeszcze wiek temu był stosunkowo prosty. Odkąd jednak Ziemia wkroczyła w erę elektroniki i podboju kosmosu, Jewlenowie musieli stać się ostrożniejsi. Ich urządzenia są bardzo małe i praktycznie niewykrywalne. Większość informacji pochodzi z waszych przechwytywanych i retransmitowanych połączeń telekomunikacyjnych, na przykład z łączy laserowych między Ziemią a Jowiszem. Kiedyś na wczesnym etapie waszego programu kosmicznego Jewlenowie skonstruowali urządzenia podobne do waszych śmieci krążących w przestrzeni, ale musieli się z tego wycofać, kiedy zaczęliście je uprzętać. Ten eksperyment przyniósł jednak pewne korzyści. Właśnie wtedy wpadliśmy na pomysł zbudowania perceptronu, który wyglądałby jak wasz boeing.

– Ale w jaki sposób tak dobrze fałszowali raporty? – zapytał Hunt. – Muszą mieć coś w rodzaju waszego VISARA. Nie mógł tego dokonać kieszonkowy komputer.

– Mają – oznajmił Eesyhan. – Dawno temu, kiedy były powody do optymizmu w związku z Jewlenami, Thuriemowie pomogli im zagospodarować jeden ze światów. Planeta nazywa się

Jewlen, leży na obrzeżach opanowanego przez nas regionu kosmosu i ma własny system JEVEX, podobny do VISARA, ale od niego niezależny. Tak jak VISAR, JEVEX działa na własnym obszarze obejmującym wiele gwiazd. System obserwacyjny z Układu Słonecznego podłączony jest do JEVEXA, który przekazuje nam raporty przez VISARA.

– Łatwo teraz zrozumieć, jak dokonywano fałszerstw – dodała Showm. – I to wszystko przez filantropię. Nie należało dawać im do rąk takiego systemu.

– Ale dlaczego to robili? – zapytała Karen Heller. – Nadal nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Ich raporty były całkiem dokładne aż do czasów drugiej wojny światowej. Problemy końca dwudziestego wieku nieco wyolbrzymiono, a ostatnie trzydzieści lat zmieniono w czystą fikcję. Dlaczego Jewlenowie chcieli was przekonać, że zmierzamy ku trzeciej wojnie światowej?

– Kto jest w stanie zrozumieć, jak działa ludzki umysł? – zapytała Showm, nieświadomie uogólniając.

Hunt zauważył, że odruchowo spojrzęła na Calazara. Coś się jeszcze za tym kryje, stwierdził w duchu, coś, czego Thurienowie nie chcą ujawnić. Jednocześnie w ułamku sekundy zyskał pewność, że Garuth i Shilohin również o tym nie wiedzą. Czuł jednak, że to nieodpowiedni moment na konfrontację. Skierował więc rozmowę na szczegóły techniczne.

– Jaką pamięć archiwalną ma JEVEX? – zapytał. – Czy podobnie jak u VISARA sięga ona czasów ganimedejskiej cywilizacji na Minerwie?

– Nie – odparł Eesyhan. – JEVEX jest znacznie młodszy. Nie było potrzeby obciążać go całą pamięcią VISARA, dotyczącą tylko Ganimedejczyków. – Przez chwilę przyglądał się Huntowi badawczo. – Myślisz o anomaliach związanych z pozycjami gwiazd, które VISAR wykrył na zdjęciach *Shapierona*?

Hunt skinął głową.

– To wszystko wyjaśnia, nieprawdaż? JEVEX nie mógł wiedzieć o tych przesunięciach. VISAR miał dostęp do oryginalnych danych dotyczących *Shapierona*, a JEVEX nie.

– Otóż to – powiedział Eesyhan. – Było jeszcze parę innych niezgodności, ale o podobnym charakterze... wszystkie dotyczyły starej ganimedejskiej techniki, o której JEVEX nie mógł wiele wiedzieć. To dlatego staliśmy się podejrzliwi.

Od tej chwili wszystko, co pochodziło od JEVEXA, stawało się podejrzane, pomyślał Hunt. Nie było jednak innego sposobu na sprawdzenie domysłów, jak pominięcie Jewlenów i dotarcie do źródła informacji – Ziemi. Dokładnie to zrobili Thurienowie.

Calazar próbował zmienić temat. Kiedy zapadła cisza, powiedział:

– Garuth chciał, żebyśmy pokazał wam coś, co może was zainteresować. VISAR, pokaż lądowanie Ganimedejczyków w Gordzie.

Hunt poderwał głowę ze zdziwieniem. Nazwa była znajoma. Danchecker również popatrzył niedowierzająco. Heller ze zmarszczonym czołem przesunęła po nich spojrzeniem. Nie znała historii Charliego tak dobrze, jak oni.

Zespołowi lingwistów z Navcomms pod kierownictwem Dona Maddsona udało się w końcu rozszyfrować zagadkowy notes Charliego. Był to dziennik z opisem kolejnych przeżyć Charliego, członka szybko topniejącej grupki ocalałych Cerian, którzy podjęli desperacką próbę dotarcia do księżycowej bazy, dającej ostatnią nadzieję na ucieczkę z Księżyca, jeżeli w ogóle istniała jakaś nadzieja. Relacja urywała się w momencie przybycia Charliego do miejsca, gdzie go znaleziono. Do tego czasu wyczerpanie zredukowało grupę do dwóch osób – Charliego i jego towarzysza o imieniu Koriel. Z powodu awarii urządzenia regulującego skład powietrza, Charlie został tam, gdzie upadł, a Koriel wyruszył w samotną wędrówkę do bazy. Wszystko wskazywało na to, że nie wrócił po swojego towarzysza. Baza nazywała się Gorda.

Pośrodku podłogi pojawił się nowy obraz. Pustynia pyłu i gładów rysujących się ostro na tle czarnego nieba usianego gwiazdami. Okolica osmalona i wymieciona przez jakieś siły o niewyobrażalnej gwałtowności, które zostawiły po sobie tylko poskręcane i okaleczone resztki czegoś, co musiało być kiedyś dużą bazą. Pośród tego spustoszenia stała samotna budowla, jedyna wyglądająca na nietkniętą – przysadzista, opancerzona kopuła z wyrwą z jednego boku. We wnętrzu panowała ciemność.

– To wszystko, co zostało z Gordy – skomentował Calazar. – Obraz ten przekazał thurieński statek, który wylądował parę minut wcześniej.

Zza kadru wyłonił się mały pojazd o prostokątnym kształcie, ale tu i ówdzie najeżony występami i gondolami. Leciał wolno na wysokości około sześciu metrów. Wylądował obok kopuły. Wskoczyła z niego grupa Ganimedejczyków w skafandrach kosmicznych, którzy zaczęli ostrożnie zbliżać się do otworu. Przed nimi w mroku coś się poruszyło.

W otworze wyglądającym jak wejście do podziemi budowli, której częścią była kiedyś kopuła, pojawiło się jakieś światło, a następnie postacie w skafandrach nieco różniących się od ganimedejskich. Nowo przybyli, o wiele niżsi od Ganimedejczyków, mieli broń, ale zachowywali się niepewnie, nerwowo wymieniając spojrzenia i zerkając na obcych. Zdawało się, że żaden nie wie, co robić i czego się spodziewać. Tylko jeden zachowywał się inaczej.

Stał z przodu, w niebieskim nadpalonym skafandrze pokrytym kurzem, na szeroko rozstawionych nogach i z bronią wycelowaną pewnie w przywódcę Ganimedejczyków. Wolną ręką skinął na swoich towarzyszy. Był to zdecydowany i rozkazujący gest. Posłuchali go. Paru stanęło przy jego boku, a pozostali zajęli pozycje obronne wśród okolicznych ruin. Był wyższy od innych i potężnie zbudowany; widoczne przez wizjer usta wykrzywiły się, odsłaniając białe zęby, które ostro kontrastowały z ciemnymi, nie ogolonymi policzkami i podbródkiem. Wypowiedział jakieś zdanie i choć słowa były niezrozumiałe, ich ton niedwuznacznie wskazywał na wyzwanie.

– Nasze metody obserwacyjne nie były wtedy doskonałe – skomentował Calazar. – Nie znaliśmy języka.

W scenie rozgrywającej się przed ich oczami ganimedejski przywódca odpowiedział w swoim języku, najwyraźniej zdając się na intonację i uspokajający gest. W trakcie tej wymiany zdań napięcie zdawało się opadać. W końcu olbrzym opuścił broń, a pozostali zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek. Skinął na Ganimedejczyków i kiedy szeregi za nim rozstały się, poprowadził ich do wejścia.

– To Koriel – powiedział Garuth.

Hunt już wcześniej się tego domyślił. Z jakiegoś powodu odczuł ulgę.

– Udało mu się! – zawołał Danchecker. Na jego twarzy widniało podniecenie. Przełknął głośno ślinę. – Dotarł do Gordy. Jestem... cieszę się z tego.

– Tak – powiedział Garuth, odczytując następne pytanie wypisane na twarzy Hunta. – Przestudiowałem dziennik pokładowy statku. Wrócili, ale towarzysz Koriela już nie żył. Zostawili go tam. Udało im się jednak uratować paru innych, którzy wcześniej odpadli po drodze.

– A potem? – zapytał Danchecker. – Zawsze zastanawialiśmy się, czy Koriel znalazł się wśród tych, którzy dotarli na Ziemię. Wydaje się to możliwe. Nie wiecie przypadkiem, co się z nim stało?

W odpowiedzi Calazar poprosił o następny obraz. Przedstawiał osadę utworzoną z kilkunastu przenośnych budynków o obcej konstrukcji, stojących nad brzegiem rzeki na tle półtropikalnego lasu, za którym widniał zamglony zarys pasma górskiego. Z jednej strony znajdowało się coś, co wyglądało na stertę zapasów w skrzyniach, beczkach i innych pojemnikach. Na pierwszym planie stała grupa dwustu lub trzystu ludzkich postaci, ubranych przeważnie w proste, ale praktyczne koszule i spodnie. Wielu miało broń przytroczoną do pasa albo przewieszoną przez plecy.

Na czele stał Koriel, ogromny, szeroki w barach, z gęstymi, czarnymi włosami i poważną twarzą; trzymał kciuki zatknięte za pas. Po obu bokach miał zastępców, odsuniętych o krok do tyłu. Parę karabinów uniosło się w pożegnalnym geście.

Potem obraz zaczął się oddalać i przechylać. Osada skurczyła się szybko i zniknęła pośród dywanu z wierzchołków drzew, które z kolei zwały się w zamazaną połąć zieleni na kolorowej szachownicy.

– Ostatni widok ze statku odlatującego z Ziemi na Thurien – powiedział Calazar.

Pojawił się znajomy odcinek wybrzeża Morza Czerwonego, który zaraz skurczył się do fragmentu Bliskiego Wschodu, zniekształconego na krańcach z powodu skrótu perspektywicznego. W końcu ukazał się brzeg planety, już wyraźnie zakrzywiony.

Przez dłuższy czas patrzyli w milczeniu. Wreszcie Danchecker mruknął

– Wyobraźcie sobie... cała nasza rasa wywodzi się od takiej garstki ludzi. A mimo to przetrwali, podbili cały świat. Jakimi musieli być niezwykle istotami.

Była to jedna z niewielu okazji, kiedy Hunt widział Dancheckera tak szczerze poruszonego. Czuł się podobnie. Wrócił myślą do scen z lunariańskiej wojny oraz stworzonej

przez Jewlenów wizji Ziemi pędzącej ku takiej samej katastrofie. Niemal się to sprawdziło. Niewiele brakowało... tak niewiele. Gdyby Ziemia nie zmieniła kursu, to samo spotkałoby ją za dwie lub trzy dekady. A wtedy Charlie, Koriel, Gorda, wysiłki Thuriarów, walka garstki ocalałych i wszystko, co musieli wycierpieć potem, poszłoby na marne.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Po wysłuchaniu relacji Normana Pacea z wydarzeń w Bruno, Jerol Packard złożył w biurze CIA poufną prośbę o udostępnienie wszystkich informacji zgromadzonych przez lata w aktach Sverenssena, a także w aktach innych członków delegacji ONZ na Księżycu. Clifford Benson, urzędnik CIA, który spełnił tę prośbę, dzień później na zamkniętym posiedzeniu w gabinecie Packarda w Departamencie Stanu przedstawił streszczenie danych.

– Sverenssen ponownie pojawił się w Europie Zachodniej w dwutysięcznym dziewiątym roku. W tym czasie miał już liczne kontakty towarzyskie i finansowe. Nie jest jasne jak je nawiązał. Nie możemy natrafić na żadne jego ślady z wcześniejszych dziesięciu lat, to znaczy od czasu, gdy uznano go za zabitego w Etiopii. – Benson wskazał na przypięte do ściany wykresy z nazwiskami, fotografiami, organizacjami i łączącymi je strzałkami. – Najbliżej związany był z francusko-brytyjsko-szwajcarskim konsorcjum bankowo-inwestycyjnym, w większej części zarządzanym przez te same rodziny, które w dziewiętnastym wieku przeprowadziły wiele operacji finansowych w południowo-wschodniej Azji, żeby wypruć pieniądze z handlu chińskim opium. Jest tu pewna interesująca rzecz: jedna z najważniejszych postaci we francuskiej części konsorcjum to krewny Daldaniera. Te dwa rody są ze sobą spokrewnione od trzech pokoleń.

– Ci ludzie są ze sobą ściśle powiązani – skomentował Caldwell. – Nie wiem, czy należy przypisywać temu jakieś znaczenie.

– Gdyby to był odosobniony przypadek, nie przywiązywałbym do niego żadnej wagi – zgodził się Benson. – Ale poczekajcie na resztę historii. – Wskazał na inny fragment wykresu. – Strona brytyjska i szwajcarska kontrolują znaczną część światowych finansów i mają, poprzez londyński rynek złota i kopalnie, powiązania z Afryką Południową. Spójrzcie, jakie nazwiska znajdujemy na końcu tej listy.

– Czy ten Van Geelink jest z tej samej rodziny, co poplecznik Sverenssena? – zapytała Lyn powątpiewająco.

– Z tej samej – odparł Benson. – Jest ich wielu, powiązanych wspólnymi interesami. To skomplikowana struktura. – Przerwał na chwilę, ale zaraz podjął temat. – Aż do początków

obecnego wieku duże sumy Van Geelinków szły na utrzymanie dominacji białych w tamtym regionie, wpływy osiągnęto poprzez polityczne i ekonomiczne podkopywanie stabilności czarnej Afryki. Jest to jeden z powodów, dla których nikt nie wydawał się zainteresowany wspieraniem oporu przeciwko komunistycznym przewrotom powtarzającym się w latach od siedemdziesiątych do dziewięćdziesiątych. Aby – wobec wprowadzanych zakazów handlu – zachować swoją pozycję, rodzina organizowała dostawy broni przez pośredników, najczęściej reżimy południowoamerykańskie.

– I tu właśnie pojawia się ten Brazylijczyk? – zapytał Caldwell, unosząc brwi.

Benson skinął głową.

– Między innymi. Ojciec i dziadek Saraqueza byli potęgami na rynku towarowym, szczególnie w handlu ropą naftową. Podobnie jak Van Geelinków łączy ich więzy z głównymi sprawcami destabilizacji na Bliskim Wschodzie pod koniec dwudziestego wieku. Najważniejszym motywem była chęć zmaksymalizowania zysków ze sprzedaży ropy naftowej, zanim świat przejdzie na energię jądrową. Identyczny motyw krył się za zorganizowanym mniej więcej w tym samym czasie podburzaniem opinii publicznej przeciwko elektrowniom atomowym. Efektem ubocznym, leżącym zresztą w interesie Saraquezów, był wzrost popytu na ropę z Ameryki Środkowej. – Benson wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Jest jeszcze więcej faktów, ale chyba dostrzegacie już sedno sprawy. Podobne rzeczy można powiedzieć o parę innych członkach delegacji. To jedna szczęśliwa rodzina... w wielu wypadkach dosłownie.

Kiedy Benson skończył, Caldwell zaczął z nowym zainteresowaniem studiować wykresy. Po pewnym czasie zapytał:

– I co z tego wynika? Jaki to ma związek z wydarzeniami na Księżycu? Masz już jakąś teorię?

– Ja tylko gromadzę fakty – odparł Benson. – Zostawiam resztę twoim ludziom.

Packard przysunął się bliżej.

– Można na to spojrzeć z jeszcze jednej strony powiedział. – Cała sieć jest odbiciem pewnej ideologii – feudalnej. – Pozostali spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Wyjaśnił więc: – Cliff już wspomniał o zaangażowaniu w rozbudzaniu antynuklearnej histerii trzydzieści czy czterdzieści lat temu, ale jest coś więcej. – Wskazał ręką na wykresy Bena. – Weźmy na przykład, bankowe konsorcjum, które zapewniło Sverenssenowi start. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat dwudziestego wieku konsorcjum to skrycie wspomagało wiele antypostępowych ruchów w Trzecim Świecie, antynaukowych grup nacisku itd. W Afryce Południowej stykamy się z kolejnym odgałęzieniem tej sieci, popierającym rasizm i przeszkadzającym w industrializacji, edukacji czarnych, zaprowadzeniu postępowych rządów. A za oceanem widzimy prawicowe, faszystowskie reżimy broniące interesów mniejszości poprzez przewroty wojskowe, a jednocześnie blokujące rozwój kraju. Wszystko to jest



przejawem jednej ideologii, mającej na celu zachowanie feudalnych przywilejów i interesów władzy. Wynika stąd, że niewiele się od tamtych czasów zmieniło.

Lyn wyglądała na zaintrygowaną.

– Ale przecież się zmieniło, nieprawdaż? – powiedziała.

– Dzisiejszy świat nie jest taki. Sądziłam, że Sverenssen i cała reszta oddani są całkiem innej sprawie – postępowi na całym świecie.

– Miałem na myśli, że nadal są to ci sami ludzie – odparł Packard. – Ale masz rację, że ich polityka zmieniła się w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Bankierzy Sverenssena udzielili Nigerii tanich kredytów opartych na parytecie złota, do czego nie doszłoby bez współpracy takich ludzi, jak Van Geelinkowie. Południowoamerykańska ropa doprowadziła do rozbitcia jedności Bliskiego Wschodu i w rezultacie do przejścia na inne rodzaje paliw, dzięki czemu stało się możliwe rozbrojenie. – Wzruszył ramionami. – Nagle wszystko się zmieniło. Zaczęto popierać rzeczy, które należało zrobić pięćdziesiąt lat wcześniej.

– Jak więc wytłumaczyć ich politykę w Bruno? – zapytał Caldwell w zamyśleniu. – Coś się tu nie zgadza.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, zanim Packard odpowiedział.

– Jak to się ma do mojej teorii? Zmiany nigdy nie przynosiły korzyści panującym mniejszościom. To wyjaśnia tradycyjny opór przeciwko technice, jeżeli nie służyła ich interesom. Była akceptowana tak długo, jak mogli sprawować nad nią kontrolę. Stąd ich zachowawcza postawa aż do końca poprzedniego wieku. W tym czasie stało się jednak oczywiste, że jeśli nie nastąpią zmiany, ktoś naciśnie guzik i nie będzie kim rządzić. Istniał tylko jeden wybór: reaktory lub bomby atomowe. Dlatego dokonali rewolucji, zachowując nad nią kontrolę... zrobili to bardzo zręcznie. Ale Thurien i wszystko, co się z nią wiąże, to zupełnie inna sprawa. Grupa zostałaby zmieciona i utraciłaby wszelkie wpływy, zanim opadłby kurz wzniecony przez nową rewolucję. Przejęli więc negocjacje w swoje ręce i wzniesli mur, żeby zastanowić się nad dalszymi posunięciami.

Rozłożył ręce i rozejrzał się wokół, czekając na komentarze.

– Jak dowiedzieli się o przekaźniku? – zapytał Norman Pacey. – Z tego, co powiedzieli Gregg i Lyn, wiemy, że zakodowane przekazy nie miały z tym nic wspólnego. I wiemy również, że Sobroskin nie był w to wmieszany.

– Musieli mieć jakiś udział w zniszczeniu przekaźnika – odparł Packard. – Nie wiem, jaki, ale nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia. Mogli wykorzystać kogoś zaufanego spośród personelu UNSA albo jakiś rządowy lub niezależny zespół, by posłać bombę czy coś w tym rodzaju... prawdopodobnie gdy tylko nadszedł pierwszy sygnał z Gwiazdy Gigantów. Potem pozostawało im tylko opóźnić sprawę, dopóki bomba nie dotrze do celu.

Caldwell skinął głową.

– To ma sens. I trzeba im przyznać, że niemal dopięli swego. Gdyby nie McClusky... to kto wie.

Zapadła pełna powagi cisza. W końcu Lyn spojrzała pytająco na obecnych.

– I co teraz? – zapytała.

– Nie jestem pewien – odparł Packard. – Sytuacja jest skomplikowana.

Przez sekundę dziewczyna patrzyła na niego niepewnie.

– Chyba nie twierdzisz, że może im się udać?

– To możliwe.

Lyn zrobiła minę, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Ależ to śmieszne! Mówisz nam, że przez... nie wiem ile lat tacy ludzie trzymali narody w zacofaniu, sabotowali edukację i popierali wszelkie idiotyczne ruchy i kultury, żeby utrzymać się przy władzy, i nic nie można z tym zrobić? To szaleństwo!

– Nie określiłbym tego w tak zdecydowany sposób – powiedział Packard. – Stwierdziłem, że sytuacja jest skomplikowana. Być czegoś pewnym, a potrafić to udowodnić to dwie różne rzeczy. Będziemy musieli się napracować, żeby przedstawić im zarzuty.

– Ale, ale... – Lyn szukała słów. – Czego jeszcze potrzebujesz? Wszystko jest jasne. Wystarczyłoby zbombardowanie przekaźnika. Nie działali w imieniu całej planety i z pewnością nie w jej interesie. To musi wystarczyć, żeby ich zdemaskować.

– Nie mamy żadnej pewności, że to oni zrobili – zauważył Packard. – To czysta spekulacja. Może przekaźnik po prostu się zepsuł. Może zrobiła to „organizacja”. Nie możesz niczego udowodnić Sverenssenowi.

– Wiedział, co się stanie – sprzeciwiła się Lyn. – oczywiście, że był w to wmieszany.

– Na czyich słowach się opierasz? – odparował Packard. – Dziewczyny z Bruno, która coś podsłuchała, nie rozumiejąc zresztą znaczenia informacji. – Potrząsnął głową. – Słyszałaś historię Normana. Sverenssen mógłby przedstawić wielu świadków, którzy oświadczyliby, że nigdy nie miał z nią nic wspólnego. Zakochała się, a potem pobiegła do Normana z głupią historyjką, żeby zemścić się na Sverenssenie za brak zainteresowania. Takie rzeczy zdarzają się przez cały czas.

– A co z fałszywymi przekazami, które kazał jej wysyłać? – upierała się Lyn.

– Jakimi przekazami? – Packard wzruszył ramionami.

– To część tej samej gry. Wymyśliła całą historię. One nigdy nie istniały.

– Ale thurięńskie zapisy mówią co innego – oświadczyła Lyn. – Nie musisz oznajmiać całemu światu o Alasce, ale kiedy przyjdzie pora, możesz objechać całą planetę z Ganimedejczykami, którzy cię poprą.

– To prawda, ale potwierdzą jedynie, że przychodziły jakieś dziwne, nie wysłane oficjalną drogą przekazy. Nie powiedzą, skąd pochodziły ani od kogo. Nagłówki można było podrobić na wzór oficjalnych. – Packard znowu potrząsnął głową. – Kiedy się nad tym zastanowisz, zobaczysz, że brak jest rozstrzygających dowodów.

Lyn rzuciła błagalne spojrzenie na Caldwell. Z żalem potrząsnął głową.

– On ma rację. Sam chciałbym zobaczyć, jak ponoszą klęskę, ale nie wygląda na to, by akurat teraz były po temu sprzyjające warunki.

– Problem polega na tym, że możesz nigdy ich nie przyłapać – powiedział Benson, włączając się do rozmowy. – Nie popełniają zbyt wielu błędów, a jeśli je popełniają, ciebie nie ma w pobliżu. Od czasu do czasu coś wychodzi na jaw, jak w Bruno, ale to nie wystarcza, by się do nich dostać. Musimy wprowadzić kogoś do otoczenia Sverenssena. – Potrząsnął głową z powątpiewaniem. – To jednak wymaga starannego przygotowania, a wybranie właściwej osoby zabierze dużo czasu. Zajmiemy się tym, ale nie spodziewajcie się szybkich rezultatów.

Lyn, Pacey i Caldwell zatrzymali się w waszyngtońskim Hiltonie. Wieczorem zjedli razem kolację i przy kawie Pacey rozpoczął rozmowę o tym, czego dowiedzieli się w biurze Packarda.

– Śledząc dotychczasową historię, wielokrotnie zetkniecie się z tą samą podstawową walką – powiedział – dwóch przeciwstawnych nurtów – feudalizmu arystokracji i republikanizmu rzemieślników, naukowców, budowniczych miast. Podobnie było z gospodarkami niewolniczymi starożytnego świata, ciemieniem intelektualistów przez średniowieczny Kościół, kolonializmem Imperium Brytyjskiego i później ze wschodnim komunizmem i zachodnim konsumpcjonizmem.

– Niech ciężko pracują, wierzą w coś i nie myślą za dużo, co? – skomentował Caldwell.

– Właśnie. – Pacey skinął głową. – Ostatnią rzeczą, jakiej byś pragnął, jest wykształcona, zamożna i wyemancypowana ludzkość. Władza opiera się na restrykcjach i dysponowaniu bogactwami. Nauka i technika oferują nieograniczone bogactwa. I dlatego naukę i technikę trzeba kontrolować. Wiedza i rozum to wrogowie. Walczy się z nimi za pomocą mitów i irracjonalizmu.

Lyn w dalszym ciągu rozmyślała o wcześniejszej rozmowie, kiedy we trójkę siedzieli przy małym stoliku w zacisznej wnęce hotelowego holu. Postanowili pójść się czegoś napić przed rozstaniem, ale bar wydał im się zbyt zatłoczony i hałaśliwy. To jest ta sama walka, jaką Vic, świadomie czy nieświadomie, toczył przez całe życie, stwierdziła. Sverenssen, doprowadzając niemal do zerwania rozmów z Thurien, stał ramię w ramię z Inkwizycją, która zmusiła Galileusza do ukorzenia się z biskupami, którzy zwalczali Darwina, angielską szlachtą, która traktowała Amerykę jako rynek zbytu dla swoich wyrobów przemysłowych, oraz z politykami po obu stronach żelaznej kurtyny, którzy zawładnęli atomem, by trzymać świat w szachu. Chciała w jakiś sposób włączyć się do tej walki, nawet gdyby miał to być jedynie gest wyrażający poparcie. Ale jak? Nigdy nie czuła się tak zniecierpliwiona i bezradna jak teraz.

W końcu Caldwell przypomniał sobie o pilnym telefonie do Houston. Przeprosił ich i wstał, mówiąc, że wróci za parę minut, a następnie zniknął w pasażu pełnym sklepów z pamiątkami i męskimi ubraniami. Pacey rozparł się na krześle i spojrzał na Lyn.

– Jesteś bardzo milcząca – stwierdził. – Zjadłeś za dużo steku?

Uśmiechnęła się.

– Och... tylko rozmyślałam. Nie pytaj o czym. Już za dużo dzisiaj rozmawialiśmy o sprawach zawodowych.

Pacey sięgnął po krakersa do naczynia stojącego pośrodku stolika.

– Często przyjeżdżasz do Waszyngtonu? – zapytał.

– Czasami. Chociaż raczej nie zatrzymuję się tutaj. Zwykle nocuję w Hyatt lub Cinstitution.

– Tak robi większość ludzi z UNSA. Myślę, że to jest jedno z dwóch czy trzech miejsc lubianych przez polityków. Czasami przypomina klub dla dyplomatów.

– Podobnie jak Hyatt dla personelu UNSA.

– Uhm. – Chwila przerwy. – Pochodzisz ze Wschodniego Wybrzeża, nieprawdaż?

– Z Nowego Jorku... z Upper East Side. Po college'u przeniosłam się na południe, żeby podjąć pracę w UNSA. Myślałam, że będę astronautą, a skończyłam za biurkiem. – Westchnęła. – Ale nie narzekam. Praca z Greggiem ma swoje dobre strony.

– Wygląda na porządnego faceta. Przypuszczam, że jest dobrym szefem.

– Dotrzymuje słowa i nigdy niczego nie obiecuje. Większość ludzi w Navcomms bardzo go szanuje, nawet jeśli nie zawsze się z nim zgadzają. I wzajemnie. Wiesz, on zawsze... Przerwała, gdyż rozległo się wezwanie.

– Pan Norman Pacey proszony jest do recepcji. Czeka pilna wiadomość. Pilna wiadomość dla pana Normana Pacea czeka w recepcji. Dziękuję.

Pacey wstał.

– Ciekawe, co to, do diabła, jest. Wybacz mi.

– Oczywiście.

– Chcesz, żebym zamówił następny koktajl?

– Ja to zrobię. Idź już.

Pacey przeszedł przez hol pełen wchodzących i wychodzących osób oraz grupek zbierających się na późną kolację. Jeden z recepcjonistów podniósł pytający wzrok.

– Nazywam się Pacey. Przed chwilą mnie wzywano. Podobno jest dla mnie wiadomość.

– Chwileczkę, sir. – Urzędnik odwrócił się do przegródek na klucze i wyjął z jednej z nich białą kopertę. – Pan Norman Pacey, pokój 3527?

Pacey pokazał swój klucz. Recepcjonista wręczył mu kopertę.

– Dziękuję.

Pacey odszedł kawalek i przy budce telefonicznej otworzył kopertę. W środku znajdował się pojedynczy świstek papieru, na którym odręcznie napisano:

*Muszę z panem natychmiast porozmawiać. Jestem po drugiej stronie holu. Proponuję udać się do pańskiego pokoju.*

Zmarszczył brwi i rozejrzył się wokół. Po chwili zauważył wysokiego, śniadego mężczyznę w ciemnym garniturze, przyglądającego mu się z przeciwległego końca. Stał obok grupki kobiet i mężczyzn, ale wyglądał na samotnego. Lekko skinął głową. Pacey zawahał się, ale w końcu odwzajemnił gest. Mężczyzna zerknął na zegarek, rozejrzył się i wolnym krokiem ruszył w stronę wind. Pacey odczekał chwilę, a potem wrócił do Lyn.

– Coś mi właśnie wyskoczyło – powiedział. – Przykro mi, ale natychmiast muszę się z kimś spotkać. Przepróś Gregga ode mnie, dobrze?

– Mam mu coś przekazać?

– Sam jeszcze nie wiem. Nie jestem pewien, jak to długo potrwa.

– W porządku. Popatrzę sobie, jak świat się kręci. Do zobaczenia.

Pacey poszedł w stronę pasażu, nie zauważając wysokiego, szczupłego, szpakowatego i nienagannie ubranego człowieka, który właśnie odebrał klucz w recepcji. Człowiek ten niespiesznie ruszył przez hol, zatrzymał się na środku i rozejrzył.

Kiedy minutę później Pacey wysiadł na trzydziestym piętrze, śniady mężczyzna czekał niedaleko windy, a następnie ruszył w stronę pokoju 3527. Amerykanin otworzył drzwi i przepuścił gościa przodem, potem zamknął drzwi i zapalił światło.

– Słucham – powiedział.

– Może mnie pan nazywać Iwan – zaczął śniady mężczyzna. Mówił z europejskim akcentem. – Jestem z ambasady radzieckiej w Waszyngtonie. Polecono mi dostarczyć panu osobiście pewną wiadomość: Mikołaj Sobroskin pragnie jak najszybciej z panem się spotkać w wiadomych sprawach niezwyklej wagi. Proponuje spotkanie w Londynie. Podam szczegóły. Może pan przekazać odpowiedź przeze mnie.

– Pacey niepewnie popatrzył na rozmówcę, nie wiedząc, co sądzić o propozycji. Mężczyzna sięgnął pod marynarkę i wyciągnął coś, co wyglądało jak złożony arkusz sztywnego papieru.

– Powiedziano mi, że to pana przekona, iż wiadomość jest autentyczna.

Pacey rozłożył arkusz i ujrzał pusty egzemplarz różowej teczki z czerwonym brzegiem, używanej przez ONZ do przechowywania poufnych dokumentów. Wpatrywał się w nią przez kilka sekund, potem podniósł wzrok i skinął głową.

– Nie mogę teraz udzielić odpowiedzi – powiedział. – Skontaktuję się z panem późnym wieczorem. Czy to możliwe?

– Spodziewałem się tego – odparł Iwan. – Niedaleko stąd jest kawiarnia Half Moon. Będę tam czekał.

– Niewykluczone, że będę musiał gdzieś pojechać – ostrzegł Pacey. – To może trochę potrwać.

Iwan skinął głową.

– Będę czekał – powiedział i wyszedł.

Pacey zamknął za nim drzwi i przez parę minut w zamyśleniu przechadzał się po pokoju. Potem usiadł przed terminalem, uruchomił go i wywołał prywatny numer Jerola Packarda.

Na dole we wnęce holu Lyn rozmyślała o egipskich piramidach, średniowiecznych katedrach, brytyjskich pancernikach i dwudziestowiecznym wyścigu zbrojeń. Czy mają ze sobą coś wspólnego? – zastanawiała się. Nieważne, jak bardzo, dzięki coraz doskonalszej technice, zwiększał się dochód na głowę mieszkańca Ziemi, zawsze coś pochłaniało nadwyżki, skazując zwykłych ludzi na ciężką pracę przez całe życie. Nieważne, jak szybko wzrastała produkcja, ludzie zawsze mieli tyle samo pracy, tylko nieco innej. Jeśli więc nie oni zbierają owoce, to kto? Zaczynała widzieć rzeczy w zupełnie inny sposób niż do tej pory.

Nie zauważyła mężczyzny, który zajął miejsce opuszczone przez Pacea, dopóki się nie odezwał.

– Mogę się przysiąc? Tak dobrze jest przez parę minut nic nie robić pod koniec gorączkowego dnia pracy i tylko przyglądać się, jak ludzie załatwiają swoje sprawy. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam. Świat jest pełen samotnych ludzi, którzy upierają się, by robić z życia tragedię, a z siebie niedostępną twierdzę. Zawsze wydaje mi się to takie niepotrzebne.

Lyn omal nie upuściła szklaneczki, kiedy zobaczyła przed sobą twarz, którą zaledwie parę godzin temu widziała na wykresach rozwieszonych przez Clifforda Bensona na ścianie gabinetu Packarda. To był Niels Sverenssen.

Jednym haustem dokończyła koktajl, niemal się dławiąc, i wydukała:

– Tak... właśnie.

– Zatrzymała się pani tutaj, jeśli wolno mi zapytać? – ciągnął Sverenssen.

Skinęła głową. Szwed uśmiechnął się. Jest w jego arystokratycznym wyglądzie i wyrachowanej powściągliwości coś, co wyróżnia go spośród męskiej połowy ludzkiej rasy i podoba się kobietom, przyznała w myślach. Z elegancką koroną siwych włosów i szlachetnymi rysami opalonej twarzy był... cóż, może nie tyle przystojny według standardów „Playgirl”, ile niezaprzeczalnie interesujący. A chłodne spojrzenie niemal hipnotyzowało.

– Samotna?

Ponownie skinęła głową.

– W pewnym sensie.

Sverenssen uniósł brwi i wskazał na szklaneczkę Lyn.

– Widzę, że jest pusta. Właśnie szedłem do baru. Zdaje się, że przynajmniej chwilowo oboje jesteśmy samotnymi wyspami wśród dziesięciu miliardów ludzi. To bardzo niefortunna

sytuacja i jestem pewien, że moglibyśmy jej zaradzić. Czy uznałaby pani zaproszenie do baru za zuchwalstwo?

Pacey wszedł do windy i zobaczył Caldwell, który wracał na dół.

– To zajęło więcej czasu, niż sądziłem – powiedział Caldwell. – W Houston jest dużo zamieszania w związku z planowanym budżetem. Będę musiał tam szybko wrócić. I tak zbyt długo mnie nie było. – Spojrzał na Pacey'a pytająco. – Gdzie jest Lyn?

– Na dole. Wezwano mnie. – Pacey przez chwilę wpatrywał się w drzwi. – Sobroskin skontaktował się ze mną przez ambasadę sowiecką. Chce się spotkać w Londynie, żeby o czymś porozmawiać.

Caldwell unióśł brwi ze zdumieniem.

– Pojedziesz?

– Jeszcze nie wiem. Właśnie telefonowałem do Packarda i wybieram się teraz do niego taksówką, żeby mu o tym powiedzieć. Umówiłem się, że przekażę dzisiaj odpowiedź.

– Potrząsnął głową. – A myślałem, że to będzie spokojna noc.

Wyszli z windy i ruszyli w stronę pasażu, gdzie Pacey zostawił Lyn. Wnęka była pusta. Rozejrzeli się, ale nigdzie nie dostrzegli dziewczyny.

– Może poszła do toalety? – podsunął Caldwell.

– Możliwe.

Przez chwilę czekali rozmawiając, ale Lyn się nie pokazała. W końcu Pacey powiedział:

– Może poszła do baru po następny koktajl i jeszcze tam jest.

– Sprawdź – postanowił Caldwell.

Odwrócił się i sztywno ruszył przez hol.

Minutę później wrócił z taką miną, jakby go w samym środku Hiltona potrącił tramwaj.

– Jest tam – oznajmił głuchym głosem, osuwając się na jedno z wolnych miejsc. – Ma towarzystwo. Idź sam zobacz, ale schowaj się za drzwiami. Potem wróć i powiedz mi, czy to ten, o którym myślę.

Za moment Pacey opadł na sąsiednie krzesło. Wyglądał, jakby go potrącił ten sam – tym razem znajdujący się w drodze powrotnej – tramwaj.

– To on – potwierdził w osłupieniu. Minęło sporo czasu, zanim mruknął: – Ma dom gdzieś w Connecticut. Musiał zatrzymać się na parę dni w Waszyngtonie, wracając z Bruno. Powinniśmy wybrać inny hotel.

– Jak ona wygląda? – zapytał Caldwell.

Pacey wzruszył ramionami.

– Dobrze. Rozmawia i zachowuje się całkiem swobodnie. Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że jakiś facet właśnie połyka haczyk i jest na dobrej drodze, by zbiednieć o kilka setek. Ona wygląda jakby potrafiła zatroszczyć się o siebie.

– Ale, do diabła, co ona zamierza zrobić?

– To ty mi powiedz. Jesteś jej szefem. Ja ją ledwo znam.

– Chryste, przecież nie możemy jej tak zostawić.

– A co mamy zrobić? Poszła do baru i jest wystarczająco dorosła, by się napić. Tak czy inaczej, nie mogę tam pójść, ponieważ on mnie zna, a nie ma sensu stwarzać problemów. Pozostajesz ty. Co zamierzasz zrobić... zachować się jak szef, który nie potrafi dostrzec, że psuje zabawę, co? – Caldwell z irytacją wbił spojrzenie w stolik; zdawał się szukać odpowiedzi. Po chwili milczenia Pacey wstał i rozłożył ręce w przepaszającym geście. – Gregg, wiem, że to nie zabrmi dobrze, ale zostawiam cię, żebyś załatwił sprawę po swojemu. Czeka na mnie Packard. Muszę iść.

– Tak, dobrze, dobrze. – Caldwell wykonał ręką nieokreślony gest. – Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz.

Pacey wyszedł, korzystając z bocznego wyjścia, żeby nie przechodzić obok baru. Caldwell siedział przez chwilę rozmyślając, potem wzruszył ramionami, potrząsnął głową z zakłopotaniem i wrócił do swojego pokoju, żeby trochę poczytać w oczekiwaniu na telefon od Pacea.



## Rozdział dwudziesty drugi

Danchecker przez dłuższy czas przyglądał się dwóm trójwymiarowym obrazom wyświetlonym na ekranie w laboratorium na Thurien. Były to silnie powiększone reprodukcje pary komórek organicznych, pobranych od gatunku robaka zamieszkującego dno oceanu na jednym z ganimedejskich światów; ukazywały ich wewnętrzną budowę. Dla ułatwienia kolory jąder i innych składników komórek były wzmocnione. W końcu Danchecker potrząsnął głową.

– Zmuszony jestem przyznać się do porażki. Obie wyglądają identycznie. Twierdzisz, że jedna z nich nie pochodzi wcale od tego gatunku? – W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

Stojąca za nim Shilohin uśmiechnęła się.

– Ta po lewej to jednokomórkowy organizm posiadający enzymy, które pozbawiają jądro DNA, tną na kawałki i tworzą kopię łańcucha DNA organizmu gospodarza – powiedziała. – Po zakończeniu tego procesu cała struktura błyskawicznie przekształca się w duplikat dowolnej komórki organizmu, na którym akurat pasożytuje. Od tej chwili pasożyt dosłownie staje się częścią żywiciela, nieodróżnialną od jego komórek, a zatem odporną na przeciwciała i mechanizm odrzucenia. Żyje na planecie poddanej intensywnemu promieniowaniu ultrafioletowemu z dość gorącej, niebieskiej gwiazdy. Wyewoluował prawdopodobnie dzięki mechanizmowi naprawy komórek, który chronił gatunki przed ekstremalnymi mutacjami. Z tego, co wiemy, jest to przykład jedynej w swoim rodzaju adaptacji. Pomyślałam, że cię to zainteresuje.

– Nadzwyczajne – mruknął Danchecker. Podeszedł do błyszczącego szklano-metalowego urządzenia, z którego pochodził obraz, i zerknął do maleńkiego pojemniczka zawierającego próbkę. – Bardzo chciałbym przeprowadzić po powrocie parę własnych eksperymentów na tym organizmie. Hm... sądzisz, że Thurienowie pozwolą mi zabrać próbkę?

Shilohin roześmiała się.

– Jestem pewna, że tak, profesorze, ale jak zamierzasz zabrać to do Houston? Zapominasz, że tak naprawdę to was tutaj nie ma.

– Ech! Głupiec ze mnie. – Danhekker potrząsnął głową, odsunął się i popatrzył na otaczającą ich aparaturę, której przeznaczenia w większości nie rozumiał. – Tyle do nauczenia się – mruknął do siebie. – Tyle do nauczenia... – Myślał przez chwilę, a potem zmarszczył czoło. Wreszcie zwrócił się do Shilohin. – Jest w tej całej cywilizacji thurieńskiej coś, co mnie zastanawia. Czy możesz mi pomóc?

– Spróbuję. O co chodzi?

Danhekker westchnął.

– Cóż... nie wiem... po dwudziestu pięciu milionach lat powinna być bardziej rozwinięta. Oczywiście jest daleko w przedzie przed nami, ale nie wydaje mi się, żeby Ziemia potrzebowała choć w przybliżeniu tyle czasu, by osiągnąć obecny thurieński poziom. Wydaje się to... dziwne.

– Przyszła mi do głowy ta sama myśl – stwierdziła Shilohin. – Rozmawiałam o tym z Eesyaniem.

– Czy podał jakiś powód?

– Tak. – Shilohin umilkła na chwilę, a Danhekker patrzył na nią z zaciekawieniem. Potem powiedziała: – Cywilizacja Thurien utknęła w miejscu na bardzo długi czas. Paradoksalnie, było to rezultatem rozwoju nauki.

Danhekker z niepewną miną zamrugał oczami.

– Jak to możliwe?

– Studiowałeś metody ganimedejskiej inżynierii genetycznej – odparła Shilohin. – Po migracji na Thurien jeszcze je udoskonalono.

– Nie jestem pewien, czy dostrzegam związek.

– Thurienowie opanowali umiejętność, o której marzyli przez całe pokolenia – umiejętność programowania własnych genów w taki sposób, by opóźnić skutki starzenia się organizmu i obumierania... w nieskończoność.

Minęła chwila, zanim Danhekker pojął znaczenie jej słów. Wziął głęboki oddech.

– Masz na myśli nieśmiertelność?

– Właśnie. Przez długi czas wydawało się, że osiągnięto utopię.

– Wydawało się?

– Nie przewidziano wszystkich konsekwencji. Po jakimś czasie skończył się postęp, wynalazki, twórcza praca. Thurienowie stali się zbyt mądrzy i wiedzieli zbyt wiele. Znali wszystkie powody, dla których coś jest niemożliwe, wiedzieli, dlaczego nic więcej nie można osiągnąć.

– Masz na myśli, że przestali marzyć. – Danhekker potrząsnął głową ze smutkiem. – Jaka szkoda! Wszystko, co przyjmujemy za naturalne, zaczynało się od czyjegoes marzenia o nieosiągalnym.

Shilohin skinęła głową.

– W przeszłości tylko młodsze pokolenia były na tyle głupie, by podejmować próby; zbyt naiwne i niedoświadczone, żeby uznać coś za niemożliwe. Zdziwiająco, jak często im się udawało. Ale teraz, oczywiście, zabrakło młodych pokoleń.

Danchecker wolno kiwał głową.

– Zmienili się w społeczeństwo umysłowych starców.

– Otóż to. I wtedy zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, i wrócili do dawnego życia. Ale cywilizacja przez długi czas pozostawała w stagnacji i w rezultacie większość spektakularnych przełomów dokonała się stosunkowo niedawno. Technikę natychmiastowego pokonywania przestrzeni rozwinięto w samą porę, by interweniować pod koniec wojny lunariańskiej. A rzeczy takie, jak przesyłanie energii poprzez inne wymiary, bezpośrednio sprzężenie układu nerwowego z maszynami, a wreszcie VISAR, pojawiły się znacznie później.

– Potrafię to sobie wyobrazić – mruknął Danchecker z nieobecnym wyrazem twarzy. – Ludzie narzekają, że życie jest zbyt krótkie, by zrealizować wszystkie zamierzenia, ale bez tego ograniczenia, być może, niczego by nie dokonali. Presja czasu jest z pewnością najsilniejszym bodźcem. Często podejrzewałem, że gdyby kiedykolwiek ziściło się marzenie o nieśmiertelności, rezultat byłby właśnie taki.

– Cóż, sądząc po thurieńskich doświadczeniach, miałaś rację – powiedziała Shilohin.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali o Thurienach, a potem Shilohin musiała wrócić na *Shapierona*, żeby spotkać się z Garuthem i Moncharem. Danchecker został w laboratorium, żeby przyjrzeć się innym osiągnięciom thurieńskich nauk biologicznych, które prezentował mu VISAR. Spędziwszy przy tym trochę czasu, stwierdził, że chciałby porozmawiać z Huntem, póki ma świeżo w pamięci wszystkie szczegóły, i zapytał VISARA, czy Hunt jest obecnie podłączony do systemu.

– Nie – poinformował go VISAR. – Wsiadł do samolotu, który piętnaście minut temu wystartował z McClusky. Jeśli chcesz, mogę cię połączyć z pokojem kontrolnym.

– Hm...no, dobrze, jeśli możesz – zdecydował Danchecker.

Parę kroków przed nim pojawił się w powietrzu obraz ekranu kontrolnego wraz z twarzą dyżurnego kontrolera z McClusky.

– Cześć, profesorze – przywitał go tamten. – Co mogę dla pana zrobić?

– VISAR właśnie powiedział mi, że Vic dokądś poleciał – odezwał się Danchecker. – Zastanawiałem się, co się dzieje.

– Zostawił dla pana wiadomość, że leci do Houston. Nie przekazał jednak żadnych szczegółów.

– Czy to Chris Danchecker? Proszę pozwolić mi z nim porozmawiać. – Gdzieś w tle rozległ się głos Karen Heller. Kilka sekund później kontroler zniknął z ekranu, a pojawiła się Heller. – Cześć, profesorze. Vic miał dość czekania na powrót Lyn z Waszyngtonu, więc

zatelefonował do Houston. Zastał Gregga, ale Lyn nie było. Polecił więc, żeby zobaczyć, co się dzieje. To wszystko, co mogę ci przekazać.

– Rozumiem – odparł Danchecker. – To dziwne.

– Jeszcze o czymś chciałam ci powiedzieć – ciągnęła Heller. – Razem z Calazarem i Showm przestudiowałam dokładnie niektóre fragmenty lunariańskiej historii, która staje się coraz bardziej interesująca. Mamy parę pytań do ciebie. Kiedy mogę się spodziewać twojego powrotu?

Danchecker mruknął coś pod nosem i rozejrzał się tęsknie po ganimedejским laboratorium. I wtedy uświadomił sobie, że VISAR przesyła mu sygnały o głodzie.

– Właściwie to zaraz wracam – odpowiedział. – Może moglibyśmy porozmawiać w kasynie, powiedzmy za dziesięć minut?

– Będę czekała – zgodziła się Karen i zniknęła razem z obrazem ekranu.

Dziesięć minut później Danchecker z apetytem pochłaniał górę bekonu, jajek i kiełbasek, podczas gdy Heller mówiła, siedząc naprzeciwko niego z kanapką. Większość personelu UNSA zajęta była przy remoncie i przeróbce jednego z budynków na stały magazyn i oprócz pobrzękiwania naczyń w przyległej kuchni nie rozlegały się żadne inne dźwięki.

– Przeanalizowaliśmy tempo rozwoju lunariańskiej i ziemskiej cywilizacji – powiedziała.

– Różnica jest zdumiewająca. W jakieś kilka tysięcy lat po epoce narzędzi kamiennych Lunarianie wynaleźli maszyny i zaczęli wykorzystywać energię parową. Nam zajęło to dziesięć razy więcej czasu. Co o tym sądzisz?

Danchecker zmarszczył czoło.

– Myślałem, że czynniki odpowiedzialne za przyspieszony rozwój lunariańskiej cywilizacji są oczywiste – odparł. – Po pierwsze, Lunarianie byli chronologicznie bliżej ganimedejских eksperymentów genetycznych. Dlatego też cechowała ich większa genetyczna niestabilność, a co za tym idzie tendencja do bardziej ekstremalnych mutacji. Nagłe pojawienie się Lambian jest tego niewątpliwym świadectwem.

– Nie jestem przekonana, czy to wszystko wyjaśnia – odrzekła Heller wolno. – Sam mówiłeś parę razy, że dziesięć tysięcy lat nie wystarczy, by zaszły duże zmiany. Poprosiłam VISARA, żeby wykonał pewne obliczenia, wykorzystując dane na temat ludzkich genów, zdobyte przez ZORACA w czasie pobytu *Shapierona* na Ziemi. Wyniki wydają się to potwierdzać. Zestaw genów był stały już na długo przed pojawieniem się Lambian, które miało miejsce zaledwie dwieście lat przed wojną.

Danchecker prychnął, smarując grzankę masłem. Politycy nie powinni bawić się w naukowców.

– Lunarianie mogli znaleźć na Minerwie obfitość śladów wcześniejszej cywilizacji ganimedejskiej – podsunął. – Zdobyta z tego źródła wiedza dała im ogromną przewagę nad Ziemianami.

– Ale Cerianie, którzy przybyli na Ziemię, wywodzili się z wysoko rozwiniętej rasy – zauważyła Heller. – Więc to na jedno wychodzi. Co mogło spowodować taką różnicę?

Danchecker zmarszczył nos i popatrzył na Karen z nachmurzoną miną. Kobiety-politycy bawiące się w naukowców są nie do zniesienia.

– Lunariańska kultura rozwinęła się w okresie pogarszania się warunków środowiska przed zbliżającą się erą lodowcową – powiedział. – Stwarzało to dodatkową presję.

– Na Ziemi również panowała era lodowcowa, kiedy przybyli Cerianie, i trwała jeszcze długo potem – przypomniała Heller. – Więc to także wyrównuje szansę. A zatem skąd ta różnica?

Danchecker z rozdrażnieniem wbił widelec w mięso.

– Masz, oczywiście, wszelkie prawo, by wątpić w moje słowa jako biologa i antropologa – powiedział niedbale.

– Jeśli o mnie chodzi, nie widzę potrzeby wysuwania innych hipotez ponad zwykłe minimum, które wystarczy do wytłumaczenia faktów. A to, co już wiemy, w zupełności wystarcza.

Heller najwyraźniej spodziewała się podobnej odpowiedzi i nie zareagowała.

– Rozumiesz jak biolog – stwierdziła. – Ale spróbuj spojrzeć na to z socjologicznego punktu widzenia i postaw inne pytanie.

Wyraz twarzy Dancheckera mówił, że nie ma innego podejścia.

– Co masz na myśli?

– Zamiast mówić mi, co przyspieszyło rozwój Lunarian, zastanów się, co opóźniło Ziemię.

Danchecker przez kilka sekund wpatrywał się ponuro w talerz, potem podniósł głowę i pokazał zęby w uśmiechu.

– Katastrofy spowodowane przechwyceniem Księżyca – oświadczył.

Heller spojrzała na niego z widocznym niedowierzaniem.

– I cofnęły jej mieszkańców do takiego punktu, że potrzebowali dziesiątków tysięcy lat, by to nadrobić? W żadnym razie! Najwyżej kilka wieków, ale nie aż tyle. Nie wierzę w to. Ani Showm. Ani Calazar.

– Rozumiem. – Danchecker wyglądał na poruszonego. W milczeniu zaatakował bekon, a po chwili powiedział: – Czy mogę zapytać, jakie inne wyjaśnienie proponujesz?

– Takie, o którym do tej pory nie wspomniałeś – odparła Heller. – Lunarianie wcześniej dopracowali się racjonalnego, naukowego sposobu myślenia i polegali na nim od początków istnienia cywilizacji. Natomiast Ziemia przez tysiące lat wierzyła, że magia, mistycyzm, święty Mikołaj, króliczek wielkanocny lub dobra wróżka rozwiążą jej problemy. Zaczęło się to zmieniać stosunkowo niedawno, ale nawet dzisiaj można się z tym zetknąć. Kazaliśmy VISAROWI dokonać oceny tego zjawiska i okazało się, że przyćmiewa ono wszystkie pozostałe czynniki razem wzięte. Oto co spowodowało różnicę!

Danchecker rozmyślał nad tym przez chwilę, a potem odpowiedział z lekką niechęcią:

– Bardzo dobrze. – Wysunął podbródek do przodu, szykując się do obrony. – Ale w dalszym ciągu nie widzę potrzeby formułowania innego pytania. Można również dyskutować, czy to, że wczesne zastosowanie racjonalnych metod przyspieszyło rozwój jednej rasy, oznacza, że ich brak opóźnił rozwój innej. Jak ci to trafia do przekonania?

– Myślałam o tym dużo od czasu rozmowy z Calazarem i Showm i zadawałam sobie pytanie o przyczyny. Vic mówi, że wszystko musi mieć swoją przyczynę, nawet jeśli jej znalezienie wymaga intensywnych poszukiwań. Jaka więc mogła być przyczyna tego, że cały świat przez tysiące lat trzymał się kurczowo absurdów i przesądów, kiedy odrobina zdrowego rozsądku i obserwacji wykazałaby ich bezużyteczność?

– Myślę, że nie doceniasz złożoności naukowych metod – stwierdził Danchecker. – Potrzeba całych wieków i wielu pokoleń, żeby wypracować niezawodne techniki odróżniania faktów od złudzeń, prawdy od mitów. Z pewnością nie wystarczy do tego jedna noc. Czego innego się spodziewałaś?

– Dlaczego więc to nie powstrzymało Lunarian?

– Nie mam pojęcia. A ty?

– Właśnie do tego zmierzałam. – Heller pochyliła się do przodu, patrząc uważnie na profesora. – Co sądzisz o takiej hipotezie: powodem, dla którego mity i magia tak głęboko zakorzeniły się w ziemskiej kulturze i przetrwały tak długo, mogło być to, że na wczesnym etapie rozwoju naszej cywilizacji były skuteczne.

Danchecker zakrztusił się dużym kęsem, który miał właśnie przełknąć, i wyraźnie poczerwieniał na twarzy.

– Co? To niedorzeczne! Czy sugerujesz, że prawa fizyki rządzące wszechświatem zmieniły się w ciągu ostatnich paru tysięcy lat?

– Nie, tego nie twierdzę. Ja jedynie...

– Nigdy nie słyszałem tak absurdalnej hipotezy. Cała ta sprawa jest już wystarczająco skomplikowana bez prób tłumaczenia jej za pomocą astrologii, postrzegania pozazmysłowego czy innych głupot, które masz na myśli. – Danchecker rozejrzał się ze zniecierpliwieniem i westchnął. – Doprawdy, zbyt długo trwałoby tłumaczenie, jeśli nie jesteś w stanie odróżnić nauki od bzdur wypisywanych w magazynach. Uwierz mi na słowo, że tracisz swój czas... i mój również.

Heller z wysiłkiem zachowała spokój.

– Niczego takiego nie powiedziałam. – W jej głosie dało się wyczuć lekkie napięcie. – Posłuchaj mnie przez dwie minuty. – Danchecker nic nie odrzekł i nie przerywając jedzenia mierzył ją powątpiewającym wzrokiem. Heller mówiła dalej: – Pomyśl nad takim scenariuszem. Jewlenowie nigdy nie zapomnieli, że są potomkami Lambian, a my Cerian. Nadal uważają Ziemię za rywala i zawsze będą. A teraz weźmy taką sytuację: Lambian zabrano na Thurien, gdzie mieli okazję poznać całą ganimedejską technikę, podczas gdy ich

rywale cofnęli się z powodu pojawienia się Księżyca do punktu wyjścia. Jewlenowie tymczasem przejęli kontrolę nad obserwacjami i nauczyli się przemieszczać w jednej chwili statki i inne obiekty po całej Galaktyce, ponieważ skonstruowali JEVEXA – własny superkomputer. Z wyglądu są ludźmi... fizycznie nieodróżnialnymi od swoich rywali. – Heller wyprostowała się na krześle i popatrzyła wyczekująco na Dancheckera, jak gdyby spodziewając się, że za nią dokończy. Znieruchomiał z uniesionym widelcem i spojrział na nią z niedowierzaniem. – Potrafili dokonywać cudów i posługiwać się magią – kontynuowała Heller. – Mogli umieścić własnych, powiedzmy, „agentów” w naszym świecie i od początku rozmyślnie narzucić pewne systemy wierzeń, z których jeszcze nie zdołaliśmy się wyzwolić, a które gwarantowały, że minie wiele czasu, zanim na powrót odkryjemy naukę i rozwiniemy technikę i tym samym sprawimy kłopot przeciwnikowi. Jewlenowie kupili sobie mnóstwo czasu, by umocnić się na własnych planetach, zwiększyć zasięg JEVEXA, zdobyć jeszcze więcej ganimedejskich technologii i dokonać wielu innych rzeczy. – Odchyliła się na krześle, rozłożyła ręce i wyczekująco spojrziała na Dancheckera. – Co o tym sądzisz?

Danchecker wpatrywał się w nią przez dłuższy czas.

– Niemożliwe – oświadczył w końcu.

Cierpliwość Heller wreszcie się wyczerpała.

– Dlaczego? Co jest złego w tej teorii? – zapytała. – Faktem jest, że coś opóźniło rozwój ziemskiej cywilizacji. Moja teoria tłumaczy to, w przeciwieństwie do twoich. Jewlenowie mieli po temu środki i motywy. Odpowiedź zgadza się z posiadanymi przez nas dowodami. Czego więcej chcesz? Sądziłam, że przynajmniej naukowcy mają otwarte umysły.

– To zbyt naciągana hipoteza – odparł Danchecker. Jego ton zmienił się na sarkastyczny. – Najwyraźniej przeoczyłaś główną zasadę naukowców, że hipotezy należy sprawdzać doświadczalnie. Nie mam pojęcia, jak zamierzasz sprawdzić swoją... teorię, ale proponowałbym, żebyś skonsultowała się z autorami komiksów o Supermanie lub artykułów do jednego z tych czasopism dla gospodyń domowych. – I całą uwagę skupił na talerzu.

– Jeśli masz takie nastawienie, to lepiej zajmij się obiadem. – Wyraźnie oburzona, wstała. – Słyszałam, że Vic stracił mnóstwo czasu, zanim cię przekonał, że Lunarianie w ogóle istnieli. Teraz rozumiem, dlaczego! – Odwróciła się i wymaszerowała z sali.

Heller wrzała gniewem jeszcze pół godziny później, kiedy stała przed jednym z budynków na skraju płyty lotniska, przyglądając się, jak personel UNSA instaluje stały generator. Danchecker wyszedł z kasyna, zobaczył ją i poszedł wolno w przeciwnym kierunku, z rękami założonymi do tyłu. Zatrzymał się przy ogrodzeniu i przez dłuższy czas stał tam, patrząc na bagna i od czasu do czasu rzucając spojrzenia w stronę Karen. W końcu zawrócił i w zamyśleniu ruszył z powrotem do kasyna. Zatrzymał się przed samymi drzwiami, znowu zerknął na Heller, zawahał się, a potem zmienił kierunek i podszedł do niej.

– Ja...e... przepraszam powiedział. Myślę, że możesz mieć trochę racji. Twoje wnioski z pewnością zasługują na bliższe zbadanie. Powinniśmy skontaktować się z pozostałymi tak szybko, jak to możliwe, i powiedzieć im o tym.



## Rozdział dwudziesty trzeci

– Ona co?

Hunt złapał Caldwellę za ramię i zmusił go do zatrzymania się w połowie korytarza prowadzącego do gabinetu szefa.

– Powiedział jej, żeby do niego zadzwoniła, kiedy będzie w Nowym Jorku z następną wizytą u matki – powiedział Caldwell. – Więc pozwoliłem jej wziąć trochę urlopu i pojechać do matki.

Zdjął rękę Hunta ze swojego ramienia i ruszył dalej.

Hunt stał przez chwilę jak wrośnięty, potem ocknął się i dogonił Caldwellę w kilku susach.

– Co, do diabła?... Nie możesz tego zrobić! Ona jest dla mnie kimś wyjątkowym.

– Tak się składa, że jest również moją asystentką.

– Ale... co ma robić, kiedy się z nim spotka... czytać poezje? Gregg, nie możesz na to pozwolić. Musisz ją z tego wyłączyć.

– Mówisz jak stara ciotka – stwierdził Caldwell. – Do niczego jej nie zmuszałem. Ona sama to wymyśliła, a ja nie widziałem powodu, żeby nie skorzystać z okazji. Może z tego wyniknąć coś pożytecznego.

– Jej umowa o pracę nie przewiduje odgrywania roli Maty Hari. To rażące i niewybaczalne wykorzystywanie personelu ponad obowiązki wynikające z umowy.

– Nonsens. To okazja do zrobienia kariery zawodowej. W umowie kładzie się nacisk na przejawianie inicjatywy i twórcze podejście do pracy, i właśnie z tym mamy teraz do czynienia.

– Jakiej kariery? Ten facet ma w głowie tylko jedno. Zrozum, może to dla ciebie niespodzianka, ale nie podoba mi się myśl, że Lyn będzie dla niego kolejną odznaką skautowską, którą sobie przypnie do koszuli. Może jestem staroświecki, ale nie sądziłem, że na tym polega praca dla UNSA.

– Przystań się zgrywać. Nikt nawet nie wspomniał o czymś takim. To może być szansa na odkrycie paru szczegółów, których nam brakuje. Okazja sama spadła jak z nieba i Lyn ją wykorzystała.

– Usłyszałem dosyć szczegółów od Karen. W porządku, my znamy zasady i Lyn zna zasady, ale on nie. Jak myślisz, co zamierza zrobić – usiąść i wypełnić ankietę?

– Lyn sobie z tym poradzi.

– Nie możesz na to pozwolić!

– Nie mogę jej powstrzymać. Ona jest na urlopie, odwiedza matkę.

– Wobec tego ja też chcę wziąć urlop od zaraz. Mam do załatwienia pilne osobiste sprawy w Nowym Jorku.

– Odmawiam. Masz tu do zrobienia wiele ważniejszych rzeczy.

Umilkli obaj, wchodząc przez sekretariat do gabinetu Caldwell. Sekretarka spojrzała na nich znad klawiatury i przywitała ich skinieniem głowy.

– Gregg, tego już za wiele. – Hunt zaczął znowu, kiedy znaleźli się w środku. – To...

– To coś więcej, niż myślisz – przerwał mu Caldwell. – Usłyszałem od Normana Pacey a CIA dość, by wiedzieć, że warto wykorzystać tę okazję, kiedy sama się pojawia. Lyn również o tym wiedziała. – Powiesił marynarkę na wieszaku przy drzwiach, obszedł biurko i rzucił na nie teczkę. – Mamy tu na Sverenssenie wiele rzeczy, o których nam się śniło, ale chcielibyśmy dowiedzieć się znacznie więcej. Więc przestań histeryzować, usiądź i posłuchaj przez pięć minut, a powiem ci wszystko w skrócie.

Hunt wydał długie westchnienie, rozłożył z rezygnacją ręce i opadł na jeden z foteli.

– Będziemy potrzebowali znacznie więcej niż pięć minut, Gregg – powiedział, kiedy Caldwell usiadł naprzeciwko niego. – Zaczekaj, aż usłyszysz, czego dowiedzieliśmy się wczoraj od Thurienów.

Siedem i pół tysiąca kilometrów od Houston Norman Pacey siedział na ławce nad brzegiem stawu Serpentine w londyńskim Hyde Parku. Spacerowicze w rozpiętych pod szyją koszulkach i letnich ubraniach, korzystający z pierwszych ciepłych dni w tym roku, tworzyli kolorowe plamy na tle otaczającej zieleni, zwieńczonej odległymi frontonami dostojnych i imponujących budynków, które nie zmieniły się w dostrzegalny sposób od pięćdziesięciu lat. To wszystko, czego ludzie zawsze pragnęli, pomyślał, chłonąc widoki i dźwięki wokół siebie. Ludzie na całym świecie chcieli jedynie żyć po swojemu, zarabiać na utrzymanie i mieć spokój. Więc jak to się działo, że garstka osób z innymi aspiracjami zawsze potrafiła narzucić własne systemy wartości? Co jest większym złem: fanatyk mający swój cel czy stu ludzi wolnych od dążeń? Ale jeśli ceni się wolność na tyle, by jej bronić, powstaje cel, a obrońcy stają się fanatykami. Przez dziesięć tysięcy lat ludzkość zmagająca się z tym problemem i nie znalazła odpowiedzi.

Jakiś cień padł na ziemię i na ławce usiadł Mikołaj Sobroskin. Mimo pięknej pogody miał na sobie ciepły garnitur i krawat, a kropelki potu na jego twarzy błyszczały w słońcu.

– Jaki ożywczy kontrast z Giordano Bruno – rzucił na powitanie. – O ile byłoby lepiej, gdyby tamtejsze „mare” naprawdę były morzami.

Pacey oderwał wzrok od stawu i uśmiechnął się szeroko.

– I może parę drzew, co? Zdaje się, że UNSA na razie zaprzestała prac nad ochłodzeniem Wenus i nasyceniem atmosfery Marsa tlenem. Księżyc jest na samym końcu listy. A nawet gdyby nie był, nie przypuszczam, by ktokolwiek wystąpił w związku z nim z jakimiś dobrymi pomysłami. Ale kto wie? Może któregoś dnia.

Rosjanin westchnął.

– Może mieliśmy tę wiedzę w zasięgu ręki. Odrzuciliśmy ją. Czy zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie byliśmy świadkami największej zbrodni w historii ludzkości? I pewnie świat nawet się o tym nie dowie.

Pacey pokiwał głową, odczekał chwilę i bardziej oficjalnym tonem zapytał:

– No i? Co to za wieści?

Sobroskin wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przetarł twarz.

– Miałeś rację, podejrzewając, że zakodowane przekazy z Gwiazdy Gigantów stanowiły odpowiedź na nasze niezależne transmisje – odparł.

Pacey skinął głową, nie okazując zdziwienia. Wiedział już o tym od Caldwell i Lyn Garland, ale nie mógł tego powiedzieć.

– Czy dowiedziałeś się, co łączy Verikoffa ze Sverenssenem? – zapytał.

– Chyba tak – powiedział Sogroskin. – Zdaje się, że biorą udział w operacji mającej na celu przerwanie łączności między naszą planetą a Thuriem. Stosują te same metody. Verikoff jest członkiem potężnej frakcji sprzeciwiającej się radzieckim próbom otworzenia własnego kanału. Ich motywy są takie same jak ONZ. Okazało się, że zaskoczono ich i wysłano kilka przekazów, zanim zdolali przeszkodzić. Podobnie jak Sverenssen Verikoff doprowadził do nadania w tajemnicy dodatkowych transmisji z zamiarem pokrzyżowania planów grupy działającej na Księżycu. Przynajmniej tak sądzimy... Nie potrafimy tego udowodnić.

Pacey ponownie skinął głową. O tym również wiedział.

– Czy znasz ich treść? – zapytał z ciekawości, chociaż już czytał thurieńskie kopie przekazów.

– Nie, ale się domyślam. Ci ludzie wiedzieli wcześniej, że przekaźnik zostanie zniszczony. To oznacza, że muszą być za to odpowiedzialni. Przypuszczalnie zorganizowali to parę miesięcy temu w porozumieniu z jakąś organizacją militarną lub grupą ludzi z UNSA, którym mogli zaufać... nie wiem. Sądzę jednak, że ich strategia polegała na opóźnianiu negocjacji do czasu unieszkodliwienia przekaźnika.

Pacey popatrzył na drugą stronę stawu, gdzie gromady dzieci kąpały się i bawiły w słońcu. Od czasu do czasu wiatr przynosił ich okrzyki i śmiechy. Oprócz potwierdzenia roli Verikoffa nie dowiedział się do tej pory niczego nowego.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, nie odwracając głowy.

Po dłuższym milczeniu Sobroskin odpowiedział:

– Na początku tego wieku Rosja miała już za sobą długą tradycję tyranii. Odkąd zrzuciła w piętnastym wieku mongolskie jarzmo, jej obsesją stało się zapewnienie sobie bezpieczeństwa do tego stopnia, że wolność innych narodów stanowiła zagrożenie, którego nie można było tolerować. Dokonując podbojów poszerzała swoje granice, a zdobyte terytoria utrzymywała uciskiem, zastraszeniem i terrorem. Ale nowe ziemie z kolei także miały granice, więc nie było końca temu procesowi. Komunizm nic nie zmienił. Stanowił jedynie wygodne hasło, skupiające naiwnych idealistów i racjonalizujące poświęcenia. Poza krótkim okresem po tysiąc dziewięćset siedemnastym roku Rosja nie była bardziej komunistyczna niż średniowieczny Kościół chrześcijański. – Przerwał na chwilę, żeby złożyć chusteczkę i schować do kieszeni. Pacey bez słowa czekał na dalszy ciąg. – Myśleliśmy, że wszystko zaczęło się zmieniać na początku tego wieku wraz z końcem zagrożenia wojną nuklearną i bardziej oświeconym poglądem na internacjonalizm. I pozornie tak się stało. Wielu do mnie podobnych poświęciło się tworzeniu nowego klimatu wokół porozumienia i współdziałania z Zachodem, który zarzucił własny styl tyranii. – Sobroskin westchnął i ze smutkiem potrząsnął głową. – Sprawa thurieńska ujawniła jednak, że siły, które pchnęły Rosję w jej własny wiek ciemnoty, nie odeszły, a ich cel nie zmienił się. – Spojrzał na Pacea badawczo. – Nie odeszły również siły, które przyniosły Zachodowi religijny terror i ekonomiczny wyzysk. Po obu stronach jedynie zmodyfikowały swoje stanowisko, żeby oddalić własną klęskę. Całą planetę oplata sieć łącząca wielu Sverenssenów z wieloma Verikoffami. Kryją się za sztandarami i sloganami o wolności, ale szukają wolności tylko dla siebie, a nie dla ludzi, którzy za nimi podążają.

– Tak, wiem – powiedział Pacey. – My również zdemaskowaliśmy kilku takich. Jaka jest na to rada?

Sobroskin uniósł rękę i wskazał na przeciwległy brzeg stawu.

– Pomimo to, co wiemy, te dzieci mogłyby w przyszłości oglądać inne światy pod innymi gwiazdami. Ale ceną byłaby wiedza, a wiedza jest wrogiem tyranii pod dowolnymi przebraniami. Wyzwoliła z biedy i ucisku więcej ludzi niż wszystkie ideologie i wierzenia razem wzięte. Wszelkie postacie poddaństwa biorą się z poddaństwa umysłu.

– Nie jestem pewien, czy cię rozumiem – powiedział Pacey. – Czyżbyś miał zamiar przejść na naszą stronę?

Rosjanin potrząsnął przecząco głową.

– Ta najważniejsza wojna nie ma nic wspólnego z flagami. Toczy się między tymi, którzy chcą uwolnić dziecięce umysły, a tymi, którzy odmawiają im Thuriem. Ostatnia bitwa została

przegrana, ale wojna trwa. Może któregoś dnia znowu porozmawiamy z Thurien. Ale tymczasem szykuje się w Moskwie następna bitwa o Kreml i muszę tam być. – Sięgnął za siebie po paczkę i wręczył ją Paceyowi. – Naszą tradycją jest bezwzględność w załatwianiu spraw wewnętrznych, której wy nie znacie. Możliwe, że wielu ludzi nie przeżyje następnych miesięcy, a ja mogę być jednym z nich. Jeśli tak, chciałbym mieć pewność, że moja praca nie poszła na marne. – Puścił paczkę i cofnął rękę. – Tu jest kompletny zapis tego, co wiemy. Paczka nie byłaby bezpieczna u moich kolegów w Moskwie, ponieważ ich przyszłość, podobnie jak moja, jest pełna niepewności. Wiem jednak, że mądrze wykorzystasz te informacje, gdyż podobnie jak ja rozumiesz, że w wojnie, która naprawdę ma znaczenie, znajdujemy się po tej samej stronie. – Wstał. – Jestem zadowolony, że się spotkaliśmy, Normanie Pacey. To pokrzepiające, że po obu stronach istnieją więzy głębsze niż kolory na mapach. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, ale gdyby tak się nie stało... – Pozwolił, by słowa zawisły w powietrzu, i wyciągnął rękę.

Pacey wstał i uściskał ją mocno.

– Spotkamy się. I wszystko będzie lepiej – powiedział.

– Mam nadzieję. – Sobroskin cofnął rękę, odwrócił się i zaczął iść wzdłuż brzegu stawu.

Pacey zacisnął palce na paczce i patrzył w ślad za niską, krępą postacią, maszerującą wyraźnie na spotkanie z losem, a być może ze śmiercią. A wszystko po to, żeby dzieci mogły się śmiać. Nie może na to pozwolić, uświadomił sobie. Nie może pozwolić mu tak odejść.

– Mikołaju! – zawołał.

Sobroskin zatrzymał się i obejrzał. Pacey czekał. Rosjanin zawrócił.

– Bitwa nie jest przegrana – powiedział Pacey. – Działa inny kanał łączności z Thurien... W Stanach Zjednoczonych. Przekaznik nie jest potrzebny. Przez całe tygodnie rozmawialiśmy z Thurien. To dlatego Karen Heller wróciła na Ziemię. Wszystko w porządku. Wszyscy Sverenssenowie świata nie powstrzymają nas.

Sobroskin wpatrywał się w niego przez dłuższy czas, zanim dotarło do niego znaczenie słów. W końcu, z nieobecny, pozbawiony wyrazu spojrzeniem, poruszył głowę w ledwie dostrzegalnym skinieniu i powiedział cicho:

– Dziękuję.

Odwrócił się i znowu zaczął iść, tym razem powoli, jak gdyby w transie. Po przejściu paru metrów zatrzymał się, obejrzał ponownie i uniosł ramię w niemym pozdrowieniu. Potem podjął marsz, który po kilku krokach stał się lżejszy i szybszy.

Nawet z tej odległości Pacey dostrzegł wyraz triumfu na jego twarzy. Patrzył, dopóki Sobroskin nie zniknął wśród ludzi spacerujących na przeciwległym brzegu, potem odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę mostu Serpentine.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Dom Nielsa Sverenssena, wart milion dolarów, znajdował się w Connecticut, sześćdziesiąt kilometrów od Nowego Jorku, na dwustuakrowej, zadrzewionej posiadłości, położonej nad brzegiem cieśniny Long Island. Osłaniał z dwóch stron duży basen w kształcie liścia koniczyny, z tarasowymi klombami krzewów nad brzegami. Otoczenia basenu dopełniał z jednej strony kort tenisowy, a z drugiej przybudówki. Dom, zaprojektowany według najnowszej mody, był obszerny, jasny i przewiewny, z dachem opadającym w niektórych miejscach czystymi, nieprzerwanymi płaszczyznami aż do poziomu ziemi i nadającym całości wygląd abstrakcyjnej rzeźby. W niektórych miejscach dach się cofał, ukazując pionowe i ukośne fragmenty fasady z wypolerowanego piaskowca, mozaiki lub szkła. Okazała, środkowa część budowli wznosiła się na wysokość dwóch pięter i mieściła większe pokoje oraz prywatne pomieszczenia Sverenssena. Jednopiętrowe skrzydło zawierało sześć sypialni i dodatkowy salon dla licznych gości. Drugie skrzydło, znowu dwupiętrowe, choć nie tak wysokie jak środkowa część domu, mieściło gabinet Sverenssena, sekretariat, bibliotekę i pokoje do pracy.

W historii posiadłości Sverenssena było coś zastanawiającego. Lyn przyleciała do Nowego Jorku w towarzystwie dwóch agentów Clifforda Bensona, którzy zaprowadzili ją do miejscowego biura CIA, żeby mogła przejrzeć archiwa w poszukiwaniu dodatkowych informacji na temat Szweda. Okazało się, że jego dom został postawiony dziesięć lat wcześniej przez dział budowlany Weismand Industries Inc., dużej korporacji o szerokiej działalności. Spółka zajmowała się budowaniem zakładów przemysłowych, a nie prywatnych domów, i zapewne z tego powodu zaprosiła w charakterze konsultantów kilku niezależnych architektów i kreślarzy. Co dziwniejsze, siedzibą spółki była Kalifornia. Dlaczego Sverenssen wynajął właśnie tę firmę, skoro w okolicy działało wiele renomowanych przedsiębiorstw.

Po bliższym zbadaniu okazało się, że główne udziały w Weismand Industries ma kanadyjskie towarzystwo ubezpieczeniowe, ściśle związane z tym samym brytyjskim konsorcjum bankowym, które zapoczątkowało spektakularną karierę Sverenssena po jego nagłym powrocie do świata. Czy Sverenssenowi po prostu zrewanżowano się za

wyświadczoną przysługę, czy też były inne powody, dla których skorzystał przy budowie rezydencji z usług spółki, z którą łączyły go tajne i przypuszczalnie bliskie więzy?

Lyn ponownie zadawała sobie to pytanie, leżąc w kostiumie kąpielowym na leżaku przy basenie i przyglądając się domowi ponad krzewami i klombami kwiatów. Sverenssen, w okularach słonecznych i czerwonych spodenkach kąpielowych, siedział nieco dalej przy stoliku ocienionym parasolem i popijał lemoniadę z lodem, rozmawiając z mężczyzną, którego przedstawił jako Larry'ego. Naga blondynka o imieniu Cheryl wylegiwała się na brzuchu na sąsiednim łóżku, podczas gdy dwie inne dziewczyny, Sandy i Carol, śmiały się i przekrzykiwały w basenie z Enrico, mężczyzną o śródziemnomorskim wyglądem. Sandy nie miała na sobie góry od kostiumu, a celem zapasów najwyraźniej było pozbawienie jej również dołu. Jeszcze jedna para poszła gdzieś pół godziny wcześniej. Było piątkowe popołudnie i kolejnych gości spodziewano się wraz z nadejściem wieczoru oraz następnego ranka. Sverenssen określił tę okazję jako „miłe zebranie paru interesujących przyjaciół”, kiedy Lyn zatelefonowała do niego w czwartek rano.

Jedyną rzeczą, która wygląda nieco dziwnie w tym budynku, jest skrzydło z pomieszczeniami biurowymi, stwierdziła Lyn. Kiedy wcześniej Sverenssen oprowadzał ją po domu, zaznaczył, że nie jest ono otwarte dla gości. Wydawało się to rozsądne, ale coś się za tym musiało kryć. Ta część nie robiła tak przestronnego wrażenia, jak reszta budowli z oknami z wielkich tafli szkła i rozsuwanymi, szklanymi drzwiami wejściowymi. Wysoko nad ziemią znajdowały się małe, lite okienka z grubymi szybami i zdawały się raczej odcinać dopływ światła słonecznego, niż je wpuszczać. Przyjrzawszy się dokładniej, Lyn stwierdziła, że to, co w pierwszej chwili wydawało się ozdobnym obramowaniem, jest w rzeczywistości starannie zamaskowaną kratą, trudną do sforsowania nie tylko dla włamywacza, ale i dla czołgu. Nie było żadnych drzwi na zewnątrz, do skrzydła wchodziło się z domu. Gdyby specjalnie się tym nie interesowała, nigdy by nie zauważyła, że skrzydło biurowe, wyłożone mozaiką i otynkowane podobnie jak reszta domu, stanowi prawdziwą fortecę.

Hałas w basenie nasilił się, a Enrico wyskoczył w górę w fontannie wody, powiewając triumfalnie nad głową dolną częścią kostiumu kąpielowego Sandy.

– Kto przegrywa, wychodzi – wrzasnął.

– To nieuczciwe! – krzyknęła Sandy. – Topiłam się. Wykorzystałeś to.

– Kolej na Carol – zawołał Enrico.

– Niech to licho – zaśmiała się Carol. – To niesprawiedliwe. Sandy, podaj mi rękę i złapmy tego drania. – Zgiełk znowu się nasilił.

– Wygląda na to, że potrzebują pomocy – powiedział Sverenssen, odwracając głowę i patrząc na Lyn. – Przyłącz się do nich. Tu nie ma żadnych ograniczeń w zabawie.

Odchyliła głowę na oparcie leżaka i zmusiła się do uśmiechu.

– Obserwowanie to czasami również dobra zabawa. Tak czy inaczej, radzą sobie dobrze. Będę zawodnikiem rezerwowym.

– Ona jest sprytna i oszczędza energię – powiedział Larry, zwracając się do Sverenssena i mrugając okiem do Lyn. Udała, że tego nie zauważa.

– Bardzo mądrze – stwierdził Sverenssen.

– Prawdziwa zabawa zacznie się później – dorzucił Larry, wyszczerzając zęby.

Lyn uśmiechnęła się blado, zastanawiając się, jak sobie z nim poradzi.

– Znajdziemy ci wielu nowych przyjaciół. To wspaniali ludzie.

– Nie mogę się doczekać – odparła Lyn sucho.

– Czyż ona nie jest czarująca? – zapytał Sverenssen, zerkając na Larry’ego i wracając aprobowującym spojrzeniem do Lyn. – Poznałem ją w Waszyngtonie... to był bardzo szczęśliwy przypadek. Odwiedza tu kogoś w Nowym Jorku.

Lyn poczuła się jak towar, którym dla obu mężczyzn prawdopodobnie była. Specjalnie jej to nie zaskakiwało; gdyby nie nastawiła się na taką grę, to nie podjęłaby decyzji o przyjeździe.

– Często bywam w Waszyngtonie – oznajmił Larry. – Pracujesz tam?

Lyn potrząsnęła głową.

– Nie. Pracuję w Siłach Kosmicznych w Houston – komputery, lasery i ludzie, którzy przez cały dzień mówią liczbami... ale trzeba z czegoś żyć.

– O, ale zmienimy to, prawda Lyn – powiedział Sverenssen. Spojrzał na Larry’ego. – Prawdę mówiąc, pomyślałem, że mam w Waszyngtonie coś odpowiedniego dla niej i znacznie ciekawszego. Pamiętasz Phila Grazenby’ego? Któregoś dnia jadłem z nim obiad, kiedy byłem w Waszyngtonie. Potrzebuje kogoś bystrego i atrakcyjnego do prowadzenia agencji, którą właśnie zamierza otworzyć. I wspomniał o naprawę porządnej pensji.

– Będziemy musieli się spotkać, jeśli to przyjmiesz – powiedział Larry do Lyn. Skrzywił się. – Och, ale to interesy i w dodatku odległe. Po co czekać aż do Waszyngtonu? Możemy poznać się tutaj. Jesteś sama?

– Tak, jest wolna – mruknął Sverenssen.

– To świetnie! – wykrzyknął Larry. – Ja również i doskonale nadaję się do tego, by wprowadzić cię do towarzystwa. Wierz mi, kochanie, że dokonałaś właściwego wyboru. Musisz mieć dobry gust. Wiesz, co ci powiem – możesz być moją partnerką w jednej z następnych gier. Więc umowa stoi, prawda?

– Żyję chwilą obecną – odparła Lyn. – Co będzie w przyszłości, to się okaże. – Zerknęła na słońce, a potem na Sverenssena. – Jestem na najlepszej drodze, by dostać porażenia słonecznego. Chyba pójdę w cień i włożę coś na siebie, dopóki się trochę nie ochłodzi. Zobaczymy się później?

– Oczywiście, kochanie – powiedział Sverenssen. – Ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli, to żebyś znalazła się na liście ofiar. – Lyn wstała z leżaka i poszła w stronę domu.

– Myślę, że będziesz musiał stoczyć ciężką walkę, jeśli chcesz wygrać, zanim...



Lyn usłyszała tylko część wypowiedzi Sverenssena, reszta utonęła w następnym wybuchu okrzyków dobiegających od strony basenu.

Cheryl uniosła głowę i patrzyła, jak Lyn znika między krzewami.

– Nie masz nic do zaoferowania, Larry – powiedziała. – Mogłabym jej pokazać, co to naprawdę znaczy mile spędzony czas.

– A co masz nam do zarzucenia? – zapytał Larry.

W pokoju Lyn znajdowały się dwa królewskich rozmiarów łoża i luksusowe wyposażenie, podobnie jak w całym domu. Pokój miała dzielić z dziewczyną o imieniu Donna, która jeszcze nie przyjechała. Lyn zdjęła bikini i włożyła koszulkę oraz szorty. Potem stanęła przy oknie i zamyśliła się.

W pokoju był terminal, ale Lyn nie chciała nigdzie dzwonić, gdyż istniało duże prawdopodobieństwo, że aparat jest na podsłuchu. Zresztą nie musiała, ponieważ ludzie Bensona zadbali o to, by mogła się stąd wydostać, gdyby zechciała. W torebce miała miniaturowy przekaźnik, który wyglądał jak puderniczka, ale wysłałby sygnał, gdyby otworzyła wieczko i nacisnęła ukryty guzik. Gdyby nacisnęła raz, agent CIA zadzwoniłby do domu w ciągu paru sekund, przedstawił się jak brat z pilną wiadomością od rodziny i oznajmił, że zaraz przyjedzie taksówka. Gdyby nacisnęła trzy razy, dwóch agentów znajdujących się w pojeździe powietrznym, zaparkowanym w odległości kilometra od głównej bramy, zjawiliby się w ciągu pół minuty, lecz z tej możliwości należało skorzystać tylko w razie prawdziwych kłopotów. Ale Lyn nie chciała się jeszcze stąd wydostawać. Dom był pusty i cichy, a nie zapowiadało się, żeby mógł taki pozostać. Nie trafi się lepsza okazja, żeby rozejrzeć się wokół bez ryzyka nakrycia. Z całą pewnością nie zamierzam uciekać po paru godzinach, nie dowiedziawszy się niczego, powiedziała Lyn do siebie.

Wzięła głęboki oddech, zagryzła nerwowo wargi, podeszła do drzwi, uchyliła je i zaczęła nasłuchiwać. Wszędzie zdawał się panować spokój. Kiedy wysunęła się na korytarz, zza drzwi naprzeciwko dobiegł stłumiony chichot. Zatrzymała się na sekundę. Nie rozległ się żaden inny dźwięk, więc ruszyła cicho ku środkowi domu.

Korytarz zaprowadził ją do dużego salonu wysokości budynku, z jedną ukośną ścianą ze szklanych płyt, wychodzącą na tyły domu. Pokój, wyłożony grubym dywanem, miał kształt litery L. Podłoga przed dużym kominkiem z cegły znajdowała się na nieco niższym poziomie, a rozchodzące się od niej we wszystkich kierunkach schody prowadziły do innych części domu. Od strony jednego z korytarzy dobiegały pomieszane głosy i hałasy kuchenne, ale Lyn nie dostrzegła w pobliżu ani śladu domowej służby Sverenssena. Wolno obejrzała meble, ornamenty, obrazy na ścianach, lampy i nie znalazła nic, co nie pasowałoby do tego miejsca. Przystanąła na chwilę, żeby przypomnieć sobie rozkład domu, i wybrała wąski korytarzyk, który zdawał się prowadzić do skrzydła z biurami.

W końcu, zajrzawszy po drodze do szeregu pokoi, z których większość już widziała w trakcie zwiedzania domu w towarzystwie Sverenssena, wróciła do drzwi prowadzących do służbowego skrzydła. Delikatnie nacisnęła klamkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Opukała je i usłyszała wszędzie jednakowy mocny dźwięk, nawet w miejscach, które wyglądały na zwykłe drewniane płyty. Mogły być wykonane z innego materiału i jedynie oklejone drewnem. Te drzwi wstawiono tutaj nie dla ochrony przed przecięgami. Bez wiertarki do kamienia lub oddziału saperów nie dałaby rady ich sforsować, więc zawróciła w stronę salonu. Nagle przypomniała sobie przedmiot, na który wcześniej zwróciła tylko przelotną uwagę. Wydał się jej znajomy. To niemożliwe, pomyślała, starając się odtworzyć wygląd całego pomieszczenia. Z całą pewnością niemożliwe. Zmarszczyła czoło i przyspieszyła kroku.

Przedmiot stał w oświetlonej wnęce z boku kominka – abstrakcyjna rzeźba, wykonana ze srebrnego i złotego przezroczystego kryształu, wysoka na jakieś dwadzieścia centymetrów, umieszczona na masywnej, czarnej podstawie. Przynajmniej wydała się jej abstrakcyjna, kiedy parę minut wcześniej rzuciła na nią okiem. Teraz jednak, gdy ją podniosła i wolno obróciła w rękach, doszła do wniosku, że ten kształt nie może być przypadkowy.

Dolna część stanowiła kompozycję płaszczyzn i kształtów, które mogły nic nie oznaczać, ale wyżej wyrastała zwężająca się kolumna misternie rzeźbionych tarasów, pięter i oddzielających je skarp, pnących się ku górze charakterystycznymi łukami. Czy to ma przedstawiać wieżę? zastanowiła się Lyn. Wieżę, którą nie tak dawno widziała? Z wierzchołka głównej kolumny wyrastały trzy smukłe iglice... trzy iglice podtrzymujące okrągłą płytę. Platformę? Na powierzchni płyty widniały starannie wyrzeźbione szczegóły. Odwróciła rzeźbę... i wciągnęła powietrze. Było tam więcej szczegółów, tworzących łatwo rozpoznawalne koncentryczne pierścienie... pod spodem platformy! Patrzyła na podobiznę głównej wieży Vranix. Niemożliwe! Ale nie mogło to być nic innego.

Ręka jej drżała, kiedy odstawiała rzeźbę na miejsce. W co, do diabła, się wpakowałaś? spytała samą siebie. W pierwszym odruchu chciała wrócić do pokoju, zapakować rzeczy i wydostać się stąd jak najszybciej. Zwalczyła jednak to pragnienie i zmusiła się do zachowania spokoju i do jasnego myślenia. Miała wyjątkową okazję, która mogła się już nigdy nie powtórzyć. Jeśli coś kryło się w tym domu, tylko ona mogła to odkryć. Zamknęła na moment oczy i wzięła głęboki oddech, żeby zebrać siły.

Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o zamkniętym skrzydle, ale nie miała pojęcia, jak się tam dostać. Może dałaby radę podejść bliżej z innej strony... od dołu? Taki dom z pewnością ma piwnice. Gdzieś w okolicach kuchni powinni znajdować się schody. Ruszyła korytarzem w tamtym kierunku. Nadal słyszała głosy, ale były jakby przytłumione. Dwoje kolejnych drzwi prowadziło do schowków. Za trzecimi, które otworzyła, ukazały się biegnące w dół drewniane stopnie. Weszła, cicho zamknęła za sobą drzwi i zaczęła schodzić.

Piwnica, w której się znalazła, wyglądała zwyczajnie: ławy, stojaki na narzędzia, składzik i mnóstwo rur oraz przewodów. Za drzwiami z listew szumiała jakaś maszyna, prawdopodobnie główny klimatyzator. Po obu stronach znajdowały się dwie następne piwnice. Lyn weszła do jednej z nich, prowadzącej w stronę biurowego skrzydła. Było tam kolejne pomieszczenie magazynowe, pełne pudeł i niepotrzebnych materiałów dekoracyjnych. Przeciwległy koniec zasłaniała ścianka działowa z otworem pośrodku. Lyn podeszła tam i zajrzała przez otwór. Piwnice nie ciągnęły się dalej pod skrzydłem biurowym, lecz kończyły ślepa ścianą. Lyn rozejrzała się i zauważyła, że część, w której się znalazła, a szczególnie ślepa ściana naprzeciwko niej, różni się wyraźnie od reszty budynku. Ścianę z sufitem łączył stalowy dźwigar o średnicy przynajmniej trzydziestu centymetrów, a podtrzymywały go dwa równie masywne elementy, biegnące wzdłuż narożników i kończące się w czymś, co wyglądało na mocny betonowy fundament, częściowo widoczny wzdłuż dolnej krawędzi ścian i wpuszczony w podłogę. Sufit również był wzmocniony dźwigarami i poprzecznkami zamocowanymi w rogach. Wszystko pomalowano na biało, by nie odróżniało się od tła, więc przypadkowy gość prawdopodobnie niczego by nie zauważył. Ale dla kogoś, kto szukał czegoś niezwykłego i kogo interesowała szczególnie ta część domu, solidne konstrukcje wzmacniające były wyraźnie widoczne.

Skrzydło biurowe nie znajdowało się więc nad żadną częścią domu, lecz opierało się na stałym gruncie, a Lyn widziała właśnie jego fundamenty i podbudowę, wykonane z takich materiałów i tak skonstruowane, że udźwignęłyby okręt wojenny. Co takiego mieściło się na górze, że mogło skruszyć fundamenty zwykłego domu i wymagało wszystkich tych wzmocnień? zastanawiała się.

I wtedy przypomniała sobie dziury w betonowej płycie lotniska w McClusky.

Włączony i działający thurieński międzygwiazdny system telekomunikacyjny zawierał mikroskopijną, sztucznie wytworzoną czarną dziurę w kształcie torusa.

Ale ten pomysł był zbyt szalony. Dom wybudowano dziesięć lat temu. W dwutysięcznym dwudziestym pierwszym roku nikt nie słyszał o Ganimedejczykach, nie mówiąc o Thurien.

Odsunęła się wolno od ścianki działowej i nieprzytomnie ruszyła z powrotem w stronę schodów.

Na ich szczycie przystanęła na chwilę, czekając, aż serce przestanie jej łomotać w piersi, a ona odzyska jasność myślenia. Potem uchyliła drzwi i zerknęła przez szparę, w samą porę, by dostrzec Sverenssenę znikającego za rogiem. Idąc rozglądał się na boki, jakby szukał czegoś... lub kogoś. Lyn znowu zaczęła drzeć i dygotać. Nagle Navcomms i Houston wydały się jej tak odległe. Jeśli się stąd wydostanie, nigdy więcej nie będzie chciała opuścić swojego przytulnego biura.

Jeśli Sverenssen szukał właśnie jej, już zapewne pukał do pokoju. W poczuciu winy pomyślała, że potrzebuje jakiegoś wytłumaczenia swojej nieobecności. Zastanawiała się przez

parę sekund, potem wyszła na korytarz i ruszyła inną drogą w stronę kuchni. Minutę później pojawiła się z filiżanką kawy i skierowała do pokoiów gościnnych.

– O, tutaj jesteś – rozległ się z tyłu głos Sverenssena, kiedy znajdowała się w połowie drogi na jednym z podwyższeń biegnących wzdłuż obwodu salonu. Zamarła; gdyby zrobiła jakikolwiek ruch, kawa i filiżanka znalazłyby się na dywanie. Kiedy się obejrzała, Sverenssen wychodził właśnie z jednego z bocznych pokoi. Nadal miał na sobie spodenki kąpielowe, ale włożył sandały i zarzucił koszulę na ramiona. Przyglądał się jej dziwnie, jak gdyby coś podejrzewał, ale nie był wystarczająco pewny, żeby powiedzieć to wprost.

– Poszłam po kawę – powiedziała, jak gdyby to nie było oczywiste.

Nagle poczuła się jak klasyczna słodka idiotka, ale przynajmniej udało się jej powstrzymać od głupawego śmiechu. Była pewna, że Sverenssen patrzy ponad jej ramieniem na rzeźbę we wnęce. Wyobraziła sobie nad nią neon z wielkimi literami: „RUSZANO MNIE”. Oparła się odruchowi, by odwrócić głowę.

– Nie sądziłem, że ktoś z Houston może być wrażliwy na słońce – zauważył. – Szczególnie ktoś z twoją cerą. – Jego ton był pozornie niedbały, ale kryło się w nim żądanie wyjaśnień.

Przez chwilę czuła się jak schwytana w pułapkę. Potem powiedziała:

– Po prostu chciałam się stamtąd wyrwać. Ten twój przyjaciel... Larry, zaczynał grać trochę za ostro. Chyba potrzebuję czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

Sverenssen popatrzył na nią powątpiewająco, jak gdyby właśnie potwierdziła jego obawy.

– Cóż, mam nadzieję, że wkrótce uda ci się trochę rozluźnić – zauważył. – Mam na myśli, że jesteś tu po to, by się bawić. Szkoda byłoby, gdyby zahamowania jednej osoby zepsuły zabawę innym, nieprawdaż?

Pomimo zakłopotania Lyn nie mogła powstrzymać się od uszczypliwości.

– Posłuchaj... przyjeżdżając tutaj, nie spodziewałam się czegoś takiego – oznajmiła. – Nic nie mówiłeś o zabawianiu twoich znajomych.

Po twarzy Sverenssena przemknął wyraz cierpienia.

– Och, kochanie, mam nadzieję, że nie zaczniesz prawić mieszczańskich morałów. Czego się spodziewałaś? Powiedziałem, że będę przyjmował paru przyjaciół i oczekuję, że zostaną potraktowani w sposób odpowiadający ich gustom.

– Ich gustom? To bardzo miłe z twojej strony. Muszą cię za to kochać. A co z moimi gustami?

– Czy sugerujesz, że moi znajomi nie spełniają twoich wymagań? To zabawne. Już wyraźnie okazałaś swoje gusty... masz aspiracje do luksusu i towarzystwa na odpowiednim poziomie. I to właśnie dostałaś. Z pewnością nie oczekujesz, że wszystko w życiu otrzymasz za darmo.

– Nie spodziewałam się, że będę traktowana jak cukierek dyndający przed oczami tamtych przerośniętych dzieciaków.

– Mówisz jak nastolatka. Czy nie mam prawa oczekiwać od ciebie, że jako mój gość będziesz zachowywała się przyjaźnie w zamian za moją gościnność? A może wyobrażałaś sobie, że jestem jakimś filantropem, który z czystego miłosierdzia otwiera swój dom dla całego świata? Mogę cię zapewnić, że nie jestem taki; jak zresztą nikt, kto ma choć trochę inteligencji, by rozumieć rzeczywistość.

– Kto mówi o dobroczynności? Ale gdzie szacunek dla ludzi?

Sverenssen uśmiechnął się szyderczo.

– Kolejne opium dla klasy średniej. Mogę ci tylko powiedzieć, że wszystkie twoje fantazje są całkiem bezpodstawne. – Westchnął i wzruszył ramionami, najwyraźniej uznawszy ją za beznadziejny przypadek. – Masz okazję cieszyć się życiem, wolna od finansowych i wszelkich innych kłopotów, ale wymaga to odrzucenia głupich wyobrażeń, wyniesionych z dzieciństwa, i dokonania pragmatycznej oceny sytuacji.

Oczy Lyn zapłonęły, ale udało się jej zapanować nad głosem.

– Myślę, że właśnie to zrobiłam. – Jej ton dopowiedział resztę.

Sverenssen miał obojętną minę.

– W takim razie proponuję, żebyś bez dalszej zwłoki wezwała taksówkę i wróciła do swojego świata romantyzmu i niespełnionych marzeń – powiedział. – Jest mi to obojętne. W ciągu godziny mogę ściągnąć tutaj kogoś innego. Wybór należy do ciebie.

Lyn stała nieruchomo, dopóki nie zwalczyła pokusy, by chlusnąć mu kawą w twarz. Potem odwróciła się, ze wszystkich sił starając się zachować spokój, i poszła w stronę swojego pokoju. Sverenssen odprowadził ją zimnym spojrzeniem, potem z pogardą wzruszył ramionami i pośpiesznie wyszedł przez boczne drzwi, by dołączyć do towarzystwa przy basenie.

Dwie godziny później Lyn siedziała w samolocie do Waszyngtonu obok agenta CIA, który towarzyszył jej do Nowego Jorku. Wokół nich siedziały rodziny, pary, ludzie samotni i grupki. Ubrani byli w garnitury, niektórzy w marynarki, inni w koszule, swetry i dżinsy. Rozmawiali, śmiali się, czytali i spali – zwykli, zdrowi, cywilizowani ludzie, pilnujący własnych spraw. Miała ochotę uściskać każdego z nich.

## Rozdział dwudziesty piąty

W iluzorycznym świecie stworzonym przez VISARA Karen Heller miała miliard kilometrów wzrostu i płynęła w przestrzeni kosmicznej. Podwójny układ gwiazd wielkości piłeczek pingpongowych, żółtej i białej, obracał się wolno przed jej oczami, podczas gdy miriady innych, wielkości łebków od szpilek, błyszczały w nieskończonej czerni ciągnącej się we wszystkie strony. Środek masy obu gwiazd znajdował się w jednym z ognisk silnie wydłużonej elipsy, nałożonej na obraz przez VISARA i wyznaczającej orbitę planety Surio.

Danchecker, wisząc w przestrzeni obok Heller i wyglądając jak jakiś kosmiczny bóg kontemplujący świat materialny niczym zabawkę, wyciągnął ramię i wskazał na planetę, sunącą po swoim torze w przyśpieszonej komputerowej stymulacji.

– Warunki, jakie napotyka Surio w przeciwległych krańcach elipsy, są całkowicie różne – powiedział. – W jednym końcu znajduje się blisko obu słońc, więc nagrzewa się mocno, w drugim oddala się od nich i ochładza. W ciągu roku występuje długa pora zimna z fazą oceaniczną, a następnie równie długa pora gorąca, kiedy Surio jest niemal pozbawiona hydrosfery. Eesyany mówi, że to jedyna w swoim rodzaju planeta pośród odkrytych do tej pory przez Thurienów.

– To fascynujące – powiedziała Heller oczarowana. – I mówisz, że pomimo tych warunków powstało na niej życie. To wydaje się niemożliwe.

– Również tak myślałem – stwierdził Danchecker. – Eesyany musiał mi ją najpierw pokazać, zanim uwierzyłem. Dlatego też chciałem cię tu zabrać. Zejdźmy niżej i z bliska przyjrzyjmy się planecie.

VISAR od razu zareagował na tę propozycję. Popędzili w dół. Gwiazdy zniknęły za nimi, planeta błyskawicznie powiększyła się, zmieniła w kulę i rozpląszczyła, kiedy zniżyli się jeszcze bardziej. Była akurat zimna, oceaniczna pora roku. Nurkując w dół, skurczyli się tak, że morze rozciągające się od horyzontu po horyzont wyglądało normalnie. W następnej chwili znaleźli się wokół nich.

Wyróżniało się czarne, rybnie stworzenie, mgliście przypominające rekina. Płynąc za nim, obserwowali je z różnych stron. Po pewnym czasie VISAR zmienił zestaw informacji

przekazywanych do ich ośrodków wzrokowych w mózgu; ciało i miękkie tkanki stworzenia stały się przezroczyste, mogli więc wyraźnie dostrzec jego szkielet. Światło przesączaające się z góry przez warstwy wody zniknęło nagle, potem znów się pojawiło i zaczęło wolno, równomierne błyskać jak w stroboskopie. Obraz ryby znieruchomiał.

– Cykle dobowe – wyjaśnił Danchecker w odpowiedzi na pytające spojrzenie Heller. – VISAR przyspiesza je i unieruchamia obraz, żebyśmy mogli wszystko obserwować. Zauważyłaś, że częstotliwość okresów światła dziennego wzrasta?

– Owszem.

Zauważyła również, że szkielet stworzenia zaczyna się powoli zmieniać. Kręgosłup skracał się i stawał grubszy, a kości wydłużały się i różnicowały, tworząc wyraźnie dostrzegalne, połączone segmenty. Żebra stopniowo przesuwały się na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytała Karen.

– To proces adaptacji. Pomyślałem, że mógłby cię zainteresować – odparł Danchecker. – Zbliża, się ciepła pora i oceany wokół nas zaczynają szybko parować.

Dla potwierdzenia tych słów VISAR posłusznie przeniósł ich z powrotem ponad powierzchnię. Oceany cofnęły się, przekształcając się w zbiorniki o stromych brzegach i odsłaniając szerokie szelfy, które utworzyły teraz rozległe połączenie lądu, poprzednio wystające jako pojedyncze wyspy lub małe kontynenty. Za cofającą się linią brzegową zaczęły postępować dywany roślinności i pokrywać do niedawna jałowe, górzyste tereny. Formowały się gęste chmury, zraszając ląd ciągłymi deszczami.

Przez jakiś czas przyglądali się zmianom powierzchni, a potem zniżyli się jeszcze raz, żeby prześledzić lokalne wydarzenia w płytkim ujściu utworzonym w miejscu, gdzie rzeka odprowadzająca wodę z deszczowych rejonów w głębi lądu wyłobila w odsłoniętym szelfie kontynentalnym rów do jednego ze zmniejszających się oceanów. Stworzenie, które wcześniej oglądali, obecnie ziemnowodne, żyło teraz na błotnistych nizinach, wyposażone w szczątkowe, ale już funkcjonujące nogi oraz wyraźnie wykształconą, ruchomą głowę.

– Pod wpływem bodźców płynących ze środowiska, za pomocą specjalnych wydzielin rozpuszcza swoje kości i wykształca nowy szkielet, bardziej przystosowany do zmienionych warunków życia – skomentował Danchecker. – Nadzwyczajne.

Heller wydało się to zbyt drastycznym rozwiązaniem.

– A nie mogło zostać rybą i po prostu podążać za oceanem? – zapytała.

– Wkrótce nie będzie żadnych oceanów – powiedział Danchecker. – Czekaj i patrz.

Oceany skurczyły się do pojedynczych sadzawek otoczonych przez błota i wkrótce wyschły zupełnie. W miarę jak klimat robił się coraz gorętszy, rzeki spływające z wyżyn zmieniały się w małe strugi, aż w końcu całkiem wyparowały, a na miejscu mórz powstały pustynie. Z bogatej roślinności pozostały małe oazy, czepiające się najwyższych wzgórz i szczytów gór. Stworzenie przeniosło się wyżej i stało się typowym mieszkańcem lądu,

pokrytym łuskami, o chwytnych kończynach przednich, nieco przypominającym wczesne ziemskie gady.

– Nastąpiła całkowita transformacja – poinformował Danchecker. – W ciągu turieńskiego roku istoty żywe powtarzają cykl ekstremalnych zmian morfologicznych. To zdumiewający przykład, jak życie może przetrwać w zupełnie odmiennych warunkach, prawda?

Dzień wydłużał się w miarę, jak pokrywały się ze sobą okresy, kiedy planetę oświetlały dwa słońca, a skracał się, kiedy Surio mijała kraniec swojej orbity i zaczynała długi powrót do fazy ochłodzenia. Roślinność powoli zstępowała ze zboczy górskich, zanikały kończyny u stworzenia i cały cykl przebiegał w odwrotnym kierunku.

– Sądzisz, że w takim miejscu może kiedyś pojawić się inteligencja? – zapytała Heller z ciekawością.

– Kto wie? – odparł Danchecker. – Parę dni temu powiedziałbym, że to, co właśnie widzieliśmy, jest niemożliwe.

– To fantastyczne – szepnęła Heller w zachwycie.

– Nie, to prawdziwe – powiedział Danchecker. – Rzeczywistość jest daleko bardziej fantastyczna niż to, co jest w stanie stworzyć ludzka wyobraźnia, zdana na samą siebie. Umysł nie mógłby, na przykład, wyobrazić sobie nowego koloru, takiego jak podczerwień lub nadfiolet. Może tylko manipulować znanymi sobie elementami. To, co naprawdę jest nowe, może pochodzić tylko ze świata zewnętrznego. A odkrywanie prawdy jest, oczywiście, funkcją nauki.

Heller popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że próbujesz sprowokować sprzeczkę – drażniła się. – Lepiej wracajmy, zanim ta rozmowa zajdzie za daleko, i zobaczmy, czy Vic już telefonował.

– Dobrze – zgodził się od razu Danchecker. – VISAR, z powrotem do McClusky, prosimy.

Wstał z fotela, wyszedł na korytarz perceptronu i zaczekał chwilę, aż Heller wyłoni się ze swojej kabiny. Przeszli przez przedsionek, w ciągu paru sekund znaleźli się na ziemi i powędrowali ramię w ramię w stronę kasyna.

– Nie mam zamiaru pozwolić ci tak się wymigać – zaczęła Heller po krótkiej ciszy. – Zaczynałam od prawa, które również zajmuje się odkrywaniem prawdy i stosuje metody naukowe. A to, że wy, naukowcy, potrzebujecie komputerów, aby wykonywały za was pracę, nie daje wam monopolu na logiczne myślenie.

Danchecker zastanawiał się przez chwilę.

– Hmm... bardzo dobrze. Podejrzewam, że jeśli ktoś cierpi na brak zdolności matematycznych, prawo może stanowić pewną alternatywę – przyznał wyniośle.

– O, doprawdy? Powiedziałabym, że to wymaga znacznie więcej pomysłowości. Ponadto poddaje intelekt próbom, jakich nigdy nie muszą obawiać się naukowcy.



– Co za niezwykle twierdzenie! A jak to możliwe, jeśli mi wolno zapytać?

– Natura jest skomplikowana, ale nigdy nie jest nieuczciwa, profesorze. Ile razy musiałeś walczyć z umyślnym fałszowaniem dowodów lub z przeciwnikiem, równie zainteresowanym ukryciem prawdy, jak ty jej ujawnieniem?

– Hmm! A kiedy ostatnio musiałaś poddać swoją hipotezę surowej weryfikacji na drodze eksperymentalnej, co? Odpowiedz – rzucił wyznanie Danchecker.

– U nas nie ma luksusu powtarzalnych eksperymentów – odparła Heller. – Niewielu kryminalistów wyświadczy tę przysługę, by powtórzyć swoje przestępstwo w kontrolowanych warunkach laboratoryjnych. Więc, jak widzisz, musimy trzymać umysł w pełnym pogotowiu, żeby za pierwszym razem trafić w sedno.

– Hmm, hmm, hmm...

W samą porę wrócili do McClusky. Hunt zadzwonił akurat, kiedy weszli do pokoju kontrolnego.

– Kiedy wracasz? – zapytał Danchecker. – Karen ma pewne godne przemyślenia uwagi, z którymi po zastanowieniu zmuszony byłem się zgodzić. Musimy je omówić przy najbliższej okazji.

– Gregg i ja wyjeżdżamy natychmiast – powiedział Hunt. – Właśnie dowiedzieliśmy się o wizycie Johna w mieście. To rzuca nowe światło na całą sprawę. Musimy porozmawiać z radą nadzorczą ASAP. Możesz to załatwić?

Znaczyło to, że raport Packarda o spotkaniu Pacey z Sobroskinem dotarł do Houston i konieczne jest pilne spotkanie z Calazarem i Thurienami.

– Zaraz się tym zajmę – obiecał Danchecker.

Godzinę później, kiedy Hunt i Caldwell znajdowali się jeszcze w drodze, a Danchecker porozumiewał się z Calazarem, zatelefonował z Waszyngtonu Jerol Packard.

– Odwołajcie wszystko – polecił. – Karen wraca. Wysyłamy ją do was samolotem. Gwarantuję, że nie wiecie nawet połowy, choć może się wam tak wydawać. Ona zupełnie przewróciła nam w głowach. Nic nie róbcie, dopóki z wami nie porozmawia.

– Zaraz się tym zajmę – westchnął Danchecker.

## Rozdział dwudziesty szósty

Dla Imaresa Broghuilio, premiera Federacji Jewlencyjskich Światów i głowy społeczności jewlencyjskiej, ostatnie miesiące najeżone były niespodziewanymi kryzysami, które groziły zburzeniem planów starannie przygotowywanych od pokoleń.

Zaczęło się od nagłego i zupełnie niespodziewanego pojawienia się *Shapierona* na Ziemi. Thurienowie nic o tym nie wiedzieli aż do chwili, kiedy wysłana przez Ziemian wiadomość o odlocie statku w jakiś sposób dotarła bezpośrednio do VISARA, a nie przez JEVEXA. Nadal pozostawało tajemnicą, jak do tego doszło. Broghuilio nie ma innego wyjścia, jak uprzedzić kłopotliwe pytania. Poszedł więc do Calazara z jewlencyjską wersją wydarzeń. Oświadczył, że Jewlencyjscy poczuli się zaniepokojeni możliwością thurienowskiej interwencji, mimo niepewnej – z powodu wojowniczości i niestałości Ziemian – sytuacji. Dlatego też podjęli decyzję – dobrą czy złą – żeby wstrzymać się z ogłoszeniem wiadomości do czasu, aż statek znajdzie się bezpiecznie z dala od Ziemi. Wyjaśnienie to z konieczności wymyślono naprędce, ale wydawało się wtedy, że Calazar je przyjął.

To nie Thurienowie umieścili na skraju Układu Słonecznego urządzenie, które przekazało sygnały, z uporem twierdził Calazar w odpowiedzi na oskarżenie Broghuilio. Thurienowie nie zerwali umowy, dającej Jewlencyjskim nadzór nad obserwacją Ziemi. Eksperci Broghuilio jednak nie potrafili podać innego wytłumaczenia. Wyglądało na to, że Thurienowie mimo wszystko są rozsądniejsi, niż sądził.

Umocnił się w tym podejrzeniu kilka miesięcy później, kiedy Thurienowie w tajemnicy wznowili rozmowy z Ziemią w celu sprawdzenia informacji przekazywanych przez JEVEXA. Broghuilio nie mógł otwarcie sprzeciwić się takiemu postępowaniu, ponieważ ujawniłby w ten sposób istnienie na Ziemi źródła informacji, którego Thurienowie nie powinni odkryć. Dzięki szybko podjętym krokom utrudnił Thurienom dialog z Ziemianami – przynajmniej na jakiś czas – przejmując kontrolę nad ziemskim ogniwem linii telekomunikacyjnej. Jego reakcja na zaskakujące posunięcia Rosjan z otwarciem drugiego kanału łączności nie okazała się skuteczna, więc zmuszony był podjąć bardziej desperackie kroki, zamykając linię, czego do tej pory unikał, bojąc się, że Thurienowie zdecydują się na bezpośrednie prowadzenie

rozmów. Wykalkulował, że będą wahali się przez dłuższy czas, zanim otwarcie złamią umowę.

Thurienowie nie napomknęli o tym incydencie, nie chcąc ujawniać swoich kontaktów z Ziemią. Doradcy Broghuilio zinterpretowali to jako potwierdzenie, że kroki podjęte w celu przekonania Thurienów o odpowiedzialności Ziemi za zniszczenie przekaźnika, okazały się skuteczne. Nasuwał się też kolejny wniosek, że stworzony przez Jewlenów obraz wrogiej i agresywnej Ziemi pozostał nie zmieniony, co powinno odwieść Thurienów od zamiaru lądowania.

Dlatego też, mimo kilku niepokojących momentów, ryzyko się opłaciło. Pozostawał tylko problem *Shapierona*, który opuścił już Układ Słoneczny i znajdował się w punkcie przestrzeni, gdzie można było go przechwycić przy umiarkowanym ryzyku zakłócenia orbit planet. Broghuilio domyślił się, że Thurienowe, będąc ostrożną rasą rozegrają to bezpiecznie i zostawią odpowiedni margines bezpieczeństwa. Dlatego sprawę przekaźnika postawił na pierwszym miejscu, wykorzystując ją jako test; chciał przekonać się, jak Thurienowie przyjmą sugestię o otwarciu wrogim postępkowi Ziemian. Gdyby w nią uwierzyli, istniały szansę, że odpowiedzialnością za zniszczenie *Shapierona* również obciążą Ziemię. Thurienowie zdali test i teraz tylko minuty dzieliły Imaresa Broghuilio od ostatecznego rozwiązania problemu, który gnębił go zbyt długo.

Czuł głęboką satysfakcję z powodu wygranej próby sił, kiedy stał w pokoju narad, ukrytym pod pasmem górskim na Jewlen. W otoczeniu doradców i strategów przeglądał informacje napływające za pośrednictwem JEVEXA od instrumentów śledzących *Shapierona*. Gdy popatrzył na generałów w czarnych jewlenejskich mundurach i na urządzenia odbierające raporty i przesyłające rozkazy do wszystkich zakątków imperium, poczuł emocjonujący przedsmak zwycięstwa w bliskiej już konfrontacji, którą zaaranżował dla niego los. Miał przed sobą świadectwo jewlenejskiej wyższości i siły woli; uważał się za ich architekta – ostatniego z długiej linii – a zarazem ucieleśnienie. Wkrótce dowie się o tym cała Galaktyka.

Mundurów nie noszono jeszcze otwarcie i kwatery głównej nie znali Ganimedejczycy, którzy odwiedzali Jewlen i z różnych powodów zostawali na niej przez dłuższy czas. Organizację, planowanie i szkolenie nadal prowadzono w tajemnicy, ale embrionalny korpus oficerski, z ustalonym łańcuchem dowodzenia, już był gotów do przejścia oddziałów, które wkrótce miały powstać dzięki starannie opracowanemu programowi rekrutacji. Fabryki ukryte głęboko pod powierzchnią Uttan, jednego z odległych światów kontrolowanych przez Jewlenów, od kilku lat gromadziły broń i amunicję, a plany przestawienia całej jewlenejskiej maszyny gospodarczej na produkcję wojenną były już mocno zaawansowane.

Nie nadszedł jednak jeszcze właściwy czas. Parę razy w ciągu ostatnich miesięcy panika i historyczne reakcje niektórych dowódców niemal pchnęły Broghuilio do przedwczesnego działania. Ale dzięki jasności myślenia, odwadze i sile woli przeprowadził rodaków przez

przeszkody i kolejno rozwiązywał wszystkie problemy, aż pozostała tylko sprawa *Shapierona*. A ta miała być rozwiązana niebawem. Zdał egzamin i nie znalazł w sobie żadnych braków, o czym Cerianie sami się przekonają, jak tylko Jewlenowie zrzucą z siebie thurieńskie jarzmo. Ale jeszcze nie teraz... nie teraz.

– Cel w odległości jednego impulsu skanującego – oznajmił JEVEX.

W pokoju panowała atmosfera napięcia i wyczekiwania. *Shapieron* zbliżał się do urządzenia przerzuconego przez czarną dziurę, której parametry obliczono kilka dni wcześniej w taki sposób, by wszelkie zaburzenia grawitacyjne znalazły się poza zasięgiem thurieńskich instrumentów śledzących statek. Samo urządzenie, zawierające nukleonowy poncz o mocy kilku gigaton i automatyczny detonator, było grawitacyjnie pasywne, a zatem niewykrywalne dla thurieńskiego systemu śledzącego, który określał położenie pola naprężeń, wytwarzanego przez napęd statku. Meldunek JEVEXA oznaczał, że bomba wybuchnie, zanim system śledzący prześle swój następny odczyt.

Garwain Estordu, jeden z doradców naukowych Broghuilio, wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie podoba mi się to – mruknął. – Nadal twierdzą, że powinniśmy zawrócić statek i internować go na Uttan lub gdzie indziej. To... – potrząsnął głową. – To zbyt ekstremalne rozwiązanie. Jeśli Thurienowie się dowiedzą, nie będziemy mieli nic na swoją obronę.

– To wyjątkowa okazja. Ganimedejczycy są psychicznie przygotowani do obwinienia Ziemi – oświadczył Broghuilio. – Podobna okazja nigdy się nie powtórzy. Takie momenty należy zawsze wykorzystywać, a nie przepuszczać z powodu niezdecydowania i bojaźliwości. – Popatrzył na naukowca z pogardą. – To dlatego ja wydaję rozkazy, a wy je wykonujecie. Geniusz dostrzega różnicę między dopuszczalnym ryzykiem a brawurą i dlatego chętnie gra o duże stawki. Wielkich rzeczy nigdy nie osiąga się półśrodkami. – Prychnął. – Poza tym, co mogą zrobić Thurienowie? Nie mogą użyć siły. Ich dziedzictwo sprawia, że są zupełnie nieprzygotowani do radzenia sobie z realiami wszechświata na warunkach, jakie dyktuje ten wszechświat.

– Niemniej przetrwali przez długi czas – zauważył Estordu.

– Przez przypadek, ponieważ nigdy nie natknęli się na opór – oznajmił generał Wylott, udzielając poparcia Broghuilio. – Próba sił to naturalne prawo wszechświata. Kiedy wydarzenia przyjmą bardziej naturalny obrót, Thurienowie przegrają. Nie są na tyle zahartowani, by poprowadzić pochód w nieznane obszary Galaktyki.

– On mówi jak żołnierz – powiedział Broghuilio, rzucając gniewne spojrzenie na Estordu i resztę naukowców. – Beczycie jak ganimedejskie owce, kiedy jesteście bezpieczni w zagrodzie, ale kto was obroni, gdy wyjdziecie w góry prosto w paszczę lwa?

– Analiza ostatnich danych – odezwał się w tym momencie JEVEX. W pokoju narad natychmiast zapanowała cisza. – Brak odczytów. Cel zniknął. Stuprocentowe zniszczenie. Zadanie wykonane.

Napięcie nagle opadło i ze wszystkich stron dobiegły pomruki ulgi. Broghuilio pozwolił sobie na uśmiech ponurej satysfakcji i wyprostował się, by przyjąć płynące zewsząd gratulacje. Przepęniało go poczucie mocy i władzy, które symbolizował mundur. Wylott wyrzucił ramię w jewlenskim pozdrowieniu, wyrażającym uznanie dla dowódcy, reszta wojskowych poszła w jego ślady.

Broghuilio odpowiedział niedbałym gestem, odczekał chwilę, aż podniecenie opadnie, a potem podniósł rękę.

– To tylko przedsmak tego, co ma nadejść – powiedział grzmiącym głosem, który docierał do najdalszych zakątków pomieszczenia. – Nic nie stanie na drodze, kiedy Jewlen będzie maszerowała ku swemu przeznaczeniu. Huragan, który rozruci Thurienów jak wiązki słomy, zmiecie najpierw Układ Słoneczny, a potem przetoczy się przez całą Galaktykę. Czy odważycie się pójść ze mną?

– Tak! – padła odpowiedź. Broghuilio uśmiechnął się znowu.

– Nie rozczarujecie się – złożył obietnicę. Zaczekał, aż zapadnie cisza, i dodał łagodniejszym tonem: – Ale tymczasem musimy wypełnić obowiązek wobec naszych ganimedejskich panów. – Wymawiając ostatnie słowo, wykrzywił się sarkastycznie, wywołując uśmiech na niektórych twarzach. Potem powiedział: – JEVEX, połącz się z Calazarem przez VISARA i przekaż, że Estordu, Wylott i ja chcemy natychmiast się z nim spotkać w niezwykle pilnej sprawie.

– Tak, ekscelencjo – odpowiedział JEVEX. Nastąpiła krótka przerwa. Potem JEVEX zameldował: – VISAR informuje, że Calazar przebywa obecnie na konferencji, i pyta, czy sprawa nie może poczekać.

– Właśnie otrzymałem bardzo ważną wiadomość – powiedział Broghuilio. – Nie mogę czekać. Przekaż Calazarowi moje przeprosiny i poinformuj VISARA, że nalegam na natychmiastową podróż na Thurien. Powiedz VISAROWI, że mamy podstawy sądzić, że *Shapieron* uległ katastrofie.

Minęło parę minut. Potem JEVEX oznajmił:

– Calazar przyjmie was bezzwłocznie.

## Rozdział dwudziesty siódmy

W Houston Caldwell opisał Huntowi ukrytą sieć prawdziwej władzy, która prawdopodobnie od wieków opasywała świat, działając poprzez kontrolowanie postępu naukowego w celu zachowania przywilejów i popierania interesów określonej grupy. Próba zakłócenia, a następnie przzerwania łączności z Thurien wydawała się charakterystyczna dla polityki i struktury tej władzy.

Później wyraźnie podniecony Danchecker zatelefonował z McClusky z wiadomością, że Karen Heller nadała całej sprawie zupełnie nowy wymiar. Po przybyciu na Alaskę parę godzin później Hunt i Caldwell poznali fakty przemawiające za tym, że od zarania dziejów Jewlenowie, w miarę jak rośli w siłę, reorganizowali się i czerpali korzyści z dostępu do ganimedejskiej wiedzy, przeszkadzali w rozwoju ziemskiej techniki. Ten wniosek okazał się tak zaskakujący, że nikt nie powiązał ze sobą obu zdobytych informacji, dopóki Lyn nie przyleciała z Waszyngtonu ze wstrząsającym oświadczeniem, że Sverenssen nie tylko jest w kontakcie z Jewlenami, i to od wielu lat, ale sądząc po rzeźbie, obcy nadal składają wizyty na Ziemi, przynajmniej od czasu do czasu i ingerują w jej sprawy. To, co odkryli Pacey i Sobroskin, stanowiło część prowadzonej przez Jewlenów operacji.

Wieści te nasunęły od razu mnóstwo nowych pytań. Czy Sverenssen jest rodowitym Ziemianinem i zwykłym kolaborantem czy też jewlenejskim agentem, korzystającym z tożsamości Szweda zabitego przed laty w Afryce? Czy byli na Ziemi jeszcze inni, tacy jak on? Dlaczego Jewlenowie fałszowali swoje raporty, by przedstawić Ziemię jako wojowniczą planetę? Czy służyło to jako pretekst, by utrzymywać armię, która miała być „zabezpieczeniem”, przed prawdopodobną ziemską agresją? Jeśli tak, przeciwko komu zamierzali Jewlenowie użyć swoich sił militarnych... przeciwko Thurien, by położyć kres erze ganimedejskiej dominacji? A może przeciwko Ziemi, żeby wyrównać rachunki sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat? Jeśli przeciwko Ziemi, to czy działalność sieci Sverenssena w ciągu ostatnich dekad, polegająca na popieraniu rozbrojenia strategicznego i pokojowego współistnienia, była spiskiem zmierzającym do uczynienia z Ziemi bezbronnej planety po to, by w razie ataku nie stawiała oporu i pozostała miejscem kwitującym i rozwiniętym

przemysłowo, a nie kulą dymiących gruzów? A gdyby to było prawdą, w jaki sposób Jewlenowie zamierzali postąpić z Thurienami, którzy raczej nie czekali by z założonymi rękami na rozwój wydarzeń?

Istniało wystarczająco wiele powodów, by porozmawiać bezpośrednio z Ganimedejczykami, więc Calazar zaprosił wszystkich do Thurios, łącznie z Garuthem, Shilohin i Moncharem. Trwającą już od dwóch godzin debatę przerwał VISAR, oznajmiając, że obiekt będący kopią *Shapierona* uległ zniszczeniu. Parę minut później Imares Broghuilio, premier jwelenjskich światów, skontaktował się z Calazarem i poprosił o natychmiastowe spotkanie.

Siedząc w pokoju w centrum rządowym w Thurios razem z innymi gośćmi z McClusky, Hunt w napięciu czekał na spotkanie twarzą w twarz z pierwszym Jewlenem, który miał się pojawić lada moment. Zaproszono również Garutha i dwie towarzyszące mu osoby. Calazar, Eesyhan, Showm i paru innych Thurienów zasiedli przy jednym końcu stołu. Ganimedejczycy w dalszym ciągu byli wstrząśnięci z powodu oszustw i podstępów, które przekraczały ich najdziksze wyobrażenia. Nawet Frenua Showm przyznała, że gdyby nie ludzka, wręcz niezwykła przenikliwość, Ganimedejczycy nigdy nie dotarliby do sedna sprawy. Wyglądało na to, że podejrzliwość idzie w parze z mentalnością drapieżcy, a Ganimedejczycy po prostu nie byli drapieżcami.

– Na Ziemi mówi się, że potrzeba złodzieja, żeby złapać złodzieja – zauważył Garuth. – Zdaje się, że chcąc przyłapać człowieka, trzeba zaangażować człowieka.

– Może są dobrymi naukowcami, ale byłiby nędznymi prawnikami – mruknęła Karen Heller Danchekkerowi do ucha.

Danchekker parsknął i nic nie odpowiedział.

Calazar był ciekaw, jak daleko posuną się Jewlenowie w swoich intrygach. Miał nadzieję, że dowie się od nich więcej, jeśli nie ujawni, ile sam wie. Z tych powodów nie chciał od razu konfrontować ich z Ziemianami i Ganimedejczykami z *Shapierona*. Dlatego polecił VISAROWI wyłączyć ze strumienia danych przesyłanych do JEVEXA, a tym samym do jego użytkowników na Jewlen, wszystkie informacje dotyczące tych dwóch grup. Oznaczało to, że Hunt, Garuth i ich towarzysze będą, w pewnym sensie, tam obecni, ale pozostaną niewidzialni dla Jewlenów. Podobna taktyka była jawnym pogwałceniem dobrych manier i thurińskiego prawa, nie mającym precedensu w ciągu wielu wieków funkcjonowania VISARA. Niemniej jednak Calazar stwierdził, że swoim postępowaniem Jewlenowie uprawnili go do podjęcia tej wyjątkowej decyzji. Hunt niecierpliwie czekał, co z tego wyniknie.

– Premier Broghuilio, sekretarz Wylott i doradca naukowy Estordu – zaanonsował VISAR.

Hunt zeszytniał. Trzy postacie zmaterializowały się w końcu pokoju, naprzeciwko Calazara i Thurienów. Ten pośrodku to musi być Broghuilio, domyślił się od razu Hunt. Miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ciemne oczy, płonące dziko w twarzy, którą

grzywa gęstych, czarnych włosów i zaciśnięte usta, okolone krótką, przyciętą brodą, czyniły jeszcze bardziej onieśmielającą. Ubrany był w krótki płaszcz o złotym połysku, narzucony na fiołkowo-różową tunikę okrywającą potężny tors.

– Co z *Shapieronem*? – zapytał Calazar niezwykle ostrym tonem.

Hunt przypuszczał, że komuś o randze Broghuilio należy się bardziej formalne powitanie. Potwierdził to wyraz zaskoczenia na twarzach dwóch pozostałych Jewlenów. Jeden z nich popatrzył dokładnie w tym kierunku, gdzie siedział Hunt, ale jego spojrzenie przeszło go na wylot. Było to dziwne uczucie.

– Przykro mi z powodu najścia – zaczął Broghuilio. Miał głęboki, ochryply głos i mówił chłodno, jakby wypełniał obowiązek, wymagający okazania większej wylewności, na którą nie mógł się zdobyć. – Właśnie otrzymaliśmy bardzo ważną wiadomość: statek zniknął bez śladu z naszych urzędów śledzących. Możemy wyciągnąć jedyny wniosek, że uległ zniszczeniu. – Umilkł i przesunął wzrokiem po obecnych, badając wrażenie. – Nie można wykluczyć, że było to zamierzone działanie.

Thurienowie patrzyli na niego w milczeniu przez dłuższy czas. Nie próbowali udawać przerażenia czy niepokoju... czy nawet zaskoczenia. Błysk niepewności pojawił się w oczach Broghuilio, który szukał reakcji na twarzach Ganimedejczyków. Najwyraźniej nie wszystko szło tak, jak oczekiwał.

Jeden z dwóch pozostałych Jewlenów, równie wysoki, z zimnymi, niebieskimi oczami, przylizanymi, siwymi włosami i czerwoną, lekko nalaną twarzą, ubrany w ciemny strój, chyba niczego nie zauważył.

– Próbowaliśmy was ostrzec – powiedział, rozkładając ręce w udawanym geście współczucia z powodu bólu, jaki w jego mniemaniu powinni odczuwać teraz Thurienowie. – Nalegaliśmy, żebyście przechwycili statek. – Nie miało to nic wspólnego z prawdą; zapewne pokładał dużą wiarę w swoją zdolność przekonywania. – Mówiliśmy wam, że Ziemia nigdy nie pozwoli, by *Shapieron* dotarł na Thurien.

Spojrzenie Garutha stało się zimne jak stal, a na twarzy pojawił się wyraz wrogości, jeżeli to możliwe w wypadku Ganimedejczyka.

– Cierpliwości, Garuth – zawołał Hunt. – Niedługo przyjdzie twoja kolej.

– Na szczęście Ganimedejczycy mają jej dużo – odparł Garuth.

Jewlenowie nic nie słyszeli. To było niesamowite.

– Doprawdy? – odezwał się Calazar po chwili. Nie wyglądał na przekonanego ani na wstrząśniętego. – Pańska troska jest wzruszająca, sekretarzu Wylott. Mówi pan tak, jakby wierzył we własne kłamstwa.

Wylott zamarł z otwartymi ustami, najwyraźniej zupełnie zaskoczony. Trzeci Jewlen, zapewne Estordu, był szczupłym mężczyzną z chudą twarzą o haczykowatym nosie, ubranym w wyszukany, dwuczęściowy jasnozielony strój, wyszywany złotem, i żółtą koszulę. Podniósł ręce, zaszokowany.



– Kłamstwa? Nie rozumiem. Dlaczego tak mówicie? Sami śledziliście statek. Czy VISAR nie potwierdził danych?

Twarz Broghuilio zasępiła się.

– Obraziliście nas – zagrział groźnie. – Twierdzicie, że VISAR nie potwierdza tego, co powiedzieliśmy?

– Nie podważam danych – odparł Calazar. – Ale radzę wam jeszcze raz zastanowić się nad wyjaśnieniem.

Broghuilio wyprostował się, żeby stawić czoło Thurienom. Najwyraźniej zamierzał nadrabiać beczelnością.

– Niech pan sam to wyjaśni, Calazar – warknął.

– Ale my oczekujemy, że to pan się wytłumaczy – odezwała się Showm. Mówiła cicho, prawie szeptem, ale w głosie pobrzmiwało napięcie. Broghuilio odwrócił głowę w jej stronę, rzucając na boki podejrzliwe spojrzenia, jakby szósty zmysł podpowiadał mu, że znalazł się w potrzasku. – Zapomnijmy na razie o *Shapieronie* – kontynuowała Showm. – Od jak dawna JEVEX fałszował raporty na temat Ziemi?

– Co? – Broghuilio wytrzeszczył oczy. – Nie rozumiem. Co to...

– Od jak dawna? – powtórzyła Showm podniesionym głosem, który przeciął powietrze.

Jej ton oraz wyraz twarzy pozostałych Thurienów świadczyły wyraźnie, że wszelkie próby zaprzeczania będą daremne. Borghuilio poczerwieniał na twarzy, ale był zbyt wstrząśnięty, żeby odpowiedzieć.

– Jakie macie podstawy, by rzucać takie oskarżenia? – zapytał Wylott. – Wydział prowadzący obserwacje podlega mnie. Uważam to za atak wymierzony bezpośrednio we mnie.

– Dowody? – Showm wypowiedziała to słowo bezceremonialnie, sugerując, że pytanie jest zbyt absurdalne, by potraktować je poważnie. – Ziemia rozbroiła się w drugiej dekadzie obecnego stulecia i od tej pory prowadzi politykę pokojowego współistnienia, ale JEVEX nawet o tym nie wspomniał. Przekazywał natomiast informacje o broni nuklearnej umieszczonej na orbicie, o miotaczach promieniowania na Księżycu, o instalacjach militarnych w całym Układzie Słonecznym i wielu innych rzeczach, które nigdy nie istniały. Zaprzeczacie temu?

Słuchając jej, Estordu myślał gorączkowo.

– Poprawki – wyskoczył nagle. – To były poprawki, a nie zafałszowania. Polegając na naszych źródłach informacji, uwierzyliśmy, że rządy Ziemi odkryły nasz system obserwacyjny i zmówiły się, by ukrywać swoje wojownicze zamiary. Poleciliśmy JEVEXOWI by wprowadził czynnik korygujący i dokonując ekstrapolacji, określał bieg wydarzeń w wypadku, gdyby nie odkryto naszego systemu. Przedstawialiśmy je jako fakty, by mieć pewność, że podjęte przez nas środki zapobiegawcze będą skuteczne. – Spojrzenia

Thurienów były otwarcie pogardliwe, więc dokończył mętnie: Oczywiście, możliwe, że poprawki były... trochę przesadzone.

– Więc pytam jeszcze raz, od jak dawna? – nalegała Showm. – Od jak dawna to praktykowano?

– Dziesięć, może dwadzieścia lat... Nie pamiętam.

– Nie wie pan? – Spojrzała na Wylotta. – To pański wydział. Nie ma pan archiwów?

– JEVEX je ma – odpowiedział Wylott.

– VISAR – powiedział Calazar. – Udostępnij nam archiwa JEVEXA.

– To oburzające! – krzyknął Broghuilio z pociemniałą z gniewu twarzą. – Na mocy długoterminowej umowy powierzono nam program obserwacyjny. Nie macie prawa stawiać takich żądań. Wynegocjowano to.

Calazar go zignorował. Kilka sekund później VISAR przekazał informacje.

Nie mogę zrozumieć odpowiedzi. Albo archiwa są zafałszowane, albo JEVEX ma polecenie, żeby ich nie udostępniać.

Showm nie wyglądała na zaskoczoną.

– Mniejsza o to – powiedziała i spojrzała na Estordu. – Rozstrzygnijmy wątpliwości na waszą korzyść i powiedzmy, że dwadzieścia lat. A zatem niczego, co wcześniej przekazywał JEVEX, nie zmieniano. Czy mam rację?

– To mogło zacząć się dawniej – powiedział Estordu pośpiesznie. – Dwadzieścia pięć... może trzydzieści.

– Więc cofnijmy się jeszcze dalej. Druga wojna światowa skończyła się na Ziemi osiemdziesiąt sześć lat temu. Zbadałam pewne relacje z ówczesnych wydarzeń, tak jak je przekazywał JEVEX. Pozwólcie, że podam parę przykładów. Według JEVEXA Hamburg, Drezno i Berlin zniszczono nie konwencjonalnymi bombardowaniami, lecz bronią jądrową. Według JEVEXA konflikt koreański z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku przerodził się w poważniejszą konfrontację radziecko-amerykańską. W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca. W czasie wojen na Bliskim Wschodzie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nie użyto taktycznej broni nuklearnej, nie doszło też do wybuchu konfliktu radziecko-chińskiego w latach dziewięćdziesiątych. – Pod koniec głoś Showm przybrał lodowaty ton. – *Shapieron* nie został wzięty do niewoli przez amerykański garnizon na Ganimedesie. Stany Zjednoczone nigdy nie miały bazy wojskowej na Ganimedesie.

Estordu nie znalazł odpowiedzi. Wylott stał nieruchomo, patrząc wprost przed siebie. Broghuilio gotował się z oburzenia.

– Prosiłmy o dowody! – huknął. – To nie są dowody. To przypuszczenia. Gdzie są wasze dowody? Gdzie wasi świadkowie? Nie będziemy tolerowali takiego zachowania. Domagamy się wyjaśnień.

– Ja się tym zajmę – powiedziała Heller wstając.

W żadnym razie nie pozwoliłaby się nikomu ubiec. Ze swojego miejsca Hunt nie zauważył żadnej zmiany, ale sposób, w jaki trzej Jewlenowie nagle odwrócili głowy, nie pozostawiał wątpliwości, że VISAR niespodziewanie wypuścił ją na scenę.

Zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, Calazar zabrał głos.

– Pozwólcie, że przedstawię kogoś, kto potrafi spełnić wasze żądanie. Oto Karen Heller, specjalna wysłanniczka Departamentu Stanu USA na Thurien.

Estordu zbladł, a Wylott bezgłośnie zamykał i otwierał usta, nie wydając żadnego dźwięku. Broghuilio stał z zaciśniętymi pięściami trzęsąc się cały z wściekłości.

– Mamy wielu świadków – oznajmił Calazar. – Dziewięć miliardów, jeśli chodzi o ścisłość. Ale na razie wystarczy kilku przedstawicieli.

Jewlenowie szerzej otworzyli oczy, kiedy ukazała się reszta ziemskiej delegacji. Żaden nie spojrział w przeciwną stronę, co oznaczało, że Calazar jeszcze nie pozwolił VISAROWI ujawnić Garutha i jego towarzyszy z *Shapierona*.

Karen Heller ułożyła sobie długą listę jewlenejskich manipulacji, z której żadnej nie potrafiła udowodnić. Nigdy więcej jednak mogła nie trafić się taka okazja jak teraz, żeby podstępem uzyskać potwierdzenie choć niektórych z nich, więc zaryzykowała, nie dając Jewlenom chwili wytchnienia.

– Odkąd po zakończeniu wojny na Minerwie zabrano Lambian z Księżycy na Thurien, nigdy nie zapomnieli swojej rywalizacji z Cerianami. Zawsze uważali Ziemię za potencjalne zagrożenie, które zamierzali zlikwidować. W oczekiwaniu na ten dzień, korzystając z dostępu do ganimedejskiej wiedzy, obmyślili szczegółowy plan, jak utrzymać swoich rywali w stanie zacofania i nie dopuścić, by kiedykolwiek rzucili im wyzwanie, dopóki sami nie zdobędą całej wiedzy i nie opanują techniki, które miały uczynić ich niezwycięzonymi. – Nieświadomie kierowała swoje słowa do Calazara i Thurienów, jak gdyby byli sędziami, a to, co się teraz działo, procesem. Oni zaś milczeli i słuchali. – Czym jest wiedza? – zapytała. – Prawdziwa wiedza o rzeczywistości, a nie nasze wyobrażenia o niej. Jaki sposób myślenia trzeba wykształcić, żeby skutecznie odróżniać fakty od fikcji, prawdę od mitów, rzeczywistość od iluzji? – Przerwała na moment, a potem wykrzyknęła: – Tylko nauka! Wszystkie prawdy, jakie znamy – w przeciwieństwie do wierzeń ślepo przyjmowanych przez niektórych, jak gdyby siła ich przekonań mogła wpływać na fakty – ujawniono dzięki racjonalnemu stosowaniu metod naukowych. Tylko nauka dostarcza podstaw do formułowania twierdzeń, które można sprawdzić dzięki temu, że przewidują określone rezultaty. A jednak... – Zawiesiła głos i popatrzyła na siedzących wokół niej Ziemian. – A jednak przez tysiące lat ludzie trzymali się kurczowo swoich kultów, przesądów, dogmatów i bezsilnych bożków. Nie chcieli zaakceptować tego, co mówiły im oczy – że magiczne i mistyczne siły, w które wierzyli i nad którymi rzekomo panowali, są bezużytecznymi urojeniami, nie posiadającymi żadnej mocy. Jednym słowem, były bezwartościowe, a co za tym idzie nieszkodliwe. A to, z lambiańskiego czy też jewlenejskiego punktu widzenia,

stanowiło dogodną sytuację. Była zbyt dogodna jak na zwykły zbieg okoliczności. – Heller spojrzała zimno na Jewlenów. – Wiemy jednak, że to nie był zbieg okoliczności. W żadnym wypadku.

Danchecker odwrócił się z zaskoczoną miną do Hunta, nachylił się i szepnął:

– To nadzwyczajne! Nigdy bym nie uwierzył, że ona potrafi tak przemawiać!

W dalszym ciągu patrząc na Jewlenów, Heller kontynuowała:

– Wiemy, że wiarę w rzeczy nadprzyrodzone ugruntowali cudotwórcy, których wy rekrutowaliście, szkoliliście i wysyłałiście jako agentów z zadaniem zakładania i popularyzowania masowych ruchów i kontrkultur, opartych na mitach. Poza tym podkopywaliście i dyskredytowaliście wszelkie tendencje do racjonalnego myślenia, które doprowadziłyby do rozwoju techniki, opanowania środowiska i zagrożenia waszej pozycji. Czy możecie temu zaprzeczyć? – Wyczytała z ich twarzy, że podstęp się udał. Stali bez ruchu, zbyt ogłuszeni, żeby zareagować. Czując się pewniej, Heller spojrzała na Thurienów i dokończyła: – Przesady i religie zostały starannie obmyślane i zaszczipione we wczesnych ziemskich kulturach. Wierzenia Babilończyków, Majów, starożytnych Egipcjan i wczesnych Chińczyków, na przykład, opierały się na rzeczach nadprzyrodzonych, magii, legendzie i folklorze, pozbawiając te ludy możliwości rozwijania logicznego myślenia. Cywilizacje, wyrosłe na tych fundamentach, wznosiły miasta, rozwijały rzemiosło i rolnictwo, budowały statki i proste maszyny, ale nigdy nie stworzyły nauki, która dałaby im prawdziwą moc. Były bezbronne i nieszkodliwe.

Od strony Thurienów dobiegły ciche pomruki i szepty, gdyż niektórzy z nich dopiero teraz zaczęli sobie w pełni zdawać sprawę z odkrycia Ziemiań.

– A co z późniejszą historią Ziemi? – zapytał Calazar, głównie na użytek tych Thurienów, którzy nie znali sprawy.

– Ten sam schemat powtarza się we współczesnych czasach – odparła Heller. – Zjawy i święci, którzy dzięki dokonywanym cudom tworzyli legendy, byli przysłanymi z Jewlen agentami. Kult i ruchy umacniające wiarę w spirytyzm i okultyzm, paranaukę i inne nonsensy modne w Europie i Ameryce Północnej w dziewiętnastym wieku stanowiły próbę opóźnienia postępów prawdziwej nauki i rozumu. Nawet w dwudziestym wieku tak zwane „społeczne reakcje” skierowane przeciwko nauce, technice, rozwojowi gospodarczemu, energii atomowej i tym podobnym rzeczom były, w rzeczywistości, starannie wyreżyserowane.

– Co na to powiecie? – zapytał Calazar krótko, wbijając wzrok w Broghuilio.

Broghuilio skrzyżował ramiona, wziął głęboki oddech i odwrócił się do Heller. Wyglądało na to, że zebrał już siły i nie zamierza przyznać się do porażki. Przez kilka sekund patrzył wyzywająco na Ziemiań, a potem zwrócił się do Calazara.

– Tak, tak właśnie było. Fakty się zgadzają. Inne były jednak motywy. Jedynie ludzki umysł mógł wymyślić takie motywy. Przypisują nam tkwiące w nich zło. – Wyciągnął rękę i oskarżycielskim gestem wskazał na Ziemiań. – Zna pan historię ich planety, Calazar. Cała

gwałtowność i żądza krwi, które zniszczyły Minerwę, przetrwały na Ziemi. Nie muszę przypominać wam nie kończącej się historii zabijania, sporów, wojen i rewolucji. I to, zauważcie, pomimo waszych wysiłków, by ich powstrzymać! Tak, wysyłaliśmy agentów, żeby odwieść Ziemian od nauki i racjonalnego myślenia. Obwiniacie nas? Czy możecie sobie wyobrazić masakrę w dzisiejszej Galaktyce, gdyby pozwolono im wrócić w kosmos dziesięć tysięcy lat temu? Czy wyobrażacie sobie zagrożenie, jakie stanowiliby dla nas, a także dla was? – Spojrzał znowu w stronę Ziemian i skrzywił się ze wstrętem. – Są prymitywni. Szaleni! Zawsze tacy będą. Trzymaliśmy planetę w zacofaniu z tego samego powodu, z jakiego nie pozwala się dzieciom bawić ogniem – żeby chronić siebie, was i ich samych. Zrobilibyśmy to samo jeszcze raz. Nie mamy powodu przepraszać.

– Wasze działania przeczą waszym słowom – odparowała Frenua Showm. – Gdybyście wierzyli, że udało się wam spacyfikować wojowniczą planetę, bylibyście dumni z tego osiągnięcia, a nie je ukrywali. Stworzyliście obraz wojowniczej Ziemi, podczas gdy w rzeczywistości podążała ona w innym kierunku. Skutecznie opóźnialiście postęp, dopóki Ziemia nie pozbyła się minerwejskiego dziedzictwa. Wy jednak ukryliście ten fakt. Jak zamierzacie to wyjaśnić?

– To tylko pozory – odparł Broghuilio. – Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Ukryliśmy ostatnie osiągnięcia Ziemi, żeby was nie zwiodły. Ostateczne rozwiązanie problemu jest jeszcze przed nami.

Słuchając tego, Heller myślała gorączkowo. „Ostateczne rozwiązanie” z pewnością oznaczało, że Jewlenowie wykorzystali agresywność Ziemi jako pretekst do utworzenia własnej armii. Miała teraz okazję sprawdzić pewną linię rozumowania, nad którą się zastanawiała. W tym celu znowu musiała uciec się do blefu.

– Odrzucam to wyjaśnienie – oświadczyła. – To, co do tej pory opisałam, stanowi tylko część jewlenejskiej gry. – Wszystkie głowy w pokoju odwróciły się w jej stronę. – W dziewiętnastym wieku stało się oczywiste, że pomimo wysiłków Jewlenów osiągnięcia zachodniej nauki i techniki rozprzestrzeniają się na cały świat. W tym momencie zmienili taktykę. Zaczęli stymulować i przyspieszać odkrycia, podsuwając różne informacje, dzięki którym nastąpiły główne przełomy w nauce. – Spojrzała w bok. – Doktorze Hunt. Czy mógłby pan to skomentować?

Hunt spodziewał się tej prośby. Wstał i powiedział:

– Brak ciągłości charakterystyczny dla wielkich odkryć fizycznych i matematycznych w końcu dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku przez długi czas był tajemnicą. Według mnie podobne przewroty myślowe nie mogłyby w tamtym okresie mieć miejsca bez zewnętrznych bodźców.

– Dziękuję – powiedziała Heller. Hunt usiadł. Spojrzała na Thurienów, którzy wyglądali na zdumionych. – Dlaczego Jewlenowie mieliby to robić, skoro do tej pory ich polityka polegała na opóźnianiu rywala? Ponieważ musieli zaakceptować fakt, że nie są w stanie

dłużej trzymać Ziemi w zacofaniu. Skoro Ziemia i tak wkrótce miała stać się wysoko rozwiniętą planetą, Jewlenowie postanowili wykorzystać już istniejącą infrastrukturę wpływów i pokierować postępowaniem w taki sposób, żeby doprowadzić rywala do samozagłady. Innymi słowy, zaczęli dążyć do tego, by nauki, które sami pomogli rozwinąć, wykorzystano nie do zlikwidowania plag od wieków gnębiących ludzkość, lecz do prowadzenia globalnej wojny o nie spotykanym okrucieństwie. – Mówiąc to, uważnie popatrzyła na Broghuilio i przekonała się, że trafiła w sedno. Teraz nadszedł czas na zadanie ostatecznego ciosu. – Zaprzeczenie, że jewlenejscy agenci przeniknęli w szeregi europejskiej arystokracji pod koniec dziewiętnastego wieku i sprowokowali wybuch morderczej nienawiści, której kulminacją były okropności pierwszej wojny światowej – zaczęła podniesionym głosem. – Zaprzeczenie, że kontrolowana przez Jewlenów organizacja zdobyła władzę nad Rosją po rewolucji w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku i stworzyła wzór totalitarnego państwa policyjnego. Zaprzeczenie, że umieściliście swoją grupę na gruzach powojennych Niemiec, aby wzniecała nienawiść, której kres miała położyć pokojowymi środkami utworzona w tym celu Liga Narodów. Posłużono się starannie wybranymi i wyszkolonymi osobnikami, nieprawdaż? Co się stało z prawdziwym Adolfem Hitlerem? A może działaliście za kulisami... pamiętacie Alfreda Rosenberga? – Trzej Jewlenowie nie musieli nic mówić. Osłupienie na twarzach było wystarczającym potwierdzeniem. Heller zwróciła się do Thurienów i wyjaśniła: – Druga wojna światowa miała być wojną nuklearną. Zostały spełnione wstępne warunki naukowe, polityczne, społeczne i ekonomiczne. Nie wszystko jednak poszło tak, jak zaplanowano, choć niewiele brakowało.

Od strony Thurienów dobiegła fala szeptów. Heller zaczęła, aż zapadnie cisza, i wtedy dokończyła cichszym głosem:

– Napięcia utrzymywały się przez ponad pół wieku, ale mimo jewlenejskich wysiłków nigdy nie doszło do globalnej katastrofy, do której dążyli. – Teraz nastąpiły czyste domysły, ale wypowiedziała je nie zmienionym tonem. – Doszli do wniosku, że któregoś dnia dojdzie do bezpośredniej konfrontacji z odwiecznym wrogiem, więc zaczęli wyolbrzymiać ziemskie konflikty i wyścig zbrojeń, żeby usprawiedliwić przed Thurienami utworzenie własnych sił „obronnych”. Jednocześnie zmienili politykę wobec Ziemi, łagodząc napięcia, popierając rozbrojenie i pozwalając ludziom rozwijać talenty i zdolności twórcze. Ich celem było, oczywiście, uczynienie Ziemi bezbronną planetą. Żeby uzasadnić wzrost liczebności własnej armii, przekazywali Thurienom coraz bardziej zmyślane raporty, tworzone przez JEVEXA. – Heller przerwała na chwilę, ale tym razem żaden dźwięk nie zakłócił ciszy. Rozejrzała się wokół, zatrzymując wzrok na Jewlenach i podniosła głos do oskarżycielskiego krzyku. – Oskarżają nas o wzajemne zabijanie się, kiedy doskonale wiedzą, że to ich agenci zaaranżowali najbardziej krwawe epizody w historii Ziemi. Wymordowali więcej ludzi niż wszyscy ziemscy przywódcy razem wzięci. – Jej głos zniżył się do złowieszczonego szeptu. – Ale nieoczekiwane przybycie *Shapierona* zniweczyło ich wszystkie plany. Gdyby

Ganimedejczykom ze statku pozwolono skontaktować się z Thurienami, wyszłyby na jaw wszystkie kłamstwa. Oto mamy prawdziwy powód, dla którego nie wspomniano o ich powrocie.

Bładość pokryła twarz Broghuilio. Wylott poczerwieniał i z trudem oddychał, a Estordu zaczął się pocić i drżeć. Garuth, Shilohin i Monchar pochylili się do przodu w napięciu, jak gdyby czuli, że zbliża się moment, kiedy zostaną ujawnieni.

– I teraz dochodzimy do sprawy *Shapierona* – powiedziała Heller niemal łagodnym tonem, ale w jej oczach, utkwionych w Jewlenach, błyszczała groźba. – Usłyszeliśmy wcześniej sugestię, że to Ziemia go zniszczyła. Sugestia ta oparta jest, jak już się przekonałiśmy, na kłamstwach. *Shapieron* ani na chwilę nie znajdował się w niebezpieczeństwie w czasie sześciu miesięcy spędzonych na Ziemi. Przeciwnie, nasze stosunki z Ganimedejczykami były bardzo przyjacielskie. Mamy na to liczne świadectwa. – Zrobiła krótką przerwę. – Nie musimy jednak opierać się na nich, aby udowodnić, że Ziemia nie wyrządziła żadnej krzywdy statkowi ani jego załodze. Mamy znacznie bardziej przekonujące świadectwo.

Garuth i jego towarzysze zeszytnieli. Calazar już miał wydać polecenie VISAROWI.

Ale Jewlenowie zniknęli.

Miejsce, gdzie przed sekundą stali, było puste. Ze wszystkich stron dobiegły okrzyki zdziwienia. Po chwili VISAR oznajmił:

– JEVEX odcina wszelkie połączenia. Nie mam do niego dostępu. Ignoruje polecenia.

– Co to znaczy? – zapytał Calazar. – Nie masz z Jewlen żadnej łączności?

– Cała planeta jest odizolowana – odpowiedział VISAR. Podobnie jak wszystkie jewlenejskie światy. JEVEX stał się niezależnym systemem. Niemożliwe są żadne połączenia ani wizyty w obszarze jego działania.

Pośród Thurienów zapanowała konsternacja, co świadczyło, że dzieje się coś niezwykłego. Hunt napotkał pytające spojrzenie Danchekkera i wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że JEVEX zerwał stosunki dyplomatyczne – powiedział.

– Co to, według ciebie, oznacza? – zapytał Danchekker.

– Kto wie? Wygląda to na powstanie. Jewlenowie są we własnej strefie, kontrolowanej przez JEVEXA, a JEVEX nie rozmawia z nikim. Podejrzewam więc, że nie można się tam teraz dostać inaczej jak tylko statkiem.

– To może nie być proste – odezwała się Lyn. – Jeśli zrobili z siebie galaktyczną policję, mogą być problemy.

Thurienowie popadli w dziwne milczenie. Calazar i Showm patrzyli na siebie z niepokojem. Eesyhan nerwowo wykręcał palce. Ziemianie i Ganimedejczycy z *Shapierona* spoglądali na nich z ciekawością. W końcu Calazar westchnął.

– Wasz pokaz, jak wydobyć prawdę z Jewlenów, był imponujący. Myliliście się jednak pod pewnym względem. Nigdy nie zgodzilibyśmy się na utrzymywanie przez Jewlenów armii czy to w celu obrony przed ziemskim ekspansjonizmem, czy też w jakimkolwiek innym.

Heller nie wyglądała na przekonaną tym oświadczeniem.

– Teraz już wiecie, jacy są naprawdę – powiedziała. – Skąd możecie mieć pewność, że nie zbroili się w tajemnicy.

– Nie możemy – przyznał Calazar. W takim wypadku konsekwencje okażą się bardzo poważne dla obu naszych cywilizacji.

Caldwell był zdziwiony. Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś, popatrzył na Heller, a potem na Calazara.

– Sadziliśmy, że właśnie dlatego wymyślali te wszystkie historyjki – stwierdził. – Jaki mógł być inny powód?

Thurienowie wyglądali na jeszcze bardziej zakłopotanych. Showm spojrzała pytająco na Calazara i rozłożyła ręce. Calazar zawahał się, a potem skinął głową.

– Teraz już wiemy, dlaczego Jewlenowie fałszowali raporty – powiedziała Showm, zwracając się do wszystkich obecnych. Zapanowała pełna wyczekiwania cisza. Thurienska wzięła głęboki oddech. – Jest jeszcze coś. Uznaliśmy jednak, że lepiej będzie na razie nikomu o tym nie mówić... – zerknęła na Garutha i towarzyszące mu osoby – ... nawet wam. – Wszyscy czekali, więc kontynuowała: – Przez długi czas Ganimedejczyków dręczyła wizja Minerwy; płomień zagłady mógł tym razem ogarnąć całą Galaktykę. Dokładnie wiek temu Jewlenowie przekonali naszych przodków, że Ziemia stanowi zagrożenie, i wymogli decyzję o powstrzymaniu ziemskiej ekspansji. Thurienowie zaczęli opracowywać odpowiedni plan na taką ewentualność. Mając fałszywy obraz Ziemi, odmalowany przez Jewlenów, kontynuowaliśmy przygotowania do realizacji planu. Gdybyśmy znali prawdziwą sytuację, zarzucilibyśmy ten pomysł. Oczywiście Jewlenowie zwodzili nas, aby wykorzystać naszą technikę w celu powstrzymania wroga i wyeliminowania go z rywalizacji o wpływy w Galaktyce w czasach, które miały nadejść. To właśnie miał na myśli Broghuilio, kiedy mówił o „ostatecznym rozwiązaniu”.

Ziemiańskie potrzebowały kilku sekund, żeby przetrwać to, co usłyszeli.

– Nie jestem pewien, czy was rozumiem – powiedział w końcu Danchecker. – Jakimi środkami powstrzymać ziemską ekspansję? Z pewnością nie macie na myśli siły.

Calazar powoli pokręcił głową.

– To nie byłby ganimedejski sposób działania. Powiedzieliśmy powstrzymać, a nie przeciwstawić się. Celowo użyto tego słowa.

Hunt zmarszczył czoło, próbując domyślić się, do czego zmierza Calazar. Powstrzymać Ziemię? Było na to za późno. Ludzka cywilizacja sięgnęła poza granice Ziemi. Więc musiało to oznaczać tylko jedno... Oczy nagle rozszerzyły mu się z niedowierzania. Z pewnością nawet thurieńskie umysły nie mogły planować na taką skalę.



– Czyżby Układ Słoneczny? – szepnął, patrząc na Calazara z przestrawieniem. – Chyba nie twierdzicie, że zamierzaliście zamknąć cały Układ Słoneczny?

Calazar z powagą skinął głową.

– Opracowaliśmy plan wykorzystania naszej nauki w celu stworzenia powłoki o podwyższonej stałej grawitacyjnej. Nic nie mogłoby jej sforsować – ani Ziemianie, ani nawet światło. Wewnątrz powłoki panowałyby normalne warunki i ludzie mogliby prowadzić takie życie, jakie by sobie wybrali. Podobnie jak my, poza powłoką. – Calazar rozejrzał się wokół i zobaczył przerażone spojrzenia. – To miało być nasze ostateczne rozwiązanie – powiedział.

## Rozdział dwudziesty ósmy

I tak, po raz pierwszy w ciągu długiej historii swojej rasy, Ganimedejczycy znaleźli się w stanie wojny, a przynajmniej w sytuacji tak zbliżonej do wojny, że różnica była czysto akademicka. Reakcja nastąpiła błyskawicznie. Calazar rozkazał VISAROWI zaprzestać obsługiwanie wszystkich Jewlenów fizycznie obecnych na Thurien i innych ganimedejskich światach. Populacja, która przez całe życie przyjmowała za rzecz naturalną możliwość natychmiastowego komunikowania się z wybraną osobą, podróżowania w dowolne miejsce, otrzymywania na żądanie różnego rodzaju informacji, polegania we wszystkim na maszynach, nagle stwierdziła, że jest odcięta od społeczeństwa. Była bezsilna i przerażona. W ciągu paru godzin w wielkim pośpiechu odnaleziono i zatrzymano wszystkich Jewlenów w celu powstrzymania ich przed popełnieniem jakichś głupstw, zanim Ganimedejczycy postanowią, co dalej zrobić. W ten sposób wszyscy Jewlenowie rozrzućeni po ganimedejskich światach zostali w mgnieniu oka wyeliminowani z gry.

Została jeszcze główna kwatery wroga, Jewlen, oraz stowarzyszone planety obsługiwane przez JEVEXA. Okazało się, że to twardszy orzech do zgryzienia, niż wydawało się Huntowi, gdyż wysłanie statków nic by nie dało.

Problem polegał na tym, że Jewlen znajdowała się w odległości wielu lat świetlnych od Gwiazdy Gigantów i można tam było dotrzeć jedynie poprzez czarne dziury. Kiedy VISAR próbował wysłać kilka wiązek do strefy działania JEVEXA, okazało się, że JEVEX z łatwością je wygasza. Najwyraźniej Jewlenowie już od jakiegoś czasu planowali oderwanie się od Thurien. VISAR nie mógł również przesłać statków przez torusy wytworzone poza zasięgiem oddziaływania JEVEXA, skąd same dotarłyby do Jewlen, gdyż wszystkie thurieńskie statki uzależnione były od energii oraz nawigacyjnych i kontrolnych sygnałów przesyłanych z centralnych generatorów oraz ośrodków kontroli za pośrednictwem thurieńskiej hipersieci, a JEVEX mógł z łatwością zakłócić sygnały i przerwać dopływ energii. Innymi słowy, nic nie mogło przedostać się do jewlenejskiego układu, dopóki działał JEVEX, a wyłączyć go można było tylko od wewnątrz. Ganimedejczycy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Istniała duża możliwość, że Jewlenowie od dłuższego czasu w tajemnicy gromadzili broń i w oczekiwaniu na taki właśnie obrót wydarzeń budowali statki z własnym napędem i systemem nawigacyjnym. Jeśli tak, to byli w stanie bezkarnie wtargnąć do kontrolowanego przez VISARA obszaru i bez przeszkód przeprowadzić zaplanowane akcje. Liczył się czas. Wydarzenia na Thurien zmuszały Jewlenów do podjęcia natychmiastowych prób zdobycia niezależności i im szybciej reagowali Thurienowie, tym większe mieli szansę zaskoczenia Jewlenów w trakcie przygotowań. Ale jak mogła zareagować rasa, która nie miała doświadczenia w walce z uzbrojonym przeciwnikiem, nie posiadała broni i nie mogła dotrzeć w jego pobliże? Nikt nie potrafił znaleźć rozwiązania i dopiero na drugi dzień po konfrontacji z Thurios Garuth, Shilohin i Eesyana poprosili Calazara o prywatną audiencję.

– To nie brak szacunku, ale wasi eksperci przeocząją oczywiste rzeczy – powiedział Garuth. – Tak długo przyjmowali zaawansowaną thurieńską technikę za coś naturalnego, że nie potrafili myśleć w innych kategoriach.

Calazar uniósł dłoń w obronnym geście.

– Uspokój się, przestań wymachiwać rękami i wytłumacz, o co ci chodzi – zaproponował.

– Rozwiązanie problemu, jak dotrzeć na Jewlen, znajduje się obecnie na orbicie nad Thurien – oświadczyła Shilohin. – *Shapieron*. Może jest przestarzały według waszych standardów, ale ma własny napęd, a ZORAC doskonale potrafi nim kierować bez żadnych waszych hipersieci.

Przez kilka sekund Calazar wpatrywał się w nich zdumiony. Mieli rację. Żaden z naukowców, którzy bez przerwy głowili się nad rozwiązaniem problemu, odkąd JEVEX zerwał połączenia, nawet nie wziął pod uwagę *Shapierona*. Wydawało się to tak oczywiste, że Calazar był przekonany o istnieniu jakiegoś słabego punktu. Spojrzał pytająco na Eesyana.

– Dlaczego nie – powiedział Eesyana. – JEVEX w żaden sposób nie może go zatrzymać.

Coś kryje się za tą propozycją, pomyślał Calazar, przyglądając się uważnie Garuthowi. Było oczywiste, choć nikt tego nie powiedział, że jeśli nawet JEVEX nie mógł fizycznie przeszkodzić *Shapieronowi* w wejściu w jego strefę działania, miał prawdopodobnie do dyspozycji wiele innych sposobów, by zatrzymać statek już wewnątrz tej strefy. Garuth palił się wczoraj do konfrontacji z Jewlenami i przeszkodzone mu w ostatniej chwili. Czy teraz był gotowy poświęcić siebie, załogę i statek, nierozważnie podejmując się akcji, którą Calazar uznał za chęć osobistej zemsty na Broghuilio? Nie mógł na to pozwolić.

– Przecież *Shapierona* można będzie wyśledzić – zauważył. – Jewlenowie mają czujniki i skanery w całym swoim układzie. Wszystko może się zdarzyć. Samotny statek, odcięty od Thurien, bezbronny... – nie dokończył zdania, ale wyraz jego twarzy dopowiedział resztę.

– Myślę, że mamy na to odpowiedź – oznajmiła Shilohin. – Moglibyśmy wyposażyć sondy statku w podłączone do waszej sieci urządzenia telekomunikacyjne o niskiej mocy, których nie zarejestrowałyby detektory JEVEXA, i utworzyć z nich ekran ochronny w

odległości kilkudziesięciu kilometrów od *Shapierona*. Dzięki temu mielibyśmy skuteczne, szybsze od światła połączenie z komputerami statku. ZORAC mógłby generować odpowiednie impulsy, które sondy przekazywałyby dalej z przesunięciem w fazie, co w połączeniu z odbitymi od statku falami świetlnymi i radiowymi dawałoby w rezultacie zerowy odczyt na wszelkich urządzeniach rejestrujących, w dowolnej odległości i kierunku. Innymi słowy, statek stałby się niewidzialny.

– Mogłyby go jednak wykryć detektory działające w wyższych wymiarach – zaproponował Calazar. – JEVEX zarejestrowałby zmiany pola, wywołane przez główny napęd.

– Wcale nie musimy używać głównego napędu – sprzeciwiła się Shilohin. – VISAR mógłby przyspieszyć statek w nadprzestrzeni i wyrzucić go przez bramę wyjściową z odpowiednim momentem pędu, który wystarczyłby na dotarcie do Jewlen w ciągu jednego dnia. W pobliżu planety statek mógłby wyhamować i manewrować dzięki napędowi pomocniczemu, którego promieniowanie jest niższe od progu wykrywalności.

– Ale przecież brama musiałaby znaleźć się stosunkowo blisko układu planetarnego – powiedział Calazar. – Nie da się ukryć przed JEVEXEM zakłóceń na tak dużą skalę. Wykryłby, że coś się zbliża.

– Więc wyślemy jeszcze jeden lub dwa statki jako przynętę... statki bezzałogowe – odparła Shilohin. – Niech JEVEX je przechwyci i myśli, że na tym koniec. W istocie będzie to dobry sposób na odwrócenie jego uwagi od *Shapierona*.

Calazarowi nadal nie podobała się ta propozycja. Odwrócił się, splótł ręce za plecami i wolnym krokiem przeszedł przez pokój, rozmyślając. Nie był ekspertem od spraw technicznych, ale plan wydawał się teoretycznie wykonalny. Thurieńskie statki miały na pokładzie kompensatory, które oddziaływały z torusem, ściskając go i minimalizując wytwarzane wokół zaburzenia grawitacyjne. To dlatego thurieńskie statki mogły po jednym dniu konwencjonalnej podróży opuścić układ planetarny i przenieść się do hiperprzestrzeni. *Shapieron* nie miał takich kompensatorów i dlatego potrzebował całych miesięcy na pokonanie Układu Słonecznego. Calazarowi przyszło jednak do głowy proste rozwiązanie: *Shapierona* można przecież w ciągu paru dni wyposażyć w thurieński system kompensacyjny. A jeśli wynikną jakieś poważniejsze trudności techniczne, Eesyń sobie z nimi poradzi.

Calazar nie musiał pytać o cel tego przedsięwzięcia. JEVEX, podobnie jak VISAR, tworzył rozległą sieć i oprócz urządzeń do natychmiastowej łączności poprzez wyższe wymiary, korzystał również z konwencjonalnych łączności w obrębie Jewlen i w umiarkowanej od niej odległości. Gdyby Thurienowie zdołali opanować jedno lub kilka z nich i symulować, bez zwracania na siebie uwagi, normalny ruch telekomunikacyjny, mieliby szansę dotarcia do trzonu systemu operacyjnego JEVEXA i unieszkodliwienia go od wewnątrz. Jeśliby im się to udało, jewlenejska operacja ległaby w gruzach i całemu imperium przydarzyłoby się to, co dzień wcześniej na mniejszą skalę stało się z Jewlenami na Thurien. Należało jednak najpierw

znaleźć się fizycznie w miejscu, skąd można by przejąć łącza. Naukowcy Eesyana rozprawiali na ten temat przez cały dzień i do tej pory nie opracowali skutecznego sposobu.

W końcu Calazar obrócił się twarzą do obecnych.

– Bardzo dobrze. Zdaje się, że wszystko przemyśleliście – przyznał. – Ale powiedzcie mi, jeśli coś pominę. Nie wspomnieliście o jeszcze jednej rzeczy: moc obliczeniowa potrzebna do sparaliżowania takiego systemu, jak JEVEX, powinna być fenomenalna. ZORAC nigdy tego nie dokona. Jedyne istniejący system, który miałby szansę, to VISAR, ale nie możecie połączyć VISARA z ZORAKIEM, ponieważ do tego niezbędne jest hiperłącze, a nie można go użyć, kiedy działa JEVEX.

– To hazard – przyznał Eesyana. – Ale ZORAC nie musiałby wyłączyć całego JEVEXA. Wystarczy, jeśli otworzy kanał dla VISARA. Nasz pomysł polega na tym, by wyposażyc *Shapierona* i jego sondy w sprzęt do hiperłączości i rozmieścić je tak, by umożliwiły przechwycenie kilku kanałów JEVEXA. Potem, gdyby ZORAC znalazł się w odpowiedniej odległości od JEVEXA, by przerwać jego blokadę, moglibyśmy całą mocą VISARA uderzyć JEVEXA ze wszystkich stron jednocześnie. VISAR dokonałby reszty.

To rzeczywiście jest szansa, przyznał w duchu Calazar. Nie wiedział, jakie jest prawdopodobieństwo powodzenia, ale przynajmniej istniała nadzieja. Pomysł Garutha był najlepszy z dotychczasowych. Ale wizja nie uzbrojonego *Shapierona*, samotnie wyruszającego we wrogi obszar kosmosu, i małego ZORACA, porywającego się na potężnego JEVEXA, przerażała Calazara. Wolno wrócił na środek pokoju, podczas gdy troje Ganimedejczyków patrzyło na niego w napięciu. Wyraz ich twarzy wskazywał wyraźnie, że domagają się decyzji.

– Oczywiście zdajecie sobie sprawę z tego, że narażacie swój statek na ogromne niebezpieczeństwo – powiedział poważnie, patrząc na Garutha. – Nie mamy pojęcia, co Jewlenowie chowają w zanadrzu. Kiedy już się tam znajdziecie, nie zdołamy do was dotrzeć w razie jakichś kłopotów. Nie będziecie mogli nawet skontaktować się z nami, by nie ujawniać swojej obecności, a zresztą i tak łączność zaraz zostałaby przerwana. Będziecie zdani wyłącznie na siebie.

– Wiem – odparł Garuth. Wyraz zdecydowania na jego twarzy pogłębił się, a w głosie zabrzmiało niezwykle napięcie. – Ale zrobię to. I nie będę prosił moich ludzi, by ze mną poszli. Każdy zadecyduje sam.

– Ja już postanowiłam – oświadczyła Shilohin. – Nie będzie potrzebna cała załoga. I tak zgłosi się zbyt wielu chętnych.

Calazar zaczął poddawać się nieodpartej logice ich argumentów. Czas naglił i każdy zaoszczędzony dzień wielokrotnie zwiększał skuteczność wszelkich kroków podjętych w celu popsucia szyków Jewlenom. Calazar wiedział jednak, że naukowcy Garutha i ZORAC nie znają thurieńskiej techniki komputerowej na tyle, by wydać wojnę JEVEXOWI. W skład ekspedycji musieli wejść także thurieńscy eksperci.

Eesyhan zdawał się czytać w jego myślach.

– Ja też idę – oznajmił spokojnie. Pośród moich ekspertów znajdzie się więcej ochotników, niż potrzebujemy. Możesz na to liczyć. – Gregg Caldwell – powiedziała Shilohin po dłuższej chwili ciszy – ma swój sposób, który czasami stosuje, kiedy musi szybko podjąć trudną decyzję: zapomnieć o samej sprawie i rozważyć alternatywy. Jeśli wszystkie są nie do przyjęcia, decyzja jest oczywista. Bardzo to pasuje do obecnej sytuacji.

Calazar odetchnął głęboko. Shilohin miała rację. Istniało ryzyko, ale na dłuższą metę jeszcze bardziej ryzykowne było nie robić nic, a pewnego dnia i tak zmierzyć się z Jewlenami, którzy przez ten czas posunę się naprzód w swoich przygotowaniach.

– Jaka jest twoja opinia, VISAR? – zapytał.

– Zgadzam się we wszystkich punktach, zwłaszcza w ostatnim – odpowiedział VISAR po prostu.

– Czy jesteś sobie pewien, jeśli chodzi o JEVEXA?

– Tylko pozwól mi się nim zająć.

– Czy będziesz mógł działać skutecznie, mając do niego dostęp jedynie za pośrednictwem ZORACA? Czy będziesz w stanie w ten sposób unieszkodliwić JEVEXA?

– Unieszkodliwić? Rozerwę go na strzępy!

Calazar uniósł brwi ze zdumienia. Wyglądało na to, że VISAR zbyt dużo rozmawiał z Ziemianami. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę z poważnym wyrazem twarzy, a potem skinął głową. Podjął decyzję. Od razu jego zachowanie stało się rzeczowe.

– Najważniejszy jest teraz czas – powiedział. – Jak długo nad tym myśleliście? Macie już opracowany plan?

– Potrzebujemy dnia, żeby wybrać dziesięciu moich naukowców i zrobić z nimi odprawę, pięciu dni na wyposażenie *Shapierona* w kompensatory, by mógł pokonać układ Gwiazdy Gigantów w najkrótszym możliwym czasie, i pięciu dni na zainstalowanie na statku i jego sondach hiperłączy i urządzeń do ekranowania – odpowiedział od razu Eesyhan. – Możemy jednak prowadzić te prace jednocześnie, a testy wykonać już w trakcie podróży. Poza tym potrzebujemy jednego dnia na opuszczenie naszego układu i następnego na dotarcie od bramy do Jewlen oraz dodatkowego dnia, jeśli uwzględnimy poprawkę Vica Hunta do prawa Murphy’ego. To oznacza, że możemy wyruszyć z Thurien za sześć dni.

– Bardzo dobrze – powiedział Calazar, kiwając głową. – Skoro ustaliliśmy, że czas jest decydujący, nie powinniśmy go marnować. Zaczynamy od razu.

– Jest jeszcze jednak rzecz – wtrącił Garuth, a potem się zawahał.

Calazar odczekał kilka sekund.

– Tak, komandorze?

Garuth rozłożył ręce i powiedział:

– Ziemianie. Zechcą także lecieć. Znam ich. Będą chcieli skorzystać z perceptronu, żeby fizycznie pojawić się na Thurien i dołączyć do nas. – Spojrzał błagalnie na Shilohin i

Eesyana, jakby czekał na ich poparcie. – Ale to będzie... wojna toczona przez rozwiniętą ganimedejską technikę. Ziemianie nie wniosą do niej żadnego wkładu. Nie ma powodu, dla którego mieliby ponosić ryzyko. Poza tym informacje z Ziemi jak dotąd ogromnie nam pomogły i mogą się jeszcze przydać. Innymi słowy, nie możemy obecnie pozwolić sobie na zerwanie łączności z McClusky. Ziemianie spełniają tam znacznie ważniejszą funkcję. I dlatego raczej odmówiłbym tej prośbie... głównie dla ich własnego dobra.

Calazar spojrział Garuthowi w oczy i dostrzegł w nich nieugiętość, którą zauważył już wcześniej, kiedy Broghuilio oznajmił o zniszczeniu *Shapierona*. Garuth nie chciał żadnych postronnych osób, nawet Hunta i jego kolegów. Była to dziwna reakcja jak na Ganimedejczyka. Spojrział na Shilohin i Eesyana i zobaczył, że oni również to zauważyli. Ale nie zamierzali tego powiedzieć, żeby nie urazić dumy i godności Garutha. Calazar również nie zrobiłby tego.

– Dobrze – zgodził się. – Będzie, jak sobie życzysz.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Noc otaczała radziecki odrzutowiec wojskowy lecący na północ nad skutymi lodem obszarami między biegunem a Ziemią Franciszka Józefa. Konflikt na Kremlu i w całych władzach Związku Radzieckiego daleki był od rozwiązania, a siły zbrojne nie złożyły jednoznacznej deklaracji lojalności. Lot podjęto zatem w tajemnicy, by zmniejszyć ryzyko. Verikoff siedział sztywno między dwoma uzbrojonymi strażnikami w tyle ciemnej kabiny, a wokół niego drzemało lub rozmawiało przyciszonymi głosami kilku oficerów. Mikołaj Sobroskin wpatrywał się w czerń za oknem i myślał o zdumiewających wydarzeniach z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Odkrył, że obcy niezbyt dobrze znoszą przesłuchania. A na pewno źle znosił je Verikoff. Bo Verikoff był właśnie obcym – członkiem sieci spokrewnionych z ludzką rasą jewlenejskich agentów, którzy od zarania dziejów prowadzili obserwacje i infiltrowali ziemską społeczność. Był nim również Niels Sverenssen. Demilitaryzacja Ziemi miała stanowić krok w kierunku utworzenia elity rządzącej złożonej z Jewlenów z Nielsem Sverenssenem jako panem całej planety. Ziemia, pozbawiona przemysłu, miała stać się terenem rekreacyjnym dla jewlenejskiej arystokracji, której najwierniejsi słudzy mieli otrzymać w nagrodę ogromne wiejskie posiadłości. Nie wyjaśniono, w jaki sposób zamierzano utrzymać tę część populacji, dla której zabrakłoby pracy.

Kiedy to wszystko ustalono, wartość Verikoffa znacznie spadła. Żeby ratować skórę, zaoferował współpracę, a dla udowodnienia swojej wiarygodności wyjawiał szczegóły systemu łączności między Jewlen a Ziemią. Urządzenie znajdowało się w domu Sverenssena w Connecticut, a zainstalowali je jewlenejscy technicy zatrudnieni w amerykańskiej spółce budowlanej, utworzonej jako przykrywka dla zupełnie innej działalności. Za pośrednictwem tego łącza Sverenssen mógł przekazywać szczegółowe informacje na temat thurieńskich prób dialogu z Ziemią poprzez nadajnik na ciemnej stronie Księżyca i odbierać instrukcje, w jaki sposób kierować negocjacjami. Sobroskin nie odkrył żadnych śladów przemawiających za tym, że Verikoff wiedział cokolwiek o amerykańskim kanale łączności, o którym wspominał



Norman Pacey. Pomimo skomplikowanego jawlenskigo systemu zbierania wiadomości, udało się utrzymać ten fakt w sekrecie, zauważył w duchu Sobroskin.

Postanowił, że proces likwidowania sieci rozpocznie się od wyłączenia ogniwa w Connecticut, gdyż Jewlenowie nie wiedzieli jeszcze o jego wykryciu i dlatego ich czujność była uspijona. Oczywiście potrzebował do tego pomocy kogoś z Waszyngtonu, a ponieważ nikt, nawet Verikoff, nie znał organizacji całej sieci ani wszystkich jej członków, tym kimś mógł być tylko Norman Pacey. Sobroskin zatelefonował do „Iwana” z radzieckiej ambasady i używając ustalonego wcześniej kodu z niewinnie brzmiących zdań, przekazał wiadomość dla Amerykanina. Późniejszy o osiem godzin telefon z Departamentu Stanu do pewnego biura w Moskwie, potwierdzający rezerwację hotelu dla grupy rosyjskich dyplomatów, oznaczał, że otrzymano i zrozumiano wiadomość.

– Pięć minut do lądowania – w ciemności dobiegł z interkomu głos pilota.

W kabinie zapaliło się nikłe światelko i Sobroskin oraz oficerowie zaczęli zbierać porzucane wokół pudełka po papierosach, papiery i inne rzeczy, a potem włożyli ciężkie arktyczne ubrania dla ochrony przed czekającym ich na zewnątrz zimnem.

Parę minut później samolot wynurzył się z ciemności i usiadł w środku prostokąta przyćmionego światła, który wytyczał lądowisko w amerykańskiej arktycznej stacji badawczej. Samolot transportowy Amerykańskich Sił Powietrznych stał w mroku z włączonymi silnikami, a przed nim przestępowała z nogi na nogę mała grupka okutanych postaci. Drzwi z przodu kabiny otworzyły się i na ziemię opadły schodki. Sobroskin i pozostali zeszli po stopniach i szybkim krokiem ruszyli przez lód, otaczając całą grupą Verikoffa i dwóch eskortujących go oficerów. Wkrótce zatrzymali się przed czekającymi na nich Amerykanami.

– Widzisz, że wcale nie minęło wiele czasu – powiedział Norman Pacey do Sobroskina, wymieniając z nim uścisk dłoni w grubych rękawicach.

– Mamy sobie wiele do powiedzenia – odparł Sobroskin. – Ta sprawa przekracza nasze najśmielsze wyobrażenia.

– Zobaczmy – odrzekł Pacey, uśmiechając się szeroko. – My również nie próżnowaliśmy. Czekają cię chyba parę niespodzianek.

Z tyłu za nimi silnik radzieckiego odrzutowca zmienił ton na wyższy i po chwili samolot zniknął w ciemnościach. Pół minuty później wystartował amerykański transportowiec, biorąc kurs na północ w kierunku bieguna i dalej przez wschodnią Kanadę do Waszyngtonu.

W McClusky był późny wieczór. W bazie panował spokój. Niedaleko rzędu samolotów stojących w ciszy w przytłumionym pomarańczowym świetle, rzucanym przez lampy rozmieszczone wzdłuż ogrodzenia, Hunt, Lyn i Danchecker patrzyli w kierunku konstelacji Byka.

Kłócili się, przymilali i protestowali na przemian, mówiąc, że jest to również sprawa Ziemi i jeśli Garuth i Eesyhan ryzykują, honor i sprawiedliwość wymagają, by Ziemianie bez względu na konsekwencje, również brali w tym udział. Wszystko na próżno. Calazar nieugięcie trwał przy tym, że nie można ruszyć perceptronu. Nie odważyli się zwrócić o poparcie do wyższych władz, na przykład ONZ lub rządu Stanów Zjednoczonych, gdyż nie wiadomo było, kto pracuje dla Jewlenów. Nie pozostało im nic innego, jak czekać i mieć nadzieję.

– To szaleństwo – powiedziała Lyn po chwili. – Oni nigdy w historii nie prowadzili wojny, a teraz zamierzają wykonać komandoski rajd, żeby zdobyć całą planetę. Nie znałam Ganimedejczyków od tej strony. Czy sądzicie, że Garuth zwariował?

– On po prostu chce jeszcze raz przelecieć się swoim statkiem – mruknął Hunt i parsknął śmiechem, w którym nie było wesołości. – A myślałem, że po dwudziestu pięciu milionach lat będzie miał dosyć.

Huntowi przemknęła również myśl, że być może Garuth jak prawdziwy kapitan postanowił pójść ze swoim statkiem na dno. Nie powiedział jednak tego na głos.

– Mimo wszystko to szlachetny gest – stwierdził Danchecker. – Potrząsał głową z westchnieniem. – Ale czuję się nieswojo. Nie rozumiem, dlaczego perceptron musi zostać tutaj. To brzmi jak wymówka. Nawet jeśli nasza technika na nic się nie przyda, to i tak moglibyśmy wnieść od siebie coś, czego, jak się obawiam, może potrzebować Garuth i jego towarzysze w razie kłopotów.

– Co masz na myśli? – zapytała Lyn.

– Sądziłem, że to oczywiste – odparł Danchecker. – Już przekonaliśmy się, w jak odmienny sposób pracują umysły ganimedejski i ludzki. Jewlenowie może i posiadają pewien talent do intryg i oszustw, ale nie są takimi mistrzami, za jakich się uważają. Żeby zauważyć i wykorzystać ich błędy, potrzeba ludzkiej wnikliwości.

– Oni mieli do czynienia tylko z Ganimedejczykami – powiedział Hunt. – My mamy parę tysięcy lat praktyki w obcowaniu z ludźmi.

– Jestem tego samego zdania.

Zapadła krótka cisza, a potem Lyn powiedziała zamyślonym tonem:

– Wiecie, czego bym chciała? Jeśli ci Jewlenowie uważają się za takich przebiegłych, pragnęłabym zobaczyć, jak radzą sobie z prawdziwymi profesjonalistami i jak przekonują się, czym w ogóle jest oszustwo. Mając VISARA po swojej stronie, powinniśmy sobie z tym poradzić.

Hunt popatrzył na nią i zmarszczył brwi.

– O czym ty mówisz?

– Nie jestem całkiem pewna. – Zastanawiała się przez chwilę i wzruszyła ramionami. – Pomyślałam tylko, że skoro przez całe lata JEVEX fałszował wszystkie informacje i karmił nimi Thurienów, byłoby nieźle, gdybyśmy zrobili coś podobnego... dla samej satysfakcji.

– Żebyśmy co zrobili? – zapytał Hunt zdziwiony. Lyn spojrzała z nieobecny wyrazem twarzy na nocne niebo.

– Wyobraźcie sobie, na przykład, coś takiego. JEVEX musi przechowywać gdzieś w pamięci wszystkie te historie o broni, bombach i tym podobnych rzeczach, nieprawdaż? I gdzieś w pamięci musi również mieć prawdziwe informacje na temat Ziemi, zgromadzone w ciągu lat obserwacji. Ale skąd ma wiedzieć, które są które? Skąd wie, które zapisy są prawdziwe, a które zmyślone?

– Nie wiem. – Hunt wzruszył ramionami i zamyślił się na chwilę. – Przypuszczam, że musiał je posegregować i oznaczyć nagłówkami.

– Też tak pomyślałam – powiedziała Lyn. – A teraz przypuśćmy, że VISAROWI uda się dostać do JEVEXA i skasować te nagłówki, tak żeby JEVEX nie mógł odróżnić zbiorów danych. Mógłby wtedy uwierzyć, że wszystkie historie są prawdziwe. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby zaczął mówić takie rzeczy. Broghuilio i jego banda całkiem by zgłupieli. Rozumiecie, co mam na myśli... przyjemnie byłoby popatrzeć.

– Co za rozkoszna myśl – mruknął Danchecker zaintrygowany. Po jego twarzy przemknął złośliwy uśmiešek, kiedy wyobraził sobie tę sytuację. – Szkoda, że nie wspomnieliśmy o tym Calazarowi. Wojna czy nie, Ganimedejczycy nie byłiby w stanie temu się oprzeć.

Hunt również się uśmiechnął. Pomysł można by rozwinąć jeszcze bardziej, niż proponowała Lyn. Gdyby VISAR dostał się do pamięci JEVEXA i pozmieniał nagłówki, wystarczyłoby dodać do jego zmyśleń jeszcze parę fikcyjnych informacji. Gdyby VISAR uzyskał dostęp do tej części JEVEXA, która zajmowała się gromadzeniem wyników obserwacji napływających z Ziemi, prawdopodobnie byłby w stanie wmówić JEVEXOWI dowolne rzeczy na temat działań ludzi...na przykład, że wyruszyła cała armada, by zmieść Jewlen. Jak powiedział Danchecker, była to rozkoszna myśl.

– Można by zmyślić umowę z Thurien o wykorzystaniu jej torusów do transportu sił uderzeniowych na Jewlen – podsunął Hunt. – JEVEX byłby przekonany, że dotrą w ciągu paru dni. Gdyby dało się pomieszać zbiory danych, informacja ta zgadzałaby się z historyjkami, które przekazywał przez całe lata. Jeśliby nawet Jewlenowie mieli wątpliwości, nie wiedzieliby, co o tym myśleć. Co, według was, zrobiłby z tym Broghuilio?

– Dostałby ataku serca – powiedziała Lyn. – Co o tym sądzisz Chris?

Danchecker nagle spoważniał.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale właśnie o coś takiego mi chodziło. Szukanie sposobów, by zmylić wroga, jest czymś naturalnym dla ludzi, ale nie dla Ganimedejczyków. Oni zamierzają zniszczyć JEVEXA – to proste, logiczne, pozbawione przebiegłości podejście. Ale przypuśćmy, że Jewlenowie przygotowali się, instalując systemy pomocnicze, które mogą działać autonomicznie, bez JEVEXA. Jeśli tak, to *Shapieron* narazi się na duże niebezpieczeństwo, kiedy się ujawni niszcząc JEVEXA. A nie ma pewności, że mu się uda. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie. – Poważnie popatrzył na tamtych dwoje, a potem

kontynuował: – Z drugiej jednak strony, gdyby plan polegał nie na unieszkodliwieniu JEVEXA, lecz na przejęciu nad nim kontroli i wprowadzeniu go w błąd za pomocą waszego podstępny, sytuacja mogłaby się zaostrzyć. – Spojrzał znowu na niebo i ze smutkiem potrząsnął głową. – Nie mogę wyobrazić sobie, że nasi ganimedejscy przyjaciele przyjmują podobną taktykę.

Rozbawienie stopniowo zniknęło z twarzy Hunta, kiedy tego słuchał. Razem z Caldwellem i Heller zrobili, co mogli; nie opuszczało go jednak przykre uczucie, że powinni byli zrobić więcej. A teraz Danchecker wypowiedział na głos te same myśli, które go gnębiły.

– Powinniśmy z nimi lecieć – powiedział ponurym głosem. – Powinniśmy namówić Gregga, żeby ich do tego zmusił.

– Wątpię, czy to by coś pomogło – oświadczył Danchecker. – Nie rozumiecie, że Garuth ma osobiste porachunki z Broghuilio? Nie chciał nikogo do tego mieszać. Calazar o tym wiedział. Nie mogliśmy nic na to poradzić.

– Sądzę, że masz rację – westchnął Hunt. Spojrzał znowu w kierunku Byka, wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem nagle otrząsnął się z zamyślenia i popatrzył na tamtych dwoje. – Robi się zimno – stwierdził. Chodźmy do środka i napijmy się kawy.

Ruszyli wolno przez płytę lotniska w stronę kasyna.

W odległości wielu lat świetlnych *Shapieron* opuścił orbitę nad Thurien. Przez cały dzień VISAR śledził go aż do skraju układu Gwiazdy Gigantów i nadzorował przejście przez nadprzestrzeń aż do punktu leżącego tuż za strefą działania JEVEXA, na obrzeżach jowleńskiego układu planetarnego. Wiązki energii i sygnałów kontrolnych wysyłane do dwóch bezzałogowych statków-przynęt szybko zagłuszono i oba pojazdy zaczęły bezradnie dryfować na skraju strefy JEVEXA, ale *Shapieron* kontynuował lot i wkrótce zniknął z instrumentów VISARA za nieprzekraczalną barierą, otaczającą wrogą gwiazdę.

## Rozdział trzydziesty

Konstrukcja unosząca się w przestrzeni miała kształt pustego kwadratu. Jego bok mierzył ponad osiemset kilometrów. Z każdego rogu wychodził idący po przekątnej gruby na trzydzieści pięć kilometrów pręt, który podtrzymywał znajdującą się w środku kulę o średnicy trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Boki kwadratu najeżone były kanciastymi wystęgami, fragmentami ozebrowania i kopulastymi nadbudówkami, wykonanymi z czarnego i szarego metalu, a centralną kulę i podtrzymujące je elementy oplatały ogromne zwoje. Dalej ciągnął się szereg identycznych obiektów rozmieszczonych w odstępach trzech i pół tysiąca kilometrów od siebie i coraz bardziej zmniejszających się z powodu odległości, a w końcu ginących na tle gwiazd.

Imares Broghuilio, były premier jawlenejskich światów, a obecnie najwyższy zwierzchnik niedawno ogłoszonego Niezależnego Protektoratu Jawlenejskich Światów, stał w czarnym mundurze najwyższego dowódcy sił zbrojnych, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i z ponurą miną patrzył na widok z kopuły obserwacyjnej statku kosmicznego. W dole na tle czerni wisiała ciemna, postrzępiona tarcza planety Uttan, wielkości piłki tenisowej trzymanej w wyciągniętej ręce. Za Broghuilio stali Wylott i generałowie z różnych jednostek jawlenejskiej armii oraz Estordu i grupa cywilnych doradców, a nieco dalej Niels Sverenssen nie wyglądający na zbyt uszczęśliwionego i Feylon Turl, techniczny koordynator programu budowy kwadruflaksorów.

Broghuilio wskazał ręką na widok na zewnątrz kopuły.

– Zmuszono nas do drastycznego skorygowania naszych planów w bardzo krótkim czasie – powiedział sucho, patrząc na Turla. – Spodziewam się, że zrobicie swoje jak należy.

– Budowy na taką skalę nie można przyspieszyć na komendę – zaprotestował Turl. – Brakuje nam jeszcze pięćdziesięciu zespołów. To zajmie przynajmniej dwa lata, nawet przy dwudziestoczworgodzinnych zmianach...

– Dwa lata są nie do przyjęcia – powiedział Broghuilio stanowczo. – Przekazałem nasze wymagania i chcę od was teraz potwierdzenia, że wszystko dokładnie wykonacie. Proszę mi

powiedzieć, co jesteście w stanie zrobić. Protektorat znajduje się w stanie wojny, więc otrzymacie wszelkie niezbędne środki.

– To nie tylko kwestia środków – upierał się Turl. – Mocy potrzebnej do przeniesienia tyłu kwadrufleksorów na miejsce przeznaczenia nie osiągnie się przed upływem dwóch lat. Ostatnie wyliczenia Crallorta wykazują...

– Crallorta usunięto – oznajmił Broghuilio. – Ten urząd znajduje się obecnie pod wojskową kontrolą. Zespół generatorów zostanie objęty realizowanym już programem kryzysowym; dostaniecie potrzebną moc.

– Ja... – zaczął Turl, ale Broghuilio przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki.

– Ma pan dwadzieścia cztery godziny na omówienie zmian ze swoimi pracownikami. Później oczekuję pana z raportem w Radzie Planowania Strategicznego na Jewlen. Nie chcę słyszeć kiepskich wymówek. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, ekscelencjo – wymamrotał Turl.

Broghuilio polecił półgłosem JEVEXOWI, żeby mu później przypomniał o przejrzeniu listy ewentualnych kandydatów na stanowisko Turla na Uttan, a potem pogardliwie spojrzął na Sverenssen.

– Wygląda na to, że mój „zdolny porucznik”, który miał tak „doskonale panować” nad sytuacją na Ziemi, jest niekompetentny – powiedział szyderczo. – Więc co udało się panu odkryć? W jaki sposób Thurienowie skontaktowali się z Ziemianami tuż pod waszym nosem? Gdzie jest ich urządzenie? Jak zamierzacie je zniszczyć? W jaki sposób dowiedzieli się o waszej działalności? Kto zdradził? Mam nadzieję, że udzieli pan dobrych odpowiedzi, Sverenssen.

– Muszę zaprotestować – powiedział Sverenssen wstrząśnięty. – Tak, przyznaję, że Thurienowie w jakiś sposób nawiązali łączność. Ale oskarżenie, że dopuściliśmy do zdemaskowania naszej operacji, jest bezpodstawne. Nie ma dowodu...

– Więc jesteście ślepi albo głupi! – krzyknął Broghuilio. – Byłem w Thurios. Pan nie. Mówię panu, że wiedzieli wszystko. Ziemianie musieli przekabacić połowę imbecyli z pańskiej organizacji; przez całe lata pracowali przeciwko wam. Od jak dawna mieli na Ziemi połączenie z VISAREM?

– My... jeszcze nie zdołaliśmy tego ustalić, ekscelencjo – przyznał się Sverenssen.

– Oczywiście na długo przedtem, nim zaczęli transmisje z ciemnej strony Księżyca – powiedział Broghuilio. – Cała operacja w Bruno miała odwrócić waszą uwagę, a wy połknęliście haczyk i zrobiliście z siebie głupców. – Wykrzywił twarz i zaczął naśladować przymilny ton. – Zyskaliśmy całkowitą kontrolę, ekscelencjo. Tak mi mówiono. Ba! – Broghuilio uderzył pięścią o otwartą dłoń. – Kontrola! Manipulowali wami jak marionetkami. Prawdopodobnie robili to przez lata. Zarządca Ziemi! Był pan pośmiewiskiem, kierował pan przedszkolakami.

Sverenssen zbladł i zacisnął szczęki, ale się nie odezwał.

Broghuilio podniósł ręce, jakby wzywał obecnych na świadków swojego trudnego położenia.

– Widzicie, z kim muszę walczyć... z debilnymi inżynierami i debilnymi agentami. A co z wami? Jasne jest, że wróg nie będzie siedział beczynnienie, aż zakończymy przygotowania. A tu słyszymy, że potrzeba jeszcze dwóch lat. Mamy więc problem, który wymaga działania, póki zachowujemy inicjatywę. Jakie macie propozycje? Generałowie popatrzyli po sobie niepewnie. W końcu Wylott odpowiedział z wahaniem.

– Nadal analizujemy ostatnie wydarzenia. Sytuacja wymaga całkowitego zrewidowania...

– Mniejsza o wasze akademickie analizy i oceny. Czy macie sprecyzowane ofensywne plany umocnienia naszej pozycji, dopóki nie zakończymy programu kwadrufleksorów?

– Nie, ale...

– Generał nie ma planu – powiedział Broghuilio do pozostałych. – Widzicie... wszędzie mam do czynienia z imbecylami. Na szczęście dla nas wszystkich, ja mam plan. Nasz program produkcji broni na Uttan zaczyna przynosić rezultaty, nieprawdaż? Mamy statki, uzbrojenie i wystarczającą ilość mocy, by przerzucić pojazdy w pobliżu Gwiazdy Gigantów, podczas gdy Thurienowie nie mają nic. Przyszedł czas na śmiałe działania. Wylott wyglądał na zaniepokojonego.

– Nie takie mieliśmy zamiary – stwierdził. – Nasze plany nigdy nie przewidywały nie spowodowanej napaści na Thurien. Broń miała być wykorzystana przeciwko Cerianom. Trudno byłoby usprawiedliwić przed ludźmi taką akcję. Nie zyskałaby ich poparcia.

– Czy powiedziałem cokolwiek o atakowaniu Thurien? – zapytał Broghuilio. – Czy nie potraficie wyobrazić sobie innych metod niż brutalna siła i niezręczność? Nie macie za grosz wyrafinowania? – Zwrócił się do wszystkich obecnych. – Wojna to przede wszystkim sprawa psychologii, zrozumienia psychiki wroga, a nie wykorzystanie broni. Przestudujcie historię Ziemi albo nawet Minerwy. Wiele wspaniałych zwycięstw osiągnięto dzięki wycuciu sprzyjającego momentu psychologicznego. I taki moment pojawia się teraz przed nami.

– Co pan proponuje? – zapytał Estordu niespokojnie. – Żeby zastraszyć Thurien i zmusić do poddania się?

Broghuilio spojrzał na niego z zaskoczeniem i nie ukrywaną aprobatą.

– A jednak potrafi pan szybko myśleć, mimo że jest pan naukowcem – powiedział. – Słyszeliście? – podniósł głos. – Naukowiec myśli jak generał, a wy tego nie potraficie. Thurienowie nie planują wojny, zresztą nie mają o niej żadnego pojęcia. W tej chwili sądzą, że wycofaliśmy się do skorupy i nie będziemy ich niepokoili przez dłuższy czas. Czują się na razie bezpieczni i dlatego właśnie są bezbronni. – Wolnym krokiem podszedł do krańca kopuły i przez kilka sekund patrzył na odległą tarczę Uttan. Potem wrócił na swoje miejsce i podjął: – Powiem wam, co teraz myślą Thurienowie. Zdają sobie sprawę, że stanowimy zagrożenie, któremu nie są w stanie przeciwdziałać w przeciwieństwie do Ziemian. Z drugiej

strony, mają niezbędną technikę, by stawić czoło zagrożeniu, podczas gdy Ziemianie jej nie mają. Jaka więc będzie ich strategia?

Wylott wolno pokiwał głową.

– Uzbroić i wyekwipować ziemskie wojska – powiedział. – Thurien zwerbujecie Ziemię, by walczyła w jej imieniu.

– Właśnie! – wykrzyknął Broghuilio. – Ale Ziemia jest zdemilitaryzowana i nie może się z nami mierzyć pod względem techniki, a Thurienowie nie mają uzbrojenia. – Rozejrzał się wokół z triumfalnym błyskiem w oku. – Innymi słowy, takie rozwiązanie problemu wymaga czasu. Ale my nie potrzebujemy czasu, ponieważ już teraz dysponujemy pewną bronią. Nasze siły są jeszcze stosunkowo małe, ale w obecnej sytuacji to więcej niż zero, co oznacza nieskończoną przewagę. Ta przewaga nie będzie istniała wiecznie i nigdy już nie będzie tak wielka, jak obecnie. I dlatego właśnie nadeszła pora, by działać.

Oczy Wylotta zabłyśły, jak gdyby pojął wreszcie, do czego zmierza Broghuilio.

– Mając statki z własnym napędem, możemy wysłać oddział specjalny i postawić Thurienom ultimatum o przejściu VISARA pod naszą kontrolę – powiedział. – Ganimedejczycy nie będą mieli wyboru. Staną się bezradni, a my przejmujemy całkowitą władzę nad połączonymi imperiami JEVEXA i VISARA.

– A Ziemian nie będzie miał kto uzbroić – zakończył Broghuilio. – Bez Thurienów nie mają szans dorównać nam w ciągu dwóch lat. W ten sposób kupimy sobie czas potrzebny do zakończenia przygotowań do rozprawy z Ziemią i ostatecznego unieszkodliwienia Thurienów. – Popatrzył na Wylotta, skrzyżował ramiona przed sobą i wypiął pierś. – To jest właśnie plan, generale... mój plan.

– Genialny pomysł – oświadczył Wylott. Chóralny pomruk potwierdził jego opinię. – Natychmiast rozpoczniemy przygotowania.

– Proszę tego dopilnować – rozkazał Broghuilio. Odwrócił się i groźnie spojrzał na Sverenssen. – A pan niech wraca na Ziemię, jeśli zamierza się pan zrehabilitować. Chcę, by wykryto wszystkich zdrajców w pańskiej organizacji, schwytano ich i ukarano. Wszystkich oprócz tych rangi B2 i wyżej. Z nimi rozprawię się osobiście, gdy tylko wylądujemy i zabierzemy ich na Jewlen. – Jego głos przeszedł w groźny ryk, oczy zapłonęły. – A jeśli zawiedziesz, Sverenssen, zostaniesz tu sprowadzony, choćbym miał osobiście polecieć na Ziemię.



## Rozdział trzydziesty pierwszy

Minęło kilka dni bez żadnych wieści od *Shapierona*. VISAR przeanalizował wszelkie dostępne dane na temat budowy JEVEXA i dał ZORACOWI pięć procent szans na przedostanie się przez kolejne zabezpieczenia i blokady, chroniące wrogi system. Problem polegał na tym, że zaprojektowane przez Ganimedejczyków molekularne obwody JEVEXA pracowały z szybkościami rzędu nanosekund, umożliwiając przeprowadzenie ogromnej liczby działań samokontrolnych, przeplatanych ze zwykłymi operacjami. Ta przewaga była tak przytłaczająca, że każda szczelina w barierze ochronnej JEVEXA, w którą udałoby się ZORACOWI wsunąć klin, została wykryta i zamknięta, zanim VISAR zdołałby go wbić do końca. Innymi słowy, JEVEX potrafił niezwykle szybko śledzić zachodzące wewnątrz siebie procesy czy też, jak wyjaśnił Hunt Caldwellowi, miał natychmiastowy dostęp do wszystkiego, co się w nim działo.

– Gdybyśmy mogli w jakiś sposób odciągnąć jego uwagę choćby na kilka sekund, przy szybkościach, z jakimi pracują nasze maszyny, ZORAC byłby w stanie unieszkodliwić system zagłuszający JEVEXA i wpuścić VISARA.

Ale jak mogli odwrócić uwagę JEVEXA, kiedy jedyny dostęp do niego mieli przez ZORACA, a ZORAC nie mógł otworzyć kanału, dopóki nie odwróci uwagi JEVEXA?

I wtedy VISAR zameldował o serii zaburzeń grawitacyjnych na skraju układu planetarnego Gwiazdy Gigantów, a następnie o pojawieniu się grupy obiektów wyglądających na statki kosmiczne. Wkrótce obiekty zaczęły zbliżać się do Thurienu. VISAR nie wykrył hipernapędu ani wiązek sygnałów naprowadzających i nie mógł śledzić lotu pojazdów. Były to ciężko uzbrojone jowlenejskie obiekty wojenne o własnym napędzie. Pięćdziesiąt statków. Kiedy tylko zajęły pozycje na orbicie wokół Thurienu, JEVEX połączył się na krótko z VISAREM i przekazał jowlenejskie ultimatum: Thurienurowie mają czterdzieści osiem godzin na oddanie całego swojego układu pod kontrolę JEVEXA. Jeśli się nie zgodzą, zostaną starte z powierzchni kolejno wszystkie miasta, poczynając od Vranix. Tak brzmiały warunki. Nie było o czym dyskutować.

W centrum rządowym w Thurios panowała napięta atmosfera. Obecni byli Ziemianie z McClusky, Calazar, Showm oraz grupa inżynierów i techników z zastępcą Eesyana, Morizalem, na czele. Pozostało już tylko siedem godzin do końca okresu wyznaczonego w ultimatum.

– Na pewno możecie coś zrobić – upierał się Caldwell, chodząc ciężkim krokiem tam i z powrotem po pokoju. – Nie możecie użyć zdalnie kierowanych statków, żeby ich roznieść? Czy VISAR nie może wytworzyć paru czarnych dziur, które by ich wessały? Musi być jakiś sposób.

– Zgadzam się – powiedziała Showm, patrząc na Calazara. – Powinniśmy spróbować. Wiem, że to przykre, ale Jewlenowie sami ustalili reguły gry. Zastanawiałeś się nad innym wyjściem?

– Zniszczyliby statki szturmowe, zanim zdołałyby się zbliżyć – oświadczył Morizal. – Dużo wcześniej wykryliby formującą się czarną dziurę i wymknęli się. Zresztą i tak wpadłoby w nią najwyżej kilka statków. Reszta spaliłaby Thurien na popiół, nie czekając do końca terminu ultimatum.

– A poza tym to nie jest rozwiązanie – odezwał się w końcu Calazar, unosząc rękę. – Ganimedejczycy nigdy nie rozstrzygali problemów za pomocą wojny czy gwałtu. Nigdy nie pozwoliłbym na coś podobnego. Nie niżymy się do poziomu jewlenejskich barbarzyńców.

– Nigdy przedtem nie zetknęliście się z tego rodzaju zagrożeniem – zauważyła Karen Heller. – W jaki inny sposób można sobie z nim poradzić?

– Ona ma rację – przytaknęła Showm. – Siły Jewlenów nie są duże. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że to jest wszystko, co posiadają. Za sześć miesięcy może to ulec zmianie. W takiej sytuacji propozycje Ziemian są przykre, ale rozsądne: zabijając paru ludzi zyskujemy na czasie, by móc oszczędzić życie wielu innym. To lekcja, której oni się nauczyli, więc my również możemy.

– To nie jest wyjście – powtórzył Calazar. – Znacie historię Ziemi. Takie rozumowanie zawsze prowadzi do eskalacji działań. To szaleństwo. Nie pozwolę ruszyć tą drogą.

– Broghuilio jest szalony – upierała się Showm. – Nie ma innego wyjścia.

– Musi być. Potrzebujemy czasu do zastanowienia.

– Nie mamy czasu.

Zapadła ciężka cisza. Hunt podchwycił spojrzenie Lyn i wrzucił bezradnie ramionami. Lyn uniosła brwi i westchnęła. Nie było nic do powiedzenia. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Stojący w pobliżu Danchecker zaczął się niecierpliwie. Zdjął okulary, przyjrzał się im pod światło, założył z powrotem, a następnie zaczął pocierać nos kciukiem i palcem wskazującym. Nad czymś rozmyślał. Hunt przyglądał mu się z zaciekawieniem i czekał.

– Przypuśćmy... – zaczął Danchecker, przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział do Calazara i Morizala: – Przypuśćmy, że udałoby się nam zmusić Jewlenów do zaniechania

agresywnych zamiarów i przejścia do defensywy, innymi słowy, do wycofania wojsk na Jewlen. Zyskalibyśmy w ten sposób trochę czasu.

Calazar spojrział na niego zdziwiony.

– Dlaczego mieliby to zrobić? Przed czym się bronić? Nie mamy ich czym zaatakować, podobnie jak wy.

– Zgoda – stwierdził Danchecker. – Ale istnieje sposób, by ich do tego nakłonić. – Ganimedejczycy odpowiedzieli zakłopotanymi spojrzeniami, więc wyjaśnił: – Lyn i Vic ostatnio rozważali pomysł symulowanego, totalnego ataku na Jewlen, który opracowały VISAR i podsunął JEVEXOWI, oczywiście przy założeniu że ZORAC zdobędzie do niego dostęp. Odpowiednio manipulując pamięcią JEVEXA, VISAR mógłby wpoić mu przekonanie, że istnienie broni na Thuriem zgodne jest z wieloletnimi obserwacjami. Rozumiecie mnie? Ten podstęp stworzyłby wiele zamieszania w jewlenejskim obozie i skłonił do wycofania wojsk. Nie mając wystarczającej pewności, nie ryzykowałiby raczej ataku do czasu rozeznania się w sytuacji. Nie mam pojęcia, co wtedy powinniśmy zrobić, ale przynajmniej wybrnęlibyśmy z obecnego kłopotliwego położenia.

Showm słuchała z dziwnym wyrazem twarzy.

– To byłoby dokładnie to samo, co oni zrobili nam – szepnęła. – Wykorzystalibyśmy przeciwko nim ich własną taktykę.

– Tak, jest to pewna pokusa – zgodził się Danchecker.

W odpowiedzi na pytania Morizala Danchecker podał więcej szczegółów. Kiedy skończył, Ganimedejczycy popatrzyli po sobie z powątpiewaniem, ale żaden z nich nie znalazł słabego punktu w jego rozumowaniu.

– Co na to powiesz, VISAR? – zapytał Calazar, kiedy skończyła się dyskusja.

– To może się udać, ale nadal jest tylko pięć procent szans, w najlepszym wypadku – odpowiedział VISAR. I pozostaje ten sam problem: jedyny sposób dostania się do JEVEXA to wyłączenie jego systemu zagłuszającego, a jak do tej pory ZORAC nie miał szczęścia. Nie otrzymałem od niego jeszcze żadnej wiadomości.

– Co innego możesz zaproponować? – zapytał Calazar.

Minęło kilka sekund.

– Nic – przyznał VISAR. – Mógłbym wziąć się do pracy, z pomocą Ziemiaków spreparować trochę informacji i liczyć na znikomą szansę, że zdołam je przesłać do JEVEXA przez kanał otwarty przez ZORACA, a prawdopodobieństwo nadal wynosi pięć procent. Inaczej mówiąc, nie liczcie na to.

W trakcie tej rozmowy w oczach Hunta pojawił się dziwny wyraz. Jeden po drugim, wszyscy zwracali ku niemu zaciekawione spojrzenia.

– Chodzi o odwrócenie uwagi JEVEXA, zgadza się? – powiedział. – Gdybyśmy zdołali przerwać jego funkcje samokontrolne choć na parę sekund potrzebnych ZORACOWI do

wyłączenia systemu zagłuszania i otwarcia kanału hiperłączości, VISAR mógłby opanować to łącze na stałe i dokonać reszty.

– To prawda, ale co z tego? – powiedział VISAR. – Już to omówiliśmy. Nie możemy zrobić niczego, ponieważ wszystko zależy od ZORACA.

– Sądzę, że możemy coś zrobić – oświadczył Hunt. W pokoju zapanowała zupełna cisza. Hunt rozejrzał się wokół przytomniejszym wzrokiem. Wszyscy czekali. – Nie możemy odwrócić uwagi JEVEXA za pomocą ZORACA, ponieważ ZORAC znajduje się poza systemem i stara się do niego dostać. Ale mamy inny kanał bezpośrednio do rdzenia JEVEXA.

Caldwell potrząsnął głową i popatrzył zdziwiony.

– O czym ty mówisz? Jaki kanał? Gdzie?

– W Connecticut – odparł Hunt. Spojrzał na Lyn, a potem na pozostałych. – Założę się, że to, co znajduje się w domu Sverenssena, to urządzenie transmisyjne połączone z JEVEXEM... prawdopodobnie z własnym perceptronem. Cóż innego miałyby to być? Moglibyśmy do niego dotrzeć.

Minęło kilka sekund, zanim wszyscy zrozumieli znaczenie tych słów. Pierwszy zareagował Morizal.

– Dostać się do urządzenia i co dalej? – zapytał. – Jak byśmy je wykorzystali?

Hunt wzruszył ramionami.

– O tym jeszcze nie myślałem, ale musi być jakiś sposób. Może za jego pośrednictwem przekazalibyśmy JEVEXOWI informacje potwierdzające zmyślenia VISARA... że Ziemia od lat jest w pełni uzbrojona, że wyrusza właśnie wyprawa, która zetrze Jewlen w proch, i tym podobne rzeczy. To powinno odnieść skutek choć na krótko.

– To najbardziej szalony pomysł, o jakim słyszałem. – Caldwell bezradnie potrząsnął głową. – Dlaczego miałby ci uwierzyć? Nie będzie nawet wiedział, kim jesteś. A zresztą usiądziesz tam i wpuścisz JEVEXA do swojego mózgu?

– Nie, tego nie zrobię – odparł Hunt. – Ale JEVEX zna Sverenssena. I uwierzy w to, co tamten mu powie. To by naprawdę nim wstrząsnęło.

– Dlaczego Sverenssen miałby zrobić coś takiego? – zapytała Heller. – Dlaczego sądzisz, że będzie chciał współpracować?

Hunt wzruszył ramionami.

– Przyłożymy draniowi pistolet do głowy i zmusimy do działania – odpowiedział po prostu.

Znowu zapadła cisza. Propozycja była tak oburzająca, że nikt nie zdobył się na komentarz. Ganimedejczycy patrzyli na siebie ze zrozumieniem, z wyjątkiem Frenui Showm, która była gotowa zaakceptować ten plan bez dalszych ceregieli.

– Jak się do niego dostaniemy? – zapytał w końcu Caldwell z powątpiewaniem. – Lyn powiedziała, że do tego potrzeba by armii.

– Więc użyjmy armii – powiedział Hunt. – Jerol Packard i Norman Pacey z pewnością znają paru ludzi, który potrafią to zrobić.

Pomysł zaczynał się wszystkim coraz bardziej podobać.

– Ale skąd wiesz, że udałoby ci się zmusić go do zrobienia tego tak, żeby JEVEX się o tym nie dowiedział? – zapytała Heller. – Przecież VISAR widzi każdego, kto wejdzie do perceptronu, zanim jeszcze ten ktoś usiądzie w fotelu. Skąd wiesz, że urządzenie Sverenssena nie jest takie samo?

– Nie wiem – przyznał Hunt. Rozłożył ręce. – To jest ryzyko. Ale o wiele mniejsze niż to, do którego podjęcia namawialiście Calazara. A poza tym Ganimedejczycy już wystarczająco ryzykowali.

Caldwell na te słowa skinął głową. – Zgadza się. Zróbmy to.

– VISAR? – spytał Calazar, nieco oszołomiony nagłym obrotem sprawy.

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – oświadczył VISAR. – Ale jeśli to zwiększy prawdopodobieństwo powyżej pięciu procent, warto spróbować. Kiedy mam zacząć?

– Od razu – powiedział Caldwell. Wyszedł na środek pokoju i nagle poczuł, że znowu dowodzi ludźmi. – Karen i ja zostaniemy tutaj, żeby pomóc. Ty też lepiej zostań, Chris, żeby jeszcze raz wyjaśnić, na czym polega pomysł. Vic musi pojechać do Waszyngtonu, żeby powiedzieć Packardowi, czego od niego oczekujemy, a Lyn poleci z nim, ponieważ zna rozkład domu.

– Wygląda na to, że powinniśmy uznać cię za kierującego operację – stwierdził Calazar.

– Dziękuję. – Caldwell skinął głową i rozejrzał się po pokoju. – W porządku – powiedział. – Opracujmy szczegółowo cały plan i zrobmy wszystko, co w naszej mocy, by zsynchronizować jego etapy.

Hunt i Lyn przybyli do Waszyngtonu późnym popołudniem. Caldwell już telefonował z Alaski, więc zakładali, że Packard, Pacey i Clifford Benson z CIA będą na nich czekać. Nie spodziewali się natomiast zastać grupy radzieckich oficerów z Mikołajem Sobroskinem na czele. Ku swojemu całkowitemu zdumieniu dowiedzieli się, że jewlenski agent w osobie naukowca Verikoffa również jest obecny w tym samym budynku.

Większość Rosjan była tak oszołomiona tym, co usłyszeli od Hunta i Lyn, że nie wnieśli wiele do rozmowy. Sobroskin jednak gładko przełknął ich historię i potwierdził – na podstawie uzyskanych od Verikoffa zeznań – że biurowe skrzydło domu Sverenssena rzeczywiście mieści urządzenie transmisyjne połączone z JEVEXEM oraz perceptron. Verikoff sam korzystał z niego wielokrotnie, by składać wizyty na Jewlen. W związku z tym Sobroskin zaproponował znaczne uproszczenie planu Hunta i Lyn.

– Jak sami stwierdziliście, zmuszenie Sverenssena do współpracy wiąże się z dużym ryzykiem. JEVEX może to zauważyć – powiedział. – Ale prawdopodobnie wcale nie ma takiej potrzeby. Gdybyśmy zdołali dostać się do urządzenia, moglibyśmy przekonać

Verikoffa, by zgodził się zrobić to, czego zażądamy. JEVEX już zna Verikoffa. Nie miałby powodu czegokolwiek podejrzewać.

Dziesięć minut później opuścili gabinet i zeszli piętro niżej do pokoju, przed którym stało dwóch uzbrojonych strażników. W środku znajdowali się Verikoff oraz dwaj inni oficerowie Sobroskina. Na prośbę Sobroskina Verikoff naszkicował plan domu Sverenssena na ściennym ekranie i wskazał położenie pokoju telekomunikacyjnego oraz drzwi prowadzące do interesującego ich skrzydła, a także opisał systemy zabezpieczenia budynku.

– Jaka jest twoja opinia? – zapytał Pacey Lyn, kiedy Verikoff skończył.

– Stuprocentowa dokładność. Właśnie tak to wygląda.

– Zdaje się, że mówi prawdę – stwierdził Packard z zadowoleniem. – Wszystko, co powiedział Sobroskinowi, zgadza się ze słowami Vica Hunta. Myślę, że możemy mu zaufać.

Oczy Verikoffa rozszerzyły się ze zdumienia. Wskazał ręką na wykonany przez siebie szkic, a potem na Lyn.

– Ona już to zna? Jak to możliwe? Skąd mogła dowiedzieć się o perceptronie?

– Zbyt długo by wyjaśniać – odrzekł Sobroskin. – Proszę nam powiedzieć, jakie czujniki ma JEVEX w całym domu. Czy znajdują się we wszystkich pokojach, na zewnątrz, w pokoju telekomunikacyjnym?

– Tylko w pokoju telekomunikacyjnym – odpowiedział Verikoff. Rozglądał się na boki, nic nie rozumiejąc.

– Więc JEVEX nie wie, co dzieje się w pozostałej części domu – stwierdził Sobroskin.

Verikoff potrząsnął głową.

– Nie wie.

– A co ze zwykłymi urządzeniami alarmowymi wokół posesji? – zapytał Pacey. – Czy można przedostać się przez mury lub ogrodzenia tak, by nie zostać zauważonym?

– Wszędzie założona jest instalacja alarmowa – odparł Verikoff. Kiedy zdał sobie sprawę, co oznacza to pytanie, na jego twarzy pojawił się niepokój. – Z całą pewnością każdy intruz zostałby wykryty.

– Czy dom objęty jest jawlenejskimi obserwacjami orbitalnymi? – zapytał Hunt. – Czy można na niego napaść tak, by nikt się o tym nie dowiedział?

– O ile wiem, sprawdzany jest tylko od czasu do czasu, a nie w sposób ciągły.

– Jak często?

– Nie wiem.

– A co ze służbą domową Sverenssena? – zapytała Lyn. – Czy również są Jewlenami, czy wynajęto ich w okolicy? Ile wiedzą?

– Wszyscy są jawlenejskimi strażnikami... specjalnie dobranymi.

– Ilu ich jest? – dociekał Sobroskin. – Czy są uzbrojeni? Jaką mają broń?

– Dziesięciu. W domu przebywa zawsze co najmniej sześciu. Przez cały czas są uzbrojeni. W konwencjonalną ziemską broń palną.

Packard spojrzął na obecnych. Wszyscy kolejno odpowiedzieli mu skinieniem.

– Wygląda na to, że mamy szansę – powiedział. – Czas sprowadzić zawodowców i przekonać się, co o tym sądzą.

Verikoff nagle zrozumiał.

– Co to za historia z napadem? – zapytał. – Chcecie się tam dostać?

– Chcemy się tam dostać – potwierdził Sobroskin.

Verikoff zaczął protestować, ale umilkł, kiedy zobaczył groźbę w oczach Sobroskina. Zwilżył wargi i skinął głową.

– Czego oczekujecie ode mnie?

Godzinę później transportowiec VTOL przewiózł całe towarzystwo za Potomac do bazy wojskowej w Fort Myer. Przywitał ich tam pułkownik Shearer, który dowodził oddziałem antyterrorystycznym Sił Specjalnych, już wcześniej postawionym w stan gotowości. Odprawa trwała do wczesnych godzin rannych. Na wschodzie pojawiły się pierwsze promienie szarego światła świtu, kiedy samolot Sił Powietrznych wystartował z Fort Myer i skierował się wzdłuż wybrzeża w stronę Nowej Anglii. Niecałe trzydzieści minut później wylądował cicho na leżącym na uboczu lotnisku magazynów wojskowych, pośród porośniętych lasami wzgórz, trzydzieści pięć kilometrów od Stanford w stanie Connecticut.

## Rozdział trzydziesty drugi

Jewlenowie nadal byli podłączeni do ziemskiej sieci telekomunikacyjnej. Ziemia o tym wiedziała, a Jewlenowie wiedzieli, że Ziemia wie. Dlatego też – argumentował Caldwell – Jewlenowie mogli się spodziewać, że rozmowy między ziemskimi rządami będą zaszyfrowane w sposób uważany powszechnie za niezawodny. W przeciwnym razie nabraliby podejrzeń. Jeśli jednak kody były rzeczywiście nie do złamania, podsuwanie zaszyfrowanych informacji JEVEXOWI miałyoby się z celem, gdyby nie mógł ich odczytać.

Na prośbę Caldwell naukowcy z McClusky wysłali za pośrednictwem perceptronu kody używane obecnie na Ziemi do ściśle tajnych połączeń. VISAR przestudiował je i oznajmił, że JEVEX nie będzie miał problemów. Naukowcy pozostali sceptyczni. VISAR zaproponował im, by jako test ułożyli, zakodowali i przesłali jakąś wiadomość. Tak też zrobili. VISAR odesłał ją z powrotem niecałą minutę później, napisaną otwartym tekstem. Zdumieni naukowcy stwierdzili, że jeszcze wiele muszą się nauczyć o algorytmach. Wniosek był jednak zadowalający: według wszelkiego prawdopodobieństwa JEVEX powinien dojść do przekonania, że podsłuchuje niezwyklej wagi tajne rozmowy Ziemian.

Od tej chwili VISAR zajął się tworzeniem nowej wersji historii Ziemi z ostatnich kilku dekad, według której mocarstwa nie rozbroiły się, lecz niesłychanie rozbudowały swoje wojska. Kończyła się ona relacją z tajnego spotkania ziemskich przywódców i pośpiesznie zawartego porozumienia o połączeniu sił w celu uderzenia na Jewlen, w czym mieli pomóc Thurienowie, transportując wojska. Ostatnia scena, którą właśnie oglądano w centrum rządowym w Thurios, ukazywała telekonferencję kilku starszych oficerów biorących udział w planowaniu całej operacji, połączoną z wstępną odprawą dla ich sztabów. Rozpoczął ją generał Gearvey, przedstawiony przez VISARA jako najwyższy amerykański dowódca.

– Wkrótce nawiążemy kontakt bojowy z wrogiem, którego technika bez porównania przewyższa naszą. Nie znamy również jego sił ani możliwości odwetowych. Na naszą korzyść działają jednak dwa czynniki: czas i przygotowanie. Jesteśmy w stanie ruszyć już teraz, podczas gdy nasz przeciwnik, jak zapewnia wywiad, nie jest jeszcze gotowy. Nasza strategia polega więc na wykorzystaniu w pełni tych czynników. Zrezygnujemy z



drobiazgowego planowania i zdamy się na inicjatywę poszczególnych dowódców, aby szybko i całkowicie zniszczyć wroga jednym zaskakującym, błyskawicznym, totalnym uderzeniem. Nie czas teraz zastanawiać się nad moralnymi aspektami sprawy. Możemy nie mieć drugiej szansy.

Rosyjski generał pochylił się do przodu i podjął wątek.

– Pierwsza faza ataku oznaczona jest kryptonimem OXBOW. Piętnaście miotaczy promieniowania o dużym zasięgu, umieszczonych w odległości miliona kilometrów, pod osłoną niszczycieli i taktycznych jednostek bezpośredniego wsparcia rozpocznie bombardowanie wybranych celów na Jewlen. Dodatkowe pięć miotaczy będzie czekało w rezerwie w odległości dziesięciu milionów kilometrów. Celem ataku jest zaangażowanie sił defensywnych wroga i rozpoczęcie działań wokół samej planety.

Następnie zabrał głos dowódca europejskich wojsk lotniczych.

– Faza BANSHEE rozpocznie się od oczyszczenia przestrzeni wokół Jewlen z jednostek wroga. Bezpośrednio potem nastąpi szybkie rozwinięcie mieszanych orbitalnych sił uderzeniowych w celu zlikwidowania głównych wojskowych instalacji naziemnych oraz wykrytych koncentracji oddziałów. Siły pomocnicze z zadaniem dyslokacji obrony zajmą się skupiskami ludzkimi i centrami administracyjnymi. Mają wywołać panikę i przerwać łączność. Jednocześnie operujące na niższej wysokości jednostki przechwytyjące i satelity bojowe będą walczyły w jewlenejskiej przestrzeni kosmicznej przy wsparciu taktycznych grup operacyjnych, działających w charakterze sił przeciwuderzeniowych. Naszym celem jest opanowanie przestrzeni wokółplanetarnej w ciągu dwunastu godzin od rozpoczęcia ataku. Pomyślnie zakończenie tej fazy operacji nosi kryptonim CLAYMORE.

Jako ostatni wypowiedział się chiński generał.

– Hasło CLAYMORE będzie oznaczało dogodne warunki do zdobycia przyczółków na powierzchni. Tę fazę nazwano DRAGON. Pierwszy desant wykonają zdalnie sterowane lądowiki-pułapki, a ich zadaniem będzie zidentyfikowanie ocalałych instalacji obronnych. Do zniszczenia tych celów przystąpią wtedy orbitalne jednostki bombardujące, trzymane w odwodzie. Pozostałe oddziały orbitalne przegrupują się i zapewnią bezpośrednie wsparcie ogniowe kolejnym desantom, a oddziały z transportowców przystąpią do akcji. Kiedy korytarze desantowe zostaną oczyszczone, siły naziemne wylądują w dwunastu strategicznych punktach. Dowódcy poszczególnych przyczółków opracowują właśnie szczegóły tej operacji. Przez cały czas kontynuowane będzie strategiczne bombardowanie z dużej odległości, by nie dopuścić do koncentracji obrony w rejonach lądowania.

– Na tym zakończmy przegląd sytuacji – powiedział Gearvey. – Wkrótce otrzymacie, panowie, poszczególne zadania, czasy i hasła. Proszę zachować gotowość.

– Co o tym sądzicie? – zapytał Caldwell, kiedy obraz zniknął.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Heller. – To z pewnością śmiertelnie by mnie wystraszyło.

– Przeróżające – oświadczył Calazar. – Bardzo dobrze, że nie poleciliście *Shapieronem*. Nigdy nie wymyślilibyśmy czegoś takiego.

Danchecker nie wyglądał na całkiem zadowolonego.

– Brakuje tu klimatu rychłego zagrożenia, który chcieliśmy przekazać – oznajmił. – Nie wymienia się konkretnych dat.

– Zrobiłem to celowo – powiedział Caldwell. – Jeśli chcemy być wiarygodni, musimy dać ziemskim statkom kilka miesięcy na opuszczenie Układu Słonecznego. Wydawało mi się, że najlepiej będzie zachować element niepewności. Czy jest inny sposób?

– Nie wiem, ale to mi się nie podoba – stwierdził Danchecker.

Nikt nie odzywał się przez parę sekund, w końcu Morizal powiedział:

– Cóż, Thurienowie mogli otworzyć bramy na skraju Układu Słonecznego, mogą też zrobić krok dalej i wyposażać ziemskie statki w pomocnicze hipergeneratory, które pozwolą na pokonanie Układu w ciągu jednego dnia.

– Całą flotę? – zapytała Heller powątpiewająco. – Czy całą flotę można by tak szybko wyposażać?

– Teoretycznie tak – odparł Morizal. – To całkiem proste zadanie. Przy wydatnej pomocy ganimedejskich inżynierów byłoby to wykonalne.

– I co ty na to? – zapytał Caldwell, patrząc na Dancheckera.

– Tego mniej więcej oczekujemy – zgodził się Danchecker, kiwając głową.

– Chyba zmienię ostatni fragment – zaproponował VISAR.

Ponownie pojawił się obraz generała Gearveya kończącego odprawę.

– Na tym zakończymy przegląd sytuacji – powiedział. – Nie ma większych zmian w planie. Thurienowie montują obecnie generatory i pierwsze jednostki szturmowe zaczną w terminie opuszczać Ziemię, czyli jeszcze dzisiaj. Wszystko wskazuje na to, że tak jak planowano, cała flota zbierze się na skraju układu planetarnego wroga za trzy dni. Następnie wejdzie w nadprzestrzeń, przyspieszy, wróci do normalnej przestrzeni i dotrze do Jewlen w ciągu dwudziestu dwóch godzin. A zatem akcja powinna rozpocząć się za cztery dni. Powodzenia. Wkrótce otrzymacie poszczególne zadania, czasy i hasła. Proszę zachować gotowość.

Obraz zniknął.

– Doskonale – mruknął Danchecker.

– Teraz muszę opracować dane obserwacyjne z Ziemi, które to potwierdzą – powiedział VISAR. – Ale najpierw potrzebuję pewnych informacji na temat współczesnego ziemskiego sprzętu wojskowego i instalacji militarnych. Możecie przesłać je przez McClusky?

– Połącz mnie – zażądał Caldwell. – Zaraz się tym zajmę. – Przez chwilę wpatrywał się ponuro w kolejny przywołany przez VISARA obraz, który przedstawiał jewlenejskie statki wojenne, ustawione w szyku wokół Thurien.

– Jakież wieści o *Shapieronie*? – zapytał.

– Żadnych – odpowiedział VISAR. Jego ton był obojętny.

Na wprost Caldwell'a pojawił się w powietrzu obraz kontrolera z McClusky. Caldwell odwrócił wzrok od widoku jwlenejskiego zagrożenia i zajął się swoim zadaniem.

## Rozdział trzydziesty trzeci

– Do diabła! Do diabła! – Niels Sverenssen z furią uderzył w klawiaturę, a potem w wierzch urządzenia, ale ekran pozostał ciemny. Odwrócił się i pomaszerował rozwścieczony do głównego salonu w kształcie litery L.

– Vickers! – zawołał. – Gdzie jesteś, na litość boską? Ci przekłęci ludzie od datafonów już tu powinni być.

Vickers, mocno zbudowany, krępy szef służby domowej Sverenssena, pojawił się w jednym z korytarzy.

– Wróciłem dopiero dziesięć minut temu. Powiedzieli, że zaraz tu będą.

– Więc dlaczego ich jeszcze nie ma? – zapytał zirytowany Sverenssen. – Muszę przeprowadzić parę pilnych rozmów. Natychmiast trzeba to naprawić.

Vickers wzruszył ramionami.

– Już im to mówiłem. Co jeszcze mogę zrobić? Sverenssen zaczął pocierać dłonią zaciśniętą pięść i chodzić tam i z powrotem, rzucając pod nosem przekleństwa.

– Dlaczego podobne rzeczy zawsze zdarzają się w takich chwilach? Ci błażni nie potrafią zadbać o sprawność sieci telekomunikacyjnej! To nie do zniesienia!

Od strony okna dobiegł słaby szum nadlatującego pojazdu powietrznego. Vickers nasłuchiwał przez parę sekund, a potem podszedł do przeszklonej ściany i wyjrzał.

– To taksówka – rzucił przez ramię – podchodzi do lądowania.

Usłyszeli, jak taksówka ląduje po drugiej stronie domu na frontowym podjeździe. Wkrótce rozległ się dźwięk dzwonka, a po nim kroki jednej z pokojówek, śpieszącej do drzwi. Sverenssen usłyszał pomieszane kobiece głosy i chwilę później pokojówka wprowadziła uśmiechniętą Lyn Garland. Sverenssen otworzył usta ze zdumienia.

– Niels! – zawołała. – Próbowałam do ciebie zatelefonować, ale chyba masz uszkodzoną linię. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli się zjawię. Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałeś. I chyba masz rację. Doszłam do wniosku, że moglibyśmy to naprawić.

Mówiąc to, przez cały czas niedbale trzymała rękę na torebce przewieszanej przez ramię. Sverenssen akurat nie przebywał w pokoju łącznościowym, a taki właśnie warunek postawił pułkownik Shearer. Lyn odszukała palcem guzik ukryty w zapięciu torebki i nacisnęła trzy razy.

– Och, nie teraz! – jęknął Sverenssen. – Powinnaś być mądrzejsza i nie zaskakiwać mnie w ten sposób. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem i mam wiele spraw do załatwienia. A zresztą wyraziłem się dość jasno przy naszym ostatnim, niezbyt miłym, spotkaniu. Do widzenia. Vickers, zaprowadź pannę Garland do taksówki.

– Tędy proszę – powiedział Vickers, robiąc krok do przodu i wskazując głową w kierunku drzwi.

– Ale przecież sam to powiedziałeś. – Lyn zignorowała Vickersa i popatrzyła na Sverenssena. – Wyraziłeś się jasno. Byłam taka głupia. Ale miałam okazję to przemyśleć i...

– Wyrzuć ją stąd – huknął Sverenssen, odwracając się. – Nie mam czasu na wysłuchiwanie głupiej, babskiej paplaniny.

Vickers chwycił Lyn pod ramię i poprowadził korytarzem w stronę frontowych drzwi, podczas gdy pokojówka pobiegła przodem, żeby je otworzyć. Taksówka jeszcze czekała. Kiedy znaleźli się przy drzwiach, wóz naprawczy z firmy Southern New England Dataphones zatoczył koło na podjeździe i podjechał pod dom, zatrzymując się tak blisko taksówki, że zahaczył ją przymocowaną z boku drabinką. Taksówkarz odkręcił szybę, wychylił się i wrzasnął w stronę ciężarówki.

– Hej, dupku! Kto cię uczył tym jeździć? Jak mam teraz, do choroby, stąd wyjechać?

Z przodu ciężarówki wyskoczyło dwóch mężczyzn, a jeden z tyłu. Silnik zaskoczył na chwilę, potem zdławił się i zgasł.

– Mam kłopoty – krzyknął głos przez otwarte okno ciężarówki. – Drugi raz to samo od wyjazdu z firmy.

– To zrób coś z tym, dobra? Muszę zarabiać na życie.

Vickers puścił ramię Lyn i rzucił pod nosem parę przekleństw. W całym tym zamieszaniu na podjeździe ani on, ani pokojówka nie zauważyli jak Lyn zawraca w głąb holu.

– Cofnij się, na litość boską. O co chodzi? Nie wiesz, jak się cofa taksówkę?

– Jak mam cofnąć? Nie widzisz, co stoi za mną? Potrzebujesz okularów, czy co?

Z tyłu ciężarówki wysiadł następny technik. Było ich więcej niż potrzeba do wykonania drobnej naprawy, ale Vickers i pokojówka nie zarejestrowali tego faktu, zbyt zajęci sprzeczką. Nie usłyszeli również coraz głośniejszego dźwięku silników nad wierzchołkami drzew otaczających podjazd.

Kiedy Lyn pojawiła się w salonie, Sverenssen znajdował się po przeciwnej stronie i wyglądał przez okno, gdyż nagły odgłos silników zalał cały dom; zdawał się dobiegać ze wszystkich kierunków. W tej samej chwili ukazały się dwa wojskowe szturmowce, które wylądowały na tarasie obok basenu, i ze środka wysypały się postacie ubrane w mundury

khaki. W górnej części domu rozległy się wybuchy i brzęk tłuczonego szkła. Postacie wpadające do holu przewróciły Vickersa i pokojówkę, a potem kłęby dymy, wzniecone przez następne wybuchy, przesłoniły widok.

Lyn wyszarpnęła z torebki maskę gazową, nałożyła ją na twarz, przymocowując z tyłu głowy, akurat kiedy przez okna na parterze posypały się granaty ogłuszające i ładunki z gazem łzawiącym. Zewsząd dobiegały detonacje przerywane okrzykami, łomotem rozbijanych drzwi, odgłosami rozpryskującego się szkła i pojedynczymi wystrzałami. Jeden z domowników pojawił się w korytarzu prowadzącym w kierunku głównych schodów, gwałtownie gestykułując i pokazując za siebie.

– Są na dachu! Żołnierze wchodzą przez dach! Są... – Reszta utonęła w huku eksplozji, a postać zniknęła w kłębach dymu i gazu.

Sverenssen odskoczył od okna na środek pokoju i Lyn zobaczyła, jak zaczyna trzeć oczy i stara się zorientować w sytuacji. Cokolwiek się działo, nie mógł w żadnym razie dostać się teraz do pokoju łączności. Lyn zaczęła ostrożnie posuwać się wzdłuż ściany, żeby znaleźć się na drodze do korytarza prowadzącego do skrzydła biurowego. Sverenssen dostrzegł przez dym jakiś ruch i postąpił w tamtym kierunku.

– To ty!

Wykrzywił się z wściekłości, kiedy rozpoznał Lyn. Strumyki potu spływające po osmalonej od dymu twarzy jeszcze bardziej upodabniały ją do groteskowej maski. Serce podskoczyło Lyn do gardła. Cofnęła się, ale nadal posuwała w stronę korytarza. Na wprost niej majaczyła przez dym postać Sverenssena.

I wtedy z głębi domu, od strony pokoi gościnnych, dobiegły wojskowe komendy. Sverenssen rzucił przez ramię spojrzenie w tył i zawahał się. Niewyraźne postacie posuwały się korytarzem obok kuchni, a w części domu wychodzącej na basen również widać było jakiś ruch. Sverenssen zmienił kierunek i popędził w stronę skrzydła biurowego. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Lyn chwyciła wiklinowe krzesło i pchnęła mu pod nogi. Sverenssen runął jak długi na podłogę i uderzył głową w ścianę.

Przez dym Lyn dostrzegła, że Sverenssen się rusza. Rozejrzała się wokół rozpaczliwie, złapała duży wazon ze stolika, przełknęła ślinę, starając się opanować drżenie rąk, i zmusiła się, by podejść bliżej.

Sverenssen usiadł, trzymając się ręką za głowę. Pomiedzy palcami ciekła mu strużka krwi. Podciągnął stopę pod siebie, oparł się drugą ręką o ścianę i próbował wstać. Lyn obiema rękami uniosła wazon nad głowę. Ale pod Sverenssenem ugięły się nogi. Zachwiał się, jęknął i upadł. Lyn stała jak sparaliżowana w tej samej pozycji, kiedy pierwsze uzbrojone postacie w maskach gazowych i polowych mundurach zmaterializowały się obok niej. Jedna z nich łagodnie wyjęła jej wazon z rąk.

– Zajmiemy się nim – powiedział gruby głos. – Wszystko w porządku?

Skinęła głową. Dwóch komandosów podniosło Sverenssena.

– Niezłe przedstawienie – skomentował za nią jakiś głos z angielskim akcentem. – Gdybyś trochę poćwiczyła, mogłabyś dostać pracę w S.A.S.

Obejrzała się i zobaczyła, że Hunt przygląda się jej z aprobatą. Obok niego stał Shearer. Hunt podszedł do niej i objął uspokajająco. Położyła mu głowę na ramieniu i przytuliła się mocno. Teraz kiedy napięcie ją opuściło, zaczęła drżeć. Rozmowy mogły poczekać.

Wokół nich ucichły hałasy, a kiedy opadł dym, ukazała się służba Sverenssena, stłoczona w rogu pokoju. Przeszukano wszystkich, odebrano broń i zamknięto w aneksie gościnnym. Kiedy komandosi zdjęli maski gazowe, na pobojuwisko wkroczyła grupa amerykańskich i rosyjskich oficerów. Towarzyszyli im mężczyźni w cywilnych ubraniach pod polowymi kurtkami. Na ich widok Sverenssen wytrzeszczył oczy.

– Cześć – powiedział Norman Pacey z nutą satysfakcji w głosie. – Pamięta nas pan?

– Dla pana wojna się skończyła, przyjacielu – poinformował go Sobroskin. – Prawdę mówiąc, wszystko się skończyło. Szkoda, że Bruno nie odpowiadało pańskim wymaganiom. Jest tam luksusowo w porównaniu z miejscem, do którego się pan udaje.

Sverenssen wykrzywił się z gniewu, ale nadal był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

Przez pokój przeszedł sierżant, zasalutował i zameldował Shearerowi.

– Żadnych strat, sir. Tylko skaleczenia i zadrapania, przeważnie u drugiej strony. Nikt nie uciekł. Dom jest otoczony.

Shearer skinął głową.

– Zabierzcie ich stąd zaraz. Niech maszyny odlecą, zanim wykryje je system obserwacyjny. Gdzie jest Verikoff i ludzie z CIA?

Kiedy to mówił, do pokoju weszła kolejna grupa. Sverenssen obejrzał się na dźwięk nazwiska i otworzył usta. Verikoff zatrzymał się kilka kroków od niego i popatrzył wyzywająco.

– A więc to ty... – syknął Sverenssen. – Ty... zdrajco!

Rzucił się do przodu, ale zaraz zgiął się wóół po ciosie zadany kolbą karabinu w splot słoneczny. Osunął się, ale podtrzymało go dwóch żołnierzy.

– Przez cały czas nosi przy sobie klucz do tamtego pokoju – powiedział Verikoff. – Powinien wisieć mu na szyi.

Shearer rozerwał przód koszuli Sverenssena, znalazł klucz, zdjął go i podał Verikoffowi.

– Zapłaci pan za to nieludzkie traktowanie, pułkowniku – wycharczał Sverenssen. – Niech pan zapamięta moje słowa. Niszczyłem większych ludzi niż pan.

– Nieludzkie traktowanie? – Shearer przechylił kpiarsko głowę. – Wiecie, o czym on mówi, sierżancie?

– Nie mam pojęcia, sir.

– Czy coś widzieliście?

– Nic nie widziałem, sir.

– Jak sądzicie, dlaczego ten człowiek trzyma się za żołądek?

– Prawdopodobnie niestrawność, sir.

Kiedy Sverenssena dołączono do jego służby, Shearer zwrócił się do Clifforda Bensa.

– Zabieram natychmiast moich ludzi. Zostawię tylko dziesięciu do ochrony domu. Sądzę, że może już pan przejąć sprawę.

– Wykonał pan dobrą robotę, pułkowniku – pochwalił go Benson. Odwrócił się do pozostałych. – Cóż, czas jest cenny. Bierzmy się do pracy.

Odsunęli się, żeby przepuścić Verikoffa, który poprowadził ich do skrzydła służbowego. Na końcu korytarza zatrzymał się przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

– Nie jestem pewien, dokąd sięga pole widzialności JEVEXA – powiedział. – Lepiej zostańcie tutaj. – Wszyscy zbili się w małą gromadkę z Hunterem, Sobroskinem, Lyn, Bensonem i Paceyem na czele. – Potrzebuję minuty, żeby doprowadzić się do porządku – oświadczył Verikoff. Czekali, podczas gdy on strzepnął z ubrania kilka pyłków sadzy, przygładził włosy i wytarł twarz chusteczką. – Czy wyglądam normalnie? – zapytał.

– Świetnie – odparł Hunt.

Verikoff skinął głową, odwrócił się do drzwi, włożył klucz i przekręcił. Wziął głęboki oddech, chwycił klamkę i otworzył drzwi. Ujrzeni w przelocie skomplikowane tablice przyrządów i szereg lśniących urządzeń, a potem Verikoff zniknął w środku.



## Rozdział trzydziesty czwarty

Napięcie na pokładzie nawigacyjnym *Shapierona* wyczuwało się w powietrzu od wielu dni. Eesyana stał pośrodku pomieszczenia, wpatrując się w główny ekran, na którym widniała rozległa sieć połączonych ze sobą ramek oznaczonych symbolami. Przedstawiała schemat JEVEXA, pracowicie ułożony przez ZORACA, który przeprowadzał statystyczną analizę odpowiedzi na wysyłane przez siebie próbne sygnały. Na razie jednak nie zdołał dotrzeć do rdzenia systemu, a musiał to zrobić, jeśli chciał przerwać blokadę. Program samokontrolny JEVEXA za każdym razem wykrywał te próby i udaremniał je, uruchamiając procedury korekcyjne. Należało podjąć decyzję, jak długo jeszcze ZORAC ma ponawiać próby, zanim nagromadzone w pamięci JEVEXA dane z kontroli diagnostycznych zaalarmują go, że dzieje się coś nienormalnego. Opinie były podzielone. Naukowcy Eesyana chcieli odwołać operację, a Garuth i jego załoga dalej ryzykować, co Eesyanaowi coraz bardziej wyglądało na samobójczą pasję.

– Po raz trzeci zapytano sondę trzy o dyrektywę funkcjonalną – oznajmił jeden z naukowców. – Analiza nagłówka wykazuje, że znowu uruchomiliśmy program blokujący. – Spojrzał na Eesyana i potrząsnął głową. – To zbyt niebezpieczne. Musimy zaprzestać próbnikowania na tym kanale.

– Poziom aktywności odpowiada nowemu zestawowi wykonawczych instrukcji diagnostycznych – zawołał inny informatyk. – Włączył się program lokalizowania niesprawnych elementów systemu.

– Musimy wyłączyć trójkę – oświadczył jeszcze inny, który stał obok Eesyana. – Zbyt narażamy się narażamy.

Eesyana wpatrywał się ponuro w główny ekran, na którym zbiór symboli mnemoniczych potwierdzał to ostrzeżenie.

– Jakie jest twoje zdanie, ZORAC?

– Zawiesiłem priorytet wywoławczy, ale nadal pojawiają się wskaźniki awarii. Jest ciężko, ale zbliżyliśmy się do celu. Mogę spróbować jeszcze raz albo wycofać się i zaprzepaścić szansę. To zależy od was.

Eesyany spojrzeli w kierunku Garutha, Shilohin i Monchara. Garuth zacisnął usta i prawie niezauważalnie skinął głową. Eesyany wziął głęboki oddech.

– Spróbuj, ZORAC – rozkazał.

W pokoju nawigacyjnym zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się ku dużemu ekranowi.

W ciągu następnej sekundy miliony bitów informacji przepłynęły między ZORAKIEM a jewirejskim przekaźnikiem telekomunikacyjnym, wiszącym daleko w przestrzeni kosmicznej. Następnie na schemacie pojawił się szereg nowych ramek. Jasnoczerwone tło, na którym widniały symbole, zablęzło. Jeden z naukowców jęknął przerażony.

– Stan alarmowy – zameldował ZORAC. – Włączył się główny program nadzorczy. Myślę, że właśnie go uruchomiliśmy.

To oznaczało, że JEVEX już o nich wie.

Eesyany wbił spojrzenie w podłogę. Nie było nic do powiedzenia. Garuth w oszołomieniu potrząsał głową, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co się stało. Shilohin przysunęła się i położyła mu rękę na ramieniu.

– Staraleś się – powiedziała spokojnie. – Musiałeś próbować. To była jedyna szansa.

Garuth rozejrzył się wokół siebie, jakby dopiero co się obudził.

– Co ja sobie wyobrazałem – szepnął. – Nie miałem prawa tego robić.

– Należało to zrobić – zapewniła go Shilohin.

– Dwa obiekty w odległości stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Zbliżają się bardzo szybko – oznajmił ZORAC. – Prawdopodobnie zamierzają sprawdzić ten rejon.

Sytuacja była poważna. Ekran osłaniający *Shapierona* nie spełniłby swego zadania przy bliskiej odległości.

– Ile czasu minie, zanim zarejestrują nas ich instrumenty? – zapytał Eesyany ochryple.

– Najwyżej kilka minut – odpowiedział ZORAC.

W jewirejskiej sali narad wojennych Imares Broghuilio patrzył na monitor ukazujący jego oddziały specjalne, które zajmowały pozycje wokół Thurien. Chociaż statki znajdowały się w obszarze kontrolowanym przez VISARA, superkomputer nie zakłócał ich łączności z Jewlen. Bez wątpienia Thurienowie domyślili się, że jewirejskie wojska mają rozkaz rozpoczęcia działań ofensywnych, gdyby próbowano w jakikolwiek sposób im przeszkodzić. A przynajmniej woleli nie ryzykować. Właśnie takiej reakcji spodziewał się po bojaźliwej i przesadnie ostrożnej rasie. Jeszcze raz jego instynkt okazał się niezawodny. A Thurienowie jeszcze raz udowodnili, że nie mają czego przeciwstawić sile, potędze woli i stalowym nerwom. Ogarnęło go uczucie głębokiej satysfakcji, kiedy uświadomił sobie, że wszystko przebiega tak, jak zaplanował.

Gdyby odpowiedź nie nadeszła w wyznaczonym terminie, następnym etapem planu było wybranie nie zamieszkałych regionów Thurien i zniszczenie ich na dowód, że ultimatum to

nie żarty. Termin właśnie mijał i adiutanci Broghuilio oczekiwali na reakcję w coraz większym napięciu.

– Raport o obecnym stanie floty – polecił sucho.

– Bez zmian – odpowiedział JEVEX. – Eskadra bombardująca czeka w pogotowiu na rozkazy. Wiązki wycelowane w wybrane obszary. Współrzędne celów zaprogramowane.

Broghuilio rozejrzał się po kręgu generałów, by nacieszyć się chwilą. Już miał wydać kolejny rozkaz, kiedy znowu odezwał się JE VEX.

– Muszę panu przerwać, ekscelencjo. Właśnie mamy połączenie z Ziemią. Sprawa najwyższej wagi. Potrzebna jest natychmiastowa pańska odpowiedź.

Uśmiech zniknął z twarzy Broghuilio.

– Nie mam o czym rozmawiać ze Sverenssenem. Dostał instrukcje. Czego jeszcze chce?

– To nie Sverenssen, ekscelencjo. To Verikoff.

Broghuilio wykrzywił twarz w grymasie złości.

– Verikoff? Jaką tym razem ma sprawę? Powinien zająć się sytuacją w Rosji. Jak on śmie w ten sposób omijać protokół?

JEVEX wahał się przez chwilę.

– On... mówi, że musi panu osobiście przekazać pewne ultimatum, ekscelencjo.

Broghuilio wyglądał, jakby nagle otrzymał cios pięścią prosto w nos. Stał bez ruchu przez kilka sekund, a jego twarz powoli nabierała koloru purpury, od kołnierzyka aż po nasadę włosów. Generałowie wokół niego wymieniali zaszokowane, nic nie rozumiejące spojrzenia. Broghuilio zwilżył wargi, zaciskając i otwierając pięści.

– Daj go tu – ryknął. – I nie rozłączaj, dopóki ci nie powiem.

– Żałuję, ale to niemożliwe, ekscelencjo – odparł JEVEX. – Verikoff nie jest podłączony do naszego systemu. Mam z nim tylko kontakt audiowizualny.

Ekran na ścianie ożył, ukazując Verikoffa, który stał pośrodku pokoju Sverenssena. Najwyraźniej miał na tyle rozsądku, że nie położył się w fotelu, częściowo widocznym w tle. Coś musiało się wydarzyć, skoro wszedł do tego pomieszczenia. Stał z założonymi na piersi ramionami i patrzył na nich z ekranu spokojnie i pewnie.

– Oto nasz operetkowy dygnitarz wojenny – zaczął z pogardliwym uśmieszkiem. – Nie powinien nas pan być wysyłać na Ziemię, Broghuilio. Mieliśmy zaszczyt poznać prawdziwych wojowników. Proszę mi wierzyć, byłby pan jeszcze większym głupcem, niż jest, gdyby pan wystawił swoją hałastrę amatorów przeciwko Ziemianom. Jeśli pan to zrobi, zniszczą was. To właśnie miałem do przekazania.

Oczy Broghuilio rozszerzyły się. Żyły na skroniach nabrzmiały.

– To ty jesteś zdrajcą! – krzyknął. – Robactwo wreszcie wyszło z ukrycia. Co to za ultimatum?

– Zdrajca? Nie. – Verikoff pozostał nieporuszony. – To tylko kwestia oceny szans na zwycięstwo, co zresztą jest pańską maksymą. Wysłał nas pan na Ziemię, żebyśmy przejęli

nad nią kontrolę, i dzięki za to, ale na pana nieszczęście stawia nas to po stronie wygrywających. Jak pan sądzi, kim lepiej być: stróżem odległej placówki pańskiego imperium czy samodzielny władca? Odpowiedź nie powinna być trudna.

– Co rozumiesz przez „my”? – zapytał Broghuilio. – Ilu za tym stoi?

– Oczywiście wszyscy. Manipulujemy rządami największych narodów i dlatego mamy kontrolę nad ich siłami zbrojnymi. I od dawna współdziałamy z Thurienami. W jaki inny sposób mogli nawiązać kontakt z Ziemianami, tak że się nie zorientowaliście? Wiedzą, że to wy stanowicie zagrożenie dla Galaktyki, a my ich przekonaliśmy, by zostawili nam wolną rękę w rozprawie z wami. Tak więc panujemy nad doskonale uzbrojoną planetą, wspartą przez thurieńską technikę. Już po wszystkim, Broghuilio. Teraz możesz tylko uratować własną skórę.

Hunt, stojący niedaleko Verikoffa za otwartymi drzwiami, odwrócił się do Lyn z zaskoczoną miną i szepnął jej do ucha.

– Nie sądziłem, że ma taki talent. Ten facet zasługuje na Oscara.

Sobroskin również wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym uszom. Aż opuścił automat, który trzymał wycelowany w Verikoffa.

Broghuilio był zdezorientowany.

– Siły zbrojne? Jakie siły zbrojne? Ziemia nie ma żadnych strategicznych sił.

W tym momencie wtrącił się JEVEX.

– Mamy stan alarmowy w sektorze piątym. Jakiś nie zidentyfikowany obiekt próbuje dostać się do sieci. Wysłano dwa niszczyciele w celu rozpoznania.

– Nie zawracaj mi teraz głowy takimi rzeczami – rozżościł się Broghuilio i niecierpliwie machnął ręką. – Zwróć się do kontroli sektora i złóż później raport. – Spojrzał z powrotem na Verikoffa. – Ziemia zdemilitaryzowała się wiele lat temu.

– Tak pan sądzi? – Verikoff otwarcie szydził. – Biedny głupiec. Chyba nie wyobraża pan sobie, że pozwolilibyśmy Ziemi rozbroić się, wiedząc, iż nadejdzie ten dzień? To była historyjka na wasz użytek. Jak na ironię omal nie stała się prawdą. Bardzo to rozbawiło Thurienów.

Broghuilio w dalszym ciągu nic nie mógł zrozumieć.

– Ziemia rozbroiła się – powtórzył. – Nasze obserwacje... JEVEX pokazywał nam...

– JEVEX! – powiedział drwiąco Verikoff. – VISAR przez całe lata karmił go bajkami. – Jego twarz przybrała twardy i groźny wyraz. – Posłuchaj mnie, Broghuilio, gdyż nie mam ochoty się powtarzać. Ten pokaz siły na Thurien to zbyt wiele. Ganimedejczycy przekonali się, co sobą reprezentujecie, i nie zamierzają nas powstrzymywać mimo swoich przekonań. Oto więc nasze ultimatum: albo wycofacie się natychmiast z Thurien i bezwarunkowo oddacie całe swoje dowództwo wojskowe pod naszą jurysdykcję, albo Thurienowie przeniosą na Jewlen połączone ziemskie siły, które rozniosą was w pył... was, waszą planetę i tę śmiechu wartą kupę złomu, którą nazywacie siecią komputerową.

We wnętrzu JEVEXA nastąpiło jakby zwarcie. Miliony wykonywanych zadań zostało nagle przerwanych, a z najwyższych poziomów operacyjnych rdzenia nadeszły polecenia, by zmienić strukturę priorytetów i rozpocząć pilną analizę nowych danych. I gdzieś w środku programy szukające w hiperprzestrzeni wścibskich sond odmówiły nagle posłuszeństwa. Trwało to tylko sekundy, ale...

Na Thurien VISAR przerwał nagle długie, milczące oczekiwanie, które trwało całe godziny.

– Coś się wydarzyło! Mam połączenie z ZORAKIEM!

Kiedy Caldwell zerwał się na równe nogi, a Heller i Danchecker spojrzeli wystraszeni w drugi koniec pokoju, wiązki sygnałów popłynęły przez pustkę do *Shapierona* oddalonego o wiele lat świetlnych i VISAR zaczął analizować zgromadzone przez ZORACA dane.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał Calazar w napięciu. – Czy statek jest w porządku? Jak daleko w głąb JEVEXA dotarli?

– Mieli problemy – powiedział VISAR po dłuższej chwili. – Dajcie mi jeszcze parę sekund. Zdaje się, że muszę przyspieszyć kroku.

Na pokładzie nawigacyjnym *Shapierona* odezwał się nagle znajomy głos, którego nie słyszano od paru dni, i przerwał zapadłą po klęsce ciszę.

– Halo, zdaje się, że macie małe kłopoty. Trzymajcie się. Zajmę się tym.

Eesyń otworzył usta w niedowierzaniu. Garuth siedzący w jednym z pustych foteli załogi podniósł bez słowa wzrok. Również inni obecni na pokładzie Ganimedejczycy nie mogli uwierzyć własnym uszom.

– VISAR? – wyszeptał Eesyń, jak gdyby bał się, że to tylko omamy słuchowe. – ZORAC, czy to był VISAR?

– Jest zajęty – odpowiedział ZORAC. – Nie pytajcie mnie, co się stało, ale to był on. Coś sparaliżowało funkcje samokontrolne JEVEXA i udało mi się wyłączyć blokadę. Mamy łączność z Thurien.

Kiedy ZORAC mówił, VISAR rozszyfrował hasła dostępu do diagnostycznego podsystemu JEVEXA, skasował zastane tam zbiory danych i zastąpił je własnymi, a na koniec wyzerował wskaźniki alarmowe. W centrum kontrolnym piątego sektora jowlenejskiej obrony pojawiło się na ekranie ogłoszenie o fałszywym alarmie, spowodowanym przez awarię przekaźnika. Daleko w przestrzeni dwa niszczyciele wróciły na swoje stanowiska i podjęły rutynowe patrole. VISAR przekazywał już JEVEXOWI masę informacji, których nie miał czasu wyjaśnić nawet ZORACOWI. Jednocześnie włamał się do telekomunikacyjnego podsystemu JEVEXA i zyskał kontrolę nad kanałem łączności z Ziemią.

Verikoff rozpoznał głos VISARA, który nagle rozległ się w pokoju Sverenssena.

– W porządku, udało się. Jeśli są tam Vic Hunt i pozostali, niech przyjdą popatrzeć na dalszy ciąg. Mogę ich połączyć jednostronnie z Jewlen. Postaraj się teraz szybko zakończyć rozmowę.

Verikoffowi udało się nie okazać zdumienia. Hunt i inni usłyszeli VISARA i ostrożnie weszli do pokoju, zbyt zaskoczeni, by coś powiedzieć. Broghuilio, który ich nie widział, nadal oniemiały patrzył z ekranu. Verikoff pozbierał się szybko i zareagował.

– Masz godzinę na odpowiedź, Broghuilio – powiedział. I posłuchaj mnie jeszcze: jeśli którykolwiek ze statków wokół Thurien wykona jakiś wrogi ruch, zaatakujemy na mocy rozkazu, który raz wydany będzie nieodwołalny. Masz godzinę.

Na ekranie nic się nie zmieniło, ale VISAR oznajmił:

– W porządku, już nie jesteś na wizji. Oszołomiony Verikoff od razu został ze wszystkich stron zasypany gratulacjami i poklepywaniami. Pacey i Benson patrzyli z niedowierzaniem od strony drzwi, a w pokoju Sobroskin schował ukradkiem automat z powrotem pod kurtkę.

Ożył następny ekran, ukazując pokład nawigacyjny *Shapierona*, jako że VISAR w dalszym ciągu przejmował funkcje telekomunikacyjne JEVEXA i włączał je do własnej sieci. Kilka sekund później kolejny ekran przekazał widok z centrum rządowego w Thurios. To najdziwniejsza w historii telekonferencja komputerowa, pomyślał Hunt, przeskakując wzrokiem z jednego ekranu na drugi. Caldwell, Heller i Danchecker fizycznie przebywali na Alasce, a jednak widział ich przez łącze sięgające z Connecticut aż do jowlenejskiej gwiazdy oddalonej o całe lata świetlne, stamtąd do *Shapierona* i jeszcze dalej, do następnej gwiazdy, a od niej z powrotem do perceptronu w McClusky.

– Najwyraźniej nie tracicie czasu – stwierdził Eesyman, w dalszym ciągu pozostający pod wrażeniem.

– Zbyttno się przejmujesz – odparł Caldwell. – Wiemy, jak się zabrać do rzeczy. – Skierował spojrzenie w inną stronę. Jak poszło? Wszystko w porządku? Gdzie jest Sverenssen?

– Mieliliśmy małą zmianę w planach – powiedział Hunt. – Opowiem ci później. Wszyscy mają się dobrze.

Na ekranie ukazującym jowlenejski pokój narad Broghuilio zażądał od JEVEXA raportu z bieżących obserwacji Ziemi. JEVEX przekazał relację z tajnego spotkania ziemskich dowódców, uzgadniających szczegóły połączonego ataku na Jewlen. „To należy już do historii”, oświadczył JEVEX w odpowiedzi na pytania zdezorientowanego Broghuilio. W obecnej chwili plany ataku są już ukończone, a przygotowania mocno zaawansowane. Ostatnie relacja JEVEXA pochodziła z odprawy wyższych oficerów połączonych ziemskich sztabów. Broghuilio był coraz bardziej zakłopotany i wzburzony.

– Wyjaśnij to, JEVEX – zażądał zduszonym głosem. – O jakich siłach mówią te małpoludy? O jakiej broni?

– Z całym szacunkiem, ekscelencjo, ale wydaje się, że to oczywiste – odpowiedział JEVEX. – Chodzi o strategiczne siły, które Ziemia tworzyła od dłuższego czasu, oraz o typową broń, używaną obecnie przez ziemskie wojska.

Broghuilio ściągnął brwi i spojrzał groźnie wokół na zdenerwowane twarze, jakby zdjęty podejrzeniem, że tylko on jeden spośród wszystkich pozostał przy zdrowych zmysłach.

– Typowa broń używana obecnie przez Ziemiaków? Nigdy nas nie informowałeś o takiej broni.

Niewidzialne palce przebiegły przez pamięć JEVEXA, w ułamku sekundy wymieniając setki tysięcy słów kluczowych.

– Przykro mi, ale muszę podważyć pańskie stwierdzenie, ekscelencjo. Konsekwentnie przekazywałem szczegóły.

Twarz Broghuilio poczerwieniała jeszcze bardziej.

– O czym ty mówisz? Jakie szczegóły?

– Skomplikowanego międzyplanetarnego systemu obronnego i ofensywnego, który Ziemia tworzyła od kilkudziesięciu lat – poinformował go JEVEX.

– JEVEX, o czym ty mówisz? – wybuchnął Broghuilio. – Ziemia rozbroiła się wiele lat temu. Właśnie to konsekwentnie nam przekazywałeś. Wyjaśnij.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Zawsze przekazywałem to, co przed chwilą powiedziałem.

Broghuilio przetarł oczy, potem nagle odwrócił się i w niemal błagalnym geście wyciągnął ręce do obecnych w pokoju.

– Czy ja zwariowałem, czy to ta idiotyczna maszyna ma jakiś atak? – zapytał. – Niech mi ktoś powie, że słyszałem i widziałem przez całe lata to, co mi się wydawało, że widzę i słyszę. Czy może sobie to wszystko wymyśliłem? Mówiono nam, że Ziemia rozbroiła się, czyż nie tak? Czy broń, o której właśnie usłyszeliśmy, istnieje czy nie? Czy jestem jedyną w tym pokoju osobą o zdrowych zmysłach czy też nie? Niech mi ktoś powie, co tu się dzieje?

– JEVEX przekazuje fakty – powiedział bez przekonania Estordu, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jak może przekazywać fakty? – krzyknął Broghuilio. – Przeczy sam sobie. Fakty są faktami. Nie mogą sobie przeczyć.

– Nie mówię sprzeczności – zaprotestował JEVEX. – Wszystkie zapisy wskazują, że...

– Zamknij się! Mów, kiedy się do ciebie zwracam.

– Przepraszam, ekscelencjo.

– To, co Verikoff powiedział o VISARZE, musi być prawdą – mruknął Estordu zmartwionym głosem. – VISAR mógł manipulować JEVEXEM, zanim ten się odłączył... nawet przez całe lata. Teraz JEVEX jest odizolowany i być może po raz pierwszy dowiadujemy się prawdy.

W pokoju narad rozległ się szmer zatrwożonych głosów. Broghuilio zwilżył wargi i nagle stracił nieco pewności siebie.

– JEVEX – zaczął.

– Ekscelencjo?

– Te raporty... czy otrzymywałeś je bezpośrednio od systemu obserwacyjnego?

– Oczywiście, ekscelencjo.

– Czy ta broń istnieje? Czy na Ziemi jest teraz mobilizacja?

– Tak, ekscelencjo.

Wylott patrzył niespokojnym wzrokiem.

– Skąd możemy mieć pewność? – sprzeciwił się. – JEVEX najpierw mówi jedne rzeczy, a zaraz potem inne. Skąd możemy wiedzieć, co jest prawdą?

– Więc mamy nic nie robić? – zapytał Broghuilio. – Mamy tu siedzieć i żywić nadzieję, że ziemskie wojska nie istnieją? Co potrzeba, żeby pana przekonać... setek tysięcy Ziemian sięgających po pańskie gardło? I co wtedy by pan zrobił? Imbecyl!

Wylott zamilkł. Pozostali popatrzyli po sobie z lękiem. Broghuilio splótł dłonie za plecami i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Nadal mamy asa w rękawie – powiedział po chwili. – Rozszyfrowaliśmy ich tajne kody łącznościowe i znamy plany. Może marny mniej broni, ale nasza technika bez porównania przewyższa ziemską. Rozporządzamy znacznie większą siłą ognia. – Podniósł wzrok i oczy mu zapłonęły. – Słyszeliście tych prymitywów... główną przewagą, na którą liczą, jest zaskoczenie. Ale już jej nie mają. Verikoff nazywa nas hałastrą, prawda? Niech przyśle tę swoją hordę prostaków. Będziemy na nich czekali. Przekona się, kto jest hałastrą, kiedy zmierzą się z Jewlenami. – Zwrócił się do Wylotta. – Operację na Thurien na razie trzeba zawiesić – oświadczył. – Proszę natychmiast odwołać nasze oddziały i przerzucić je do obrony Jewlen. Nie pora teraz, żeby troszczyć się o orbity w układzie Gwiazdy Gigantów. Otworzyć bramy w miejscu, gdzie znajdują się obecnie statki i sprowadzić je tu najszybciej, jak to możliwe. Chcę, żeby jutro o tej porze znalazły się na swoich pozycjach.

Nowe rozkazy wysłano do dowódców oddziałów specjalnych nad Thurien, którzy przygotowali się do natychmiastowego odwrotu. Znajdowali się jednak w obszarze kontrolowanym przez VISARA, więc JEVEX zameldował, że zakłócono jego próby otwarcia bram. Statki nie mogły wrócić, nie opuściwszy najpierw układu Gwiazdy Gigantów. Broghuilio nie miał innego wyjścia, jak przedłużyć termin ultimatum o jeden dzień, aby jego statki mogły odlecieć na własnym napędzie. Godzinę później mknęły pełną szybkością ku skrajowi thurieńskiego układu planetarnego.

– Faza pierwsza wykonana pomyślnie – z satysfakcją ogłosił Caldwell z Thurios, obserwując dane wyświetlone na monitorze w centrum rządowym. – Zmusiliśmy drani do ucieczki. Teraz dopilnujemy, by rzeczy dalej się tak toczyły.



## Rozdział trzydziesty piąty

Bramy były już przygotowane poza układem Gwiazdy Gigantów i jewlenejskie statki zwinawszy szyk, weszły w nie kolejno z wojskową precyzją i dyscypliną. Jewlenowie nie wiedzieli jednak, że to VISAR, a nie JEVEX, kontrolował operację, a w dodatku JEVEX również nie wiedział o manipulacjach VISARA. Po wyjściu do normalnej przestrzeni jedna eskadra znalazła się w pobliżu Syriusza, druga Aldebarana, następna obok Canopusa, a pozostałe statki pojawiły się w okolicach Arktura, Procjona, Kastora, Rigela, Gwiazdy Polarnej i paru innych gwiazd. Na razie przestały stanowić zagrożenie; można było zająć się nimi później. Tak zakończyła się druga faza planu Caldwell.

Z papierosem w jednej ręce i filiżanką kawy w drugiej Hunt stał na patio domu Sverenssena, patrząc na jaskrawo ubranych ludzi, którzy tłoczyli się do transportowca Sił Powietrznych, stojącego obok basenu i otoczonego półkolem przez czujnych żołnierzy z oddziałów specjalnych. Wywożeni jeńcy przyjechali do Sverenssena na przyjęcie, a zamiast tego natknęli się na CIA. Ponieważ VISAR kontrolował system obserwacyjny w całym domu, nie było potrzeby kryć się z działaniami, ale Clifford Benson postanowił zachować środki ostrożności głównie po to, by wykorzystać okazję i powiększyć listę podejrzanych znajomych Sverenssena. Chodziło o zidentyfikowanie miejscowych współpracowników Szweda. VISAR znalazł w pamięci JEVEXA kompletny schemat jewlenejskiej organizacji na Ziemi, co umożliwiło Bensonowi i Sobroskinowi likwidację całej siatki.

Na peryferiach jewlenejskiego układu planetarnego zaczęły się gromadzić ganimedejskie statki i w tym momencie VISAR mógł wyłączyć JEVEXA, podobnie jak to zrobił na innych planetach, gdzie znajdowali się Jewlenowie. Problem jednak polegał na tym, że Jewlenowie od jakiegoś czasu najwyraźniej przygotowywali się do wojny i nie można było wykluczyć, że posiadają rezerwowe systemy, zdolne do samodzielnego działania. Hunt i Caldwell doszli do wniosku, że podejmowanie akcji przez Ganimedejczyków w nadziei, że wszystko pójdzie dobrze, nie jest najlepszym wyjściem. Głosowali więc za dalszym wywieraniem nacisku aż do uzyskania bezwarunkowej kapitulacji Jewlenów, której żądał Verikoff, lub fiaska

jewlenejskiej operacji, spowodowanego czynnikami wewnętrznymi. Obaj mieli również nadzieję, że obserwując reakcje w pokoju narad wojennych, dowiedzą się, do jakiego stopnia Jewlenowie mogą obejść się bez JEVEXA.

Z tyłu za Huntem uchyliła się plastikowa płachta, którą zasłonięto tył domu Sverenssena, i na zewnątrz pojawiła się Lyn. Zbliżyła się do Hunta i wsunęła mu dłoń pod ramię.

– Myślę, że od tej chwili to miejsce zniknie z listy przyjęć – powiedziała, patrząc na VTOL stojący przy basenie.

– Takie moje szczęście – mruknął Hunt. – Ledwo pojawiają się dziewczyny, o których wcześniej słyszałem, a już je zabierają. Czy ktokolwiek zasłużył na takie życie?

– Tylko to cię zmartwiło? – zapytała. W jej oczach tańczyły iskry, a w głosie słychać było ledwo uchwytną przekorną nutę.

– I oczywiście chciałem zobaczyć, jak Sverenssen nas opuszcza. Cóżby innego?

– O, doprawdy? – zakpiła Lyn. – Trochę inną wersję usłyszałam od Gregga.

– Ach, tak. – Hunt zmarszczył czoło. – On, em... powiedział ci, tak?

– Greggowi i mnie dobrze się razem pracuje. Powinieneś o tym wiedzieć. – Mocniej ścisnęła go za ramię. – Podobno ktoś bardzo się denerwował.

– To kwestia zasad – odparł Hunt sztywno. – Wyobraź sobie mnie tkwiącego w takim miejscu, jak McClusky, podczas gdy ktoś inny bierze udział w akcji. O to właśnie chodziło. Ja mam niewzruszone zasady.

– Och, ty idioto – powiedziała Lyn z westchnieniem.

Wrócili do domu. Sobroskin stał przy wejściu w towarzystwie dwóch oficerów, a Verikoff siedział na kanapie w drugim końcu pokoju, rozmawiając z Bensonem, paroma osobami z CIA i kilkoma Rosjanami. Normana Pacey'a nie było nigdzie widać; prawdopodobnie nadal przebywał w pokoju łączności, gdzie Hunt go zostawił. Vic przechwycił spojrzenie Sobroskina i wskazał głową na Verikoffa.

– Ten facet zrobił dobrą robotę i naprawdę się starał – mruknął cicho. – Mam nadzieję, że zmniejszą mu wyrok.

– Zobaczmy, co da się zrobić – odparł Sobroskin. Odpowiedź była wymijająca, ale ton dawał podstawy do optymizmu.

– Co? – Głos dobiegający od strony pokoju łączności zabrzmiał jak głos Broghuilio. – Gdzie udało się wam je zlokalizować?

– Oho. Zdaje się, że ktoś odnalazł swoją flotę – skomentował Hunt, wyszczerzając zęby. – Chodźmy. Będzie wesoło.

Ruszyli w stronę korytarza, a wszyscy pozostali podnieśli się z miejsc i podążyli za nimi. Nikt nie chciał stracić dobrej zabawy.

– Musi być jakaś awaria w JEVEXIE – usprawiedliwiał się najwyższy dowódca thurieńskich wojsk. Skulił się, kiedy Broghuilio podszedł do niego z groźną miną. – Wszystko było przedwcześnie. Zabrakło czasu, by sprawdzić dokładnie system przesyłowy.

– To prawda – odezwał się pobladły Wylott. – Mieliśmy za mało czasu. W takim tempie nie można zorganizować operacji międzyplanetarnej. To niemożliwe.

Broghuilio obrócił się i wskazał palcem na ekran z najnowszymi szczegółami ziemskich planów wojennych.

– Oni tego dokonali! – Wpadł we wściekłość. – Każda tamtejsza fabryka rowerów i basenów dla chorych produkuje broń. – Zwrócił się do wszystkich obecnych. – A co mówią moi eksperci? Potrzeba dwóch lat, żeby zakończyć program kwadrufleksorów! Dwunastu miesięcy, żeby uruchomić dodatkowe generatory! „Ale mamy przecież ogromną przewagę techniczną, ekscelencjo”, mówiono mi. – Zrobił się purpurowy na twarzy; uniósł w górę zaciśnięte pięści. – I gdzie ona jest? Czy wszyscy imbecyle Galaktyki są właśnie u mnie? Dajcie mi tuzin tych Ziemi, a podbiję wszechświat. – Odwrócił się do Estordu. – Sprowadź statki z powrotem. Nawet gdybyś musiał otworzyć bramę tutaj, w środku układu planetarnego, sprowadź je jeszcze dzisiaj.

– To... nie jest takie proste – wyjąkał Estordu. – JEVEX zgłasza kłopoty z systemem przesyłowym.

– JEVEX, o czym bełkocze ten głupek? – warknął Broghuilio.

– Centralny system synchronizacji wiązki nie reaguje, ekscelencjo – odpowiedział JEVEX. – Jestem zdezorientowany. Nie byłem w stanie zinterpretować raportów diagnostycznych.

Broghuilio zamknął na moment oczy i starał się nad sobą zapanować. – Więc zrób to bez JEVEXA – polecił Estordu. – Użyj rezerwowego urządzenia z Uttan.

Estordu przełknął ślinę.

– System uttański nie jest przeznaczony do takich celów – zauważył. – Miał obsługiwać tylko transport na Jewlen. Flota jest rozproszona między piętnastoma różnymi gwiazdami. Należałoby wykonać obliczenia dla każdej z osobna. To zajęłoby całe tygodnie.

Broghuilio zaczął z rozdrażnieniem przemierzać pokój w tę i z powrotem. Zatrzymał się nagle przed dowódcą systemu obronnego.

– Oni zaplanowali atak do najdrobniejszych szczegółów; wyznaczyli nawet ludzi do kopania latryn, jak tylko zmiotą z powierzchni ostatniego idiotę z pańskiej armii. Ma pan bezpośrednie połączenie z ich siecią telekomunikacyjną i potrafi rozszyfrować ich komunikaty. Zna pan ich zamiary. Gdzie jest pański plan obrony?

– Co? Ja... – Generał jąkał się bezradnie. – Jak pan...

– Pański plan obrony. Gdzie on jest?

– Ale... nie mamy broni.

– Nie ma pan rezerw? Co z pana za generał?

– Tylko parę robotów-niszczycieli sterowanych przez JEVEXA. Czy można na nich polegać? Rezerwy wysłano na Thurien.

Stało się tak na rozkaz Broghuilio, ale nikt nie śmiał mu tego przypomnieć.

W pokoju narad zapadła śmiertelna cisza. W końcu Wylott odezwał się zdecydowanym głosem.

– Rozejm. Nie ma innego wyjścia. Musimy poprosić o rozejm.

– Co? Ledwo ogłoszono Protektorat, a pan już mówi, że powinniśmy płaszczyć się przed tymi prostakami? Co to za postawa?

– Zyskamy na czasie – nalegał Wylott. – Dopóki produkcja na Utan nie ruszy pełną parą i nie zgromadzimy zapasów. Niech armia się wzmocni i wyszkoli. Ziemia przez całe stulecia przygotowywała się do wojny. My nie i stąd różnica. Oderwanie od Thurien nastąpiło przedwcześnie.

– To nasza jedyna szansa, ekscelencjo – powiedział Estordu.

– JEVEX ponownie otworzył kanał – oznajmił VISAR. – Broghuilio życzy sobie prywatnego spotkania z Calazarem.

Calazar, który spodziewał się takiej prośby, siedział samotnie w jednym końcu pokoju centrum rządowego, a Caldwell, Danchecker, Heller i Thurienowie obserwowali go z przeciwległego krańca.

Na ekranie przed Calazarem pojawił się Broghuilio. Wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego rozmawiamy w ten sposób? Zamierzałem przylecieć na Thurien.

– Nie uważam, żeby istniała taka potrzeba – odparł Calazar. – O czym chciał pan rozmawiać?

Broghuilio przełknął ślinę i z wyraźnym wysiłkiem zmusił się do mówienia.

– Miałem okazję zastanowić się nad ostatnimi... wydarzeniami. Po namyśle doszedłem do wniosku, że chyba wyprowadziła nas z równowagi arogancja Ziemi. Być może zareagowaliśmy zbyt... porywczo. Chciałbym zaproponować rozmowy na temat stosunków między naszymi rasami.

– Ta sprawa mnie już nie interesuje – stwierdził Calazar. – Zgodziłem się z Ziemią, że powinniście rozstrzygnąć ją między sobą. Przedstawili wam swoje warunki. Przyjmujecie je?

– Ich warunki są oburzające – zaprotestował Broghuilio. – Musimy negocjować.

– Negocjujcie z Ziemią.

Na twarzy Broghuilio pojawił się przestach.

– Ależ to barbarzyńcy... dzicz. Czy zapomniał pan, co oznacza zostawić sprawy w ich rękach?

– Nie ja do tego doprowadziłem. Zapomniał pan o *Shapieronie*?

Broghuilio zbladł.

– To był niewybaczalny błąd. Osoby odpowiedzialne zostaną ukarane. Ale to... coś innego. Jesteście Ganimedejczykami. Przez tysiąclecia staliśmy u waszego boku. Nie możecie nas teraz opuścić.

– Przez tysiąclecia nas oszukiwaliście – zareplikował Calazar zimno. – Nie chcieliśmy dopuścić do rozprzestrzenienia się w Galaktyce lunariańskiej przemocy, ale ona już w niej zapanowała. Nasze próby, by was zmienić, nie powiodły się. Jeśli mogą sobie z tym poradzić Ziemianie, niech tak będzie. Ganimedejczycy nie są w stanie nic więcej zrobić.

– Musimy to przedyskutować, Calazar. Nie może pan na to pozwolić.

– Przyjmiecie warunki Ziemian?

– Oni nie mogą traktować tego poważnie. Musi istnieć możliwość negocjacji.

– Więc negocjujcie z Ziemianami. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę mi teraz wybaczyć.

Obraz Broghuilio zniknął.

Calazar popatrzył na twarze obecnych. Wyrażały aprobatę.

– Jak wypadłem? – zapytał.

– Wspaniale – powiedziała Karen Heller. – Powinieneś wystąpić o miejsce w ONZ.

– Jakie to uczucie być twardym jak Ziemianie – zapytała Showm z ciekawością.

Calazar wstał, wyprostował się i zaczerpnął powietrza, zastanawiając się nad pytaniem.

– Wiesz... to mi dodało sił – wyznał.

Caldwell spojrział na obraz ukazujący obserwatorów z Ziemi.

– Sytuacja nie wygląda tak źle – stwierdził. – Nie mogą sprowadzić statków z powrotem, a prawdopodobnie nie mają ich więcej. Moglibyśmy zadać im teraz ostateczny cios. Co o tym myślicie?

Hunt zrobił powątpiewającą minę.

– Broghuilio jest wstrząśnięty, ale jeszcze się nie załamał – powiedział. – Może być groźny, zwłaszcza jeśli pojawią się tylko nie uzbrojone statki thurieńskie. Wolalbym zobaczyć go jeszcze bardziej wytrąconego z równowagi.

– My również – odezwał się Garuth z *Shapierona*. W jego tonie nie było wahania.

Caldwell myślał przez chwilę, a potem skinął głową.

– Zgadzam się. – Potarł podbródek i puścił oko do Hunta. – VISAR wykonał piekielną robotę, przygotowując ten cały materiał. Szkoda byłoby go zmarnować nieprawda?

– Wielka szkoda – potwierdził Hunt z powagą.

## Rozdział trzydziesty szósty

Na ekranie w jewlenejskim pokoju narad widniała połączona ziemską flotą, która przygotowywała się do wyruszenia z Ziemi. Na pierwszym planie formacja niszczycieli – lśniących, szarych i groźnych – zajmowała pozycje w ogromnej armadzie, widocznej jak okiem sięgnąć. Kiedy niszczyciele zmały z powodu odległości, włączając się do szyku, nadciągnęły majestatycznie kolejne formacje i wtopiły w coraz większą panoramę. Pierwsze statki miały wymalowaną czerwoną gwiazdę Związku Radzieckiego, następne gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych, a kolejne – emblematy Zjednoczonej Europy, Kanady, Australii i Chin. Nieco dalej, za manewrującymi na pierwszym planie niszczycielami, pojawiły się szeregi potężnych statków wojennych, których gładkie kontury szpeciły obudowy groźnie wyglądającej broni i złowieszcze skupiska zamontowanych na zewnątrz wyrzutni pocisków. Jeszcze dalej sunęły transportowce, platformy bombardujące, krążowniki, wahadłowce, statki przechwytyjące i orbitalne oraz promy, wokół których roilo się od statków pomocniczych i eskortujących, coraz mniejszych, a na koniec ledwo widocznych na tle gwiazd. Pozory jednak myliły. Cała ta budząca groźbę konstelacja mknęła cicho i nieubłaganie w stronę ganimedejskich bram.

JEVEX składał kolejne meldunki.

– Pierwsza fala wyruszyła z rejonu zbiórki w okolicy Księżyca. Zmierzone przyśpieszenie zgodne jest z czasem przybycia wyznaczonego przez Ziemian.

Broghuilio lekko zbladł.

– Pierwsza fala – powtórzył. – Jest ich więcej?

W odpowiedzi na ekranie pojawił się widok z góry na coś, co wyglądało na rozległą bazę, ogrodzoną siatką i otoczoną obszarami pustynnymi. Rzędy kropek wzdłuż jednego jej boku powiększyły się szybko i przybrały kształt promów, które właśnie ładowano. Przed nimi stały rzędy czołgów, dział, transporterów i tysiące żołnierzy czekających w karnym szyku.

– Chińskie dywizje wsiadają do wahadłowców, które zabiorą je na orbitę na miejsce zbiórki drugiego rzutu – oznajmił JEVEX.

Obraz znowu się zmienił, ukazując podobną scenę, tym razem rozgrywającą się pośród gęsto zalesionych wzgórz.

– Konwencjonalne ponaddzwiękowe bombowce niskiego pułapu i samoloty przechwytyjące wysokiego pułapu przygotowują się na Syberii do startu.

Kolejny obraz.

– Ładowanie baterii pocisków i laserów przeciwczołgowych w zachodniej części USA. Jest tego jeszcze więcej. Przygotowuje się plany trzeciego rzutu.

Na twarzy Broghuilio pojawiły się kropelki potu. Zamknął oczy i bezgłośnie poruszał wargami, jakby walczył o zachowanie spokoju.

– Czy mogę zaproponować, ekscelencji, żeby... – zaczął Wylott, ale Broghuilio przerwał mu zdecydowanym gestem.

– Cisz. Muszę pomyśleć. – Zaczął nerwowo szarpać brodę. Drugą dłoń zacisnął w pięść i pomaszzerował w odległy koniec pokoju. Potem zawrócił.

– JEVEX.

– Ekscelencjo?

– VISAR musi mieć połączenie z ziemską siecią telekomunikacyjną. Chcę rozmawiać z prezydentem Stanów Zjednoczonych, z radzieckim premierem lub jakimkolwiek przywódcą, którego uda się VISAROWI złapać. Zrób to natychmiast.

– Jak mam to rozegrać? – zapytał VISAR w centrum rządowym w Thurios.

– Nie możemy pozwolić, by nasz plan wziął w łeb – powiedział Caldwell. – Broghuilio musi zrozumieć, że jedynym rozwiązaniem jest bezwarunkowa kapitulacja. Zrób tak, by myślał, że jest odcięty od wszystkich z wyjątkiem Verikoffa.

Zdenerwowany i niecierpliwy Broghuilio znowu zaczął przemierzać pokój. I wtedy JEVEX oznajmił:

– VISAR odmawia. Polecono mu zastosować się do thurieńskiej polityki nieingerencji w sprawę Ziemi i Jewlen.

Pod Broghuilio niemal ugięły się nogi.

– Thurienowie przenoszą przecież ziemskie statki wojenne, które mają nas zetrzeć w proch! – krzyknął. – To ma być ta polityka umywania rąk? Powiedz VISAROWI, że nalegam.

– VISAR polecił mi doradzić panu – z całym szacunkiem, ekscelencjo – żeby pan poszedł do diabła.

Broghuilio był zbyt oniemiały, by gwałtownie zareagować.

– Więc powiedz VISAROWI, żeby mnie znowu połączył z Calazarem – wykrztusił.

– VISAR odmawia.

– Więc połącz mnie z VISAREM.

– VISAR zerwał wszystkie połączenia. Nie odpowiada. Broghuilio zaczął trząść się z wściekłości i strachu.

Dzikim wzrokiem zmierzył obecnych.

– Naszą jedyną szansą jest Verikoff – stwierdził Wylott. – Musi pan przyjąć ultimatum. – Nigdy! – wrzasnął Broghuilio. – Nigdy nie poddam mojej floty. Mamy jeszcze dwa dni. Możemy ewakuować cały korpus oficerski, naukowców, najlepszych inżynierów na Uttan. Tam się urządzimy. Uttan ma silną obronę, którą trudno przyjdzie Ziemianom przełamać. Jeśli spróbują, spotka ich parę niespodzianek. – Spojrzał na Wylotta. – Proszę w ciągu dwóch dni opracować z JEVEXEM plan ewakuacji z Jewlen. Zaczynajcie niezwłocznie. Niech pan odłoży inne zadania.

– Chyba powinniśmy spróbować – powiedział Hunt.

– Już są prawie gotowi.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić? – zapytała Shilohin sceptycznie. – To zbyt nielogiczne.

– Co sądzisz, Chris? – spytał Caldwell, zerkając na niego przez ramię.

– Są w takim stanie, że uwierzą we wszystko – odparł Danchecker. – Nie myślą teraz dość jasno, by cokolwiek wzbudziło ich podejrzenia.

– I są bliscy paniki – zauważył Sobroskin siedzący obok Hunta. – Panika i logiczne myślenie nie idą ze sobą w parze.

– Nie jestem całkiem pewny, czy rozumiem zjawisko, które nazywacie paniką – oświadczył Eesyhan.

– Sprawdźmy, czy uda nam się ci pokazać, jak wygląda panika – powiedział Caldwell i dał polecenie VISAROWI.

– Przepraszam, ekscelencjo – zaczął JEVEX – ale pański termin dwóch dni jest niezrozumiały.

– Co? – Broghuilio zamarł w pół kroku. – Co rozumiesz przez „niezrozumiały”?

– Nie wiem, dlaczego wymienił pan akurat dwa dni – odparł JEVEX.

Broghuilio z zakłopotaniem potrząsnął głową.

– To chyba oczywiste. Atak Ziemian rozpocznie się za dwa dni od tej chwili, nieprawdaż?

– Nie rozumiem, ekscelencjo.

Broghuilio zmarszczył brwi i zdumiony omiół wzrokiem pokój. Adiutanci odpowiedzieli mu równie otumanionymi spojrzeniami.

– Atak ma nastąpić za dwa dni, czy nie tak? – powtórzył.

– Nie było przedłużenia terminu, ekscelencjo. Atak spodziewany jest dzisiaj, za dwanaście godzin.

Przez parę sekund nic się nie wydarzyło. Potem Broghuilio uniósł rękę i kilka razy niespiesznie postukał się w czoło.

– JEVEX – powiedział. Głos miał spokojny, gdyż wysiłki, by się opanować, nie poszły na marne. – Niedawno powiedziałeś nam, że pierwsza fala uderzeniowa dopiero opuszcza Ziemię.

– Przepraszam, ekscelencjo, ale w mojej pamięci nie ma niczego takiego.



Tego było już za wiele. Broghuilio podniósł głos, tym razem nie udało mu się zapanować nad jego drżeniem.

– Jakim cudem Ziemianie mogą znajdować się o dzień drogi od nas? – zapytał. – Wyruszają teraz z Ziemi, prawda?

– Wyruszyli dwa dni temu – odpowiedział JEVEX. – Dotarli do jowleńskiego układu planetarnego i za dwanaście godzin rozpoczną atak.

Broghuilio poczerwieniał na twarzy.

– A te relacje, które nam przekazałeś. Były na żywo, jak twierdziłeś, czy nie?

– Powiedziałem, że pochodzą sprzed dwóch dni.

– Nie powiedziałeś tego! – wrzasnął Broghuilio.

– Powiedziałem. Potwierdzają to moje zapisy. Mam je odtworzyć?

Broghuilio zwrócił się do obecnych w pokoju.

– Wszyscy to słyszeliście. Co ta idiotyczna maszyna mówi? Czy to były przekazy na żywo czy nie?

Nikt go nie słuchał. Jeden z adiutantów zaczął biegać w tę i z powrotem, bełkocząc niezrozumiale, inny chwycił się za głowę i jęczał, a reszta patrzyła w osłupieniu.

– Nie mogły pochodzić sprzed dwóch dni.

– Skąd wiecie? Skąd wiecie, co się dzieje naprawdę? Jak możecie być pewni czegokolwiek?

– JEVEX tak powiedział.

– Mówił także coś zupełnie przeciwnego.

– Może JEVEX zwariował.

– Ale JEVEX powiedział...

– Ziemianie zbliżają się! Będą tu za parę godzin!

Naukowiec Estordu wyszedł po cichu z pokoju. W zamieszaniu nikt tego nie zauważył.

Broghuilio wymachiwał rękami i starał się przekrzyczeć wrzawę.

– Dwanaście godzin! Dwanaście godzin! A wy mówicie mi, że nie mamy broni! Wystawią się prosto na strzał, ponieważ nie wiedzą, jakiego oporu mają się spodziewać... A my nie możemy stawić żadnego oporu! Statek pełen dzieci mógłby spokojnie przylecieć i zająć planetę, a Ziemianie nawet o tym nie wiedzą. I co mam, żeby ich powstrzymać? Debilnych generałów, debilnych naukowców i debilny komputer!

Wylott przepchnął się do miejsca, gdzie stał Broghuilio.

– Nie ma wyjścia – oświadczył. – Musi pan przyjąć warunki Verikoffa. Przynajmniej dożyjemy następnego dnia.

Broghuilio rzucił na niego groźne spojrzenie, ale po oczach było widać, że uznaje nieuchronność takiego rozwiązania. Nie mógł jednak zmusić się do wydania rozkazu. Wylott odczekał chwilę, a potem przekrzykując zgiełk, zawołał:

– JEVEX. Wywołaj Ziemię przez swój kanał do Sverenssena. Połącz nas z Verikoffem.

– Tak, generale – odpowiedział JEVEX.

W pokoju łączności w Connecticut Hunt spojrział na Verikoffa, który stał przy drzwiach.

– Lepiej niech pan wejdzie. Wygląda na to, że za chwilę przyjmie pan kapitulację. Już prawie po wszystkim.

Verikoff wyszedł na środek pokoju, a pozostali otoczyli go małym kręgiem. Na ekranie ukazującym jawlenejski pokój narad Wylott i Broghuilio niecierpliwie czekali, aż JEVEX uzyska połączenie. Verikoff skrzyżował ramiona i przyjął władcą postawę.

Nagle ekran zgasł.

Wszyscy ze zdziwieniem popatrzyli po sobie.

– VISAR? – zawołał Hunt po chwili. – VISAR, co się stało?

Nie było żadnej odpowiedzi. Ekrany łączące ich z Thurien i *Shapieronem* również zgasły.

Verikoff podszedł szybko do rzędu instrumentów i zaczął je sprawdzać.

– Nie działają – oznajmił. Cały system nie działa. Wszystkie kanały łączności zamknięte. Jesteśmy odcięci od JEVEXA.

W centrum rządowym w Thurios Caldwell był równie zaskoczony.

– VISAR, co się dzieje? – zapytał. – Dlaczego zniknęły obrazy z Ziemi i Jewlen? Straciłeś je, czy co?

Minęło kilka sekund, zanim VISAR odpowiedział.

– Jeszcze gorzej. Straciłem nie tylko Connecticut i pokój narad, ale również wszystkie połączenia z JEVEXEM. Wyłączył się cały system.

– Nie wiesz w ogóle, co się dzieje na Jewlen? – zapytał skonsternowany Morizal.

– Nic nie wiem – odpowiedział VISAR. – Jedyne kanał łączący mnie ze światami znajdującymi się w obszarze działania JEVEXA to kanał do *Shapierona*. Mam wrażenie, że JEVEX nie działa. Wyłączył się cały system.

Broghuilio stwierdził, że leży w fotelu w swojej prywatnej kwaterze głęboko pod ziemią, w kompleksie mieszczącym Radę Planowania Strategicznego. Usiadł gwałtownie, nie wiedząc, co się wydarzyło. Chwilę wcześniej przebywał w pokoju narad z Wylotem, czekając na połączenie z Verikoffem. Jednocześnie przypomniał sobie widok ziemskiej armady sunącej w stronę Jewlen. Rozejrzył się wokół dzikim wzrokiem.

– JEVEX?

Żadnej odpowiedzi.

– JEVEX, odezwij się.

Nic.

Poczuł w żołądku coś zimnego i ciężkiego. Zerwał się na równe nogi, znalazł szlafrok, zrzucił go na szorty i podkoszulek i popędził do sąsiedniego pokoju, żeby sprawdzić na monitorze wskaźniki stanu systemu. Oświetlenie, klimatyzacja, łączność, instalacje...

wszystko przeszło na tryb awaryjny. JEVEX nie działał. Broghuilio próbował włączyć konsolę telekomunikacyjną, ale na ekranie pojawiła się jedynie informacja, że wszystkie kanały są przeciążone. Oznaczało to nie lokalne uszkodzenie, lecz awarię całego systemu. Wrócił pośpiesznie do sypialni i zaczął jak szalony wyrzucać ubrania z szafy.

Dopinał tunikę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Broghuilio podbiegł do nich i przyłożył kciuk do płytki identyfikacyjnej. Za drzwiami stał Estordu i dwaj adiutanci. Z głębi korytarza dobiegały krzyki i odgłosy zamieszania.

– Co się stało? – zapytał Broghuilio. – System nie działa.

– Wyłączyłem go – oświadczył Estordu. – Ręcznie uruchomiłem główny wyłącznik w pokoju kontrolnym rdzenia systemu. JEVEX nie działa.

Broda Broghuilio zatrzęsa się, a oczy wyszły z orbit.

– Co takiego... – zaczął, ale Estordu uciszył go niecierpliwym machnięciem ręki. Ten gest tak do niego nie pasował, że Broghuilio jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

– Nie rozumie pan, co się stało? – powiedział Estordu nagłaco. – JEVEX nie funkcjonował prawidłowo. Coś zakłócało go od środka. Prawdopodobnie VISAR. W jakiś sposób udało mu się uzyskać dostęp do naszego systemu. To oznacza, że Thurienowie mogli śledzić każdy nasz krok. Pozostało nam jeszcze dwanaście godzin i jeśli będziemy działali szybko, wydostaniemy się stąd. Mamy awaryjne kanały łączności z Uttan, a za pomocą rezerwowego systemu możemy otworzyć bramy. Ponieważ JEVEX nie działa, a VISAR bez niego jest ślepy, możemy to wszystko zorganizować bez ryzyka, że przeszkodzą nam Ziemianie lub Thurienowie. Najbliższe ziemskie statki będą tu dopiero za dwanaście godzin. Do tego czasu zdążymy uciec, a oni nie będą w stanie dowiedzieć się dokąd. Zanim pomyślą, żeby poszukać nas na Uttan, zdążymy się przygotować na ich przyjęcie. Nie rozumie pan? To było jedyne wyjście. Gdyby JEVEX działał, nie moglibyśmy zaplanować żadnego ruchu, tak żeby oni się o tym nie dowiedzieli.

Słuchając tego, Broghuilio intensywnie myślał. Nie było czasu na kłótnie, a poza tym Estordu miał rację. Skinął więc głową.

– Wszyscy zdolni do działania niech idą do pokoju narad – powiedział. Spojrzał na Estordu. – Niech pan znajdzie Lantyara i powie mu, że chcę, aby do godziny osiemnastej w Geerbaine znalazło się pięć najlepszych załóg. Ty... – Skierował wzrok na jednego z adiutantów stojących za Estordu. – Skontaktuj się z dowódcą w Geerbaine i powiedz mu, żeby przygotował pięć transportowców klasy E i zapas mocy potrzebny do przerzucenia ich przez bramy na Uttan, jak tylko opuszczą Jewlen. – Skinął na drugiego adiutanta. – A ty odzyskaj generała Wylotta i powiedz mu, żeby zmobilizował cztery kompanie gwardii i zorganizował im transport powietrzny do Geerbaine o godzinie siedemnastej trzydzieści. Potrzebuję miejsc dla dwóch tysięcy osób. Zarekwiruj statki gdzie się da i nie wahaj się przed użyciem siły. Zrozumiałeś? – Broghuilio poprawił kołnierzyk i wrócił do sypialni, żeby

przytroczyć pas z bronią. – Idę teraz do pokoju narad – zawołał. – Wy trzej zameldujcie mi się nie później niż za godzinę. Zróbcie, co mówię, a jutro o tej porze będziemy na Utan.

## Rozdział trzydziesty siódmy

*Shapieron* zbliżył się do Jewlen, żeby poczekać na przybycie ganimedejskich statków z Thuriem, które już znajdowały się w obrębie jewlenejskiego układu planetarnego, ale miały przed sobą jeszcze wiele godzin lotu. Główny ekran na pokładzie nawigacyjnym ukazywał widok powierzchni Jewlen, przesyłany przez sondy. Na planecie panował chaos. Nie odbywały się żadne loty, ale w wielu miejscach ludzie opuszczali miasta na piechotę lub bezładnymi strumieniami pojazdów naziemnych, które wkrótce utknęły w potężnych korkach na autostradach przystosowanych do lokalnego ruchu. W niektórych miejscach doszło do zakłóceń spokoju publicznego i zamieszek, ale w większości wypadków mieszkańcy gromadzili się na otwartej przestrzeni, zdezorientowani i pozbawieni przywództwa. Komunikacja międzyplanetarna była sparaliżowana, a służby publiczne zdeorganizowane. Jednym słowem, Ganimedejczyków czekało wiele pracy z zaprowadzeniem porządku w tym bałaganie.

Garuth stał pośrodku pomostu nawigacyjnego i w napięciu odbierał meldunki. VISAR nie zniszczył JEVEXA, więc musieli to uczynić sami Jewlenowicze. W jakiś sposób odkryli, że są obiektami obserwacji, więc wyłączyli system, żeby odciąć VISARA. Widocznie coś knuli i nie było sposobu, by dowiedzieć się co. Garuthowi to się nie podobało.

Dręczyło go uczucie, że zawiódł. Pomimo zapewnień Eesyana, Shilohin, Monchara i innych, że jego pomysł z lotem na Jewlen uratował Thuriem, Garuth doskonale zdawał sobie sprawę, iż omal nie sprowadził nieszczęścia i ocaliło ich tylko szybkie działanie Hunta i paru innych Ziemiaków. Lekkomyślnie ryzykował życie swojej załogi i naukowców Eesyana, a tamci uwolnili go od winy. Tak, odsunięto grożące Thuriem niebezpieczeństwo, ale Garuth nie uważał, by było w tym wiele jego zasługi. Wolałby mieć w tym większy udział, a gratulacje napływające z Thuriem jeszcze bardziej pogłębiały jego niezadowolenie z siebie.

Na mniejszym, bocznym ekranie Hunt rozmawiał z ludźmi stłoczonymi w pokoju w Connecticut, który był do niedawna kwaterą główną jewlenejskiej operacji na Ziemi.

– Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić problemy, jakie z naszej przyczyny mogą powstać na tej planecie w nadchodzących latach?

– Co masz na myśli? – dobiegł gdzieś z głębi głos Normana Pacey'a, przedstawiciela rządu amerykańskiego.

Hunt wykonał półobrót w stronę ekranu.

– Któregoś dnia ludzie może zaczną posyłać swoje dzieci do szkół na Thurien. Przypuśćmy, iż te dzieci uznają, że to hamuje ich rozwój, i zaczną wydzwaniać do domu.

Kiedy JEVEX się wyłączył, grupa z Connecticut wznowiła kontakt, telefonując po prostu do pokoju kontrolnego w McClusky i łącząc się z VISAREM za pośrednictwem perceptronu. Z terminali w gabinecie Sverenssena, obok głównego pokoju, uzyskali dwa połączenia: jedno z *Shapieronem* i drugie z centrum rządowym z Thurios.

– Nadal w to nie mogę uwierzyć – powiedział Benson, który siedział na krześle obok okna, częściowo widoczny za plecami Hunta. – Kiedy widzę, jak ktoś podnosi słuchawkę i dzwoni do mówiących komputerów na obcym statku, znajdującym się w pobliżu innej gwiazdy, nie mogę w to uwierzyć. – Benson odwrócił głowę do kogoś niewidocznego na ekranie. – CIA powinna mieć coś takiego już wiele lat temu. Moglibyśmy nawet słyszeć, o czym się mówi w toalecie na Kremlu.

– Myślę, że te czasy wkrótce się skończą, mój przyjacielu – odpowiedział jakiś głos mówiący z akcentem który Garuth uznał za rosyjski.

Nie byłoby żadnej różnicy, gdyby fizycznie przebywali na pokładzie *Shapierona*, pomyślał. Tak samo żartowaliby i śmiali się, niezależnie od sytuacji. Potrafili walczyć, przegrywać, zapominać, śmiać się, znowu próbować... i może odnieść sukces. Nie trapiła ich myśl, że znajdowali się o włos od klęski. Wygrali tę rundę, już o niej zapomnieli i myśleli tylko o następnej. Czasami Garuth zazdrościł Ziemianom.

Nagle odezwał się ZORAC. Jego ton był nagły.

– Proszę o uwagę. Wydarzyło się coś nowego. Sonda cztery wykryła statki startujące z drugiej strony Jewlen... pięć statków w zwartym szyku.

W tej samej chwili zmienił się obraz na głównym ekranie. Widniała teraz na nim zaokrąglona, miejscami zasnutą chmurami powierzchnia planety i pięć punkcików przesuających się na cętkowanym tle.

Na ekranie pomocniczym Hunt pochylał się w przód, a za nim tłoczyli się inni. Umilkły rozmowy. Sąsiedni ekran ukazywał Calazara i pozostałych Thurienów, wpatrujących się w coś z równym przejęciem.

– To musi być Broghuilio i jego sztab – stwierdził Calazar po chwili. – Próbują uciec na Uttan. Estordu mówił, że mają rezerwowy system działający między Jewlen a Uttan. Właśnie to planowali! Powinniśmy się domyślić.

Eesyana dołączył do Garutha na pomoście nawigacyjnym. Za nim podeszli Shilohin, Monchar i paru naukowców.

– Trzeba ich zatrzymać – powiedział Eesyana zaniepokojonym tonem. – Pewnie przygotowali Uttan jako ostatni punkt obrony. Jeśli do niej dotrą i przegrupują się, może

postanowią walczyć do końca. Szybko zorientowaliby się, że nie mamy im czym zagrozić. Jeśli Uttan znajdzie się w ich rękach, będziemy w prawdziwym kłopotcie.

– Co to jest Uttan? – zapytał z ekranu Hunt.

– Pozbawiona powietrza i wody skalista kula na skraju jewlenejskiego układu, bardzo bogata w metale – odpowiedział Eesyhan z nieobecny wyrazem twarzy. Jewlenowie otrzymali ją dawno temu jako źródło surowców do budowy własnego przemysłu. To stamtąd, oczywiście, pochodzi ich broń. Jeśli nasze podejrzenia są słuszne, to zamienili planetę w ufortyfikowaną fabrykę zbrojeniową. Musimy przeszkodzić Broghuilio w dotarciu tam.

Podczas gdy Eesyhan odpowiadał Huntowi, Garuth szybko przypominał sobie wszystko, co wiedział na temat thurieńskiego systemu podróży w nadprzestrzeni. VISAR lub JEVEX mogli dzięki gęstej sieci czujników, służących do monitorowania parametrów formującej się czarnej dziury, zakłócać wiązki przesyłane do określonych punktów kosmosu i przerywać strumień energii płynącej z nadprzestrzeni. Zakłócanie byłoby niemożliwe bez czujników. Ale jedyne czujniki w pobliżu Jewlen należały do JEVEXA, więc VISAR nie mógł ich wykorzystać, ponieważ JEVEX nie działał. Dlatego też VISAR nie mógł przerwać wiązki wysłanej z Uttan. I to był właśnie powód, dla którego Jewlenowie wyłączyli swój superkomputer.

– Nic nie możemy zrobić – mówił Calazar z innego ekranu. – Nie mamy niczego w tamtej okolicy. Nasze statki znajdują się w odległości co najmniej ośmiu godzin.

Na pokładzie nawigacyjnym zapadła męcząca cisza. Calazar patrzył bezradnie na obecnych, a Hunt i Ziemianie zamarli w bezruchu. Na głównym ekranie pięć jewlenejskich statków oderwało się od planety.

W miarę jak sytuacja stawała się jasna, Garuth powoli odzyskiwał zimną krew i od dawna nie zaznaną pewność siebie. Nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Znowu panował nad sobą i nad statkiem.

– My tu jesteśmy.

Eesyhan spojrzał na niego, a potem niepewnym wzrokiem na pięć kropek na głównym ekranie, zmniejszających się szybko na tle nieba usianego gwiazdami.

– Czy możemy ich złapać? – zapytał powątpiewająco. Garuth uśmiechnął się z zawziętym wyrazem twarzy.

– To tylko jewlenejskie transportowce międzyplanetarne – powiedział. – Zapomniałeś? *Shapieron* został zbudowany jako statek międzygwiazdny. – Nie czekając na odpowiedź Calazara, zawołał: – ZORAC, wyślij natychmiast czwórkę w pościg, wezwij pozostałe sondy, wynieś statek na wyższą orbitę, ustaw wszystkie znajdujące się na pokładzie sondy na najdalszy zasięg i włącz główny napęd na pełną moc. Gonimy ich.

I co potem zrobicie? – zapytał Calazar.

– Będę się tym martwił później – odparł Garuth. – Najważniejsze to ich nie zgubić.

– Tallyho! – krzyknął ZORAC, naśladując bezbłędnie angielski akcent.

Hunt wyprostował się w fotelu i mrugając oczami, popatrzył ze zdumieniem na jeden z ekranów.

– Skąd on to, do diabła, wytrzasnął? – zapytał.

– Filmy dokumentalne brytyjskich pilotów myśliwców z czasów drugiej wojny światowej – wyjaśnił ZORAC. – To na twoją cześć, Vic. Pomyślałem, że ci się spodoba.



## Rozdział trzydziesty ósmy

Broghuilio stał na pomoście jawlenejskiego statku flagowego i patrzył spode łba na techników i naukowców, którzy stłoczeni przed baterią ekranów przyjmowali meldunki napływające od długozasięgowych komputerów skaningowych. Ponad szmer głosów od czasu do czasu wybijały się okrzyki niedowierzania.

– I co? – zapytał, kiedy jego cierpliwość w końcu się wyczerpała.

Estordu obejrzał się wstrząśnięty.

– To niemożliwe – wyszeptał. Wskazał ręką za siebie. – Ale to prawda... nie ma wątpliwości.

– O co chodzi? – wybuchnął Broghuilio.

Estordu przełknął ślinę.

– To... *Shapieron*. Zbliża się od strony Jewlen.

Broghuilio wytrzeszczył oczy, jakby podejrzewał, że Estordu zwariował, potem odsunął od ekranów dwóch techników, żeby samemu spojrzeć. Przez sekundę stał z zaciśniętymi ustami, gdyż jego umysł nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co widziały oczy. Wtedy ożył następny ekran, ukazując powiększony obraz, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Broghuilio odwrócił głowę i spojrzał na Wylotta, który stał za nim oniemiały.

– Jak pan to wyjaśni? – krzyknął. Wylott przecząco potrząsnął głową.

– To nie może być on. Został zniszczony. Wiem, że został zniszczony.

– Więc co teraz leci prosto na nas? – Broghuilio zwrócił się do naukowców. – Od jak dawna jest nad Jewlen? Co tutaj robi? Dlaczego nikt o nim nie wiedział?

– Nigdy nie widziałem takiego przyśpieszenia! – gdzieś z góry doleciał głos kapitana. – Leci naszym kursem. Nie uciekniemy mu.

– Nie mogą nam nic zrobić – powiedział Wylott zduszonym głosem. – Statek nie jest uzbrojony.

– Głupiec! – warknął Broghuilio. – Skoro nie został zniszczony, musiał dotrzeć na Thurien. Ziemianie również mogli dotrzeć na Thurien. Więc może mieć na pokładzie Ziemian

i ziemską broń. Mogą nas rozerwać na strzępy, a po waszym partactwie załoga *Shapierona* nawet nie kiwnie palcem, żeby ich powstrzymać.

Wylott zwilżył wargi i nic nie odpowiedział.

– Wokół *Shapierona* tworzy się szybko pole naprężeń – zawołał ze swojego stanowiska jeden z operatorów. – Tracimy kontakt radarowy i optyczny. Hiperskaner pokazuje, że statek utrzymuje kurs i przyśpieszenie.

Estordu myślał intensywnie.

– Może mamy szansę, ekscelencjo – powiedział nagle. Broghuilio odwrócił głowę i wysunął pytająco podbródek. Estordu mówił dalej. – Ganimedejskie statki z tamtego okresu nie posiadały korektora pola naprężeń, a hiperskanery były nie znane. Innymi słowy, nie mają możliwości śledzenia nas przy włączonym głównym napędzie. Będą musieli na ślepo podążać za nami przewidywanym kursem i od czasu do czasu zwalniać, żeby wprowadzić korekty. Może uda się nam ich zgubić, zmieniając kurs w okresach, kiedy nas nie widzą.

– Z tyłu i na prawej burcie tworzy się anomalia grawitacyjna – zawołał w tym momencie operator – odległość półtora tysiąca kilometrów, siła siedem, rośnie. Odczyty wskazują na bramę wyjściową klasy piątej. Brama wejściowa formuje się w pobliżu *Shapierona*. – Oznaczało to, że VISAR wysłał dwie wiązki, by stworzyć połączoną ze sobą parę bram – coś w rodzaju „tunelu” prowadzącego w nadprzestrzeni od *Shapierona* do jowlenejskich statków. W bramie klasy piątej mieściły się stosunkowo małe obiekty. Napięcie na mostku sięgnęło szczytu. Znowu rozległ się zatrwożony głos operatora.

– Jakiś obiekt pojawił się z tej strony. Zbliża się... szybko!

– Bomba! – wrzasnął ktoś. – Wypuścili bombę!

Na mostku zapanowało przerażenie. Broghuilio zaczął się pocić. Wylott opadł na fotel.

– Obiekt zidentyfikowany. To jedna z automatycznych sond *Shapierona*... dopasowuje się do naszego kursu i szybkości. Brama wyjściowa zniknęła.

Operator komputera skaningowego zawołał:

– *Shapieron* stale przyśpiesza. Odległość czterysta tysięcy kilometrów.

– Uwolnijmy się od niego – warknął Broghuilio w stronę podwyższenia. – Kapitanie, proszę go zgubić.

Kapitan wydał kilka poleceń zmiany kursu, które komputer przyjął i wykonał.

– Sonda dostosowuje się do nas – nadszedł meldunek.

– Manewr uchyleniowy nieskuteczny. *Shapieron* skorygował kurs i stale się zbliża.

Borghuilio odwrócił się z wściekłą miną do Estordu.

– Powiedział pan, że będą ślepi! A nawet nie zwalniają.

– Estordu rozłożył ręce i potrząsnął bezradnie głową. Broghuilio spojrzał przez ramię na resztę naukowców. – No więc jak oni to robią? Czy któryś z was potrafi to wyjaśnić? – Odczekał chwilę, a potem ze złością wskazał palcem na ekrany z danymi na temat położenia *Shapierona*. – Na tamtym pokładzie jest geniusz. A ja jestem otoczony przez imbecyli. –

Zaczął przemierzać pomost. – Jak to się stało? Oni mają samych geniuszy, a ja samych imbecyli. Dajcie mi...

– Sonda! – jęknął nagle Estordu. – Musieli wyposażyć sondę i *Shapierona* w hiperłącza. Sonda śledzi wszystkie nasze ruchy i za pośrednictwem VISARA naprowadza statek. Nigdy się nie wymkniemy.

Broghuilio rzucił mu piorunujące spojrzenie, a potem popatrzył na oficera łącznościowego.

– Musimy wykonać teraz skok na Uttan – oświadczył. – Jak wygląda tam sytuacja?

– Generatory są w gotowości – odpowiedział oficer. – Celownik nastawiony na naszą radiolaternię. Mogą natychmiast otworzyć bramę.

– A co będzie, jeśli sonda przejdzie przez nią razem z nami? – zapytał Estordu. – VISAR zlokalizuje ją w pobliżu Uttan. Odkryją cel naszej podróży.

– Ci geniusze już dawno odkryli nasz cel – odparł Broghuilio. – I co mogliby zrobić? Możemy rozbić na atomy wszystko, co zbliży się do Uttan.

– Ale jesteśmy jeszcze zbyt blisko Jewlen – sprzeciwił się przestraszony Estordu. – To rozerwałoby planetę... zapanowałby chaos.

– Więc może zostaniemy tutaj? – zaszydził Broghuilio. – Nie przyszło panu jeszcze do głowy, że sonda to tylko ostrzeżenie? Następną rzeczą, jaką prześlą przez tunel, będzie bomba. – Obrzucił obecnych na mostku takim spojrzeniem, że nikt nie odważył się zaprotestować, po czym uniósł głowę. – Kapitanie. Proszę wykonać skok na Uttan.

Rozkaz przekazano na Uttan i w ciągu paru sekund potężne generatory przesłały energię do małego wycinka przestrzeni tuż przed pięcioma jowlenejskimi statkami. Czasoprzestrzeń zmarszczyła się, zakrzywiła, zafalowała, zapadła w samą siebie. Powstały wir utworzył bramę do innego wszechświata, najpierw jako słaby krąg gwiazdowego światła na tle próżni, który coraz grubszy i ostrzejszy, wolno się poszerzał, ukazując bezkresną czerń.

A potem, wewnątrz pierwszego, zmaterializował się wir załamane światła, obracający się w przeciwnym kierunku. Oba wiry migotały i pulsowały jak włókna przestrzeni i czasu splecione w zagmatwany węzeł linii geodezyjnych. Działo się coś niedobrego. Brama była niestabilna.

– Co się dzieje? – zapytał Broghuilio.

Estordu jak oszalały starał się objąć spojrzeniem wszystkie monitory i rzędy danych.

– Coś deformuje układ... rozrywa pole. Nigdy nie widziałem czego podobnego. To może być tylko VISAR.

– To niemożliwe – krzyknął jeden z naukowców. – VISAR nie może zakłócić wiązki. Nie ma czujników. JEVEX jest wyłączony.

– To nie zakłócenie – mruknął Estordu. – Przecież brama zaczęła się tworzyć. Tu dzieje się coś innego... – W tym momencie podchwycił wzrokiem kształt *Shapierona*. – Sonda! VISAR wykorzystuje sondę, żeby kontrolować bramę wejściową. Nie może przerwać wiązki,

więc próbuje przesłać z Gwiazdy Gigantów odpowiednią ilość energii, by zniszczyć nasz torus. Próbuje go zneutralizować.

– Nie dałby rady tego zrobić – zaprotestował inny naukowiec. – Pojedyncza sonda nie zapewniłaby mu wystarczającej rozdzielczości. Musiałby celować na ślepo z Gwiazdy Gigantów.

– Wiązki z Gwiazdy Gigantów i Uttan oddziaływałyby na siebie w tym samym obszarze przestrzeni – zauważył inny. – Powstałby rezonans, a wtedy wszystko jest możliwe.

– To właśnie jest rezonans – krzyknął Estordu, wskazując na monitor. – Mówię wam, że to robi VISAR.

– VISAR nigdy by czegoś takiego nie zaryzykował.

Przed statkami, pod wpływem potężnych uderzeń nakładających się na siebie wiązek energii, wysłanych z dwóch punktów odległych o całe lata świetlne, gotował się wir poskręcanej, zakrzywionej, wielospójnej czasoprzestrzeni. Jej jądro kurczyło się, rozszerzało, dzieliło i ponownie łączyło. A oni nadal lecieli w sam jego środek.

Broghuilio miał dosyć słuchania. Spojrzał w górę na kapitana, który czekał na decyzję. W ostatniej sekundzie jednak pewna rzecz odwróciła jego uwagę.

Estordu stał zupełnie nieruchomo z dziwnym wyrazem twarzy, wpatrując się w obraz *Shapierona*. Mamrotał coś do siebie i wydawało się, że zapomniał o całym świecie.

– Hiperłącza przez sondy – szepnął. – To w ten sposób VISAR dostał się do JEVEXA. – Otworzył szerzej oczy, a twarz mu zszarzała, kiedy dotarła do niego cała prawda. – W ten sposób... znalazło się wszystko w pamięci JEVEXA! Żadna z tych rzeczy nigdy nie istniała. Przez cały czas podsuwali nam te informacje za pośrednictwem *Shapierona*... Uciekamy przed samotnym, nie uzbrojonym statkiem.

– Co takiego? – warknął Broghuilio. – Dlaczego pan tak patrzy?

Estordu spoglądał na niego ponurym wzrokiem.

– To nie istnieje... Nie istnieje ziemska armia. Nigdy nie istniała. VISAR wpisał ją do pamięci JEVEXA za pośrednictwem *Shapierona*. Cała sprawa jest mistyfikacją. Przez cały czas był tylko *Shapieron*.

Z góry wychylił się kapitan.

– Ekscelencjo, musimy... – Urwał, kiedy zobaczył, że Broghuilio nie słucha, zawahał się, a potem zawołał do kogoś stojącego za nim. – Odłączyć przednie kompensatory. Wyłączyć zasilanie pomocnicze i dać pełną moc. Zaprogramować unik i natychmiast wykonać.

– Co?... Co pan powiedział? – Broghuilio potoczył wzrokiem po kręgu drżących postaci. – Mówi mi pan, że Ziemianie wystrychnęli nas na dudków?

– Manewr nieskuteczny – z góry dobiegł beznamiętny głos komputera. – Manewr nieskuteczny. Statek przyspiesza. Działanie korygujące niemożliwe. Powtarzam: działanie korygujące niemożliwe.

Broghuilio jednak nie słyszał, nawet kiedy statek wpadł w straszliwie zaplątany węzeł czasoprzestrzeni.

– Wy imbecyle! – szepnął. Potem podniósł zaciśnięte pięści nad głowę i coraz głośniejszym powtarzał drżącym głosem: – Imbecyle! Imbecyle! Wy imbecyle!

– Boże, oni lecą w sam środek! – zawołał Hunt z ekranu na pokładzie nawigacyjnym *Shapierona*.

Obraz widoczny na głównym ekranie przesyłała sonda, która trzysta tysięcy kilometrów dalej wciąż uparcie siedziała jehlowej statkom na ogonie. Zapadła grobowa cisza.

– Co się dzieje? – szepnął Eesyhan.

– Niestabilność spowodowana różnicami w widmach wiązek – odpowiedział VISAR. – Analiza właściwości powstałego obszaru nie do przeprowadzenia.

Na innym ekranie Calazar zaszokowany potrząsał protestująco głową.

– Nie miałem takiego zamiaru – powiedział zduszonym głosem. – Dlaczego nie zawrócili? Nie chciałem tylko dopuścić, by wykonali skok. ZORAC, wyłącz główny napęd i zwolnij – polecił bezbarwnym głosem. – Przekaż obraz tego obszaru.

Cały główny ekran wypełniło wirujące światło i czerń. Pięć kropek malało w oddali... i nagle zniknęło w chaosie. Wydawało się, że wir przyspieszył, kiedy sonda poszła w ich ślady. Potem, kiedy pole naprężeń wokół *Shapierona* rozproszyło się, ZORAC przekazał obraz otrzymywany ze skanerów statku i widok nagle się zmienił.

– Niestabilność zanika – zameldował VISAR. – Rezonanse przeradzają się w turbulentne wiry. Jeśli jest tam tunel, to się zapada.

Na ekranie pojawiły się wirujące świetlne okruchy, które ruchem spiralnym pędziły do wspólnego środka, jednocześnie malejąc, czerwieniejąc i rozmywając się. Potem przygasły i zniknęły. Ten fragment przestrzeni jeszcze przez chwilę się iskrzył, wskazując miejsce, gdzie nastąpił kolaps, a potem wszystko wróciło do normy, jakby nic się nie wydarzyło.

Przez dłuższy czas na pokładzie nawigacyjnym panowały zupełna cisza i bezruch. Twarze Ziemiaków i Thuriaków patrzyły z ekranów były ponure.

A potem odezwał się VISAR. W jego głosie brzmiała nuta niedowierzania.

– Mam następny meldunek. Nie pytajcie mnie, jak to możliwe, ale się wydostali. Sonda nadal przekazywała obraz, kiedy tunel zamknął się za nią, a jej ostatnie sygnały wskazują, że wróciła do normalnej przestrzeni. – Wszyscy na pokładzie nawigacyjnym słuchali ze zdumieniem, a tymczasem na głównym ekranie pojawił się obraz przesyłany przez sondę. Pięć jehlowej statków w nierównym szyku wisiało w normalnej przestrzeni kosmicznej usianej normalnymi z wyglądu gwiazdami. W górnym rogu widniał większy punkt, który mógł być planetą. W tym momencie obraz znieruchomiał. – Transmisja urwała się – powiedział VISAR.

– Przeżyli to? – wyjąkał Eesyhan. – Gdzie teraz są? W jakim obszarze kosmosu się wyłonili?

– Nie wiem – odpowiedział VISAR. – Lecieli na Uttan, ale wszystko mogło się zdarzyć. Próbuję dopasować te konstelacje do widoku nieba z Uttan, ale to może trochę potrwać.

– Nie możemy czekać – stwierdził Calazar. – Nawet jeśli Uttan ma silną obronę, muszę wysłać rezerwowe statki, żeby odciąć Broghuilio od planety. – Odczekał chwilę, ale nikt nie wyraził sprzeciwu. Dodał więc zdecydowanym głosem: – VISAR, połącz mnie z dowódcą eskadry rezerwowej.

– Nic tu nie mamy więcej do roboty – powiedział Garuth bardzo spokojnym głosem. – ZORAC, zawróć statek na Jewlen. Zaczekamy tam na przybycie Thurienów.

Podczas gdy *Shapieron* obierał kurs powrotny, poza obrębem układu planetarnego Gwiazdy Gigantów otworzyło się na moment kilka torusów i eskadra trzymanyh w odwodzie thurieńskich statków weszła w nadprzestrzeń, a następnie wyłoniła się w okolicy układu, do którego należała Uttan. Jewlenejskie instrumenty obserwacyjne wykryły je jako grupę obiektów pędzących prawie z szybkością światła. Dowódca na Uttan doszedł do wniosku, że część ziemskiej floty zmieniła kierunek, i za chwilę wszystkie pasma alarmowe przyniosły oferty bezwarunkowej kapitulacji. Thurienowie dotarli na Uttan kilka godzin później i zajęli ją bez przeszkód.

Nikt nie oczekiwał takiego rezultatu. Przyczyna była jeszcze bardziej zaskakująca: statki Broghuilio, mimo wszystko, nie pojawiły się na Uttan ani nigdzie w pobliżu. Planeta straciła z nimi kontakt po tym, jak opuściły okolice Jewlen; nie można ich było zlokalizować. Pozbawieni przywódców obrońcy Uttan postanowili poddać się bez walki.

Gdzie podziało się pięć jewlenejskich statków? VISAR zameldował, że nie zmaterializowały się nigdzie w kontrolowanym przez niego obszarze kosmosu, a kiedy otworzył małe bramy do dziesiątków światów obsługiwanych do tej pory przez JEVEXA i wysłał najeżone czujnikami i instrumentami sondy, w żadnym z tych miejsc nie znalazł statków. Wyglądało na to, że bez śladu zniknęły z przebadanej części Galaktyki.

Thurienowie znaleźli jednak na Uttan coś zastanawiającego, co nimi wstrząsnęło. Zobaczyli wiszące w przestrzeni rzędy ogromnych konstrukcji w różnych stadiach budowy. Każda miała kształt kwadratowej ramy o boku długości ośmiuset kilometrów, a biegnące z rogów po przekątnej pręty podtrzymywały kulę o średnicy trzystu pięćdziesięciu kilometrów.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

– Nie rozumiem tego – powiedział Calazar, przyglądając się konstrukcjom z jednego z thurieńskich statków unoszących się nad Uttan. – To są pełnowymiarowe kwadrufleksory, dokładnie takie, jak zaprojektowaliśmy. Jewlenowie zbudowali ich setki.

– Nie wiem – odparła Shilohin, potrząsając głową. – To nie ma sensu.

Heller, Caldwell i Danchekker spojrzeli po sobie.

– Co to jest kwadrufleksor? – zapytał Danchekker.

Calazar westchnął. Nie było powodu, by jeszcze coś ukrywać.

– To są urządzenia, za pomocą których zamierzaliśmy zamknąć Układ Słoneczny – wyjaśnił. – Miały być rozmieszczone w znacznej odległości od orbity Plutona, w punktach wytyczających powierzchnię quasikuli wokół układu. Każdy kwadrufleksor byłby sprzężony poprzez hiperpola z czterema sąsiednimi i razem zakrzywiałyby czasoprzestrzeń wzdłuż wyznaczonej granicy, uniemożliwiając wydostanie się poza nią. Przeprowadziliśmy testy z prototypami wykonanymi w mniejszej skali i zaczęliśmy nawet budować wersje w naturalnej wielkości, ale do zrealizowania całego planu pozostała jeszcze długa droga. – Calazar wskazał widok na zewnątrz statku. – Ale Jewlenowie w tajemnicy skopiowali nasz projekt i najwyraźniej ich prace są bardziej zaawansowane. Nie rozumiem tego.

Danchekker mrugał oczami i marszczył brwi, łamiąc sobie głowę nad zagadką. Odnosił wrażenie, że niewiele brakuje do zerwania ostatniej zasłony tajemnicy otaczającej wszystko, co wiąże się z Jewlenami. Wyolbrzymiając ziemską agresywność i fabrykując dowody, Jewlenowie przekonali Ganimedejczyków, że należy powstrzymać ekspansję Ziemi, a jedynym sposobem jest fizyczne odcięcie ich od reszty wszechświata. Ganimedejczycy do niedawna wierzyli w to i podjęli odpowiednie przygotowania. Ale Jewlenowie porwali się na identyczne przedsięwzięcie i ukryli ten fakt przed Ganimedejczykami. Dlaczego? Co to oznaczało?

Danchekker spojrział na prezentowane przez VISARA obrazy z pokładu nawigacyjnego *Shapierona* oraz z gabinetu Sverenssena w Conencticut, ale nie wysunięto stamtąd żadnych sugestii. Ganimedejczycy na *Shapieronie* byli zbyt zajęci czymś, co rozgrywało się na

głównym ekranie statku, podczas gdy na drugim obrazie mógł dostrzec tylko plecy Hunta i pozostałych osób tłoczących się przy terminalu, który łączył ich ze statkiem. W obu miejscach słychać było podniecone rozmowy, lecz nie wiadomo, na jaki temat.

– Czy oni mogli sami planować podobną rzecz? – odezwała się w końcu Karen Heller.

– Po co? – zapytał Calazar. – Przecież już nad tym pracowaliśmy. Co spodziewali się osiągnąć?

– Czas? – podsunął Caldwell.

Calazar potrząsnął głową.

– Jeśli czas był dla nich tak istotny, mogli przekonać nas, byśmy niewielkim wysiłkiem przyspieszyli program. Oczywiście bylibyśmy w stanie dostosować harmonogram prac do ich żądań.

Frenua Showm nad czymś dumiała. – A jednak to dziwne – stwierdziła. – Kilkakrotnie, gdy chcieliśmy przyspieszyć program, Jewlenowie zdawali się bagatelizować ryzyko ziemskiej ekspansji. Było tak, jakby próbowali utrzymać tempo naszych badań, ale nie chcieli zbyt szybkiego wdrożenia ich wyników do produkcji.

– Podpatrywali technologię – mruknął Caldwell. – Dbali o to, by ich program wyprzedzał wasz. – Umilkł na chwilę, a potem zapytał: – Czy te konstrukcje można by wykorzystać do zamknięcia czegoś innego oprócz układu planetarnego?

– Raczej nie – odparł Calazar i dodał: – Choć przypuszczam, że można by za ich pomocą zamknąć coś o porównywalnych rozmiarach... albo mniejszego.

– Hmm... – Caldwell popadł w zamyślenie. Heller wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie zamierzali zamknąć Układu Słonecznego, musieli planować zamknięcie czegoś innego...

Zawiesiła głos, kiedy nagle odpowiedź stała się jasna dla niej i dla pozostałych.

Calazar i Showm patrzyli na siebie bez słowa przez parę sekund.

– Nas? – wydusił wreszcie Calazar. – Thuriarów?

Zamierzali zamknąć układ Gwiazdy Gigantów?

Showm podniosła dłoń do czoła i potrząsnęła głową, jakby starała się zrozumieć implikacje. Caldwell i Heller stali w osłupieniu.

Wszystko zaczęło się nagle układać w umyśle Dancheckera.

– Tak! – wykrzyknął. Wyszedł na środek grupy, przez chwilę zastanawiał się, a potem zaczął energicznie kiwać głową. – Tak! – powtórzył. – To z pewnością jedyne rozsądne wyjaśnienie. – Podekscytowany, spozjrzał kolejno na wszystkich, jak gdyby oczekiwał, że od razu się z nim zgodzą. Odpowiedzieli mu pustym wzrokiem. Nikt nie wiedział, o czym on mówi. Oczekał chwilę, a potem dodał: – Nie byłem w stanie do końca uwierzyć, że obsesyjna rywalizacja lambiańsko-ceriańska mogła przetrwać w pamięci Jewlenów, biorąc zwłaszcza pod uwagę wpływ Ganimedejczyków. Czy nigdy nie wydało się wam to dziwne?



Czy nikt z was nie wyczuł, że za tym musi kryć się coś jeszcze? – spojrzał na nich pytającym wzrokiem.

Po chwili Caldwell odpowiedział.

– Chyba nie, Chris. Dlaczego pytasz? Do czego zmierzasz?

Danchecker zwilżył wargi.

– To ciekawa myśl, chyba się zgodzicie, że za tym wszystkim zawsze kryło się coś trwałego i niezmiennego, podczas gdy przemijały jewlenejskie pokolenia.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Heller spojrzała na profesora i szepnęła:

– JEVEX? Twierdzisz, że za całą tą sprawą stał komputer?

Danchecker potwierdził skinieniem.

– JEVEXA zbudowano dawno temu. Nie do pomyślenia jest, aby bezwzględność i ambicje jego twórców – potomków Lambian – nie znalazły odzwierciedlenia w projekcie i oprogramowaniu jako jego wewnętrzna siła napędowa. I czy komputer nie mógłby wykorzystać jewlenejskiej elity do realizacji swoich ambicji? Jeśli tak było, to natknąłby się przy tym na przeszkodę w postaci ograniczeń nałożonych przez Thurienów.

Caldwell skinął głową.

– Musiałby jakoś pozbyć się Thurienów – stwierdził.

– Właśnie – powiedział Danchecker. – Ale nie tak szybko. Najpierw chciał się od nich wiele nauczyć. A naprawdę chytre było to, że na koniec własna pomysłowość i technika Thurienów miały dostarczyć środków, za pomocą których Jewlenowie zamierzali się ich pozbyć. Później, uzbrojeni w ukradzioną Ganimedejczykom naukę i z JEVEXEM jako przywódcą, Jewlenowie mieliby Galaktykę na swojej łasce. Pomyślcie o tych wszystkich rozwijających się światach... o technice, dzięki której można w jednej chwili przenosić się o całe lata świetlne. Staliby się panami całego przebadanego kosmosu, dążącymi do nieograniczonego poszerzania swojego imperium, a jedyna zdolna się im przeciwstawić siła byłaby zamknięta wewnątrz grawitacyjnej skorupy, z której nic nie mogłoby się wydostać. – Danchecker chwycił klapy marynarki i rozejrzał się po zdumionych twarzach. – Teraz wreszcie rozumiemy, co się za tym wszystkim kryło; jaki był ostateczny cel, do którego dążyli prawdopodobnie jeszcze od czasów Minerwy. I jak niewiele im brakowało do sukcesu!

– Więc broń na Uttan... – powiedział Calazar niepewnym głosem, w dalszym ciągu starając się pojąć potworność tego, co usłyszał. – Wcale nie miała być użyta przeciwko Thurienom?

– Otóż to – powiedział Danchecker. – Podejrzewam, że we właściwym czasie miała wesprzeć ich późniejszą ekspansję.

– Tak, i zgadnijcie, kto znajdował się pierwszy na liście – wtrąciła Heller. – Byli Lambianami, a my Cerianami.

– Oczywiście! – szepnęła Showm. – Ziemia byłaby bezbronna. To dlatego ukrywali przed nami waszą demilitaryzację. – Wolno pokiwała głową z niechętnym podziwem. – Zgrabnie to

obmyślili. Najpierw starali się opóźnić postęp na Ziemi, a sami umacniali się i uczyli. Potem nagle przyspieszyli ziemskie odkrycia naukowe i doprowadzili do powstania zagrożenia, a następnie zjednali sobie pomoc Ganimedejczyków, by je zlikwidować. W końcu usunęli zagrożenie, ale ukryli ten fakt przed Ganimedejczykami i zamierzali tę samą technikę, do której rozwinięcia skłonili Ganimedejczyków, wykorzystać przeciwko nim. Wtedy, mając ogromną przewagę, mogliby bez przeszkód wyrównać stare porachunki z Cerianami.

– Nie mielibyśmy szans – stwierdził Caldwell, przynajmniej raz szczerze poruszony.

– A Jewlenowie ponownie objęliby w posiadanie Układ Słoneczny, co zawsze, jak podejrzewam, było ich głównym celem – powiedział Danhekker. – Sądzę, że zawsze uważali go za swoją własność. I nie musieliby dłużej grać drugich skrzypiec przy Ganimedejczykach, czego najwyraźniej nie byli w stanie zaakceptować, nawet z wdzięczności.

– Teraz wszystko nabiera sensu – oświadczył Calazar zrezygnowanym tonem. – Dlatego tak się upierali, by mieć swoją własną, autonomiczną grupę światów... dlatego tak potrzebowali niezależnego od VISARA systemu, kontrolującego ich obszar kosmosu. Spojrzał na Showm i skinął głową. – Wiele rzeczy zaczyna się teraz wyjaśniać. – Umilkł na chwilę. Kiedy się znów odezwał, jego głos był silniejszy. – Jeśli to wszystko prawda, problem, co robić dalej, staje się łatwiejszy do rozstrzygnięcia. Jeśli korzenie całej sprawy tkwią nie w Jewlenach, lecz w JEVEXIE, może, mimo wszystko, istnieje dla nich nadzieja. Może przykre represje nie będą konieczne.

W oczach Showm pojawił się wyraz zamyślenia.

– Taak – powiedziała wolno. – Możliwe, że przy odpowiedniej pomocy zbudowałiby na nowo swoją cywilizację na innych podstawach i przekształcili się w dojrzałą i łagodną rasę. Może nie wszystko jeszcze stracone.

– Mamy więc przed sobą cel i zadanie do wykonania – stwierdził Calazar bardziej entuzjastycznym tonem. – Pomimo wszelkich niepowodzeń, sprawy mogą przyjąć jeszcze pomyślny obrót. Jak powiedziałaś, nie wszystko stracone.

– Zapewne rozumiecie, że na razie to tylko hipoteza – zauważył Danhekker pośpiesznie. – Ale chyba istnieje sposób, by ją sprawdzić. Jeśli rzeczywiście wszystko zaczęło się od JEVEXA, być może uda się nam odkryć źródło tego, o czym mówiliśmy, w jego najstarszych archiwach. – Spojrzał na Calazara. – Przypuszczam, że kiedy twoi ludzie przejmą kontrolę nad Jewlen, można będzie uruchomić część JEVEXA, żeby VISAR dokładnie przebadal jego pamięć.

Calazar skinął głową.

– Tak pomyślałem. Powinniśmy porozmawiać o tym z Eesyaniem. – Spojrzał na obraz przekazywany z pokładu nawigacyjnego *Shapierona*. – Jeszcze nie jest wolny? Co się tam dzieje?

Pośród Ganimedejczyków widocznych na głównym ekranie zapanowała konsternacja. Jednocześnie z drugiego ekranu, przekazującego obraz z Ziemi, dobiegł chór okrzyków. Hunt

i pozostali wpadali na siebie, spiesząc w stronę terminalu, który łączył ich z thurieńskim statkiem krążącym nad Uttan. Danchecker Calazar i inni zapomnieli o swojej wcześniejszej rozmowie i patrzyli ze zdumieniem. Hunt odezwał się z ekranu prawie bełkocząc z podniecenia.

– Znaleźliśmy ich! ZORAC rozpoznał planetę. Wiemy, gdzie są. To niemożliwe!

Danchecker zamrugnął oczami.

– Vic, co ty bełkoczesz? Uspokój się i po prostu powiedz, o co ci chodzi.

Hunt opanował się z wysiłkiem.

– Pięć jowleńskich statków. Wiemy, co się z nimi stało. – Umilkł na chwilę, żeby nabrać powietrza, a potem ponad stojącymi za nim ludźmi zawołał w stronę terminalu łączącego ich z *Shapieronem*. – ZORAC, prześlij ten obraz VISAROWI. Powiedz mu, żeby odtworzył go na Uttan. – Na statku, na którym znajdował się Danchecker, pojawił się ostatni obraz jowleńskich statków, przesyłany przez sondę *Shapierona* przed zamknięciem się tunelu. – Widzicie to? – zapytał Hunt.

Danchecker potwierdził skinieniem.

– Tak. I co z tego?

– Punkt w górnym prawym rogu to planeta – powiedział Hunt. – Zapytaliśmy ZORACA, czy mógłby przetworzyć tę część obrazu, żebyśmy lepiej się przyjrzieli. Zrobił to. Wiemy już, jaka to planeta.

– No? – ponaglił Danchecker, zaintrygowany. – Gdzie ona się znajduje?

– Lepiej byłoby zapytać „kiedy” – poprawił go Hunt. Danchecker zmarszczył brwi i rozejrzał się wokół siebie, ale napotkał równie zdziwione spojrzenia.

– Vic, o czym ty mówisz?

– VISAR, pokaż im – polecił Hunt w odpowiedzi. Plamka powiększyła się w mgnieniu oka, zajmując cały ekran. Na tle gwiazd jasno świeciła planeta z widocznymi formacjami chmur i oceanami. Rozdzielczość nie była zbyt dobra, ale dało się rozróżnić zarysy kontynentów na powierzchni. Calazar i Showm zamarli. Ułamek sekundy później Danchecker zrozumiał dlaczego.

To, na co patrzył, nie było mu nieznane. Podobnie jak Hunt, wiele razy studiował zarys każdej wyspy, przesmyku, ujścia i wybrzeża między dwiema ogromnymi czapami lodowymi... dwa lata temu w Houston, w trakcie badań nad Lunarianami. Spojrzał w bok. Calazar i Showm nadal wpatrywali się z lękiem w ekran, a Caldwell wytrzeszczał oczy z niedowierzania. Danchecker poszedł za ich spojrzeniami. Nadal tam widniała. Nie wymyślił jej sobie.

Tą planetą była Minerwa.

## Rozdział czterdziesty

Nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, co zaszło w ciągu tych ostatnich kilku sekund, kiedy VISAR i projektor na Uttan walczyły ze sobą o kontrolę nad tym samym drobnym fragmentem czasoprzestrzeni, odległym o wiele lat świetlnych. Wielu sądziło, że nigdy się to nikomu nie uda. Ale Hunt w końcu musiał uwierzyć w twierdzenie, które Paul Shelling wygłosił w Houston tego dnia, kiedy Karen Heller i Norman Pacey przyjechali na rozmowę do Caldwell: „Ganimedejskie równania opisujące możliwość natychmiastowego przemieszczania się w przestrzeni miały rozwiązania, które dopuszczały także przenoszenie się w czasie”. Albo obie rzeczy naraz. Przecież pięć jewlenejskich statków w jakiś sposób pokonało całe lata świetlne przestrzeni i cofnęło się o pięćdziesiąt tysięcy lat w czasie, pojawiając się w Układzie Słonecznym w okresie, kiedy jeszcze istniała Minerwa. W istocie, dzięki dokładnym pomiarom pozycji gwiazd widocznych w tle, ganimedejscy naukowcy z dużą dokładnością określili czas na dwa tysiące lat przed ostatnią wojną lunariańską.

I to, oczywiście, wyjaśniało, skąd pochodziła rasa Lambian, która pojawiła się pozornie w ciągu jednej nocy, z techniką najbardziej zaawansowaną na planecie. Wyjaśniało również, dlaczego planeta, która odrzuciła swoje wojownicze obyczaje i zaczęła zgodnie i konstruktywnie pracować na rzecz ewentualnej migracji na Ziemię, podzieliła się na dwa rywalizujące obozy i doprowadziła w końcu do własnej zguby. Cerianie wyewoluowali z ziemskich naczelnych, przywiezionych na Minerwę przez Ganimedejczyków dwadzieścia pięć milionów lat wcześniej, podczas gdy Lambianie pochodzili z Jewlen z okresu o pięćdziesiąt tysięcy lat późniejszego. Lambianie nie wyewoluowali na planecie; oni na nią przybyli.

Było jeszcze znacznie więcej zagadek, nad którymi naukowcy mogli głowić się przez wiele następnych lat. W jaki sposób, na przykład, Lambianie mogli być potomkami własnych potomków? Zrozumiano wreszcie, że zachłanność i żądza władzy cechowały ich grupę, a nie ludzką rasę jako całość, ale w takim razie skąd wzięły się te cechy? Jewlenowie odziedziczyli je po Lambianach, a ci odziedziczyli je po Jewlenach, którzy wylądowali na Minerwie. Kiedy i gdzie to się zaczęło? Danchekker spekulował, że przejście przez strefę zaburzonej

czasoprzestrzeni mogło spowodować jakąś psychiczną aberrację, od której wszystko się zaczęło, ale wyjaśnienie to nie było zadowalające, ponieważ znaczenie słowa „zaczęło” w tym kontekście uznano za, co najmniej, niejasne.

Kolejna tajemnica dotyczyła wiedzy na temat późniejszych wydarzeń, wiedzy, którą Jewlenowie przypuszczalnie zabrali ze sobą na Minerwę. Jeśli wiedzieli o następnych dwustu latach, wojnie, tysiącletniach spędzonych z Thurienami, o własnej klęsce zadanej przez VISARA, dlaczego pozwolili, żeby to wszystko się wydarzyło? Czy nie byli w stanie zmienić biegu rzeczy? Z pewnością nie. Czy cała nowa historia została wpisana w pętlę czasową, by wymazać i zastąpić coś, co istniało „przedtem”, cokolwiek to oznaczało? A może w pośpiechu Jewlenowie nie zabrali ze sobą archiwów, a trudy podróży wywołały u nich amnezję, tak że przybyli na miejsce, nie wiedząc, kim są ani skąd pochodzą, i w ten sposób skazali się na powtórzenie niezmiennego, nigdy nie kończącego się cyklu?

Thurienowie nie znali odpowiedzi również na te pytania, które wiązały się ze sprawami nie objętymi nawet teoretycznymi badaniami. Może któregoś dnia przyszłe pokolenia ganimedejskich i ziemskich matematyków i fizyków odkryją logikę, w ramach której zdarzają się takie rzeczy, i możliwe, że wtedy znowu nikt nie będzie nic wiedział.

Rozwiązano jednak jedną zagadkę, dręczącą Ziemiaków, Ganimedejczyków i Jewlenów – zagadkę urządzenia umieszczonego poza orbitą Plutona, które odpowiedziało na pierwszą wiadomość wysłaną z ciemnej strony Księżyca w starożytnym ganimedejskim kodzie i przekazaną bezpośrednio do VISARA. Thurienowie przypuszczali, że umieścili je tam Jewlenowie, a z kolei Jewlenowie podejrzewali o to Thurienów, ale ze względu na okoliczności żadna ze stron nie mogła oskarżyć o to drugiej. A teraz, kiedy zostało zniszczone, nie można go było zbadać. Więc co to było i jak się tam znalazło?

Nasuwała się jedyna odpowiedź, że była to sonda, która wleciała do tunelu w ślad za jewlenejskimi statkami. Naturalnie, zaprogramowano ją tak, by odpowiadała na wezwania macierzystego statku, oraz wyposażono w hiperłącze z Thurien. Analizując chronologiczny zapis komunikatów wymienionych w ciągu tych ostatnich kilku sekund, naukowcy Shilohin ustalili, że zanim tunel się zamknął, sonda czekała na dalsze polecenie z *Shapierona*. Najwyraźniej czekała bardzo długo. Pod wpływem impetu, jaki nadał jej VISAR w pościgu za jewlenejskimi statkami, wyskoczyła w pobliżu Minerwy, a potem znalazła się na odległej orbicie wokółsłonecznej za Plutonem, i czekała. Wreszcie usłyszała zrozumiałą wiadomość i przekazała ją do VISARA, ponieważ właśnie to nakazywała jej instrukcja. Nie wiedziała, że tymczasem minęło pięćdziesiąt tysięcy lat.

I tak zamknęło się koło łączące Minerwę i wczesnych Ganimedejczyków, Lunarian – zarówno Lambian, jak i Cerian – Charliego, Koriela, Ziemię i Homo sapiens oraz Gwiazdę Gigantów. Historia zaczęła się od własnego końca, a JEVEX, Broghuilio i Lambianie zostali zamknięci w nierozzerwalnej pętli, mocno i na stałe zakotwiczonej w przeszłości. Jak na ironię, z ich więzienia jeszcze trudniej było uciec niż z tego, które sami obmyślili.

Uwolnieni od destruktywnego czynnika, mieszkańcy Jewlen okazali się niczym nie różnić od innych ludzkich istot i zabrali się w nastroju optymizmu i współpracy do budowania nowego społeczeństwa. Wymagało to nie tylko reform politycznych i społecznych, ale także ciężkiej fizycznej pracy z powodu ogromnych szkód, powstałych głównie w wyniku powodzi, których przyczyną były zaburzenia grawitacyjne po spektakularnej ucieczce Broghuilio. Calazar ustanowił Garutha tymczasowym zarządcą planety. Miał on nadzorować i koordynować całą operację. Jewlen czekał teraz okres próby; przez jakiś czas musiała się obywać bez międzyplanetarnego systemu komputerowego na wzór JEVEXA. Planowanie i inne zadania wymagały jednak dużej zdolności przetwarzania danych i na szczęście, znalazła się odpowiednia maszyna w postaci ZORAC A. *Shapierona* umieszczono na stałe na Jewlen i ZORAC stał się zaczątkiem nowej sieci, która pewnego dnia miała objąć swoim zasięgiem również inne planety i połączyć się z VISAREM.

Ponadto czasowo pozbawiona superkomputera Jewlen miała stać się idealnym domem dla załogi *Shapierona*, przeniesionej o dwadzieścia pięć milionów lat w przyszłość i wyrwanej z własnej cywilizacji. Ganimedejczycy mogli na niej odzyskać siły i dostosować się do thurieńskiego sposobu życia. Jednocześnie mieli odegrać kluczową rolę, pomagając Garuthowi w odbudowaniu planety i stworzeniu na Jewlen nowego systemu zarządzania. Tak więc Garuth, jego załoga i ZORAC mieli przed sobą ważną pracę do wykonania, ciekawą przyszłość i nareszcie własny dom.

Na Ziemi Mikołaj Sobroskin został radzieckim ministrem spraw zagranicznych w nowym porządku, który powstał na gruzach starego reżimu. W wyniku pewnych machinacji na Kremlu, które nigdy nie wyszły na jaw, Verikoff skończył jako doradca do spraw nauk pozaziemskich i przeszedł do historii jako pierwszy obcy, jaki wystąpił o ziemskie obywatelstwo i je otrzymał.

W Departamencie Stanu Karen Heller i Norman Pacey stanęli na czele zespołu utworzonego przez Packarda. Mieli wypracować metody przełamania wiekowej bariery podejrzeń między Wschodem i Zachodem oraz ustalić sposoby osiągnięcia powszechnego dobrobytu dzięki połączonej gospodarczej potędze Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, a także materialnym i ludzkim zasobom Trzeciego Świata. Zabrano się również do zlikwidowania międzynarodowej sieci, która przyspieszyła wybuch pierwszej wojny światowej, sfinansowała obie rewolucje bolszewickie, dojście Hitlera do władzy, a w późniejszych latach doprowadziła do kryzysów na Bliskim Wschodzie i w południowo-wschodniej Azji, zapoczątkowała wyścig zbrojeń nuklearnych i stała za wieloma innymi wydarzeniami. Wszystkie te szczegóły znaleziono w archiwach JEVEXA.

ONZ, oczyszczona z sił, które omal nie doprowadziły do przejęcia tej światowej potęgi przez Jewlenów, przekształciła się w instrument zdolny zapewnić Ziemi miejsce w międzygwiazdnej społeczności. Miała również odegrać ważną rolę w tej społeczności, dzięki takim ludziom, jak Clifford Benson, pułkownik Shearer i generałowie Sobroskina.

Ganimedejczycy, pomimo całej swojej nauki i techniki, zmądrzeli na tyle, że postanowili utrzymywać silną armię; nie wiadomo, ilu jeszcze podobnych do Broghuilio osobników mogło czekać na swoją okazję w niezbadanych otchłaniach Galaktyki.

Te dni miały dopiero nadejść, ale najpierw należało poczynić pewne przygotowania – zredukować całą planetę, zrewidować i uaktualnić cały system nauk przyrodniczych. UNSA opracowała tymczasowe plany włączenia Navcomms do nowo utworzonego wydziału pod kierownictwem Caldwell, który przeniósł się do Waszyngtonu, żeby wziąć się do gigantycznego zadania – zmiany długoterminowego programu kosmicznego z uwzględnieniem ganimedejskiej techniki oraz zapoczątkowania badań nad podłączeniem wybranych fragmentów ziemskiej sieci telekomunikacyjnej do VISARA. Hunt miał zostać zastępcą dyrektora nowej instytucji, a Danhekker, rozpalony wizją nie ograniczonego dostępu do mnóstwa obcych światów z ich własną ewolucją i biologią, przyjął ofertę zostania dyrektorem Wydziału Nauk o Obcych Formach Życia.

Przynajmniej taki podał powód przenosin do Waszyngtonu. Caldwell, oczywiście, zarezerwował jedną z ramek na schemacie organizacyjnym dla Lyn.

Prawdziwym jednak bohaterem wojny, którego nikt we wszechświecie nie mógłby zastąpić, był VISAR. Calazar zgodził się, żeby VISAR przejął wyłączną kontrolę nad Uttan, zyskał sporą niezależność i jednocześnie ewoluował, wykształcając swój własny rodzaj inteligencji. Ale VISAR nie zerwał więzów łączących go z jego twórcami i w nadchodzących wiekach w ekspansji na całą Galaktykę zgodnie uczestniczyli Ziemianie i Ganimedejczycy, wykorzystujący instynkty i zdolności istot żywych i maszyn, których połączenie okazało się tak doskonałe.

## Epilog

Procesja sunących wolno limuzyn zatrzymała się przed wojskową strażą honorową i szeregami zagranicznych ambasadorów stojących na skraju płyty lotniska bazy Andrews w stanie Maryland, kilka kilometrów od Waszyngtonu. Dzień był słoneczny i ciepły, a tłumy wypełniające teren poza ogrodzeniem zachowywały się dziwnie cicho.

Czując się trochę nieswojo i oficjalnie w czarnym, prążkowanym, trzyczęściowym garniturze, koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami oraz ciasno zawiązanym krawacie, Hunt wysiadł z tyłu czarnego samochodu, drugiego z kolei za limuzyną oznakowaną powiewającym na masce prezydenckim proporcem, i podał ramię Lyn, podczas gdy szofer trzymał drzwi. Danchecker, wystrojony podobnie, choć czuł się wyraźnie źle w takim ubraniu, podjechał jako następny, za nim Caldwell i paru dyrektorów UNSA.

Vic rozejrzał się i zauważył w pewnej odległości perceptor, stojący w rzędzie samolotów.

– Niezupełnie jak w domu, prawda? – skomentował. – Nie ma zabitych deskami okien i przydałoby się trochę śniegu i góry na horyzoncie.

– Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś sentymentalny – stwierdziła Lyn. Spojrzała w górę.  
– Błękitne niebo i mnóstwo zieleni. Przyzwyczaję się do tego.

– Nie uważam za romantyka kogoś, kto wzdycha do dawnych czasów – oświadczył Danchecker.

Lyn potrząsnęła głową.

– Po tylu lotach, które odbyłam tam i z powrotem, nie zależy mi, by kiedykolwiek jeszcze zobaczyć McClusky.

– Być może niedługo wyślemy cię znacznie dalej – mruknął Caldwell.

Premier radziecki i jego delegacja jeszcze nie wysiedli z sąsiedniego samochodu, ale obok pierwszego wozu w kolumnie już stał prezydent Stanów Zjednoczonych wraz z osobami towarzyszącymi. Karen Heller i Norman Pacey odłączyli od grupy i przeszli do tyłu.



– Cóż, przyzwyczajajcie się do tego – powiedział Pacey, zataczając ramieniem koło. – To będzie przez jakiś czas wasz nowy dom. Mam wrażenie, że wkrótce uznacie to miejsce za swoje prywatne lotnisko. Będziecie teraz dosyć zajęci.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy – powiedziała Lyn. – Zdaje się, że Vic woli McClusky.

– Kiedy przeprowadzacie się do Waszyngtonu? – zapytała Heller.

– Za parę miesięcy – odpowiedział Caldwell. Karen spojrzała na Dancheckera.

– Pierwsze, co zrobimy, Chris, to wybierzemy się gdzieś na kolację. Wynagrodzimy sobie wszystkie kasynowe posiłki z Alaski.

– Wspaniała propozycja – odparł Danchecker. – Z ochotą się na nią zgadzam.

Lyn trąciła Hunta łokciem pod żebra. Vic odpowiedział jej porozumiewawczym spojrzeniem i szerokim uśmiechem.

Pacey zerknął na zegarek i obejrzał się. Sobroskin właśnie wysiadał z parkującego przed nimi samochodu.

– Już prawie czas – oznajmił Pacey. – Lepiej ruszajmy.

Dołączyli do grupy Rosjan, której wszystkich członków poznali wcześniej w sali klubowej, i razem podeszli do prezydenta i jego towarzystwa, stojących na początku kawalkady limuzyn. Sobroskin zbliżył się do Pacey.

– Nadszedł ten dzień, przyjacielu – powiedział. – Dzieci zobaczą inne światy pod ich gwiazdami.

– A mówiłem ci, że tak się stanie – odparł Pacey.

Packard popatrzył na nich z zaciekawieniem.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Pacey uśmiechnął się.

– To długa historia. Będę ci musiał ją kiedyś opowiedzieć.

Packard odwrócił się do Caldwell.

– Przynajmniej wiem, czego się tym razem spodziewać, Gregg. Ale i tak tego nie przeżyję.

– Nie martw się – odparł Caldwell. – Reszta z nas nie przeżyje cię o więcej niż o kilka sekund.

Ruszyli w stronę otwartego terenu bazy i zatrzymali się, tworząc karny czworobok z zespołem z McClusky i Jerolem Packardem na samym przodzie. Za nimi stali ramię w ramię amerykański i radziecki przywódca, a po obu ich bokach Sobroskin i Pacey na czele swoich delegacji, na końcu zaś personel UNSA i goście z pozostałych samochodów. Wszystkie głowy były podniesione w górę w oczekiwaniu. I nagle przez bazę i zgromadzone na zewnątrz tłumy przebiegła fala podniecenia, którą raczej dało się wyczuć, niż usłyszeć.

Statek już się ukazał jako słaby punkcik, powiększający się na tle nieskazitelnego błękitu. W miarę jak rósł, nabierał srebrzystego połysku, odbijając słoneczne światło, i zmienił się w

wąski klin z łagodnie zaokrąglonymi brzegami, które rozszerzały się na końcu w dwa ostro zakończone skrzydła. I ciągle się powiększał.

Hunt otworzył usta, kiedy zaczęły stopniowo ukazywać się szczegóły – wybrzuszenia wzdłuż kadłuba, nadbudówki, owiewki, podwieszane gondole, kopuły obserwacyjne, wieżyczki – dając pewne wyobrażenie o ogromie statku. Ze wszystkich stron dobiegały okrzyki zdumienia, a tłum na zewnątrz wydawał się sparaliżowany. Statek musiał mieć całe kilometry długości... dziesiątki kilometrów; trudno było ocenić. Powiększył się nad ich głowami, wypełniając połowę nieba jak jakiś ogromny, mityczny ptak, który zawisł nad całym stanem Maryland. A przecież nadal znajdował się w stratosferze, a może jeszcze wyżej.

Hunt widział już wcześniej thurieńskie generatory mocy i wiedział, że rozciągają się na wiele kilometrów, ale znajdowały się w pustej przestrzeni kosmicznej, gdzie nie było ich z czym porównać. Jego zmysłom oszczędzono wstrząsu bezpośredniej konfrontacji, pozostawiając wyobraźni uporanie się z podanymi liczbami. Tu było inaczej. Stał na Ziemi, otoczony drzewami, budynkami i wszystkimi innymi rzeczami, składającymi się na znajomy świat, do którego nie wpuszczano takich intruzów. Nawet odległość od horyzontu do horyzontu, raczej wyczuwana niż widoczna bezpośrednio, z góry wytyczała granice i określała dopuszczalne zasady. Thurieński statek nie mieścił się w tym schemacie. Należał do innego rzędu wielkości, łamał wszystkie znane reguły i lekceważył zwykłe ograniczenia. Hunt poczuł się jak insekt, który właśnie pojął znaczenie pojawiającego się przed nim paznokcia, lub jak bakteria, która dostrzegła ocean. Jego umysłowi brakowało wzorca, by dopasować do niego to, co widział. Buntowały się przeciwko temu zmysły. Starał się pogodzić to z dotychczasowymi doświadczeniami, ale nie zdołał. Poddał się.

W końcu ten hipnotyczny trans przerwało światło w dolnej części statku. Wokół niego, wśród znieruchomiałych do tej pory ludzi zaczęło się poruszenie, kiedy je również zauważyli. Coś opuszczało się w dół i znajdowało już znacznie bliżej niż statek. Musiało obniżyć się od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz stało się widoczne. Poruszało się szybko i bezszelestnie prosto w stronę środka bazy i okazało się spłaszczoną, silnie wydłużoną elipsoidą z czystego złota, zupełnie gładką oprócz dwóch ostrołukowych stateczników wystających z górnej części. Pojazd cicho wylądował kawałek dalej, dziobem w kierunku Hunta i pozostałych osób. Przez jakieś dziesięć sekund żaden dźwięk ani poruszenie nie zakłóciły całkowitej ciszy, jaka zapanowała w bazie.

A potem opuścił się wolno fragment spodu, tworząc szeroką pochylnię prowadzącą na ziemię. Miejsce, gdzie rampa wychodziła z kadłuba, przesłaniało oślepiające żółte światło. Lyn odszukała dłoń Hunta i ścisnęła ją, kiedy ze światła wyłoniło się pierwszych kilkanaście wysokich postaci i zaczęło schodzić po pochylni. Na dole zatrzymały się, patrząc na rzędy czekających Ziemiaków.

Pośrodku stał Calazar, łatwo rozpoznawalny nawet bez znajomej srebrzystej peleryny i zielonej tuniki, a po jednej jego stronie Frenua Showm, Porthik Eesyhan i jego zastępca, Morizal. Po drugiej stronie stał Garuth, Shilohin, Monchar i inni Ganimedejczycy z *Shapierona*, których jasnoszara skóra odróżniała od ciemniejszych i lżej zbudowanych Thurienów. Grupa z McClusky od dawna oczekiwała na tę chwilę. Po raz pierwszy od lądowania perceptronu i pierwszej lękliwej wizyty na nim, zobaczyli Thurienów nie dzięki dokonywanej na odległość wielu lat świetlnych stymulacji neuronów. Tym razem Thurienowie byli prawdziwi.

Z tyłu rozległy się dźwięki zgromadzonych orkiestr. Tłum, nadal przytłoczony widokiem wypełniającym niebo, zachowywał się cicho. Ganimedejczycy z niespiesznym dostojeństwem ruszyli przed siebie, a Caldwell poprowadził zespół z McClusky na ich spotkanie.

– Nieraz było trochę strasznie, ale Ziemia dokonała tego – szepnęła Lyn, kiedy zaczęli iść.

– Mówisz tak, jakby już było po wszystkim – mruknął Hunt. – A to dopiero początek.

I rzeczywiście. Dla Ganimedejczyków był to koniec zadania, nad którym pracowali przez tysiąclecia; dla mieszkańców Jewlen – zmiana kierunku, a dla VISARA – nowy etap istnienia.

Lecz dla Homo sapiens był to zupełnie nowy początek.

Prawowici spadkobiercy mieli upomnieć się o swoje dziedzictwo.